# ROBERT TRALINS






# KOMPUTER ORTMANA

Robert Tralins

# Komputer Ortmana

przełożył
Wojciech Surman




WYDAWNICTWO »ARAMIS« — KRAKÓW 1991

Tytuł oryginału: *Flight Signals*



Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca — Kraków, zam. 3653/91.

# 1

AMSTERDAM
Poniedziałek, 10 lipca
godzina 22.30

Hassan Hakim odwrócił wzrok od celownika karabinu i spojrzał na kobietę o bezlitosnych oczach, która klęczała obok niego w nie oświetlonym pokoju przy oknie przesłoniętym koronkowymi firankami.

Dlaczego, zastanawiał się Hassan, al-Sirat kazał mu dokonać tego zabójstwa wspólnie z tą niewierną? Czyżby al-Sirat bał się zostawić go sam na sam z którymś z tych schludnych, młodych motocyklistów z baru dla pedałów, którzy potrafiliby szybko uciec na motorze z Amsterdamu? Hassan nie mógł znieść jej widoku. Ta chuda, wyperfumowana terrorystka z Czerwonych Brygad, w poplamionej bluzce i obcisłych dżinsach, nawet przy otwartym oknie śmierdziała jak uliczna kurwa.

Hassan znów zerknął przez celownik. Od drugiej w nocy z soboty na niedzielę, w letnim upale tak wilgotnym, że przez ściany frontowego pokoju na poddaszu, w którym siedzieli, przesączał się smród z kanałów, na próżno obserwowali apartament na najwyższym piętrze, dokładnie po przeciwnej stronie Herengracht. Jak dotąd Jack Lund, wysoki, jasnowłosy Amerykanin, którego fotografie dokładnie zapamiętał, nie opuścił klimatyzowanej sypialni ani nie stanął na wprost okna salonu na wystarczająco długą chwilę, by Hassan zdołał uchwycić go w siatkę celownika i oddać pewny strzał.

Hassan, który kiedyś z tysiąca kroków przestrzelił oko wielbłąda, wolałby już być z powrotem w tajnym obozie

szkoleniowym OWP w Damaszku, gdzie do tej pory uczył swoich towarzyszy broni walki wręcz i celnego strzelania. Aż trudno było uwierzyć, że jeszcze trzy dni temu był w domu, a jeszcze trudniej, że powróci na Bliski Wschód, jak tylko skończy swoją robotę.

Nagle odwrócił się gwałtownie, usłyszawszy podobny do trzasku wystrzału łomot otwieranych kopniakiem drzwi.

— W imię Allacha?

Koronkowa firanka razem z karniszem spadła mu na głowę w chwilę po tym, jak ostrze noża przecięło powietrze i przebiło pierś kobiety. Szarpnęła się do tyłu, wciąż kurczowo uchwycona firanek, a potem osunęła się na podłogę z szeroko otwartymi oczami i bulgotliwym świstem cuchnącego czosnkiem oddechu.

Hassan zdarł z twarzy firankę... i zamarł. W otwartych drzwiach majaczyła strzelista postać w czerni.

— Kto to... o co chodzi? — wydusił z siebie Hassan.

Niski głos, dudniący i złowieszczy, odrzekł:

— Styx.

Hassanowi krew ścięła się w żyłach. Styx! Były starszy sierżant armii rodezyjskiej, który już od dwóch lat nieustannie wykańczał w całej Europie najlepszych ludzi z OWP. Jak udało mu się ich odnaleźć? Kto za nim stał? Kto mu zdradził miejsce ich pobytu? Chodziły pogłoski, że za Styxem stoi Mossad, ale al-Sirat i Hassan doskonale wiedzieli, że to nieprawda. Styx miał wystarczające powody, żeby nienawidzić Izraelczyków bardziej niż sam przywódca OWP.

Hassan poczuł ostatni oddech umierającej kobiety. Na widok konwulsyjnych skurczów agonii i poczuwszy odór nadchodzącej śmierci, który uderzył go teraz w nozdrza, ściskając mu żołądek, Hassan sprężył się do działania. Teraz była to już kwestia przeżycia.

Prawą rękę zacisnął na rękojeści ostrego jak brzytwa noża za paskiem. Skulił się do skoku i wyszarpnął ostrze w tej samej chwili, w której Styx ruszył ku niemu, wymachując obosiecznym sztyletem. Kiedy Styx znalazł się w jego zasięgu, Hassan przez moment zamarkował unik w bok, po czym sztychem do góry próbował dosięgnąć go uzbrojoną w nóż ręką.

Z szybkością błyskawicy Styx odparował długim sztyletem niespodziewane pchnięcie Hassana, uskoczył na bok i kopnął go w podbródek. Hassan zatoczył się od ciosu, ale nie zważając na buchającą z ust krew, z powrotem skoczył na nogi, równie zwinnie jak szkoleni przez niego terroryści.

Był teraz w swoim żywiole. Był mistrzem w walce wręcz i specjalistą od posługiwania się nożem bojowym. Zasygnalizował cios, a potem okręcił się wokół swojej osi i wymierzył w środek korpusu napastnika potężne uderzenie nogą, którym zdołał go na moment zatrzymać. W chwilę potem Hassan zrobił zwód, znów obrócił się wokół własnej osi i, tak jak uczył całe rzesze innych, zadał cięcie mierzone w gardło wysokiego mężczyzny. Był teraz śmielszy i bardziej zuchwały, mając pewność, że w ciągu najbliższych paru sekund pomści swoich pobratymców i powstrzyma tego zabójcę na zawsze.

Ale Hassan trafił na mistrza. Ruchem zbyt szybkim, by Hassan mógł go zauważyć, Styx chwycił go za rękę uzbrojoną w nóż, wykręcił mu ramię do tyłu i zatopił sztylet, jak chirurgiczny skalpel, w prawym barku Hassana. Hassan, padając na plecy i brocząc krwią z unieruchomionego ramienia, wypuścił nóż i przypatrywał się zwężonymi z przerażenia oczyma, jak Styx z nadludzką siłą przygniata go do ziemi, a potem, szczerząc zęby w uśmiechu przypominającym grymas trupiej czaszki, wciąż mocniej i mocniej zagłębia sztylet w jego gardle...

*

W tej samej chwili w luksusowym apartamencie po drugiej stronie kanału Jack Lund obudził się nagle u boku Zity z uczuciem, że coś jest nie w porządku. Spojrzał na

zegarek, zaczerpnął głęboko powietrza i odprężył się. Nic dziwnego, że był taki napięty. We wtorek rano, o 10.30, dokładnie za dwanaście godzin, rozpocznie się specjalne zebranie, które zwołał. W parę minut później miesiące tajnego śledztwa dobiegną kresu, wszystko się zakończy, topór spadnie i potoczy się dwadzieścia głów.

Samopoczucie Jacka psuł jedynie fakt, że to on sam miał być katem. Ale taka już była jego praca. Był SDO, szefem działu operacyjnego. I płacono mu rocznie sześciocyfrowe sumy za to, że to robił.

Jack odwrócił się na bok, spojrzał w bladym świetle na Zitę i stłumił chęć pocałowania jej. Puls zaczął bić mu w przyśpieszonym tempie i pragnienie powróciło z nieodpartą siłą, ale nadal się powstrzymywał. Oboje potrzebowali odpoczynku. Po dwóch dniach i trzech nocach spędzonych bez przerwy w wyłożonym pluszem apartamencie tej liczącej trzysta lat budowli, która kiedyś była własnością holenderskiego króla kupców, był tak samo znużony i wyczerpany jak dziewczyna.

Kiedy tak spała, zwinięta na boku twarzą do niego, mimowolnie zanurzył palce w jej długich puklach, które rozsypały się na poduszce. Kolor jej włosów przypominał mu roztopioną miedź, którą spuszczano z pieca hutniczego Kompanii MWD w Boliwii. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Teraz, po pięciu latach zastanawiania się, jak to jest, kiedy człowiek się z nią kocha, i po roku nieustannego myślenia o niej, wreszcie się dowiedział. Odkrył, że jej *nie* farbowane włosy były w istocie równie niesforne jak jej charakter i równie płomienne jak ognista krew, która płynęła w jej żyłach. Zerknął na jej zmysłowe, pełne usta i nie mógł oprzeć się pokusie, by ją pocałować. Kiedy musnął ustami jej wargi, zamruczała jak kociak, westchnęła z rozkoszy, ale nie obudziła się.

W ciągu tych wszystkich lat, odkąd poznał Zitę Dean i cnotliwie przyglądał jej się z daleka — bowiem aż do przedwczoraj, jako córka szefa, była *nietykalna* — po raz



pierwszy ujrzał ją w takiej sytuacji, śpiącą, odprężoną, a nie kipiącą złością na wszystko, śmiejącą się albo wygłaszającą sążniste przemówienia na temat niesprawiedliwości wyrządzanych prostym ludziom przez wielkie korporacje, przez tych, którzy rządzą i trzęsą tym światem, jak jej ojciec i wuj.

Z trudem przychodziło mu uwierzyć, że ktoś tak cudowny jak Zita, z buzią po dziecinnemu w ciup i z dużymi, wyrazistymi, zielonymi oczyma, może być równocześnie tak zapamiętały i zdolny wywołać tyle zamieszania. Może właśnie dlatego tak ją polubił... a może była to też jedna z przyczyn, dla których się w niej zakochał.

Teraz, kiedy Jack zdobył już Zitę, każdy nerw jego ciała drgał, pomimo iż zmuszał się, żeby oderwać od niej myśli, jak człowiek, który usiłuje otrząsnąć się z jakiegoś dziwnego, hipnotycznego uroku. Zamknął oczy i zacisnął pięści, żeby zapanować nad emocjami, ale już w kilka minut później zaprzestał wysiłków i spojrzał na nią znowu. Nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje. Przez trzydzieści dziewięć lat nikogo nie potrzebował. Zawsze uważał, że miłość jest gówno warta i że żadna kobieta na świecie nie stanie się dla niego tak ważna ani nie zmieni go na tyle, by odczuwał potrzebę bycia z nią i kochania się z nią rano, w południe i wieczór.

Kiedy pięć lat temu po raz pierwszy spotkał Zitę, krótko po tym, jak wystąpił z wywiadu Marynarki i opuścił Pentagon, żeby podjąć pracę jako szef działu operacyjnego i inspektor na cały świat dla Kompanii Merrilla Webstera Deana, obchodził ją z daleka. Początkowo zgadzał się z jej ojcem miliarderem w ocenie jej upartego charakteru i skłonności do ściągania kłopotów. Widział w niej wówczas, niewiele różniąc się w tym od Webstera Deana, pozbawioną matki, niedojrzałą, nie douczoną młodą pannicę z koedukacyjnego college'u, zbyt przeintelektualizowaną, twardogłową i niezdyscyplinowaną, a także zbyt narowistą i naiwną, by pasować do rzeczywistego świata. W ubiegłym roku, kiedy Zita ukończyła szkołę z wyróż-

nieniem, dała sobie spokój z bojowniczkami o prawa kobiet i ruchami na rzecz aborcji i przyłączyła się do walki o inną sprawę, która wkrótce miała rzucić ją w różne zakątki świata.

Gdy jej protesty przeciw rozrastaniu się międzynarodowych korporacji, „które uciskają świat, prostych ludzi zmieniając w lokajów", stały się źródłem niemałego zakłopotania dla jej wuja Webstera i dla jej ojca, Merrilla Deana, a także gdy złożyła światowej prasie oświadczenie, w którym wyrzekła się choćby centa z rodzinnych „zarobionych na brudnych wojnach i splamionych ludzką krwią" milionów, Merrill Dean prędko zostawił ją faktycznie bez centa przy duszy, „dopóki nie nabierze rozsądku, nie założy stanika, nie zacznie się ubierać jak szanująca się młoda dama, nie przestanie robić z siebie publicznych widowisk, publicznie natomiast wyrazi skruchę i złoży obietnicę poprawy..."

Jack Lund, mimo iż postanowił trzymać się z dala od córki szefa, nie mógł powstrzymać się pewnego ranka w ubiegłym roku, kiedy wpadł na Zitę w Tokio, żeby nie zaprosić jej na kolację. W ciągu tygodniowego pobytu w Japonii zabierał ją ze sobą co wieczór; i co wieczór, na zakupach, w restauracji, w nocnym lokalu, na koncercie, balecie, na pokazie zapasów sumo i w teatrze, odkrywał w niej wiele rzeczy, które go intrygowały. Przebywanie z nią nie tylko sprawiało przyjemność i przynosiło radość, potrafiła również być poważna i instynktownie wiedziała, kiedy pragnął porozmawiać, a kiedy pomilczeć.

Najważniejsze jednak było to, że czuł się z nią swobodnie. Była wspaniałym kumplem. To było tak, jakby do siebie przynależeli; i kiedy szli sobie przez Ginza ramię w ramię albo zwiedzali świątynne ogrody, odnosiło się wrażenie, że pasują do siebie jak ulał. Tym, co Jacka najbardziej zaskoczyło, był fakt, że wcale nie była zakutym radykałem. Wbrew temu, co sądził jej ojciec i wuj, miała swoje zdanie, potrafiła o sobie decydować, nie była nierozsądna i niełatwo ulegała wpływom. Odkrył również, że była idealistką, kobietą z krwi i kości, obdarzoną wyjątkowo błyskotliwym intelektem, o wiele wybitniejszym, niż wskazywałoby na to jej dwadzieścia sześć lat. Ponadto *nie* była „postrzeloną kretynką", jak kiedyś wyraził się do Jacka jej wuj, zobaczywszy we wszystkich gazetach podpis pod jej fotografią głoszący, że oto widnieje podobizna „aktywnej poplecznicżki organizacji «Świat bez Bomby Atomowej» i innych ruchów lewicowych."

W czasie gdy Jack musiał wyjechać z Tokio, by dokonać inspekcji fabryki komputerów na Tajwanie, należącej do Grupy MWD, odkrył, że coś nieodparcie przyciąga go do Zity i nie może wprost przestać o niej myśleć. Chociaż nigdy nie spali ze sobą i wymienili jedynie kilka przelotnych pocałunków, łapał się na tym, że myśli o niej w dziwnych momentach, w podróży, wieczorem przed zaśnięciem i rankiem po przebudzeniu. Wprawdzie zastanawiał się, jaka jest w łóżku, niemniej jednak nie pragnął jej i nie pożądał zdawkowo, jak to bywało z innymi kobietami. Za bardzo ją szanował, by miała posłużyć po prostu do zaspokojenia jego potrzeb fizycznych.

Upływały miesiące, a on wciąż myślał o niej często, łaknął jej towarzystwa... i odczuł coś w rodzaju zniewagi i głębokiej urazy, kiedy dowiedział się, że spotyka się z innymi.

Jedyną rzeczą w Zicie, jaka mocno go martwiła, była zagadkowa strona jej osobowości, której nie był w stanie zgłębić. W jednej chwili potrafiła zmienić się z podniecającej w łagodną, z dziecinnej w dojrzałą, z dowcipnej w filozoficzną, błyskawicznie przechodziła od perlistego śmiechu do kipiącego gniewu. Była równie nieprzewidywalna jak chmury zasnuwające nagle niebo późnym letnim popołudniem. Tak czy owak pociągała go fizycznie, dawała mu poczucie nieskrępowania i pobudzała go intelektualnie. Była nie tylko wrażliwą kobietą, która wie, czego chce, ale zarazem była zdolna do namiętnej i żarliwej miłości, jak

i pełna entuzjazmu dla spraw, o które walczyła, i gniewu wobec niesprawiedliwości.

Po raz pierwszy w życiu Jack potrzebował kogoś tak bardzo, że chciał już porzucić kawalerski stan, zmienić nawyki, a nawet zaakceptować ją taką, jaką była... byleby tylko ją zadowolić.

Główne pytania, jakie się nasuwały, to: Czy rzeczywiście ją kocha? Czy jest w stanie zapłacić emocjonalnie cenę związku z tak dynamiczną jak ona kobietą? Z początku sądził, że nie. Lecz kiedy wziął pod uwagę jej inne zalety, jej zdumiewającą piękność, a także fakt, że życie z nią nigdy nie byłoby zrzędliwe i nudne, zaczął myśleć inaczej.

W ciągu ostatniego roku, roku, w którym nie widzieli się ani nie telefonowali do siebie po owym platonicznym, idyllicznym tygodniu w Tokio, zatopił się po uszy w pracy i usiłował przestać myśleć o niej... i o Rostovie, mężczyźnie, z którym żyła. Próbował nawet wymazać ją z pamięci, umawiając się z wieloma innymi kobietami. Lecz ilekroć z nimi był i bez entuzjazmu próbował się z nimi kochać, łapał się na tym, że w ich ramionach myśli o Zicie.

I wtedy, w ubiegłą sobotę po południu, to co nieuniknione wreszcie nadeszło.

Odlot do Amsterdamu był opóźniony. Trzeba było czekać dwie godziny na lotnisku w Kopenhadze. Kiedy wszedł do hallu linii KLM, siedziała w kącie, popijając kawę i czytając egzemplarz tygodnika „Lud". Gdy Zita podniosła wzrok i ujrzała go, a ich spojrzenia się spotkały, w jednej chwili Jack Lund wiedział już, że pomyślnie zdał gorzki egzamin rocznej rozłąki i że jest w niej zakochany. I wiedział, że ona również go kocha.

To było trzy dni temu. Od tej pory są bez przerwy razem.

Odwrócił się do niej plecami, spojrzał na wystawnie urządzoną sypialnię apartamentu, który był własnością jego szefa, a jej ojca, Merrilla Deana, i zaczął zachodzić w głowę, jak też zareagowałby ten nienagannie schludny,



siwowłosy starszy pan, gdyby się dowiedział, że jego córka spędziła z nim tutaj noc. Jack nie miał zresztą najmniejszych wątpliwości, że Webster Dean dowie się o tym. Był właścicielem jednej z największych na świecie agencji ochrony i usług detektywistycznych i jego agenci z Kompanii VI MWD byli wszędzie. Miał oko na wszystko i wszystkich, a już szczególnie na swoją jedną jedyną córkę, którą oficjalnie, ale wcale nie prywatnie, wydziedziczył. Według wszelkiego prawdopodobieństwa już teraz wiedział, że Zita i on są tutaj razem.

Jack uśmiechnął się na myśl, że MD może wylać go z pracy. No cóż, wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Zawsze mógł wrócić do NavTelu. Albo wycofać się i żyć z procentów od miliona dolarów w depozytach bankowych, który zdołał zaoszczędzić z zarobków, i spędzić resztę życia na żeglowaniu dookoła świata. Nie najgorsza perspektywa dla mężczyzny, któremu we wrześniu tego roku stuknie czterdziestka.

Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnim razem żeglował na swoim trzydziestosiedmiostopowym jachcie *Ptaszek*, i zajęło mu to dobrą chwilę. Nieustannie był w rozjazdach, przelatując średnio ćwierć miliona mil rocznie, by dopilnować licznych korporacji należących do Kompanii MWD. Tyle podróżował i tyle nacierpiał się z powodu opóźnień samolotów, że częstokroć budził się w hotelowym apartamencie, nie będąc pewny, jaki to dzień tygodnia albo w której części świata się znajduje.

Kiedy wrócił myślą do ostatniej wycieczki pod żaglami, z trudem przyszło mu uwierzyć, że było to siedem miesięcy temu, w ostatni Nowy Rok. Zaczął rundę od Islander Motel Marina, pognał na Clearwater Beach, gdzie stał zacumowany *Ptaszek*, i dwadzieścia mil od Florida Gulf Coast wziął kurs na Key West, a potem z powrotem, przy wietrze wiejącym z prędkością trzydziestu węzłów. Świetnie się żeglowało, mimo deszczu, a byłoby wprost cudownie, gdyby była z nim Zita.

Żeglarstwo było dla niego terapią, pociechą, nirwaną. Ilekroć wypływał na swojej łodzi, zostawiał wszystkie troski i cały świat za sobą. Stojąc za sterem, czuł się znów człowiekiem, a nie — jak mawiała Zita — „lokajem korporacji, chciwym na pieniądze karłem, niewolnikiem, którego ciało i dusza należały bez reszty do człowieka, który władał i dysponował zasobami Kompanii."

Odwrócił się, spojrzał na Zitę i zadał sobie pytanie, jak zniosłaby życie pod żaglami. Dziesięć lat temu, kiedy miała szesnaście lat i brała udział w wyścigach gumowych pontonów i w regatach klubu jachtowego, on był dwudziestodziewięcioletnim agentem NavTelu i samotnie prowadził *Ptaszka* w tajnej misji, żeglując po Bałtyku na odległość wzroku od wybrzeży państw za Żelazną Kurtyną i fotografując radzieckie okręty wojenne i łodzie podwodne. Tak, Zita uwielbiałaby pływać z nim dookoła świata. Ale czy na pewno? Miał nadzieję, że tak.

Wszystko to było denerwujące i Jack nie był jeszcze całkiem pewny, czy odpowiada mu myśl, że znajdzie się w uczuciowych i fizycznych okowach innej ludzkiej istoty. Zawsze był samotnikiem, wolnym ptakiem, człowiekiem, który nikogo nie potrzebuje i nie chce, by ktokolwiek potrzebował jego. Teraz w jednej chwili wszystko uległo zmianie. Nagle spojrzał na swoje życie z zupełnie innej perspektywy. Jednak nie zaskoczyło go to. Od tamtego tygodnia w zeszłym roku w Tokio czuł, że nieuchronnie musi to nastąpić.

W tej samej chwili Zita poruszyła się i przeciągnęła. Przyglądała mu się roześmianymi zielonymi oczyma.

— O czym przed chwilą myślałeś?

— Powiem ci za chwilę — odrzekł z uśmiechem. Przyklęknął, pochylając się nad nią, ujął w dłonie jej policzki i pocałował ją delikatnie. Potem szepnął: — Jesteś szalona i, cholera, ja także oszalałem.

— Ty? — zapytała cichutko. — Jak to możliwe? Jesteś przecież zrównoważonym SDO w tatusiowej korporacji. *Ty* nigdy nie tracisz zimnej krwi.



— Tym razem nie chodzi o zimną krew.

— Nie? Więc o czym mówisz?

— Mówię o tym — odparł Jack obsypując pocałunkami jej policzki, czoło, zadziorny nosek, zgrabne piersi, szyję, a na końcu usta — że straciłem rozum. Zakochałem się w tobie, Zita. A to dowód, że musiałem zbzikować.

Zielone oczy błysnęły w półmroku, kiedy się do niego uśmiechnęła. Po długiej chwili wyszeptała:

— Ja też cię kocham, Jack. Naprawdę. Ale musisz mi przyrzec jedną rzecz.

— Co takiego?

— Nigdy nie próbuj mnie zmienić, ani nie mów mi, co mam robić.

— Nawet o tym nie pomyślałem. Podobasz mi się taka, jaka jesteś.

— Mówisz *szczerze*? Przyrzekasz? No to, ty także mi się podobasz taki, jaki jesteś. A teraz powiedz...

— Co mam ci powiedzieć?

— O czym przed chwilą myślałeś.

Jack wziął jej twarz w ręce i pocałował ją.

— O zamieszkaniu na pokładzie mojej łodzi i żeglowaniu dookoła świata z tobą... tylko we dwoje...

— To byłoby wspaniałe. Umieram z ciekawości, żeby zobaczyć *Ptaszka*. Popłyniemy na Bali i Tahiti? Nigdy tam nie byłam.

— Gdzie tylko zechcesz, popłyniemy razem... tylko we dwoje... samotne rejsy przestały mnie bawić... Nie mogę znieść myśli, że mógłbym gdziekolwiek popłynąć bez ciebie...

Na myśl, że będzie miał całą Zitę dla siebie, serce zabiło mu mocniej. Nagle odczuł silną potrzebę, by ją przytulić. Wszystkie mięśnie jego ciała naprężyły się.

Kiedy leżeli spleceni ramionami, całując się, rozkoszując dotykiem swoich ciał, położyła się na nim i zaczęli się kochać, powoli, delikatnie, z przeszywającym do głębi uczuciem — którego Jack nigdy przedtem nie zaznał — że

słusznie należą do siebie. Pieścił ją, tulił mocno, wpijał palce w jej szczupłe ciało. Jej zielone oczy zawisły na nim w spojrzeniu, które przenikało go aż do duszy, i w tej samej chwili, bez słowa, spotkali się w gwałtownym wybuchu budzącej dreszcze radości. Teraz, znużeni, wyczerpani w gasnącym żarze miłości, leżeli złączeni razem, jej długie, rude włosy przesłaniały mu oczy, policzkiem wtuliła się w jego szyję, czuł na sobie jej sprężyste piersi, i tak zasnęli.

Parę godzin później Zita poruszyła się i szepnęła:

— Co to za światła błyskają za oknem?

— Jakie światła? — Obudził się, odgarnął sobie z twarzy jej włosy i zerknął na drzwi prowadzące do salonu. Wirujące niebieskie światła odbijały się w przeszklonych obrazach. Popatrzył na nią sennie. — Co nas to obchodzi? Może ktoś wpadł do kanału. Ciągle ktoś wpada. Nie zapominaj, że to Amsterdam.

Zita ziewnęła i zsunęła się z niego. Sięgnęła po omacku po rolexa na nocnym stoliku, znalazła go i rzuciła okiem na tarczę. — Ejże, jest trzecia w nocy. Co się dzieje? Muszę zobaczyć, co to jest...

To była następna jej cecha, która go bawiła: niepo-skromiona ciekawość.

Kiedy usiadła i wyślizgnęła się z łóżka, Jack odwrócił się i patrzył za nią, jak idzie do drugiego pokoju. Gdy przyglądał się jej ponętnemu ciału, krągłym pośladkom i miękkiej, jasnej skórze oświetlonej teraz błyskami niebieskich świateł, poczuł znowu podniecenie i znów zdziwił się, co się z nim stało. Nigdy dotąd w życiu nie był w takim stanie ciągłego pobudzenia, ani też nie pragnął kobiety z tak przytłaczającym nienasyceniem, jakie odczuwał teraz wobec Zity. Nie należał do tych, którzy uprawiali w łóżku aerobik, nawet jeśli był z kobietami, które same uznałyby się za nimfomanki. Nawet z najatrakcyjniejszymi z nich jeden lub dwa razy zawsze wystarczały. Zazwyczaj ledwie skończył, tylko patrzył, żeby się od nich urwać. W większości nudziły go. Niektóre były zabawne. Flirtował z nimi,



a one flirtowały z nim i na niby było w tym wszystko, lecz nigdy żadna kobieta nie wzbudziła w nim takich uczuć. I ani razu nie zdarzyło się, żeby mówiąc: „Jasne, ja także cię kocham", naprawdę miał to na myśli. Z wszystkimi innymi kobietami, których imion już nie pamiętał, z tą modelką w Paryżu, z aktorką w Cannes, z izraelską dziewczyną w mundurze majora armii w Tel-Avivie, z policjantką, która wlepiła mu mandat za przekroczenie szybkości w Londynie, zawsze było tylko figo fago, dziękuję pani, to był uroczy wieczór. Kolacyjki przy świecach i przystawki z szampanem w tych wszystkich romantycznych miejscach, z najpiękniejszymi dziewczynami, nic dla niego nie znaczyły. Kolacje i słodkie głupstewka były ceną, jaką musiał zapłacić, by zaciągnąć je do łóżka. A potem, potem ani jedna z nich, kiedy widział je rozebrane w całej nagiej, cielesnej okazałości, nie wzbudziła w nim takich uczuć, jakich doznawał teraz. Żadna kobieta, ani przedtem, ani po tym jak spotkał Zitę w Tokio, nie podniecała go tak całkowicie i nie do zaspokojenia.

Nagle, w tej samej chwili, gdy usiadł na łóżku i przyglądał się Zicie stojącej w oknie salonu, Jack zdał sobie sprawę, że żadna inna kobieta na ziemi nie zdoła mu jej zastąpić.

Jak urzeczony wstał z łóżka, poszedł do salonu i stanął za Zitą przy oknie. Nie bacząc na scenę rozgrywającą się cztery piętra niżej na ulicy, otoczył ją ramionami, delikatnie pogłaskał jej pełne piersi, pocałował ją w kark i przycisnął do swojego pulsującego ciała. W przeciwieństwie do innych kobiet nie było w Zicie nic obcego, nieznajomego czy nieprzyjemnego. Było tak, jakby znał ją blisko przez całe życie. Jej dotyk, zapach kobiecości, naturalny płomiennorudy kolor jej włosów, wszystko to rodziło w nim pożądanie, ale i coś znacznie więcej. Było to coś dobrze znanego, choć nieuchwytnego i trudnego do wyrażenia słowami, coś jak déjà vu, zupełnie jakby w jakiś sposób znał ją już przedtem i kochał przez całe życie w innym życiu.

— O mój Boże — powiedziała Zita, wzdrygając się. — Wynoszą jakiegoś człowieka w plastikowym worku na ciała.

Jack zerknął jej przez ramię i spojrzał w dół na nadrzeczny bulwar wybrukowany kocimi łbami, dokładnie naprzeciwko, który ciągnął się równolegle do leniwych wód Herengrachtu.

Tłum zaciekawionych gapiów i umundurowanych funkcjonariuszy policji otoczył dwóch sanitariuszy dźwigających nosze z ciałem w zamykanym na zamek błyskawiczny worku z czarnego plastiku. Wzdłuż kanału, u obu wylotów wąskiej uliczki, stały wozy patrolowe błyskające niebieskimi światłami i dwa wozy transmisyjne telewizji wyposażone w mikrofalowe anteny, których załogi filmowały skąpaną w świetle reflektorów scenę.

— Popatrz, wynoszą drugiego. Co za koszmar. Jak myślisz, co mogło się stać?

— Może kłótnia zakochanych — powiedział Jack. Albo jakiś interes z narkotykami, który nie wypalił.

Przygryzał jej ucho i pieścił jej piersi, bardziej zajęty tym, co robił, niż tym, co działo się po drugiej stronie kanału.

— Psiakrew — powiedziała Zita, wzdrygając się po raz drugi — to okropne, że dwoje ludzi umarło po przeciwnej stronie ulicy, a myśmy nic o tym nie wiedzieli. Pomyśl tylko, gdyby okno u nas było otwarte i gdybyśmy wyłączyli klimatyzację, moglibyśmy usłyszeć ich krzyki, wyjrzeć i wszystko zobaczyć. Mało tego, moglibyśmy także zobaczyć mordercę.

Jack jeszcze mocniej zamknął ją w uścisku i rzucił spojrzenie na najwyższe piętro domu naprzeciwko. W jasno oświetlonym, pozbawionym firanek pokoju od frontu byli policjanci po cywilnemu i w mundurach. W tej właśnie chwili jeden z nich podszedł do okna, wychylił się przez parapet i zerknął w dół na bulwar.

Również w tej samej chwili, za oknem zaciemnionego pokoju w sąsiedztwie budynku, gdzie znaleziono ciała, jakaś na czarno ubrana postać nastawiła długą, dwustumilimetrową soczewkę teleobiektywu w trzydziestopięciomilimetrowym automatycznym aparacie fotograficznym i zaczęła pstrykać zdjęcia Zicie i Jackowi w apartamencie po drugiej stronie kanału.



Policjant w oknie na miejscu zbrodni spojrzał w górę, zobaczył Zitę stojącą nago na wprost okna i wlepił w nią wzrok.

Gdy Jack to dostrzegł, zaczął odciągać ją od okna, ale opierała się, zaparła się bosymi nogami w dywan i nie ustąpiła.

— Co ty wyprawiasz, kochanie? — wrzasnął Jack. — Odsuń się od okna. Ten facet gapi się na ciebie!

— I co z tego? — zapytała figlarnym tonem, odwracając się, kręcąc przed nim biodrami i przyglądając się jego minie z przekrzywioną głową i roześmianymi zielonymi oczami. — Jestem dumna ze swojego ciała. Co może zrobić, zaaresztować mnie? Nie łamię prawa. *Nie zapominaj*, że to Amsterdam. Nigdy nie przechodziłeś przez Reeperbahn i nie widziałeś tych wszystkich rozebranych dziewcząt w oknach?

— Tak, ale to jest dzielnica czerwonych latarni... a ja nie mogę znieść, żeby inny mężczyzna oglądał cię nago.

Mówiąc to, Jack oderwał ją od ziemi, zaniósł na rękach do sypialni i żartobliwie cisnął na łóżko.

Zita zaśmiała się i trzepnęła go palcem po nosie. — Coś takiego, Jacku Lund. Jesteś *zazdrosny*!

— Nie — odparł z nutką nonszalancji, która nie zabrzmiała prawdziwie. — Wcale nie. Nigdy w życiu nie byłem zazdrosny.

— Kłamczuchu, *jesteś* zazdrosny. I wiesz co? Ja także. Nie daj Boże, żebym cię przyłapała kiedyś z inną kobietą...

— A jeżeli ja — przerwał jej Jack — przyłapię cię kiedykolwiek z innym mężczyzną, a szczególnie z tym Viktorem Rostovem, to popamiętasz!

Zitę zupełnie zatkało. Jej oczy nabrały koloru lodowatej, zielonej wody morskiej.

— Skąd wiesz, że chodzę z Viktorem?

— Twój ojciec mi powiedział. Kiedy sześć miesięcy temu wywaliliśmy Rostova z roboty za kradzież tych komputerowych testów nadprzewodników, było o tym w raportach ze śledztwa. Jak doskonale wiesz, twój tatuś jest właścicielem agencji bezpieczeństwa Kompanii VI MWD, a oni są bardzo skrupulatni i ich raporty — to również wiesz — są nienaganne.

— Postawmy sprawę jasno — powiedziała Zita z oburzeniem — Tym razem się pomylili. Vik nie zrobił tego. Wrobili go inni naukowcy z laboratorium. Są zawistni, więc ubrali go w to.

— Tak właśnie mówią wszyscy kanciarze i szpiedzy przemysłowi, kiedy łapiemy ich na gorącym uczynku. — Jack pokiwał głową nad jej łatwowiernością i zamilkł na dłuższą chwilę. Potem spytał — Widujesz się z nim nadal? To dlatego tu jesteś, prawda?

— Tak. A także po to, żeby wnieść swój wkład w ruch „Świat bez Bomby Atomowej".

Jack zebrał się w sobie i rzucił prędko: — Kochasz go?

— Tak, i on także szczerze mnie kocha. — Na chwilę przygryzła dolną wargę, zobaczywszy jego reakcję i dostrzegłszy wyraz bólu na jego twarzy. — Vik jest przyzwoitym człowiekiem. „Świat bez Bomby Atomowej" jest całym jego życiem. To wspaniały facet...

— Jako kochanek też?

— Nie każ mi o tym mówić, Jack. To wcale nie tak. Z nami jest inaczej. Spotkałam go sześć miesięcy temu na demonstracji antynuklearnej w Zachodnich Niemczech. Tak, kocham go. Ale nie jestem w nim *zakochana*. Zakochana jestem w tobie. Z nami to co innego...

— Masz zamiar zobaczyć się z nim znowu? Nadal się z nim widywać? Mieszkać z nim i ... i *sypiać* z nim?

Spojrzała na Jacka oczami skąpanymi w powstrzymywanych łzach zrodzonych z wyrzutów sumienia. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Wreszcie westchnęła i odrzekła: — Pragnę cię, najdroższy. Pragnę tylko ciebie. Więc proszę, zostaw to już, dobrze?



Jego odpowiedzią był przeciągły pocałunek. Potem, kiedy pochylił się nad nią, oplotła go zgrabnymi nogami, ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła go do siebie z rozpaczliwą rezygnacją.

## 2

SCHIPHOLDOORN
17 km na południe od Amsterdamu
Wtorek, 11 lipca, 15.00

Dwóch siwowłosych mężczyzn i blondynka za stołem konferencyjnym skończyli studiować raporty z obserwacji i fotografie, zamknęli cienkie aktówki i w osłupieniu wybałuszyli oczy na Jacka Lunda. Teraz, po przejrzeniu całej dokumentacji i zapoznaniu się z sytuacją, Jack, który od godziny przyglądał im się w milczeniu, skinął głową do starszego z dwóch mężczyzn, prosząc go o zajęcie stanowiska.

Mężczyzną tym był dr Arend van Doorn, przewodniczący kolegium dyrektorskiego Schipholdoorn Avionics B.V., holenderskiej filii Kompanii MWD. Dr van Doorn potrząsnął głową z konsternacją i odezwał się po angielsku bez najmniejszego śladu holenderskiego akcentu: — To niewiarygodne...

— Ale prawdziwe — powiedział Jack. — Teraz już pan wie, dlaczego wyrzuciłem dzisiaj pańskiego szefa ochrony, Otto Garfielda, i tych innych pracowników. Materiał dowodowy, który pan właśnie widział, został zebrany przez naszą prywatną agencję bezpieczeństwa, G-VI. To efekt pięciu miesięcy intensywnego śledztwa i dochodzeń.

Dyrektor naczelny, który aż kipiał z gniewu od chwili, gdy wczesnym rankiem tego dnia dowiedział się o zwolnieniach, i przez cały dzień usiłował się opanować, spojrzał nagle na Jacka Lunda i dał upust swoim uczuciom:

— Dlaczego nie powiedziano mi o tym, *zanim* kazał pan personalnemu ich zwolnić? Powinien pan był wyświadczyć mi tę grzeczność. Nie podważam pańskiego prawa, jako SDO korporacji, do wyrzucenia kogoś — nie wyłączając mnie samego — ale odkąd to robi się takie rzeczy poza plecami kadry kierowniczej braci Dean, ludzi, którzy prowadzą filię ich Kompanii MWD?

Jack spojrzał mu prosto w oczy i rzekł: — Przepraszam pana za uchybienie i wkroczenie w pańskie kompetencje, doktorze van Doorn. I przykro mi, że nie mogłem powiedzieć panu o tym wcześniej, ale miałem swój powód.

— Czy może *dlatego* — dr van Doorn pochylił się do przodu i zawiesił głos, żeby z tym większym naciskiem powiedzieć to, co miał do powiedzenia — *dlatego*, że chciał pan przekonać się, czy dyrektor Carveld, po tym jak go pan wyrzucił, pobiegnie z tym do pani Merkel, doktora Kerstena albo do mnie... co oznaczałoby, że jedna lub więcej osób spośród nas jest także w to wplątana?

— Doktorze van Doorn — powiedział Jack z nikłym uśmiechem — pracujemy razem od pięciu lat i myślę, że znam pana na tyle dobrze, żeby prosto w oczy i bez osłonek zadać panu jedno pytanie.

— Wal pan — powiedział dr van Doorn.

Jack spojrzał mu w oczy. — Czy będąc na moim miejscu nie zrobiłby pan tego samego? W końcu Otto Carveld i jego ludzie skradli podzespoły i poufne dokumenty wartości stu tysięcy dolarów. Zgodnie z pańskimi sprawozdaniami z kontroli inwentaryzacji weszli w posiadanie wystarczającej ilości części, żeby zbudować pięć objętych ścisłą tajemnicą pocisków antyradiacyjnych, które produkujemy dla NATO i amerykańskiego rządu.

Jack zmrużył oczy i ciągnął dalej: — Czy muszę panu przypominać, że pociski ARM, które pan opracował jako antyrakietowy system obronny — a jedynym celem, jaki panu przyświecał, było utrzymanie pokoju i zneutralizowanie nieprzyjacielskich pocisków nuklearnych — w niewłaściwych rękach mogą być użyte do namierzenia i wysadzenia w powietrze jakiegokolwiek innego źródła promieniowania? A to oznacza także szpitale, gdzie używa się izo-

topów i substancji radioaktywnych, i każdą elektrownię atomową na kuli ziemskiej.

Dr Arend van Doorn wiercił się przez chwilę w fotelu, uśmiechnął się blado do Jacka i starał się nie okazać zmieszania. — Tak, gdybym był na pańskim miejscu — przyznał otwarcie — też bym panu nie powiedział.

Jack zaczerpnął głęboko powietrza i odetchnął z ulgą. Chwilami obawiał się, że naczelny dyrektor, jeden z przodujących w sferach przemysłowych twórców elektronicznych systemów uzbrojenia, postąpi stosownie do swojej reputacji upartego Holendra i poda się do dymisji. Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej Jack pragnął, było zrażenie sobie tego człowieka. Schipholdoorn Avionics B.V., którą dr van Doorn założył i której teraz był naczelnym dyrektorem, należała do dziesięciu najbardziej dochodowych filii Kompanii MWD. Bez van Doorna u steru firmy, której kontrolny pakiet akcji zakupiła Kompania Merrilla Webstera Deana, Schipholdoorn Avionics ryzykowałaby utratę pozycji głównego kontrahenta Departamentu Obrony USA.

Dr van Doorn, nie zwróciwszy uwagi na wyraz ulgi na twarzy Jacka, zapytał, marszcząc czoło w zakłopotaniu:

— Mówi pan, że mieli dosyć części...?

Jack rzucił okiem na zegarek i uśmiechnął się.

— Słusznie mówi pan w czasie przeszłym. Godzinę temu, zanim jeszcze wręczyłem panu te akta, G-VI zameldowało z Rotterdamu, że wszystko zostało odzyskane, aż po ostatni komputerowy układ scalony i najdrobniejszy poufny dokument, który usiłowali sfotokopiować. Lecz ex-szef Otto Carveld i pozostali nie dowiedzą się o tym jeszcze przez kilka dni. Ich wspólnicy trzymani są w odosobnieniu i jesteśmy w trakcie przesłuchiwania ich.

Naczelny dyrektor z westchnieniem opadł z powrotem na fotel. — Dzięki Bogu.

— A także dzięki agentom operacyjnym MWD G-VI. To oni prowadzili śledztwo i zdekonspirowali spisek. Przy okazji, doktorze van Doorn, pozwoliłem sobie wyznaczyć



na stanowisko szefa bezpieczeństwa Pietera Bruggego, jednego z najstarszych strażników w pańskim przedsiębiorstwie. Rozumie on oczywiście, że będzie wymagało to pańskiej zgody.

— Tak, tak, dobry wybór. Wspaniale! Zgadzam się najzupełniej. Pieter jest kompetentny, rozsądny, godny zaufania i lubiany. Jest ze mną od niepamiętnych czasów, kiedy był jeszcze jedynym strażnikiem. Proponowałem mu to stanowisko trzy lata temu, zanim wynająłem Carvelda, ale odmówił. Nie chciał brać na siebie całej tej odpowiedzialności. Jak go pan zdołał namówić, by jednak je przyjął?

Jack uśmiechnął się szeroko. — Dopuściłem go do tajemnicy, pokazałem część dowodów, jakie mieliśmy przeciwko Carveldowi, i powiedziałem, że musi pan mieć do tej roboty człowieka nieskazitelnej prawości.

Dr van Doorn pokiwał głową przytakująco i zagadnął:

— Jakim sposobem G-VI odkryło, co Carveld kombinuje?

— Dostaliśmy cynk z Wydziału Zagrożeń Departamentu Wywiadu i Bezpieczeństwa Pentagonu. WZDW, jak ich nazywamy, jak pan wie, rutynowo powiadamiają wszystkich kontrahentów Departamentu Obrony, ilekroć jest potencjalne niebezpieczeństwo przecieku albo problem szpiegostwa.

— Czy wezwiemy policję i każemy ich aresztować? — spytała kobieta. Jej angielszczyzna zaprawiona była przyjemnym holenderskim akcentem. Była to Gretel Merkel, dyrektor do spraw handlu i nadzoru technicznego.

— Nie, Gretel — powiedział Jack.

— Nie? — zawołał dr Frenz Kersten, dyrektor do spraw badań i rozwoju Schipholdoorn Avionics. Z trzaskiem zamknął aktówkę. — Są tu wystarczające dowody, żeby posłać wielu z nich na dwadzieścia lat do więzienia. Dlaczego nie postawić ich przed sądem? Nie będziemy musieli ujawniać żadnego poufnego dokumentu ani ob-

jętego tajemnicą urządzenia, które odzyskało G-VI. Już same skrócone wersje taśm magnetowidowych z obserwacji, nie wspominając o zapisach przechwyconych rozmów telefonicznych i raportach z podsłuchu, wystarczą aż nadto, żeby ich skazać.

— Nieopłacalne — powiedział Jack. — Nie płacimy panu za siedzenie po urzędach prokuratorskich i składanie zeznań, i nie chcemy, żeby pan ani nasi agenci operacyjni z G-VI występowali całymi dniami na sali sądowej w charakterze świadków i być może byli zmuszeni do publicznego ujawnienia naszych tajemnic. Zdaje sobie pan sprawę, ile kosztuje nas utrata pańskich usług nawet na kilka godzin? Albo ile traci na tym produkcja, kiedy nie ma pana tutaj i nie ma kto popychać tego wózka? Ponadto, może się zdarzyć, że sąd nie pozwoli nam przedstawić wyczyszczonej wersji raportów i każą nam dołączyć do akt wszystkie tajne dokumenty i części odzyskane przez G-VI. Nie, doktorze Kersten, to wykluczone. Musimy za wszelką cenę zadbać o nienaruszalność tajnych danych będących w naszym posiadaniu. Nie wolno nam narażać ich na szwank i musimy zapobiec jakiemukolwiek nieoficjalnemu przeciekowi informacji. Byłoby rzeczą niewybaczalną, gdybyśmy nie zadbali o ochronę naszych interesów. Poza tym polityka Kompanii MWD zasadza się na zachowaniu nieoficjalnego statusu. Kiedy się produkuje, jak u nas, objęte tajemnicą elektroniczne systemy antyrakietowe dla facetów od obrony, ostatnią rzeczą, jakiej się pragnie, jest rozgłos, a już szczególnie niezdrowy rozgłos. Im mniej ludzie wiedzą o tym, co tu robimy, tym lepiej dla nas.

Przypominam panu również — mówił dalej Jack — że Webster Dean, pański szef, jest także i moim szefem. A WD wciąż przypomina mi, że pracujemy w tym interesie, żeby robić pieniądze i dołożyć wszelkich starań, by ten świat uczynić lepszym, bardziej bezpiecznym miejscem do życia. Sami zatroszczymy się o nasze sprawy, do czego powołane jest G-VI, największa prywatna agencja bez-



pieczeństwa na świecie. G-VI jest odpowiedzialne za ochronę interesów wszystkich międzynarodowych filii wchodzących w skład Kompanii MWD. Nasza robota to zapewnić korzystną obsługę Schipholdoorn Avionics i starać się to zrobić jak najlepiej. Nie płacą nam za karanie złodziei, którzy próbują nas okraść.

Faktem jest — kontynuował Jack — że gdybyśmy byli bardziej czujni i przeprowadzali ściślejsze kontrole, Otto Carveldowi i jego zgrai nie udałoby się tego dokonać. Możemy więc obciążać winą za to jedynie samych siebie. To nasze niedopatrzenie i musimy się upewnić, że nic podobnego w przyszłości się nie przydarzy.

— Trudno się z tym nie zgodzić — powiedział dyrektor naczelny. Ale czy na pewno musimy siedzieć spokojnie na uboczu i pozwolić Otto Carveldowi i reszcie ujść bezkarnie?

— Tak, dokładnie tak zrobimy. Naturalnie pozwolimy im myśleć, że zamierzamy ścigać ich z całą mocą prawa, a potem, kiedy już zdrowo napocą się ze strachu przez parę miesięcy, zostawimy to.

— A co z ludźmi, którzy płacili im za wykradanie urządzeń ARM? Wie pan, kim oni są? Czy podejmiemy jakieś działania przeciwko *nim*?

Jack rzucił dyrektorowi twarde spojrzenie, wytrzymał jego wzrok i nie odpowiedział.

— No tak... — Prezes potarł policzek, przez chwilę milczał, a potem powiedział, wzruszając z rezygnacją ramionami: — Tak jak pan mówi, musimy z powodu bezpieczeństwa zachować nieoficjalny status. Akt oskarżenia i proces mógłby zostać rozdmuchany w środkach masowego przekazu i wówczas byle jaki lewicowy podżegacz mógłby sterczeć pod naszą bramą w Amsterdamie albo w Dam Square, wywrzaskując, co też takiego my tam produkujemy.

Gretel Merkel, która słuchała z rosnącym zainteresowaniem i niepokojem, przestała owijać sobie wokół palca

pukiel jasnych włosów, zaczęła wpatrywać się w ogromne okno balkonowe za plecami mężczyzny i powiedziała dobitnym głosem: — O *to* nie musimy się martwić. Już za późno. Już są tutaj.

Jack i dwóch siwowłosych mężczyzn skierowali na nią wzrok.

Gretel szybko wstała i wyciągnęła bezprzewodowy telefon z etui przy pasku. Nie odrywając wzroku od okna i nie patrząc na mężczyzn, wcisnęła jeden z przycisków telefonu.

Z okna rozciągał się widok na główną bramę prowadzącą do korporacji Schipholdoorn Avionics. Na końcu drogi dojazdowej, pięćdziesiąt metrów od bramy, bardzo ruchliwa, dwupasmowa Autosnelweg ciągnęła się przez siedemnaście kilometrów na północny wschód, do Amsterdamu. Ta sama autostrada prowadziła na zachód, na lotnisko Schiphol leżące sześć kilometrów dalej.

Kiedy Jack i pozostali usłyszeli, jak Gretel mówi po holendersku: „Dajcie mi natychmiast Pietera Bruggego", i zobaczyli, że wygląda na bardzo poruszoną tym, co widzi, skoczyli na równe nogi i rzucili się do okna.

Tłum ludzi gromadził się po drugiej stronie siatkowego ogrodzenia i zamkniętych bram ewakuacyjnych. Niektórzy mieli transparenty i domowej produkcji tablice głoszące: Nigdy Więcej Bomby Atomowej, Dość Budowania Bomb, Żądamy Zamknięcia Fabryki Masowej Śmierci, a także Holandio Sprzedawaj Tulipany, nie Bomby i Świat bez Bomby Atomowej! Inni ludzie parkowali ciężarówki i samochody na zjeździe z autostrady. Samochody zatrzymywały się na obu pasmach, ponieważ około tuzina mężczyzn i kobiet, chwyciwszy się pod ręce, stanęło, blokując przejazd. W obydwu kierunkach utowrzyły się dwa długie sznury samochodów ciężarowych i osobowych, kiedy ruch zaczął zamierać, a potem cofać się.

Wewnątrz fabryki, w obrębie parkingu dla pracowników i gości, dwunastu umundurowanych strażników zajęło pozycje w odstępach kilku metrów. Za wartownią przy



bramie sześciu dalszych strażników z szarpiącymi się na smyczach i szczekającymi dobermanami oczekiwało na rozkazy od nowo mianowanego szefa ochrony, który w środku rozmawiał przez telefon z Gretel.

— Jak wygląda sytuacja, Pieter? — zapytała Gretel po holendersku. Słuchała przez krótką chwilę, kazała mu zaczekać przy telefonie i zawołała: — Panie Lund?

Jack i cała reszta odwrócili się od okna i spojrzeli wyczekująco na Gretel.

Nie odrywając słuchawki od ucha, Gretel powiedziała po angielsku z holenderskim akcentem: — Pieter skontaktował się z lokalnym *Politebureau* pięć minut temu, kiedy zaczęli napływać demonstranci. Wozy patrolowe policji powinny tu być lada chwila. Jakie są pańskie rozkazy?

— Niech mu pani powie, żeby siedział spokojnie i nie lazł w oczy — odparł Jack. — I niech pozwolą się tym zająć policji.

Przechodził już przez to parokrotnie, w należącej do Kompanii MWD fabryce obwodów drukowanych dla systemów nawigacji powietrznej pod Londynem, w wytwórni urządzeń elektrooptycznych w Szwecji, w montowni podzespołów stacji naziemnych w Zachodnich Niemczech i w fabryce półprzewodników w Tokio, kiedy gruchnęła pogłoska, że utworzyli *joint venture* do zaprojektowania i budowy dla wojsk USA tranzystorów zdolnych wykonywać bilion operacji na sekundę. Doświadczenie nauczyło Jacka, że najlepiej było pozostawić opanowanie sytuacji miejscowym władzom. Miał nadzieję, że demonstracja nie przerodzi się w rozruchy, jak to dwukrotnie zdarzyło się w Japonii.

Podczas gdy Gretel rozmawiała z szefem ochrony przez telefon, dr van Doorn ponownie wyjrzał przez okno, odwrócił się i powiedział, machnąwszy ręką z niesmakiem:

— To znów te cholerne *Dolle Miny*.

— Co to za jedne? — zapytał Jack.

— Zwariowane *Miny*, naśladowniczki Wihel*miny* Druk-

ker. Głośnej holenderskiej działaczki ruchu wyzwolenia kobiet. Znakomita większość z nich to zawodowe demonstrantki. Dzięki nim demonstracje stały się prawie chałupniczym przemysłem w Amsterdamie. Moim zdaniem to po prostu banda niedomytych, żądnych sensacji włóczęgów. Ściągają tu z całego kontynentu w poszukiwaniu sprawy, wokół której mogłyby się skrzyknąć, a w gruncie rzeczy po to, żeby położyć rękę na forsie, jaką wykładają na sprawę jej sympatycy. Wolą żyć z zasiłków, niż pracować.

Gretel wyłączyła telefon i powiedziała po holendersku:

— Nie wszystkie są takie, doktorze van Doorn. Większość z nich to prostolinijne, inteligentne idealistki, jak ja kiedyś, kiedy byłam świeżo upieczoną absolwentką uniwersytetu, która nie mogła znaleźć równie dobrze płatnej pracy i równie obiecującej kariery jak mężczyźni w tym waszym szowinistycznym, męskim świecie.

Dr van Doorn spojrzał na nią, uniósłszy brew. Przypomniał sobie gorące dyskusje, które toczyli dziesięć lat temu, po tym jak niechętnie przyjął ją do pracy. Pośpiesznie zaczął się usprawiedliwiać. — Wybacz mi, Gretel — powiedział z wymuszonym uśmiechem. — O obecnych się nie mówi.

Gretel rzuciła mu kose, oskarżycielskie spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Kto raz był szowinistą, zawsze będzie szowinistą". Potem, zadarłszy głowę i nie zwracając najmniejszej uwagi na niego, Jacka i dra Kerstena, pośpiesznie wyszła.

Dr Kersten podszedł znów do okna i rzekł: — Jest już policja.

Jack i dr van Doorn odwrócili się i patrzyli, jak ośmiu policjantów wynurzyło się z samochodów policyjnych i zaczęło rozgarniać tłum demonstrantów na pobocze autostrady. Kiedy już oba pasma zostały oczyszczone, czterech funkcjonariuszy zaczęło kierować ruchem, podczas gdy pozostali rozsypali się w tyralierę i stanęli na skraju drogi, bacznie przyglądając się demonstrantom. W parę chwil



później nadjechała duża policyjna ciężarówka, przedarła się powoli przez tłum do bramy i zaparkowała. Wysiadło dwóch funkcjonariuszy z megafonami i zaczęli wołać po holendersku:

— Wstrzymywanie ruchu drogowego jest niezgodne z prawem. Proszę odsunąć się z autostrady i pozwolić przejechać pojazdom. Rozejść się natychmiast. Nie macie zezwolenia na publiczną demonstrację w tym miejscu. To rejon przemysłowy. Jeżeli wasi przywódcy zechcą udać się do *Politebureau* i podać swoją tożsamość, będą mogli starać się o zezwolenie na demonstrację. Teraz proszę opuścić to miejsce, zachowując porządek. Jeśli spróbujecie zablokować ruch albo wywołacie zamieszki, zostaniecie aresztowani.

Gdy tłum zaczął wykrzykiwać i gwizdać na policjantów, Jack zerknął na zegarek i odszedł od okna. Była 15.25. Za trzydzieści pięć minut czterystu robotników pracujących w fabryce będzie wychodzić po skończonej dniówce. Przy bramie na pewno zrobi się jak zwykle korek samochodów, potem demonstranci zrobią zwykłe zamieszanie, aż wyjedzie ostatni z pracowników. Potem demonstranci rozejdą się grupkami, niosąc transparenty, wsiądą do swoich samochodów i ruszą na amsterdamski Dam Square. Za parę dni, kiedy zobaczą się w porannych wiadomościach telewizyjnych i w gazetach, cała sprawa przyschnie i pójdzie w zapomnienie.

Podczas gdy dr van Doorn i dr Kersten stali przy oknie, Jack podszedł do telefonu na stole konferencyjnym i po raz piąty tego dnia zadzwonił do apartamentu na Herengracht.

W automatycznej sekretarce nie zostawiono wciąż żadnych wiadomości. Odłożył słuchawkę, poirytowany na samego siebie, ponieważ nie miał dość silnej woli ani na to, żeby zapomnieć o Zicie, ani na to, żeby nadal wierzyć, że zatelefonuje i powie, gdzie jest.

Gdy obudził się tego ranka, poszukał jej koło siebie ręką i stwierdził, że odeszła; potem szukał jakiegoś listu, nie

znalazł żadnego, ale odkrył, że nie ma obu jej walizek. Był przygnębiony poczuciem pustki i straty.

Dziesięć minut później, kiedy zatelefonował do Andre, portiera, i spytał, czy jej nie widział, nagle światło słoneczne pierzchło z pokoju, jakby spłoszone jego narastającym gniewem.

— *Dag Mijnheer* — rzekł portier. — Tak, widziałem panią. Wyszła z budynku o ósmej. Czy kazać służącemu przyprowadzić pański samochód, panie Lund?

Serce zaczęło bić Jackowi w szalonym tempie, gdy usłyszał odpowiedzi portiera na następne pytania: — Telefonowała do kogoś z hallu. Kiedy czekała, aż ten facet po nią przyjedzie, rozmawialiśmy o tych dwojgu zamordowanych ostatniej nocy po drugiej stronie kanału. I patrz pan, co pan na to, panie Lund? Podwójne morderstwo nie dalej niż pięćset metrów od miejsca, gdzie teraz stoję. Jest o tym we wszystkich gazetach i w telewizji. Jeden to był arabski terrorysta z tej bandy, co to wysadziła w powietrze amerykańskich Marines w Bejrucie. A ta druga to Marcella, morderczyni z Czerwonych Brygad, za którą Interpol uganiał latami. Mówi się, że ma na koncie siedem pewnych zabić, i podejrzewa się, że to ona zamordowała włoskiego prezydenta.

No więc, kiedy ten facet podjechał, wyniosłem jej walizki. Tak, dobrze mu się przyjrzałem, panie Lund. Skurwiel, jakich pełno, wysoki, z ciemnymi włosami opadającymi na kołnierzyk. Taa, z głębokimi bruzdami na policzkach, jakby mu ciężarówka kołami przez gębę przejechała, cha, cha, cha, to świetnie do niego pasuje, panie Lund! Jeździ białą Toyotą. Nie, nie powiedzieli, gdzie jadą. Dlaczego powiedziałem o nim skurwiel, jakich pełno? Bo kiedy ta pańska śliczna dziewczyna poprosiła go o drobne, żeby dać mi napiwek, zaśmiał się i pokazał mi wała.

W tym momencie zawołał Jacka dr van Doorn. Kiedy Jack się odwrócił, oczy miał tak ciemne i rozgniewane, jak zachmurzone było niebo przez większą część czasu tamtej



jesieni — jesieni przed laty, kiedy samotnie sterował *Ptaszkiem* przez szkwały i grzywiaste fale rozwścieczonego morza, cały rejs od Bałtyku przez Atlantyk do Key West w ślad za huraganem David.

— Przepraszam, co pan mówił, doktorze van Doorn? Zamyśliłem się...

Dr van Doorn poklepał Jacka po ramieniu i przyjrzał mu się z bliska. — Rozchmurz się, chłopie. Takie rzeczy zdarzały się już przedtem i z pewnością będą się jeszcze zdarzały. Policja ich przegoni. Potem będą mieli swoją małą demonstrację na Dam Square i za dwa lub trzy dni wszystko przyschnie.

— Tak, na pewno.

— Więc czemu się pan złości?

Jack zaśmiał się. — Ja się złoszczę?

— Gdyby wzrokiem można było zabijać — powiedział dr van Doorn ze śmiechem — te wariatki przed naszą bramą padłyby trupem od pańskiego spojrzenia sprzed paru sekund. — Znowu się roześmiał. — To był zwariowany dzień, prawda? Co by pan powiedział, gdybyśmy tak wieczorkiem, jak się to skończy, urwali się we dwóch na kufelek, albo i trzy, dobrego piwa i... dlaczego nie miałby pan zjeść ze mną i z moją żoną kolacji w Albatrosie? Specjalność zakładu to ostrygi. Są wyśmienite. A langusta, ach! Możemy na pana liczyć? To na Westerstraat. Mamy zarezerwowany stolik na dziewiątą.

— Byłoby mi bardzo miło, ale nie jestem pewny, czy będę mógł, doktorze van Doorn.

Naczelny dyrektor przechylił głowę i powiedział do Jacka kuszącym tonem: — W życiu nie jadł pan nic równie dobrego, jak ich ostrygi...

Jack skrzywił się w uśmiechu. — Nie był pan w Crabby Bill. Tam dają najlepsze na świecie.

Dr van Doorn mrugnął okiem do Jacka. — Crabby Bill?

— To taki mały niewyszukany lokal w Stanach, w Indian Rocks Beach, niewielkim miasteczku nad Gulf Coast,

około piętnastu mil na zachód od Tampy na Florydzie. Moi rodzice mają tam letni domek. Następnym razem, kiedy będzie pan w fabryce Orlando, zabiorę tam pana. Dość długo trzeba jechać, ale warto. Człowiek nie wie, że żyje, dopóki nie skosztuje ostryg w Crabby Bill; albo specjalności zakładu — szczypców krabów kamiennych.

— Kraby kamienne? Nigdy ich nie jadłem.

Jack rzucił okiem na zegarek i ruszył do drzwi.

— Zadzwonię do Billa i poproszę, żeby wsadzili kilka z nich do lodu i przysłali panu superekspresem. Będzie pan zachwycony. — Jack zamilkł z ręką na klamce. — Dzięki za zaproszenie na kolację, doktorze van Doorn, ale naprawdę nie wiem, czy dam radę. A zatem, jak to się u was mówi, *Tot zeins,* do zobaczenia. Teraz już muszę lecieć.

Gdyby Jack wychodząc nie odwrócił twarzy, dr van Doorn zauważyłby, że gniew, jakim jeszcze minutę temu pałały jego oczy, znów powrócił; i zrozumiałby bez wątpienia, że Jack nie zje z nim kolacji tego wieczoru.

Po paru minutach, kiedy wartownicy otwarli bramę, a Jack zaczął powoli przejeżdżać przez hałaśliwy tłum demonstrantów, którzy skandowali po holendersku „Nigdy więcej bomby atomowej! Nigdy więcej bomby atomowej!", wywrzaskiwali ordynarne słowa i, nie zwracając uwagi na daremnie próbujących ich powstrzymać policjantów, tłukli pięściami w samochód i wywijali transparentami, gniew w oczach Jacka zamienił się nagle we wściekłość.

Ale to nie ta hałastra go rozwścieczyła. To troje ludzi, których zauważył pośród tłumu. Stali razem, wygrażając pięściami i protestując wrzaskliwie, a policja z megafonami, która nawoływała ich do rozejścia się, nie mogła zrobić nic więcej. Rozkaz to rozkaz.

Jednym z ludzi, których zobaczył, był Otto Carveld, szef ochrony, którego wyrzucił z pracy tego ranka.

Drugą osobą był dr Viktor Rostov. Rostov, fizyk z podejrzaną przeszłością, został sześć miesięcy temu zwolniony z Narodowego Laboratorium Kompanii MWD w Albuquerque, w Nowym Meksyku. Przyłapano go na gorącym uczynku, jak wykradał poufne dokumenty. Nie wydawało się, żeby był z Otto Carveldem.



Trzecią osobą była Zita.

W chwili gdy Jack prowadzący samochód w tłumie mignął jej przez szybę, pobladła. Kiedy zatrzymał się, spojrzał na nią i wysiadł, zawahała się na kilka sekund, a potem zaczęła szybko przeciskać się do niego przez tłum.

Jack nie zważał na wrzaski i zamieszanie wokół, gdy ujrzał, jak Zita, klucząc, przedziera się przez ludzką ciżbę. Serce zabiło mu w przyśpieszonym tempie, i kiedy dotarła do niego, robił wszystko, żeby powstrzymać wzruszenie.

— Tylko nie zaczynaj mnie wypytywać, co tutaj robię, i nie praw mi kazań... Wiem, że to jedno z towarzystw należących do taty i... — urwała, bo brakło jej słów, kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy. Gdy tak patrzyła prosto na niego, oczy jej jakby zamarły i zaszły mgłą.

— A więc to w ten sposób dorzucasz swoją cegiełkę do ruchu „Świat bez Bomby Atomowej"? — powiedział Jack. A potem pokazał palcem na Viktora Rostova. — Ramię w ramię z *nim*.

— Tak, *z nim* — rzuciła z wyzwaniem. — Powiedziałam ci, co do niego czuję, więc cóż w tym złego?

— Wymknęłaś się po nocy z łóżka jak złodziej, żeby pójść do niego. — W tej samej chwili, w której Jack to powiedział, pojął, że popełnił błąd.

— Jak śmiesz nazywać mnie złodziejem!

Jack zdawał sobie sprawę, że jedynym dla niej sposobem wyjścia z sytuacji była ucieczka w agresję. By uśmierzyć jej narastającą wrogość, powiedział łagodnym tonem:

— Nazwałem cię tak, bo jesteś złodziejem, który skradł mi serce i uciekł.

Kiedy spotkały się ich spojrzenia, wargi Zity zadrżały. Nie była w stanie odpowiedzieć.

— Zito, proszę, chodź ze mną. Rostov nie jest dla ciebie.

— Kocham go.

— Zeszłej nocy powiedziałaś, że nie jesteś w nim *zakochana*. Powiedziałaś, że jesteś zakochana *we mnie*. Zito, na miłość boską, przyjrzyj się Rostovowi na zimno. Nie widzisz, że to samolubny facet, który wykorzystuje ludzi, tak jak teraz wykorzystuje ciebie i jak kiedyś wykorzystał swoich przyjaciół, którzy tam, w Albuquerque, mu zaufali? Zgadnij, co zrobił, kiedy złapano go, jak włamywał się do ich szaf, i kiedy skradzione dokumenty znaleziono w jego mieszkaniu? Oskarżył swoich kolegów o to, że wyrządzają mu krzywdę, i powiedział, że podłożyli mu świnię i wrobili go w to. G-VI ma całą tę historię nagraną na taśmie wideo i widać tam czarno na białym, że kłamał.

— To właśnie jest cholerne kłamstwo — wrzasnęła Zita. Wycelowała palcem w jego twarz. — Ty wyrzuciłeś Viktora. To właśnie ty go unieszczęśliwiłeś i zrujnowałeś mu karierę. Ty, Jacku Lund, *ty* to zrobiłeś, ponieważ byłeś zazdrosny, kiedy się dowiedziałeś, że spotykam się z nim.

— Skończyłaś? — spytał Jack cichym, ledwie słyszalnym wśród krzyków i panującego wokół zamętu głosem. — A teraz pozwól, że wygarnę ci prosto z mostu, dziecino. Sześć miesięcy temu, gdy G-VI przyłapało Rostova z tymi skradzionymi dokumentami, byłem o dziesięć tysięcy mil stamtąd, na Bliskim Wschodzie. G-VI zabazgrało mu hipotekę i to oni go wyrzucili, nie ja. Ponadto o wszystkim dowiedziałem się dopiero w jakiś miesiąc później. A teraz co do zarzutu, że wyrzuciłem Rostova, bo byłem o niego zazdrosny — powiedział Jack z pozbawionym radości uśmiechem. — Wiem, że po raz pierwszy spotkałaś go na mityngu „Świata bez Bomby Atomowej", w dwa tygodnie *po tym*, jak stracił pracę.

W oczach Zity Dean zapłonął zielonkawy ogień i wyprężyła się, żeby wyglądało, że ma więcej niż pięć stóp i pięć cali wysokości.

— Tak się składa, że wiem — powiedziała, wydymając



pogardliwie wargi — że to *ty* wyrzuciłeś go w trzy tygodnie *po tym*, jak zaczęliśmy się spotykać.

Jack machnął ręką z niesmakiem, odwrócił się na pięcie i wsiadł do samochodu. Gdy znów na nią spojrzał, powiedział, z rękami na kierownicy, kręcąc głową:

— Wiesz, jesteś ładna. Nawet kiedy nie chcesz słuchać głosu rozsądku i kiedy, jak teraz, kompletnie głupiejesz, jesteś ładna. I wiesz co jeszcze? Jestem w tobie zakochany i nienawidzę siebie za to, że jestem takim cholernym idiotą. — Jack zaczerpnął głęboko powietrza, spojrzał na nią po raz ostatni, zatrzasnął drzwiczki, zapuścił silnik i powoli odjechał przez tłum.

Trzydzieści metrów z tyłu za Zitą, w tłumie, który wycofywał się teraz spod bramy, kłębiąc się w kierunku zaparkowanych samochodów i ciężarówek pod naciskiem dwóch brygad policji, Viktor Rostov zrównał się krokiem z Otto Carveldem i odezwał się przyciszonym głosem:

— Co tu do cholery robisz? Zwariowałeś? Co będzie, jak cię ktoś przyuważy?

— A kto może mnie zobaczyć wśród tej kupy wariatów? — powiedział Carveld, rozglądając się wokół i udając, że nie rozmawia z Viktorem Rostovem. Dojrzał Zitę przedzierającą się przez tłum i usiłującą dotrzeć do Rostova. — Ta mała Dean je ci z ręki. Voros będzie zadowolony.

Rostov rzucił mu zjadliwe spojrzenie. — Pieprzę Vorosa. A teraz gadaj, co masz do powiedzenia, i zabieraj się stąd szybko.

— Herr Voros chce się natychmiast z tobą widzieć.

— Nie mogę teraz pojechać — powiedział Rostov, patrząc w zupełnie inną stronę. Zita była teraz o dziesięć metrów od niego. — Za bardzo jestem zajęty tą cholerną demonstracją. Powiedz Vorosowi, że ktoś z jego ludzi schrzanił robotę i zapomniał ściągnąć reporterów i telewizję. Jedziemy teraz na Dam Square. Skontaktuję się z nim, jak tylko będę mógł. A teraz, psiakrew, wynoś się stąd, zanim cię ktoś rozpozna.

W tym samym czasie mężczyzna z silną lornetką polową stał na masce jeepa zaparkowanego w zaroślach po drugiej stronie siatkowego ogrodzenia i przypatrywał się coraz bardziej przerzedzonemu tłumowi. Był to Pieter Brugge, nowo mianowany szef bezpieczeństwa. Pieter prześlizgnął się po twarzach wsiadających do samochodów ludzi i skupił się na mężczyźnie, który właśnie gramolił się do czarnego Mercedesa. Zatrzymał na nim wzrok, dopóki nie zobaczył numeru rejestracyjnego, kiedy samochód wycofał się z pobocza, skręcił na prawo i włączył się w strumień pojazdów, kierując się na Amsterdam.

Potem Pieter opuścił lornetkę i zmarszczył brwi.

# 3

NA POKŁADZIE
JACHTU MOTOROWEGO *GWIAZDA*
PORT W AMSTERDAMIE
Wtorek, 11 lipca, 19.45

Boris Voros wyłączył telewizor na barku w głównym salonie jachtu, podniósł kieliszek koniaku i zwrócił się z toastem do Rostova.

— Jestem z ciebie dumny, Rostov — powiedział po rosyjsku. — Wyglądałeś jak udzielająca wywiadu gwiazda filmowa, jak ten hollywoodzki aktor, Lee Marvin, kiedy był młodszy. Jakie to ma znaczenie, że kaleczysz język holenderski? Masz ujmujący akcent. I mówiłeś powoli, z opanowaniem, tak jak cię uczyłem, patrząc prosto w kamerę i odpowiadając przyciszonym głosem, jak profesor fizyki jądrowej.

— Tak, miałeś rację, jak zawsze — odparł Rostov. — Dziennikarze mieli pietra przede mną, nie sądzisz? Dobrze poszło. Piję twoje zdrowie, Boris.

Obaj mężczyźni unieśli kieliszki i łyknęli.

W parę chwil później Rostov rozwalił się wygodnie w klubowym fotelu i uśmiechnął się.

— Boris — powiedział swobodnym tonem, dopuszczalnym wśród starych i zaufanych przyjaciół — kiedy postanowisz się wycofać z organizacji i ktoś inny przejmie twoją robotę szefa operacyjnego, powinieneś zająć się robieniem filmów. Byłby z ciebie świetny reżyser.

Rostov, który właśnie zamierzał poprosić Vorosa o więcej pieniędzy, zastanawiał się, czy była to właściwa droga, żeby mu się podlizać.

— To zabawne, że o tym wspomniałeś, Rostov, bo właśnie to samo sobie pomyślałem. *Byłbym* świetnym reżyserem.

Boris Voros, ekspert od komunikacji pozawerbalnej i rozwiązywania sporów, nie dał się zwieść. Był przebiegłym negocjatorem, znającym chwyty wszystkich swoich ludzi, a i sam w niejednym mógłby uchodzić za mistrza. Przez piętnaście lat, zanim został świetnie opłacanym SO, szefem operacyjnym dość podejrzanego międzynarodowego konsorcjum, które go obecnie zatrudniało, był jednym z czołowych specjalistów Kremla od prowadzenia „nielegalnych", ludzi ze sfałszowanymi dowodami tożsamości — tajnych agentów wywiadu i takich „wtyk" jak Rostov. Jako pułkownik KGB, który pracował z terenu licznych ambasad sowieckich na całym świecie, zanim trzy lata temu wybrał wolność, był swego rodzaju wzorem dla setek innych pracowników i adeptów. Kiedy tylko Vorosa odwoływano z terenu do Moskwy, by poprowadził zajęcia z kontroli agentów i sposobów manipulowania ludźmi i szantażowania ich dla osiągnięcia celów wywiadowczych, w sali wykładowej KGB przy ulicy Dzierżyńskiego zawsze brakowało miejsc siedzących.

Teraz Boris Voros, ten wielki mistrz intrygi, który każdemu, kto stanął na jego drodze, odpłacał w twardej walucie — śmiercią — zastosował wypróbowane metody, żeby osiągnąć cele wyznaczone przez swego zakulisowego pracodawcę.

Bardzo ostrożnie postawił przed sobą kieliszek na jasnym plastikowym stoliku, rozważał coś chwilę, po czym spojrzał na Rostova.

— Wiesz co, Rostov, przeszliśmy długą drogę od tamtych czasów, kiedy byłem twoim moskiewskim kontrolerem, a ty byłeś młodą wtyczką w laboratorium w Oak Ridge. Teraz siedzimy sobie tutaj, pławiąc się w luksusie na pokładzie jachtu wartości dziesięciu milionów dolarów, należącego do naszego szefa, i mając na każde skinienie



całą załogę, popijamy sobie Courvoisier po sto dolarów za butelkę, z kryształowych kieliszków po dwieście dolarów każdy, palimy sobie cygara warte dziesięć dolarów sztuka... Tak, przeszliśmy długą drogę, Rostov. A już wkrótce *ty* zajdziesz o wiele dalej.

Szczerze mówiąc, od dawna mam cię na oku, Rostov. Podoba mi się twój styl pracy, i to dlatego przez całe te lata trzymałem cię pod swoimi skrzydłami jak kwoka kurczęta. Dużo o tobie myślałem, bo można na tobie polegać, można liczyć na ciebie w każdej, nawet najpaskudniejszej akcji; a także dlatego, że zawsze jesteś w szczytowej formie fizycznej, dzięki wegetariańskiej diecie, treningom, bieganiu trzy mile dziennie, ćwiczeniu strzelania bojowego i szlifowaniu techniki karate, jak przystało na posiadacza czarnego pasa. Inną cechą, jaka mi się u ciebie podoba, jest lojalność, której dowiodłeś, wybierając bez wahania wolność, kiedy poprosiłem cię, żebyś popracował dla mnie. A teraz myślę, że jako mój najcenniejszy agent, mój przyjaciel i protegowany, zasłużyłeś sobie na trochę oddechu. Zapracowałeś na to, i sądzę, że dojrzałeś do czegoś więcej.

Kiedy się wycofam, żeby spróbować sił w przemyśle filmowym, co, jak słusznie odgadłeś, zawsze było moim marzeniem, chcę, żebyś zajął miejsce po mnie. Dlatego mam zamiar polecić cię głównemu szefowi. Przypada ci do gustu myśl o zostaniu następnym SO?

Viktor Rostov był oszołomiony. Ujął w obie dłonie pękaty kieliszek i niemal niezauważalnie skinął potakująco głową. Szacował, że Voros jako SO konsorcjum zarabia ponad pół miliona dolarów rocznie. To znaczy sześć razy więcej niż jemu płacono. Ta myśl wstrząsnęła nim. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. I to właśnie w chwili, kiedy miał poprosić o podwyżkę... Nie, w tym musi być jakaś pułapka.

— Dobrze! — zawołał Voros. — Sprawa postanowiona.

Usiadł i rzucił Rostovowi promienny uśmiech. — Dziś wieczór płynę do Monako. Kiedy za dwa tygodnie spot-

kam się na Riwierze z głównym szefem, powiem mu wszystko o tobie. A potem wyślę po ciebie służbowy odrzutowiec, żeby cię przywiózł z powrotem na spotkanie z nim.

Viktor Rostov aż zerwał się z fotela. — Przywiózł mnie *z powrotem*? Dokąd mam wyjechać?

Voros zignorował to, że mu przerwano, i mówił dalej:

— Zanim opowiem głównemu szefowi o tobie i zarekomenduję cię na moje stanowisko, dobrze by było, gdybym przedstawiając cię mógł mu powiedzieć: „Panie szefie, musi pan poznać Viktora Rostova, człowieka, którego popieram jako mojego następcę, faceta, który przyniósł panu w prezencie pod nos Tzaddi Electronics Industries."

Po raz drugi w ciągu tych kilku minut Rostova zatkało. Zamrugał oczami i prawie skoczył na równe nogi.

— Filię kompanii Deana w *Izraelu*? — krzyknął. — Żartujesz sobie?

— Słuchaj, Rostov, znasz mnie dwanaście lat. Czy kiedykolwiek stroiłem sobie żarty? — powiedział Voros niskim głosem, który zawsze działał onieśmielająco tak na podwładnych, jak i na przełożonych.

Rostov zacisnął zęby, przełknął głośno ślinę, pogodził się z myślą o tym, co miało nastąpić, i wzruszył ramionami.

Voros podniósł się z fotela i zaczął przemierzać salon tam i z powrotem przed nosem Rostova.

— Zaplanowałem już strategię przejęcia korporacji. Ułożyłem harmonogram twoich manewrów taktycznych, ale będziesz musiał kierować się własnym rozeznaniem i jak zwykle rozegrać to na wyczucie. — Zatrzymał się przy barku, podniósł leżący na szklistym blacie neseser z wężowej skóry i zatrzasnął zamki. — Tu jest wszystko, co będzie ci potrzebne. Wizy, bilety lotnicze, karty kredytowe, pięćdziesiąt tysięcy w dolarach i szeklach oraz dokładne instrukcje — wszystko, o czym powinieneś wiedzieć. Jak zwykle są pisane naszym dawnym kodem i żadne wścibskie oczy ich nie wypatrzą.



Dodatkowo, na pierwszych dwóch stronach egzemplarza *Journal of Nuclear Physicists*, który znajdziesz w tej walizeczce, są fotografie sześciu mężczyzn. To są twoje cele. Ich fotografie wstawiono w miejsce zdjęć autentycznych uczonych, których artykuły zamieszczone są w tym numerze. Mniej ryzykownie jest przewozić czasopismo niż same fotografie.

Cisnął neseser Rostovowi i znów zaczął krążyć po salonie.

— Ty i Zita Dean macie rezerwację na jutrzejszy lot El Alu do Tel-Avivu. — Przystanął i utkwił wzrok w Rostovie. — Jest jakiś problem?

Rostov potrząsnął przecząco głową.

— Dobrze — powiedział Voros. — Jak tam twoja arabszczyzna?

— Troszkę kulawa, ale lepsza niż holenderski.

Voros chrząknął, splótł ręce za plecami i spojrzał na Rostova.

— Po przejściu przez cło na lotnisku Ben Gurion rozglądnij się za starym niebieskim Mercedesem z zielonym przednim błotnikiem z lewej strony. Kierowca nazywa się Hadżdżi. Jest niski, ma koło pięćdziesiątki i nosi sumiaste wąsy. Ma być twoim łącznikiem, gorylem, szoferem, dostawcą broni i pomocnikiem. Czegokolwiek byś potrzebował — od pocisku Stinger po działo przeciwlotnicze — załatwi ci. Zna się świetnie na swojej robocie, jest wyborowym strzelcem i prawdziwy z niego czarodziej, jeśli chodzi o elektronikę i odpalane sygnałem radiowym materiały wybuchowe. Przed laty, zanim przeszedłem na Zachód, szkoliłem go w Moskwie, a potem posłałem do Afganistanu. Tak jak ty, przeszedł do pracy dla mnie i teraz jest wierny mnie i forsie, którą mu płacę.

Pamiętaj, bądź ostrożny i nie podejmuj żadnego zbędnego ryzyka. Izraelska tajna służba Mossad, wywiad wojskowy Aman i Shin Bet mają agentów wszędzie. Jeśli zobaczysz Hadżdżiego na lotnisku Lod, albo kiedykolwiek

indziej, i nie będzie miał na głowie czerwonej amerykańskiej czapeczki baseballowej, nie podchodź do niego. Jeżeli *będzie* nosił czapeczkę, zapytaj go po angielsku, ile bierze za podrzucenie turystów do Jerozolimy.

Voros zamilkł, zastanawiał się przez chwilę, a potem spytał: — Jakie języki zna córka Deana?

— Poza angielskim potrafi się dogadać po francusku i po hiszpańsku. To wszystko, z wyjątkiem paru słów po holendersku i niemiecku. Nic mi nie wiadomo o tym, żeby znała jakieś języki semickie.

— Dobrze. Hadżdżi odpowie ci po arabsku, że jego wuj bierze dziesięć tysięcy dolarów. Potem zabierze was do Jerozolimy. Jak tylko przyjedziecie do mieszkania, które wynajęliśmy na twoje nazwisko, zostaw tam dziewczynę i jedź natychmiast z Hadżdżim na spotkanie z twoim głównym kontaktem. Pamiętaj, cały czas trzymaj fason, graj rolę zaangażowanego fizyka jądrowego, która jest dla ciebie przykrywką, i upewnij się na sto procent, czy nikt cię nie śledzi.

— Jaka jest strategia przejęcia korporacji?

— Na razie to nie twoja sprawa. Poza tym cel twojej misji jest ważniejszy, jak się zaraz przekonasz. Tzaddi opracowało pierwszy prototyp nowego systemu przeciwlotniczego nazwanego POTH. Został przetestowany w izraelskiej tajnej bazie lotnictwa na pustyni Negev i przeszedł wszystkie próby na celująco. Tzaddi Electronics ma w planach zademonstrowanie systemu Pentagonowi w przyszłym miesiącu, w Bazie Sił Powietrznych Edwards, a wówczas działający już prototyp i wszystkie ściśle tajne plany i dane znajdą się na biurku w Departamencie Obrony. POTH jest przenośnym, współpracującym z radarem przetwornikiem sygnałów o zasięgu nie ograniczonym horyzontem. Jest mały i zminiaturyzowany jak walizkowy komputer. Wzmacnia impulsy sygnałów przekazanych przez skaner radaru i przekształca je w szerokie pasmo, co pozwala mu wykryć i natychmiast namierzyć samoloty Stealth.



Rostov pokręcił głową ze zdziwieniem i gwizdnął.

Voros powstrzymał go gestem ręki. — Czekaj, jeszcze nie usłyszałeś wszystkiego. Pracując na pozahoryzontalnym zasięgu, POTH może przetworzyć sygnały w fale o takiej długości, która spowoduje, że zbliżające się odrzutowce staną w płomieniach w odległości do pięćdziesięciu mil. Może także spowodować katapultowanie pilotów z ich maszyn, wyrzucenie zbiorników paliwa i odpalenie bomb.

Rostov nie mógł uwierzyć. Usiadł, kręcąc głową, a potem wyszeptał: — Mój Boże, to zrobił Helmut Ortman! Kiedy przed laty byłem w Los Alamos, przesłałem ci raport, że próbuje opracować ten ultraszerokopasmowy radar i że nie poczynił dużych postępów. Nie zachęcałeś mnie do podtrzymywania przyjaźni z nim.

— Tak, przypominam sobie. Wtedy nikt nie wiedział, co to takiego. Jak blisko znacie się z Ortmanem?

— Dość blisko. Podczas tych dwóch lat, które tam spędziłem, grywaliśmy co tydzień w szachy. Kiedy wyjechałem, jakiś czas jeszcze pisaliśmy do siebie i graliśmy korespondencyjnie w szachy, ale to było dawno temu. Sześć lat.

— Dasz radę go kupić?

— Mogę spróbować.

Voros chrząknął. — Cóż, Ortman jest teraz głównym projektantem w Tzaddi Electronics Industries. W zeszłym roku wysłano tam jego i pięcioosobowy zespół mózgowców dla realizacji wspólnego programu badawczo-rozwojowego z Kompanią MWD, subsydiowanego przez Departament Obrony USA. Być może rzeczywiście najprościej będzie dać łapówkę Ortmanowi. Jesteś upoważniony do zaoferowania mu każdej sumy w granicach pięciu milionów dolarów. Jeśli nie pójdzie na to, porwij go i jego pięciu współpracowników. Potem nasi ludzie zajmą się tym, żeby wyparowali z kraju.

Twoim głównym celem jest POTH, oprogramowanie do niego i schematy. Nie obchodzi mnie, jak to zdobędziesz, ani co będziesz musiał zrobić, żeby go dostać, po prostu zdobądź go. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, brygady

najemników, wsparcia powietrznego, morskiego, lądowego, czy czegokolwiek innego, daj mi znać. Widzisz teraz, jak ważny jest dla nas system POTH. Musimy go mieć! I na tym, w największym skrócie, polega twoja misja, Rostov.

— Sądzę, iż powinieneś wiedzieć, że chcę, aby kierownictwo Tzaddi, Pentagon i faceci z izraelskiego wywiadu myśleli, że Ortman i jego pomocnicy, do spółki z urzędnikami Kompanii MWD, zaczęli negocjacje w sprawie wyjawienia tajemnicy POTH-a i sprzedania jej nieznanemu nabywcy za miliony dolarów, jeszcze *zanim* zostali wysłani do Izraela. Kiedy w to uwierzą, Kompania MWD będzie obwiniana o zaniedbania i niedopełnienie środków bezpieczeństwa; rząd izraelski wykopie ich z kraju; Pentagon unieważni kontrakt B & R wart wiele milionów dolarów, a później będą zmuszeni wyprzedać nam aktywa swojej filii, Tzaddi Electronics, i powiązanych z nią firm za bezcen.

— No cóż — powiedział Rostov — to cholernie ciężki rozkaz.

— I cholernie ciężkie pieniądze w nagrodę — powiedział Voros. — Uda ci się z tym, ja się wycofuję, a ty dostajesz moje sześćset tysięcy dolarów rocznie.

Voros zauważył, że Rostova zatkało z zaskoczenia, i przerwał, żeby spojrzeć na zegarek.

— Cała reszta tego, co powinieneś wiedzieć na temat swojej misji, a także — krok po kroku — posunięcia, które masz wykonać, są w tej walizeczce, więc pilnuj jej dobrze. Robi się późno, Rostov. Musisz być na Dam Square o 20:05. To da ci przynajmniej dwadzieścia minut na udzielanie wywiadów, zanim o 20:30 rozpocznie się demonstracja protestacyjna. Na placu będą dziennikarze, reporterzy gazet i telewizji ze wszystkich ważniejszych sieci i stacji radiowych, więc nie możesz się spóźnić. Jesteś gwiazdą wieczoru.

A teraz jeszcze jedno, zanim odejdziesz — powiedział



Voros, przyglądając mu się z bliska. — Co do córki Deana. Wprowadź mnie w tę sprawę.

Viktor Rostov wypuścił głośno powietrze i odpowiedział rzeczowym tonem: — Przyjechała tu za mną. Otto na pewno ci powiedział, że je mi z ręki.

— Otto to idiota. G-VI Deana przyłapało go i całą jego paczkę.

— Cholera! Nie wiedziałeś, że rozpracowują Carvelda i jego ludzi?

— Nie, aż do dzisiejszego ranka. Przez całe miesiące mieliśmy założony podsłuch w sali posiedzeń kolegium dyrektorskiego Schipholdoorn i nigdy nie padło ani jedno słowo o tym, aż do chwili, kiedy ten twój kumpel, Jack Lund, wszystko wygarnął i zażądał głów.

— Lund nie jest żadnym moim kumplem — wycedził Rostov przez zaciśnięte zęby. — Ten skurwiel stoi mi kością w gardle jeszcze od czasów Albuquerque. — Zadumał się na chwilę, a potem wyrzucił z siebie. — Jeszcze jakieś złe wiadomości?

— Grupa Deana przechwyciła części do pocisków i wszystkie fotokopie z domu Carvelda w Rotterdamie.

Rostov skrzywił się i zaklął pod nosem. — Cała robota na nic! Myślałem, że Carveld ma dość oleju w głowie, żeby zadekować to wszystko w jakimś bezpiecznym miejscu do czasu, aż nasi ludzie będą gotowi wywieźć to z kraju.

— Cóż, pomyliłeś się, prawda? — powiedział Voros. — Co przypomina mi, że ty także nie jesteś doskonałością. Albuquerque sześć miesięcy temu, *pamiętasz*?

Rostov drgnął. — Wszystkim nam zdarza się raz na czas zła passa. Czy to moja wina, że jakiś głupek zapomniał kluczy od domu, a kiedy wrócił po nie do laboratorium, zaskoczył mnie na robieniu fotokopii dokumentacji?

— W porządku. Ten jeden raz ci wybaczyłem. Ale po raz drugi nie możesz sobie pozwolić na taki błąd, jak zrobił Carveld.

Rostov zerwał się, wymachując rękami. — Nie obwiniaj

mnie za to. Kiedy pięć miesięcy temu przyjechałem do Amsterdamu, żądałeś szybkich rezultatów, a Carveld był już na miejscu jako szef bezpieczeństwa, a ponadto był jedynym sensownym facetem na kluczowym stanowisku w Schipholdoorn, którego mogliśmy kupić w tak krótkim terminie. Kiedy osiem lat temu Carveld i ja wykonywaliśmy nasze zadanie w Bonn, zrobiła na mnie duże wrażenie jego umiejętność niezależnego myślenia. Jak mawiają Amerykanie, zawsze zabezpieczał sobie tyły. Nic więcej o nim nie wiedziałem, i tylko tyle ci powiedziałem. Ty sam podjąłeś decyzję, żeby go zatrudnić. Ale co tam, stale wygrywasz, a bardzo rzadko zdarza ci się przegrać. Zresztą, co się stało, to się nie odstanie. Co masz zamiar z nim zrobić?

— Cóż, skoro już wiem, że Kompania MWD nie ma zamiaru postawić przed sądem ani jego, ani nikogo z jego paczki, postanowiłem dać mu ostatnią szansę rehabilitacji, ale o tym za chwilę...

Voros bacznie przyjrzał się Rostovowi. — Co z Lundem i córką Deana? Dalej próbuje ci ją zwinąć?

To, co powiedział, było ciosem poniżej pasa w ambicję Rostova. Voros przyglądał mu się z jeszcze większą uwagą. Żadnej widocznej reakcji.

— Skończyli ze sobą. Tę rundę ja wygrałem. On już się nie liczy.

— Tak ci powiedziała?

— Niedokładnie w tych słowach.

Voros splótł ręce za plecami i uniósł brwi. — Jak się mają sprawy między wami?

— Mówi, że mnie kocha.

— A ty?

— Przekonałem ją, że też ją kocham. Podziwia mnie i wierzy w to, że jestem tak samo zaangażowany jak ona i tak jak ona z poświęceniem działam w naszym sfingowanym ruchu przeciw rozprzestrzenianiu broni nuklearnej „Świat bez Bomby Atomowej". A przy okazji, muszę ci



przekazać, że ten twój pomysł ze „Światem bez Bomby Atomowej" naprawdę ich bierze.

Voros był tak zadowolony, że omal się nie uśmiechnął. Po chwili spytał: — A z tą drugą sprawą, o której mówiliśmy, udało ci się?

— Zita nie będzie brała narkotyków. Jest oślo uparta. Kiedy jest *przeciw czemuś*, albo kiedy jest *za czymś*, to przepadło, nie wybijesz jej tego z głowy. Nie znosi wąchaczy, kompociarzy, nakłuwaczy i ćpunów, i nie weźmie się na to, nie ma mowy. Wiesz, od czasu do czasu pociągnie trochę trawki, ale ma za małą odporność na te zabawy. Trzy sztachnięcia kolumbijką i siup, wyrastają jej skrzydła i odlatuje. Po czterech jest już dętka.

— Wracając do Lunda. Co sądzisz o nim jako o przeciwniku?

— To nieustępliwy, niebezpieczny skurwiel. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

— *Ja* o nim wiem co nieco. Zwołał posiedzenie zarządu Tzaddi Electronics w najbliższych dniach. Szczegółowa data jak zwykle nie jest jeszcze ustalona. Zawsze robi to w ten sposób, żeby dyrektorzy filii Kompanii MWD i kadra kierownicza musieli zgadywać i nie znali dnia ani godziny.

— Sądzisz, że mógłby narobić nam w Izraelu jakichś kłopotów, tak jak tutaj? Nie mogę pozwolić sobie na takie ryzyko, nawet jeśli mają go posłać do Izraela samego — agencja G-VI Deana nie zostanie wpuszczona i nie będzie mogła go wspierać.

— Jak to? G-VI jest w pięćdziesięciu krajach, nie wyłączając Rosji. Więc dlaczego nie tam?

— Izraelczycy nie pozwalają, żeby prywatna policja korporacji zabezpieczała kontrahentów ich przemysłu elektroniczno-zbrojeniowego. Robią to sami. Ponieważ i tak będziesz miał dość na głowie, kiedy przyjdzie ci działać przeciwko Izraelczykom, mając do pomocy jedynie garstkę moich zaufanych Arabów, chcę usunąć ci z drogi wszystkie

możliwe przeszkody. Postanowiłem więc upewnić się, że Jack Lund nie dotrze do Izraela. Dziś wieczór Carveld i dwóch jego ludzi weźmie go po cichutku na przejażdżkę bez powrotu do krainy zapomnienia.

A przy okazji — mówił dalej Voros — Carveld doskonale wie, że to jego ostatnia szansa, i co go czeka, jeśli skrewi.

Boris Voros przerwał i popatrzył znacząco na Viktora Rostova. — Czego szczerzysz zęby?

Rostov wziął z pudełka na stoliku jedno z drogich cygar i wsadził sobie do ust. Kiedy odgryzał jeden koniec, pocierał zapałkę i zapalał cygaro, usiłował przypomnieć sobie kasetę wideo z amerykańskim filmem, którą kilka lat temu ofiarował Vorosowi. Voros zawsze mówił, że to jego ulubiona. I wtedy Rostov przypomniał sobie scenę z filmu i jedną linijkę z listy dialogowej — tę, która stała się międzynarodowym sloganem nadrukowywanym na podkoszulkach i nalepkach — i powiedział, uśmiechając się coraz szerzej: „Dziś mam swój dzień."

DAM SQUARE
AMSTERDAM
Wtorek, 11 lipca, 20.20

Gdyby Jack Lund nie płonął gniewem, siadając w kawiarni po drugiej stronie ulicy naprzeciw Dam Square, gdzie zgromadziły się setki demonstrantów niosących hasła antynuklearne, z pewnością zauważyłby dwie szczupłe kobiety, które weszły do kawiarni, przystanęły w drzwiach, obrzuciły wzrokiem tłum mężczyzn, a potem zatrzymały na nim twarde spojrzenia.

I gdyby nie przyglądał się, jak Zita Dean stoi przy skraju podium i patrzy w górę na Viktora Rostova z dziecięcym zachwytem, najwidoczniej zauroczona tymi wszystkimi



kamerami telewizyjnymi, fotografami i dziennikarzami, którzy robili z nim wywiad, Jack zobaczyłby, jak obie kobiety, rozpychając się łokciami, przeciskają się przez ludzką ciżbę w zatłoczonej kawiarence w kierunku stolika pod oknem, przy którym siedział.

Podniósł wzrok dopiero, kiedy stanęły po obu stronach krzesła i pochyliły się nad nim. A wtedy było już za późno. Młoda kobieta po jego lewej stronie była jedną ze strażniczek Schipholdoorn, które tego ranka wywalił z pracy. Nazywała się Keetje Conklin.

Drugiej, blondynki ze szczeciniastą fryzurą i wyzywającym ciemnoczerwonym makijażem na trupiobladej twarzy, nie znał.

Keetje trzymała prawą rękę w przewieszonej przez ramię torebce z czarnej skóry. Lekko rozchyliła torebkę i mignęła małą automatyczną Berettą. Trzymała broń wycelowaną w jego głowę.

— Pozwoli pan z nami, panie Lund — odezwała się po angielsku z twardym holenderskim akcentem.

Jack rzucił okiem na drugą z kobiet. Jej lewa ręka spoczywała w kieszeni niebieskiej wiatrówki. Żeby pokazać, że ona także niesie ze sobą śmiertelne zagrożenie, przechyliła mu się przez ramię i zacięła go w rękę ostrym końcem wystającego z kieszeni szpikulca do lodu.

— Dokąd idziemy? — spytał Jack.

— Pewien nasz wspólny znajomy chce się z tobą widzieć — powiedziała Keetje. — Zbieraj się.

— Dobra, przyjmuję zaproszenie. Ale najpierw, moje panie, chcę dokończyć *stamppot* i *worst*. Właśnie przed chwilą mi je podano pod ten kufelek piwa. Może przyłączycie się do mnie?

Keetje rzuciła mu wściekłe spojrzenie i szturchnęła go schowanym w torebce pistoletem. — Przestań pajacować i wstawaj.

Jack wstał powoli, unosząc obie ręce wysoko nad głową. Keetje i druga kobieta przerażone rozejrzały się wokół.

Przestraszyły się, że wszyscy zorientują się, co się dzieje. W panice Keetje syknęła: — Opuść ręce! — Znów dźgnęła go skórzaną torebką. — A teraz ruszaj z nami do wyjścia, i bez żadnych głupawych zagrywek.

— Już dobra. — Jack opuścił ręce, zaczął wkładać dłoń do prawej kieszeni spodni, ale zrezygnował, kiedy szpikulec do lodu wbił mu się w ramię.

— Myślisz, że z kim masz do czynienia? — powiedziała druga z kobiet. W jej angielszczyźnie pobrzmiewał australijski akcent. Znów dźgnęła go w ramię, tym razem do krwi.

— Obejmij nas wpół. Pójdziemy na spacerek, jakbyśmy byli przyjaciółmi idącymi się zabawić w trójkącie.

— Coś takiego? — zaśmiał się Jack. — No to na co czekamy? Pośpieszmy się, moje panie.

— Lewym ramieniem opasał kibić Keetje, prawym objął za ramiona drugą kobietę, spojrzał Keetje prosto w oczy i zapytał z uśmieszkiem: — Tędy?

— Co w tym takiego śmiesznego? — zapytała Keetje, ruszając do drzwi, kiedy Jack i druga kobieta zrównali się z nią.

Jack parsknął śmiechem. — Wyświadczają mi panie ogromną przysługę.

— O czym ty gadasz? — zapytała Keetje, kiedy okrążywszy grupkę ludzi podeszli do drzwi.

— Moja dawna dziewczyna jest na tej mównicy na placu, a ja mam ochotę jej dokuczyć. Oj, ale będzie wściekła, kiedy zobaczy, jak wychodzę z wami.

— W porządku — powiedziała druga. — Jeśli tak, to nie będzie chciała cię więcej widzieć na oczy i nie będzie tęsknić, kiedy...

— *Darlena*! — wysyczała, przerywając jej w pół Keetje. — Zamknij się, do cholery.

Kiedy wyszli na zewnątrz i skręcili w lewo, zza pleców dobiegły ich głośne krzyki: „Stój! Stój! Zadzwońcie po policję, nie zapłacił rachunku!"



— O kurwa! — Keetje splunęła, zatrzymała się i powoli odwróciła głowę.

Jack, wciąż obejmując je ramionami, zmartwiał, kiedy poczuł, że Darlena przebiła mu skórę szpikulcem do lodu na widok właściciela kawiarni i dwóch kelnerów pędzących w ich stronę. Reporterzy telewizyjni i kamerzyści na podium naprzeciw Rostova i Zity, a także wszyscy demonstranci i gapie w zasięgu głosu odwrócili głowy i zaczęli się rozglądać, chcąc się dowiedzieć, o co ten cały rejwach.

Keetje zbladła pod spojrzeniami wlepionych w nią oczu i z wciąż odwróconą głową, pośpiesznie sięgnęła lewą ręką do torebki, podczas gdy prawą zaciskała na ukrytej Berettcie. Chwilę pogrzebała, wyciągnęła kilka banknotów, wręczyła je właścicielowi i spytała po holendersku: — Czy to pokrywa rachunek?

Właściciel kawiarni przytaknął, przeliczył pieniądze, odchrząknął, obrócił się na pięcie i ruszył szybko z powrotem do kawiarni, z połami fartucha obijającymi się o nogi, a w jego ślad poszli obaj kelnerzy. W tej sekundzie Jack odwrócił się twarzą do podium. Zobaczył, że Zita i Rostov wpatrują się w niego.

Spojrzenia Zity i Jacka spotkały się przelotnie, a potem Zita zesztywniała, chwyciła Rostova za ramię i przywarła do niego. Gdy ponownie spojrzała za Jackiem i zobaczyła, że odchodzi, obejmując obie kobiety, bezwiednie wpiła paznokcie w ramię Viktora Rostova. Potem, kiedy widziała, jak Jack, ciągle obejmując je, skręca za róg, serce jej się ścisnęło, a w oczach pojawiły się zielonkawe, gniewne płomyki.

Viktor Rostov przykrył dłonią ręce Zity. Kiedy przytuliła się do niego, wyszeptał:

— Teraz sama widzisz, co to za facet z tego Lunda. Zawsze był kobieciarzem i zawsze nim zostanie. Tacy faceci są jak hieny, nigdy nie zmienią skóry, zawsze będą tacy sami. Są zdolni do wszystkiego, potrafią wrobić nawet

niewinnych ludzi, tak jak to zrobił ze mną po to tylko, żeby cię poderwać. On cię nie kocha. Ja jestem twoją prawdziwą miłością, teraz już wiesz, najdroższa?

Zita podniosła na niego wzrok, nie zwracając uwagi na gapiących się na nich ludzi, reporterów i obsługę telewizji, która ustawiała na podium kamery i reflektory.

— Tak, Viktor — powiedziała — wiem, że mnie kochasz. Ja też cię kocham. Przed paroma minutami poprosiłeś mnie, żebym pojechała z tobą do Izraela. Powiedziałam ci, że muszę to przemyśleć. No więc już przemyślałam. Postanowiłam jechać z tobą jutro.

Wspięła się na palcach i pocałowała go lekko w usta. Była tak przejęta, że widziała tylko jego i nie zauważała potężnego tłumu zgromadzonego na Dam Square ani ludzi stojących przy podium, którzy uśmiechali się, ujrzawszy, jak całuje Rostova.

W chwilę potem fala wzruszenia przeminęła i Zita przypomniała sobie o przemówieniu, które miała wygłosić. W miarę jak adrenalina napływała jej do krwi, znowu zatracała się w zawrotnym wirze głosów, hałasów, podniecenia i zamętu. Poczuła się pełna życia i energii, umocniona i utwierdzona w słuszności tego, co robi, i głęboko wciągnęła w płuca mocny dym marihuany, który unosił się obłokiem nad jej głową. Poczuła się tak, jakby nabierała siły od wszystkich swoich towarzyszy, którzy ją otaczali: od tych rozentuzjazmowanych mężczyzn i kobiet aż miotających się, żeby poprzeć przywódców demonstracji, którzy właśnie wdrapali się na platformę, niosąc hasła protestacyjne i transparenty; i od tych, którzy wspomagali świeżo przybyłą z instrumentami i nagłośnieniem grupę rockową; i od setek innych, leżących i stojących wokół.

Zita przemknęła spojrzeniem po morzu twarzy i wdychała głęboko raz po raz. Jack Lund na zawsze zniknął z jej życia, z powrotem znalazła się w swoim żywiole i czuła się wolna... wolna, by poświęcić od tej pory swój czas dla



sprawy, w którą ona i Viktor wierzyli. Zapomnieć o Jacku! On już nie istnieje... nigdy nie istniał. Nigdy! Nigdy! To był epizod, sen.

O trzy kamienice dalej, na ulicy wychodzącej z Dam Square, Jack Lund i obie kobiety stali na wybrukowanym kocimi łbami nabrzeżu, przyglądając się motorówce, która podpływała do nich od strony kanału. Opasując lewym ramieniem kibić Keetje, prawym zaś obejmując za szyję Darlenę, Jack mógł w każdej chwili wywinąć się spod szpikulca do lodu i Beretty i zwiać. Ale nie zrobił tego, bo chciał dowiedzieć się, o co chodzi i do kogo go zabierają.

Kiedy motorówka zwolniła obroty i podciągnęła pod nabrzeże, Jack po raz pierwszy miał okazję zobaczyć człowieka za sterem. Był to Otto Carveld.

Gdy łódź dobiła do kei i zatrzymała się, Keetje szturchnęła Jacka torebką. Gdy tylko Carveld chwycił poler i przycumował do niego, żeby unieruchomić statek przy nabrzeżu, znowu szturchnęła Jacka. — Dobra, złaź na dół.

Jack opuścił rękę obejmującą Keetje, drugą zdjął z ramion Darleny i lekko wskoczył na przedni pokład kutra. Potem ruszył w kierunku kokpitu na rufie, obszedł przednią szybę i zeskoczył na pokład koło Carvelda.

Gdy obie kobiety znalazły się na pokładzie i ostrożnie podążały w kierunku kokpitu, Carveld odepchnął rufę od kei i zaczął iść w stronę steru.

Jack dostrzegł swoją szansę zapanowania nad sytuacją i nie zaprzepaścił jej. Udał, że traci równowagę, uchwycił się koła sterowego, szarpnął oba lewarki przepustnicy do siebie i kopnął Carvelda, a wszystko to jednym płynnym, błyskawicznym ruchem. Carveld rozciągnął się jak długi na pokładzie w chwili, gdy motorówka przechyliła się na rufę przy wtórze ryczących silników.

W tym samym momencie, kiedy stateczek skoczył do tyłu, rwąc przez kanał z ogromną szybkością, obydwie

kobiety na śliskim przednim pokładzie straciły grunt pod nogami i wyrzuciło je za burtę.

Carveld, wywrzaskując po holendersku potok przekleństw, skoczył na równe nogi, rzucił się na Jacka, wyszarpując równocześnie z kieszeni marynarki automatyczny pistolet.

Jack nie zawahał się. Pchnął w przód oba lewarki przepustnicy, a kiedy Carveld stracił równowagę i upadł na kolana, wykopał mu z ręki broń. Ułamek sekundy później Jack zakręcił kołem sterowym, zwolnił obroty, skierował motorówkę na środek kanału i pochwycił Carvelda za lewą rękę. Potem jednym szarpnięciem postawił go na nogi, okręcił gwałtownie wokół osi i zgruchotał mu nadgarstek.

Ryk silników zagłuszył wrzaski Carvelda, kiedy Jack wykręcał mu okaleczoną rękę, a twarz wgniatał w poręcz relingu. Teraz, kiedy unieruchomił już Carvelda i zapaśniczym blokiem wykręcił mu złamany nadgarstek, Jack zerknął za rufę, i podczas gdy motorówka zbliżała się do mostu, mimochodem dostrzegł obie kobiety płynące w kierunku zacumowanej barki.

Przepłynąwszy pod jeszcze jednym niskim mostem, Jack zepchnął Carvelda na pokład, zgarnął pistolet i powiedział:

— Otto, jeżeli chcesz wrócić żywy z długiej morskiej podróży, w jaką za chwilę wyruszamy, lepiej zdecyduj się na współpracę i powiedz wszystko, co chcę wiedzieć.

W pięć minut później, kiedy wpłynęli do amsterdamskiego portu i zaczęli mijać zacumowane przy nabrzeżach statki, Jack dodał gazu i postawił łódź w miękki ślizg. Kiedy zrównał się burta w burtę z lśniącym z czystości pełnomorskim jachtem motorowym, który trzydzieści metrów dalej wycofywał się z pochylni, spojrzał na podobny do koguciego ogona kilwater za rufą, żeby się upewnić, czy nie przeszkodzi on w manewrach statku. Kiedy to robił, jego umysł podświadomie zarejestrował helikopter zaparkowany na górnym pokładzie, nazwę na stewie jachtu — *Gwiazda,* i port macierzysty, Monako.



Gdyby w tej chwili właśnie Jack rzucił okiem na pokład rufowy *Gwiazdy*, poniżej zaparkowanego helikoptera, zobaczyłby człowieka stojącego przy świeżo polakierowanym relingu — mężczyznę o zaciętej twarzy, z lornetką — który przyglądał się im zbyt ciekawie jak na znudzonego, przypadkowego obserwatora.

W dwie minuty później, po tym jak Jack opuścił kanał i skręcił na zachód w kierunku otwartego morza i zachodzącego w oddali słońca, ponury mężczyzna na motorowym jachcie, nie mogąc już dłużej podążać wzrokiem za małą motorówką, gdyż oślepiła go jaskrawa kula letniego słońca zapadającego w roziskrzony horyzont, opuścił lornetkę, odwrócił się i kopnął ze złością najbliżej stojący na pokładzie leżak.

# 4

JEROZOLIMA
Środa, 28 lipca
11.45

Przez dwa tygodnie młody mężczyzna o napiętej twarzy i kobieta, siedząc w rozklekotanej brązowej Toyocie, obserwowali przywódców ruchu „Świat bez Bomby Atomowej", i wciąż nic. Oprócz szabasu i niedziel, kiedy Amerykanka, Zita Dean, i eks-rosyjski fizyk, dr Viktor Rostov, naturalizowany obywatel USA, wyjeżdżali zwiedzać kraj, w pozostałe dni postępowali zawsze tak samo. Zgodnie z łatwą do przewidzenia rutyną. *Zbyt* łatwą do przewidzenia.

To dlatego nerwy mężczyzny i kobiety były napięte do ostateczności. Wypatrywali czegoś nieoczekiwanego, najlżejszej odmiany w ustalonym wzorcu, i instynkt podpowiadał im, że coś takiego wydarzy się wkrótce.

Każdego ranka, punktualnie o dziesiątej, ubrani w te same wypłowiałe dżinsy, w te same biało-czerwone podkoszulki z napisem „Świat bez Bomby Atomowej" i czapki z daszkiem, z tymi samymi żółtymi nylonowymi plecakami na grzbiecie, Dean i Rostov wybiegali truchtem z wynajętego mieszkania przy ulicy Yemin Moshe niedaleko murów Starego Miasta i zawsze obierali tę samą okrężną drogę do Knessetu, budynku izraelskiego parlamentu. Tam przyłączali się do towarzyszy demonstrujących przy wejściu do Knessetu, paradujących wszędzie z hasłami protestacyjnymi i wręczających ulotki tym nielicznym przechodniom, którzy byli skłonni je przyjąć.

Każdego ranka te same czterdzieści dwie kobiety — kilka z nich z dziećmi — i tych samych osiemnastu mężczyzn



stało tam oczekując, żeby powitać ich jak zwycięskich bohaterów. Krótko przed dwunastą w południe ludzie przerywali marsze, skupiali się wokół Rostova i Zity i bili brawo, gdy ci zagrzewali ich przemowami, stosując te same słowa zachęty i wygłaszając wciąż te same wyświechtane frazesy.

Kiedy dwa tygodnie temu demonstracja zaczęła się po raz pierwszy, wśród publiczności byli liczni dziennikarze i reporterzy telewizyjni. Ale w miarę upływu dni przychodziło ich coraz mniej. Tego ranka pokazał się tylko gość z *Washington Post*, ale nie po to, żeby robić reportaż. Interesował go raczej ludzki aspekt, a mianowicie hoża *sabra*, rodowita Izraelka, w obcisłych dżinsach i przyciasnej koszulce z napisem „Świat bez Bomby Atomowej!", która zachichotała, kiedy mignął jej przed oczami legitymacją prasową, a potem chętnie zgodziła się udzielić mu wywiadu i pójść z nim do hotelu na lunch.

Kiedy dziennikarz odprowadzał dziewczynę do wynajętego Budgeta, nie miał pojęcia, że nagle zainteresowała się nim para w zdezelowanej limuzynie stojącej w rzędzie innych pojazdów koło budynku. Nie zauważył także mężczyzny na motocyklu — brodatego chasyda ze słuchawkami walkmana pod czarnym kapeluszem z wywiniętym rondem — który pojechał za nim, kiedy ruszył w dół ulicy Kaplana i skręcił w lewo na Ruppin.

— Myślisz, że to coś? — zapytała kobieta płynną hebrajszczyzną, odkładając puszkę po oranżadzie McDavid, w której ukryty był mikrofon radiostacji.

Sierżant Yossi Traub wzruszył ramionami. Był to krępy *sabra* o spalonej słońcem skórze człowieka, którego ojcowie od pokoleń uprawiali ziemię Izraela.

Kobietą była trzydziestojednoletnia Cheryl Nelson, amerykańska agentka specjalna z DASD.

Oficjalnie była turystką. Nieoficjalnie została wysłana do Izraela przez Departament Sekretariatu Obrony w misji najwyższej wagi jako łącznik pomiędzy Amanem, izrael-

skim wywiadem wojskowym, a biurem wywiadu obronnego DASD. Obie agencje rządowe usiłowały odkryć okoliczności zniknięcia ważącej cztery tysiące funtów skrzyni, która wyparowała z pokładu kontenerowca podczas rejsu lub jeszcze przed jego wypłynięciem z Baltimore do Hajfy.

Sierżant Yossi Traub siedział wpatrzony w tłum otaczający ciasno Zitę, stukał pięścią w kierownicę i snuł głośne rozważania:

— Dlaczego kazali nam śledzić tę bandę napalonych półgłówków? Jaki to może mieć związek? Co oni mogą mieć wspólnego z brakującym modułem *telerobota*? Mógłbym jeszcze zrozumieć, gdyby zwinęli jeden z tych zdalnie sterowanych pojazdów do rozbrajania bomb, które nasza policja państwowa zakupiła w Stanach, ale zdalnie sterowany moduł z rękami robota, którego używają do chwytania sterylnych przedmiotów w laboratoriach Uniwersytetu Hebrajskiego? Nic z tego nie kapuję.

— Gadasz jak najęty — roześmiała się Cheryl Nelson. — Dlaczego nie pomyślisz najpierw, zanim zaczniesz gadać? Myślałam, że niewidzialni agenci wywiadu wspaniałego Amanu nigdy nie tracą zimnej krwi. A może zawsze byłeś w gorącej wodzie kąpany? To dlatego cię wylali? Byłeś kapitanem, prawda?

Yossi obrzucił ją lodowatym spojrzeniem i dalej przyglądał się protestującym. Cheryl zauważyła, że przestał stukać w kierownicę.

— Nie lubisz o tym mówić? Pracujemy razem już od dwóch tygodni, a nie powiedziałeś jeszcze ani słowa na temat twojego prywatnego życia.

Yossi wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od tłumu.

— Daj spokój. Czasem dobrze jest wyrzucić to z siebie.

— Nie mogę uwierzyć, że ci powiedzieli. — Patrzył na gestykulującą Zitę Dean, i wciąż, cholera, to samo — gówno.



— Powiedzieli, że byłeś najlepszy. Zgnoili cię i odebrali stopień oficerski przez jakąś biurokratyczną machloję, tak?

— Coś w tym rodzaju. To ten szmatławy doktorek od czubów. Myślałem, że mu przyrżnę w bandzioch.

— Dlaczego?

— W zeszłym roku jakiejś grubej rybie ze sztabu zaczął swędzieć tyłek i zarządziła dodatkową kontrolę psychiatryczną agentów *Agaf Modiin*, żeby zobaczyć, czy mamy wszystkie klepki. No wiesz, kazali nas zbadać temu młodemu doktorowi od czubów, który dopiero co przyjechał z Nowego Jorku. Ten facet, który pewnikiem cały czas przebywał w szpitalu psychiatrycznym dla zakonnic, a w Izraelu był dopiero od kilku miesięcy, pyta się mnie, co bym zrobił, gdyby palestyński terrorysta wyciągnął nóż i zagroził, że mnie zabije.

Wychowałem się w Hebronie, a do szkoły chodziłem także w Stanach i w Anglii, ale nigdy bym nie wpadł na to, że gość ma pomysły rodem z Disneylandu i nie ma zielonego pojęcia, co się tutaj dzieje, więc nie wiedziałem, że powinienem był odpowiedzieć, iż uprzejmie rozbroję terrorystę, po czym go aresztuję.

— A co *powiedziałeś*?

— Powiedziałem, że zabiłbym wszawego skurwysyna.

— I za to, że to powiedziałeś, odebrano ci stopień oficerski i zdegradowano cię? *Dlaczego*?

— Czy ja wiem? — wzruszył ramionami Yossi. — Dowódca powiedział, że prezentuję niebezpieczną postawę. Nazwałem palestyńskiego terrorystę „zawszonym" skurwysynem, a doktor od czubów stwierdził, iż to wskazuje, że mam uprzedzenia, a tym samym skłonności do zabijania albo brutalnego traktowania wszystkich podejrzanych Palestyńczyków. W każdym razie ten cholerny skretyniały psychiatra nie wie, że kiedy człowiek ma do czynienia z naszymi nieprzyjaznymi krewniakami z pustyni, rządzi obowiązujące od czterech tysięcy lat prawo pustyni.

— Masz na myśli „oko za oko" i tym podobne?

— Nie, to byłoby prawo zemsty. Mówię o *Prawie Rodef*, prawie spisanym w Torze, które nazywają także prawem pustyni — prawie, którego nauczyłem się jako dziecko w Hebronie, prawie, które obowiązywało zawsze od czasów Mojżesza: *Jeśli grozisz, że zabijesz moją rodzinę albo mnie, ja zabiję ciebie.*

— Ludzie często mówią, że się nawzajem pozabijają — powiedziała Cheryl. — Ale naprawdę nigdy tego nie robią. Zwykle są po prostu wkurzeni i nie myślą, co mówią.

— Tu jest Bliski Wschód, dziecinko. Tu nie rzuca się pogróżek na wiatr. Jeśli tak nie myślisz, to nie mówisz, że kogoś zabijesz. Jest napisane, że jeżeli ktoś ściga cię z zamiarem zabicia, traci własne życie. Jeżeli mówisz, że mnie zabijesz, muszę wierzyć, że tak właśnie myślisz. A ponieważ i ja, i ty wiemy, że tylko głupiec albo tchórz ustąpiłby ci, albo stał bezczynnie, zamartwiając się i zastanawiając, czy spełnisz swoją groźbę, więc nie mam wyboru i muszę zniżyć się do twojego poziomu i zabić cię, bo przecież nie jestem ani głupcem, ani tchórzem. I wówczas będę mógł żyć w pokoju, bo ty nie będziesz już dłużej mi zagrażać.

— Widzisz, dziecko, kiedy jesteś, tak jak teraz, w krajach Lewantu, albo kiedy masz do czynienia z ludźmi stąd, obowiązuje to prawo.

Nagle Yossi Traub objął kierownicę obiema rękami, popatrzył z napięciem przez szybę i powiedział: — Hej, a może on nie jest naprawdę działaczem ruchu „Świat bez Bomby Atomowej"? A może on jest zatwardziałym zwolennikiem bomby?

— O kim mówisz?

Yossi pokazał palcem. — O nim. O Rostovie. O fizyku, kochanie! Czemu nie pomyślałem o tym wcześniej? W każdą sobotę i niedzielę wyjeżdżają za miasto. Dokąd dojechaliśmy, śledząc ich w sobotę dwa tygodnie temu? Do Dimony, gdzie jest elektrownia atomowa. I co tam robili? Pstrykali sobie zdjęcia i urządzili piknik, ale czy



zatrzymali się chociaż na chwilę, żeby zwiedzić wykopaliska albo zabytki z czasów biblijnych? Nie. Potem, ostatniej soboty, ten sam Arab zawiózł ich prosto do Rehovot, gdzie są fabryki zbrojeniowe. W niedzielę jechaliśmy za nimi do Givat Szmuel, gdzie zrobili sobie jeszcze trochę zdjęć tuż koło znajdujących się tam zakładów zbrojeniowych. Jak to możliwe, żeby nigdy nie zwiedzali żadnych miejsc, w których są zabytki historyczne i biblijne? Nawet nie poszli przejść się po Via Dolorosa — i to mieszkając o jedną ulicę od Starego Miasta. Powiedz mi teraz, dlaczego cały czas spędzają objeżdżając tereny, gdzie produkuje się sprzęt wojskowy? *Dlaczego*?

— Zdaje mi się, że próbujesz na siłę zrobić z tego coś, podczas gdy naprawdę to nic takiego. Nie zrobili niczego podejrzanego. Masę ludzi nudzą stare wykopaliska i ruiny świątyń.

Cheryl Nelson zamilkła i zaczęła przypatrywać się Viktorowi Rostovowi. Spacerował pomiędzy grupą zgromadzonych. Kiedy Zita zaczęła przemawiać przez megafon, Rostov stanął o kilka metrów za publiką, do której przyłączył się pełen autobus turystów w nowych, białych kapeluszach. Wtenczas Rostov odwrócił się przypadkiem i spojrzał na ulicę ciągnącą się za parkingiem samochodowym.

Mimo że Yossi i Cheryl zaparkowali wśród innych samochodów, o dobre sześćdziesiąt metrów od Rostova i demonstrantów, a na dodatek byli zasłonięci przez zarośla, zsunęli się jak najniżej na siedzeniach, żeby trudniej ich było dostrzec.

Gdy Rostov ruszył dalej, Yossi obrócił się na siedzeniu, żeby nie tracić go z oczu, i skinął na Cheryl, żeby jej dać do zrozumienia, iż powinna nadal pilnować Zity Dean i zbiegowiska.

— Znowu zaczyna swoje — powiedziała Cheryl ostrym tonem. — W kółko to samo po raz nie wiadomo który.

Zaczęła przedrzeźniać Zitę: „Zaklinam was, protestujcie,

protestujcie i jeszcze raz protestujcie... Budujcie w Izraelu pokój, nie bomby atomowe!"

Cheryl usiadła, kręcąc głową z niesmakiem, kiedy Zita wskazując ręką na hasło, które trzymał Wadia, jeden z młodych arabskich aktywistów ruchu z Jerozolimy, wykrzyknęła do tłumu: — I zaklinam was, protestujcie, protestujcie i jeszcze raz protestujcie, i zmuście ich, żeby uczynili tak, jak głosi nasze hasło, *Budujcie w Izraelu pokój, nie bomby atomowe!*

Yossi wyprostował się na siedzeniu i przymrużonymi oczyma przyglądał się z rosnącym zainteresowaniem, jak Rostov idzie powoli ulicą Kaplana.

— W końcu ruszy dupę. Ciągle patrzy na zegarek. Na pewno ma się z kimś spotkać. Sprawdzał czas, czeka. Czuję to. Złap za mikrofon i zawiadom ich.

Cheryl Nelson podniosła szybę od swojej strony, żeby nie słyszeć Zity, i powiedziała: — Nie interesuje ich, co myślimy. Powiedzieli, żebyśmy meldowali tylko o tym, co robią, z kim się spotykają i dokąd idą. Od nas oczekują tylko, że dostarczymy gołych faktów i będziemy ich na bieżąco informować przez radio o sytuacji. Nie chcą wysłuchiwać naszych opinii, przypuszczeń ani teorii.

— Ty chyba jesteś sfrustrowaną nauczycielką. Jak się wkręciłaś do tego interesu na tajniaka?

— DASD potrzebował kogoś z biegłą znajomością hebrajskiego i arabskiego, więc zgłosiłam się na ochotnika, i wysłali mnie.

— Na ochotnika? Musisz mieć zdrowo popieprzone w głowie.

— Miałam już po dziurki w nosie siedzenia dzień po dniu przy komputerze i wpisywania danych wywiadu, a *to* brzmiało ciekawie, więc...

— *Ciekawie*? — Yossi puknął dłonią w czoło, krzywiąc się niemiłosiernie. — Więc ty jesteś od zbierania danych i to jest twój pierwszy w życiu przydział? O nie, tylko nie to! Gdzie nauczyłaś się języków? A zresztą... nieważne.



— Moja matka jest Żydówką, a ojciec libańskim kupcem z Bejrutu. Nauczyłam się od nich. Wyszłam kiedyś za mąż za człowieka o nazwisku Nelson. To na wypadek, gdybyś się dziwił, skąd się tak nazywam. A poza tym jestem w pełni kwalifikowaną specjalistką wywiadu, przeszłam roczny kurs, a w Quantico zdobyłam kwalifikacje *strzelczyni* wyborowej.

Yossi spojrzał na nią spod oka. — *Strzelczyni wyborowej*?

Cheryl machnęła ręką, odwróciła się i zaczęła się przypatrywać, jak Zita pokazuje na hasła w tłumie.

— Co to, jesteś feministką?

— Nie — odrzekła Cheryl, znowu przedrzeźniając Zitę, która właśnie podjęła przemowę:

— Dla dobra waszego, waszych rodzin, waszych dzieci i całej ludzkości, protestujcie, protestujcie... *Nie czyńcie z Ziemi Świętej jeszcze jednej bazy nuklearnej* i, proszę, *ocalcie Izrael, zanim będzie za późno. Natychmiast rozmontować bomby A!* Przyłączcie się do nas, przyłączcie się do ruchu „Świat bez Bomby Atomowej" w jego walce przeciw rozprzestrzenianiu broni nuklearnej. Nasza walka jest waszą walką, więc proszę, przyłączcie się do nas, podpiszcie naszą petycję, przyłączcie się do naszego ruchu i zmuście ich, żeby przestali budować w Izraelu pociski nuklearne, zmusicie ich?

Kiedy zgromadzeni zaczęli klaskać, Zita przerwała i zaczekała, aż jej koleżanki aktywistki powręczają listy do podpisu pod petycją i formularze dla kandydatów ruchu.

Właśnie w chwili, gdy Zita znowu zaczęła przemawiać, Yossi dotknął nagle ramienia Cheryl.

— Rostov odchodzi. A nie mówiłem, że ruszy dupę?

Cheryl podniosła do ust mikrofon. „Przemieszcza się. Przecina zarośla. Idzie w twoim kierunku."

„Mam go" — odezwał się głos w głośniku. — „Stary, niebieski «merc» z zielonym błotnikiem zawraca na Kaplana. Rostov rozgląda się. Wsiada z przodu obok

kierowcy. Cholera, wąsacz nas namierzył. Przejmujesz go, Yossi."

Yossi zapalił silnik, wykręcając na wstecznym z rzędu samochodów, i ruszył ulicą Kaplana w momencie, gdy kierowca Rostova skręcał w prawo, na Ruppin. Kiedy Yossi zwolnił na skrzyżowaniu, a potem dodał gazu, włączając się w strumień pojazdów, minęła ich inna ekipa Amanu, pędząca w przeciwnym kierunku na parking samochodowy, żeby przejąć od nich obserwację demonstrantów.

Trzymając się mniej więcej na długość jednego budynku od ciężarówki i tuzina innych pojazdów, które oddzielały ich od samochodu Rostova, Yossi posłużył się potężną ciężarówką jak tarczą. Podczas gdy prowadził, zbaczając odrobinę od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wciąż mają ich w zasięgu wzroku, Cheryl, śledząc palcem drogę na planie miasta, mówiła do mikrofonu: „Skręcają właśnie w prawo, na...?"

Yossi, z obiema rękami na kierownicy, pochłonięty obserwacją drogi, nawet nie spojrzał na nią. — Bulwar Herzla.

„Na Herzla." — Cheryl sprawdziła kompas na tablicy rozdzielczej i dorzuciła: „Obserwowany pojazd pięćset yardów z przodu. Duży ruch. Kieruje się na północny wschód."

Cheryl w stałych odstępach czasu sprawdzała kompas i mapę, podając do ukrytego mikrofonu ich aktualną pozycję, podczas gdy Yossi trzymał się stale tylnej burty ciężarówki, i w ten sposób przemknęli na żółtym świetle przez Zalman Shazar, zbliżyli się do Bulwaru Weizmanna, potem skręcili w lewo i przejechali obok hotelu Gazit, wciąż jadąc za ciężarówką na długość jednego budynku od Rostova.

W trzy minuty później Cheryl zameldowała: „Jesteśmy na Weizmanna. Są o dwie przecznice przed nami." Spojrzała na kompas. — „Jadą na zachód."



— Drogą na Tel-Aviv — podpowiedział jej Yossi. Spojrzał w lusterko wsteczne i zobaczył dużą ciężarówkę, która wyrosła za nimi. Pojazd, potężny przegubowiec ciągnący platformę wyładowaną betonowymi blokami, zbliżał się szybko. Za szybko.

W kilka sekund później, kiedy Yossi spojrzał równocześnie w lusterko wsteczne i w lusterka boczne, ciężarówka była już tak blisko, że mógł dostrzec mężczyznę w arabskim nakryciu głowy za kierownicą.

— Powiedz im, że możemy mieć kłopoty. Mamy na ogonie dużą przegubową platformę pełną betonowych bloków, prowadzi Arab w *kaffiyeh*. Wygląda, że rozmawia przez walkie-talkie.

Cheryl spokojnym głosem powtórzyła słowa Yossiego i odwróciła się. Kiedy ujrzała rozmiary ciężarówki, zacisnęła zęby i twarz jej się wykrzywiła.

W tej samej chwili w jadącym z przodu Mercedesie Rostov włączył mały, przenośny, pięciowatowy zmiennozakresowy nadajnik UKF. Kiedy wcisnęło się przycisk włączający kod kryptograficzny, nikt w promieniu trzech mil nie był w stanie podsłuchiwać obustronnych komunikatów, ponieważ aparat zmieniał częstotliwość transmisji w tempie pięćdziesięciu wahnięć na sekundę. Rostov, sprawdziwszy nastawienie aparatu, wręczył go Hadżdżiemu.

— Spróbuj teraz, może jest już w zasięgu.

Hadżdżi wziął nadajnik, przytknął go do cienkich, czarnych wąsów, zerknął w lusterko wsteczne i powiedział po arabsku: „Khalil, jesteś tam?"

„*Na'am.*" Arabskie tak.

„*Wayn?*" Gdzie?

„Za Toyotą. Przed nią jest ciężarówka z przyczepą. Numer rejestracyjny Toyoty... jeszcze nie potrafię powiedzieć... zabłocony... zbliżam się... *Tis'a, sitta, itnen,* reszty nie widzę... dałby Allach, żeby to był twój «ogon»."

— „Dziewięć, sześć, zero" — powtórzył Hadżdżi po rosyjsku. — „Jest dość blisko. Brązowa Toyota bez tylnego zderzaka?"

„Tak, mężczyzna za kierownicą, obok niego kobieta."

„Gdzie teraz jesteś?"

„Na wysokości *macha'ttit bensin*."

— Stacja benzynowa — powiedział Hadżdżi do Rostova po rosyjsku, a potem rzucił do mikrofonu po arabsku: „Właśnie przed chwilą przejechaliśmy koło niej, teraz wymijamy długi sznur rowerzystów."

„Tak, faceci w kaskach i dresach na rowerach."

„No to jesteś tuż za nami."

Z błyskiem w oczach Hadżdżi rzucił prędkie spojrzenie na Rostova, zerknął w lusterko i powiedział do Khalila po arabsku: „Widzę cię już. Przed nami jest ostry łuk. Zrób to tutaj."

Twarz arabskiego kierowcy zesztywniała z napięcia, kiedy odkładał nadajnik na siedzenie obok, dociskał gaz do dechy i zaczynał wymijać Toyotę. Zupełnie nie zwracał uwagi na kierowców nadjeżdżających z przeciwnej strony, którzy trąbili jak szaleni i skręcali gwałtownie w prawo, żeby zjechać mu z drogi. Skoncentrował uwagę na Toyocie. Kiedy zrównał się z nią, podniósł się z siedzenia, nie puszczając nogi z pedału gazu, wychylił się na prawo i spojrzał w dół na kierowcę.

W chwili gdy Yossi podniósł wzrok i zobaczył go, Khalil łypnął okiem i przejechał dłonią po gardle.

W sekundę później Yossi nacisnął hamulec, zwolnił natychmiast i wyciągnął 9-milimetrowy automatyczny pistolet. Gdy długa platforma wyładowana betonowymi blokami mignęła obok, Yossi chwycił broń ręką spoczywającą na kierownicy, prawą reką odciągnął zamek, wprowadzając nabój do lufy, i nacisnął pedał gazu.

Cheryl siedziała na krawędzi fotela kurczowo uchwycona deski rozdzielczej, i nie straciła zimnej krwi, patrząc,



jak mija ich platforma, a potem zerkając przez przednią szybę.

Doskonale wiedziała, co ma zamiar zrobić arabski kierowca, a przed paroma zaledwie chwilami zauważyła jego groźny gest. — Przed nami cała chmara rowerzystów po tej samej stronie drogi. Znak ostrzegawczy...niebezpieczny zakręt...

Kiedy arabski kierowca zobaczył, że Yossi znów podjeżdża prawą stroną, rozmyślnie zwolnił i zaczął zarzucać maszyną od krawężnika do krawężnika. Mijali teraz rowerzystów. Yossi zatrąbił, żeby ich ostrzec, zobaczył, że zwalniają i zjeżdżają z drogi, i spojrzał na kabinę ciężarówki. Kątem oka dostrzegł, że betonowe bloki zaczynają przesuwać się na platformie.

Nagle Arab znowu gwałtownie skręcił przegubowcem i platforma zaczęła zarzucać na wszystkie strony, rozsypując betonowe bloki po całej autostradzie. Rozległ się pisk hydraulicznych hamulców, gdy nagle zwolnił, a potem przyśpieszył, znów rzucając maszyną na wszystkie strony. Betonowy blok rąbnął w dach Toyoty z przeraźliwym chrzęstem, od którego Cheryl wzdrygnęła się gwałtownie.

Yossi zwolnił, a potem znów przyśpieszył, trzymając się przedniej części przegubowca, żeby uniknąć zderzenia z zarzucającą platformą, którą ciągnął. Betonowe bloki staczały się teraz z platformy na wszystkie strony. Ruch za nimi zaczynał zamierać, gdy kierowcy zobaczyli lawinę betonowych bloków roztrzaskujących się na autostradzie.

Yossi uniósł pistolet, wycelował w siedzącego w kabinie kierowcę, ale opuścił broń, kiedy zorientował się, że zginęłoby wielu niewinnych ludzi, gdyby teraz go zastrzelił, a ciężarówka zderzyłaby się z samochodami jadącymi z przeciwka.

Yossi zaklinował się między dużą ciężarówką przed nim i rowerzystami na poboczu. Nie odważył się zwolnić i zostać w tyle, ponieważ Arab mógłby wówczas jechać

zygzakiem i zasypać ich lawiną betonowych bloków spadających wprost na nich z doczepionej platformy.

Cheryl, rozpaczliwie wpatrując się w plan i wychylając się przez okienko, spojrzała przed siebie. — Przed nami boczna ulica. Ostry zakręt w prawo tuż przed łukiem.

— Nie widzę go, zasłania mi ciężarówka. Powiedz, kiedy.

— Przygotuj się, czekaj, czekaj, po następnym rowerzyście. Wolna droga. Ruszaj!

Yossi gwałtownie skręcił, wpadł w niebezpieczny poślizg i wjechał w wąską, nieasfaltowaną drogę. Cheryl obejrzała się za siebie i krzyknęła: — Mój Boże, skręca, omal nie przejechał tego rowerzysty. Wszędzie spadają bloki. Jeden uderzył rowerzystę...

Yossi przez kilka chwil obserwował maszynę Araba w lusterku, potem spojrzał na nieasfaltowaną drogę przed sobą. Żadnego ruchu, to dobrze. Nie wygląda to najgorzej.

— Łap za kierownicę, żebym mógł przedostać się na tylne siedzenie. — Przeżycie jest ważniejsze od wszystkich innych zadań. Najpierw wygrzebać się z tych tarapatów. Potem zabrać się za Rostova.

Cheryl prędko przysunęła się do niego, chwyciła kierownicę i postawiła lewą nogę na pedale gazu. Kiedy panowała już nad samochodem, Yossi przekoziołkował w tył nad oparciem siedzenia, rozbił tylną szybę kolbą pistoletu, nawet nie zwrócił uwagi na lecące odłamki szkła, i powiedział: — W porządku, zwolnij. Nie za wolno, tak jak teraz jest dobrze. Tak trzymaj.

Arab przyśpieszył i szybko zaczął pokonywać dzielący ich odstęp. Yossi zaczekał, aż znalazł się dziesięć metrów za nimi, ujął automatyczny pistolet obiema rękami chwytem Weavera w wersji izraelskiej, oparł łokcie na tapicerce siedzenia i starannie wymierzył. W chwili gdy nacisnął spust i zobaczył, że w przedniej szybie ciężarówki pojawił się otwór po pocisku, a w punkcie, w który celował — w środku czoła kierowcy — wykwitła rana w kształcie wolego oka, Cheryl krzyknęła:



— Przed nami wykop! Roboty drogowe, nie widziałam... To ślepa droga!

Yossi rzucił przelotne spojrzenie na walącą nadal prosto na nich maszynę, domyślił się, że stopa zabitego kierowcy wciąż spoczywa na pedale gazu i że rozpędzona potworna ciężarówka za kilka chwil przetoczy się po nich, rozejrzał się wokół, zobaczył migające przed sobą światła na barierach zagradzających roboty drogowe, dostrzegł rów i zareagował zawrotnie szybkim, płynnym ruchem. Odrzucił broń, przewiesił się połową ciała przez przednie siedzenie, strzepnął ręce Cheryl, chwycił kierownicę, skręcił ją maksymalnie w prawo i ryknął: — Wciśnij gaz, nie hamulec, gaz!

W chwili gdy wypadli z drogi, Yossi zarzucił Cheryl ramiona na głowę, zakrył jej twarz rękami, żeby osłonić ją przed uderzeniem, a sam zaparł się mocno.

W sekundę później, kiedy przelatywali nad hałdą ziemi, odbili się dwukrotnie, a potem zaryli w wykopie, ciskani to w górę, to w dół, w miarę jak ich mały samochód koziołkował, Yossi dostrzegł kątem oka, jak przegubowiec o kilka metrów dalej roztrzaskuje się o barierki.

W następnej chwili ostatnią rzeczą, jaką Yossi zobaczył, był przód ciężarówki ryjący w wykopie, odrywająca się platforma, która miotała i ciskała pozostałych kilka ton betonowych bloków wprost na nich.

GIVAT TZADDI

25 kilometrów na południe od Hajfy, Izrael

Środa, 28 lipca, 18.00

Hadżdżi i Abdul Sayid, młody, szeroko uśmiechnięty Arab w szortach koloru khaki i z mycką na głowie, kucali w cieniu, pomiędzy dwoma samochodami, i milcząco przyglądali się, jak Viktor Rostov i dr Helmut Ortman

wspinają się po usianym skałami wzgórzu do ruin na szczycie.

Wydawało się, że Abdul, który był u dra Helmuta Ortmana kucharzem, przewodnikiem górskim, i towarzyszył mu stale, od czasu gdy Ortman ubiegłego roku przybył do Izraela, zawsze ma na twarzy szeroki uśmiech. Przez ten uśmiech ludzie uważali go za przygłupa. Ale Hadżdżi wiedział, że wcale nie był przygłupem.

Abdul, który urodził się w Arabii Saudyjskiej, gdzie jego ojciec nadal zatrudniony był jako buchalter w spółce naftowej, mógł być wszystkim, ale w żadnym wypadku nie głupcem.

Hadżdżi wiedział o tym, ponieważ był wśród tych, którzy zwerbowali Abdula na kampusie w Hamburgu, po tym jak sam osobiście dokładnie go sprawdził. Abdul był wymarzony do zadań, które Hadżdżi planował: mówił po niemiecku, w ojczystym języku dra Helmuta Ortmana, i posiadał parę innych bardzo szczególnych umiejętności.

Abdul, szczupły, wybitnie przystojny młody Arab, który studiował geologię i rachunkowość, znienawidzone przez siebie przedmioty, przyjął propozycję Hadżdżiego bez chwili wahania. Dla niego była to wielka szansa dorobienia się własnych dużych pieniędzy, które pozwoliłyby mu uniknąć spędzenia reszty życia podobnie jak ojciec, na prowadzeniu ksiąg rachunkowych dla bogatego arabskiego potentata naftowego.

W godzinę po tym, jak Abdul poszedł z Hadżdżim do banku i wypłacił sobie jedną trzecią obiecanej sumy, Hadżdżi zawiózł go na lotnisko w Hamburgu. Potem Abdul poleciał do Izraela i spotkał się z człowiekiem Hadżdżiego, który wszystko załatwił, żeby go wkręcić do domu dra Helmuta Ortmana.

— Zastanów się dobrze, młody człowieku — powiedział Hadżdżi po arabsku — co jeszcze robili z myśliwcami w bazie powietrznej na pustyni Negev?

— Powiedziałem ci wszystko, co pamiętam.



— Powiedz mi coś więcej o malowaniu. Malowali pędzlem czy sprayem te szpiczaste stożki systemu Stealth, które montowali na nosach samolotów?

— Widziałem, jak ludzie w hełmach i kombinezonach, jakie noszą kosmonauci, malują je dziwacznie wyglądającymi narzędziami. Stałem za daleko, żeby widzieć więcej, a nie pozwolono by mi zejść do środka podziemnych hangarów. Nigdy w życiu nie widziałem takiego miejsca. Wyglądało jak stacja kosmiczna z *Gwiezdnych Wojen*. Hangar, do którego zaglądałem, był ponad sześć razy większy od wszystkich hangarów na Orly razem wziętych. Przykro mi, Hadżdżi, ale nic więcej nie wiem, a przy bramie, kiedy rewidowali nas przed wejściem, zabrali mi aparat fotograficzny. Większość czasu musiałem pozostać przy samochodzie Ortmana, i mogłem rzucić okiem do środka tylko idąc do kibla albo na posiłek do kantyny.

Hadżdżi przygładził palcem wąsy, pomyślał chwilę, spojrzał na Abdula i uśmiechnął się. — Co zrobisz z tymi wszystkimi pieniędzmi, które ci płacę?

— Kiedy skończy się ta robota, wrócę do Berlina i wydam je na wino, dziewczyny, chłopców i orgie. Kiedy to wreszcie nastąpi? Już mi się niedobrze robi od wdrapywania się tutaj co drugi dzień, na to samo zakazane miejsce, z tym starym platfusem, i rzygać mi się chce od tych jego gadek o tym, jak któregoś dnia przejdzie na emeryturę i spędzi resztę życia, grając w szachy.

Hadżdżi podniósł się, rozprostował nogi i popatrzył na Rostova i Ortmana, którzy stali na urwistym szczycie, wysoko ponad nimi.

— Abdul, może to będzie szybciej, niż myślisz.

— Jak szybko?

— Jutro wieczór, jeśli...

— Jeśli *co*?

— Jeśli Ortman zgodzi się wyjechać z nami. Jeśli zamieszki, które nasi ludzie rozpoczną jutrzejszego wieczoru, wyciągną na ulicę większość żołnierzy pilnujących kom-

pleksu Tzaddi Electronics. Jeśli Ortman zgodzi się zrobić to, czego od niego żądamy. Jeśli on i jego pięciu asystentów będą mogli wydostać się nie zauważeni. Jeśli przyniosą rzeczy, o które nam chodzi, kiedy będą wyjeżdżać. I jest jeszcze wiele innych *jeśli*, ale to już nie twój interes.

— Każdego dnia, ilekroć wybieram się tutaj na wspinaczkę — powiedział dr Helmut Ortman, stukając laską w kamienny mur — jestem sparaliżowany ze strachu przez te mówiące kamienie. Popatrz na nie, Viktorze. Co widzisz? Posłuchaj. Słyszysz coś?

Viktor Rostov spojrzał na Ortmana, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Chociaż Ortman miał już prawie siedemdziesiątkę i upłynęło sześć lat, odkąd widzieli się po raz ostatni, wyglądał na równie sprawnego fizycznie i przytomnego umysłowo jak zawsze. A tu nagle twierdzi, że jakaś kupa skał mówi do niego. Czyżby diody i tranzystory w umyśle geniusza zawodziły? Jak zdoła wykonać zadanie, dla którego tu przybył, jeśli Ortmanowi poprzepalały się obwody? Lepiej mu przytakiwać.

Rostov nie miał pojęcia, co powiedzieć, toteż zaryzykował niepewnie zgadywankę: — Historia? Tajemnice przeszłości?

— Brawo! — wykrzyknął Ortman. — Jacy mądrzy są ci archeologowie! Kamienie, które wydobyli z ziemi, do ciebie także przemawiają. Wczuj się w wiatr, który je smaga, zbliż się, posłuchaj! Słyszymy odgłosy bitew, które rozegrały się tysiące lat temu; słyszymy krzyki i widzimy w tumanach kurzu duchy starożytnych wojowników, którzy w tym właśnie miejscu walczyli i ginęli.

Ortman tupnął nogą. — Pomyśl, Viktor, pomyśl o tych potokach krwi, które wsiąkły w ziemię dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stoimy, posłuchaj, jak pluszczą pod naszymi stopami — znów uderzył laską w kamienie — bo tutaj, w tej odkopanej starożytnej fortecy nie opodal Megiddo — pokazał laską na południe — rozegrała się



bitwa pod Armageddon. A tam — znowu pokazał — są góry dawnej Samarii i góra Karmel, i jaskinie, gdzie żył kiedyś człowiek prehistoryczny i gdzie Eliasz...

Urwał w pół zdania i uśmiechnął się do Rostova. — Wybacz mi, Viktorze, daję się porwać, ilekroć przychodzę tu na górę. Ale przecież nie po to szedłeś taki kawał drogi, żeby usłyszeć wykład z historii albo wagnerowskie przedstawienie.

— Nie, Helmut, nie po to przyszedłem. Żałuję, ale nie mam na to czasu. Dziś wieczór muszę być z powrotem w Jerozolimie, a to daleko.

Ortman wyciągnął z kieszeni jednoszeklową monetę, podrzucił ją w powietrzu, schwycił grzbietem lewej ręki, a prawą ręką przybił. — Orzeł czy reszka?

Rostov uśmiechnął się szeroko. — Reszka. — Wróciły stare czasy.

Ortman odkrył prawą dłoń, zajrzał, uśmiechnął się i pokazał monetę Rostovowi. — Grasz białymi. Twój ruch.

— Pion hetmański na C 4.

— Aha, twój ulubiony debiut. Gambit hetmański. Nigdy nie mogłem cię pokonać, kiedy grałeś tym otwarciem; te wszystkie niezwyciężone piony maszerujące...

— W tym właśnie tkwi cała idea — rzekł Rostov. Oparł stopę na niskim murku i pokazał ręką na leżący poniżej nich w oddali kompleks zabudowań Tzaddi Electronics. — Stąd firma, w której pracujesz, nie wygląda tak imponująco, prawda? A to jeszcze nie jest przecież ta wysoka góra w Alpach włoskich, gdzie zawsze chciałeś zamieszkać, kiedy już zaoszczędzisz dosyć pieniędzy. Ani niepodobna jest do tego zdjęcia małej alpejskiej wioski koło Lugano, które zawsze mi pokazywałeś, gdzie mieszka twoja siostra — miejsca, o którym zawsze opowiadałeś; miejsca, gdzie przez resztę swoich dni będziesz siadywał za stolikiem na wioskowej *piazzy*, sącząc wino, patrząc na fontanny, słuchając akordeonów i skrzypiec i grając w szachy.

— Do czego zmierzasz, przyjacielu?

— Wciąż próbujesz zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby mogły ziścić się twoje marzenia?

— Co masz na myśli?

— Trzy miliony dolarów w gotówce, na numerowanym koncie w Bank of Switzerland w Zurychu.

Dr Helmut Ortman przez chwilę spacerował tam i z powrotem, potem stanął w plamie padających mu na plecy promieni późnopopołudniowego słońca i spojrzał na niego. Rostov przypomniał sobie, jak Ortman stale opowiadał tę starą, oklepaną szachową anegdotę o zasadzie Ruy Lopeza, który zawsze tak usadzał swego przeciwnika, żeby słońce padało mu prosto w twarz i oślepiało podczas gry.

— Viktor, kiedy byliśmy w Los Alamos, krążyły pogłoski, że nie byłeś — jak mawia się w tym kraju — całkiem koszerny. I że to dlatego FBI częstokroć wypytywało mnie o ciebie i robiło cienkie aluzje na temat naszej znajomości. Byłeś sowieckim agentem, prawda?

— Helmut, jesteśmy parą starych przyjaciół i nie zamierzam ci kłamać. Słusznie się domyśliłeś.

— Nigdy nie miałem pewności. Wciąż pracujesz dla nich?

— Nie.

— Więc dla kogo?

— Dla prywatnego przedsiębiorstwa, bo w dzisiejszych czasach tam są duże pieniądze.

— Co to znaczy duże? Ile zdołałeś odłożyć, jeśli mogę być tak niedyskretny?

— Do czasu moich czterdziestych urodzin w przyszłym roku będę miał w banku pięć milionów dolarów. Potem kupię sobie małą willę w Cannes, gdzie będę żył jak milioner, na jachcie pełnym dziewcząt — to znaczy wtedy, kiedy nie będę na przykład jeździł sobie na nartach albo podróżował do odległych zakątków o dziwnych nazwach. No, a co z tobą? Ile *tobie* udało się odłożyć?

— Nawet nie pytaj.



— Czy nie najwyższy czas rozejrzeć się za jakąś superokazją?

— Być może. — Ortman milczał przez chwilę, a potem powiedział melancholijnym tonem: — Kiedyś wysłałem list kondolencyjny wdowie po jednym z moich kolegów. W zeszłym miesiącu napisałem podobny list do rodziny innego dawnego przyjaciela. Dwa lata temu odeszła z tego świata moja druga żona. Wkrótce nie będzie już nikogo spośród tych, których znam albo kocham. Może rzeczywiście nadszedł czas, żebym pomyślał o swojej przyszłości... zanim będzie za późno... o ile już nie jest za późno.

— Nigdy nie jest za późno, stary.

Po następnej chwili milczenia Ortman zagadnął: — Trzy miliony? Wolne od podatków?

Rostov już wiedział, że go ma. Voros powiedział kiedyś, że wszyscy znakomici uczeni są naiwni jak dzieci.

— Tak samo wolne jak powietrze, którym w tej chwili oddychasz.

— O co ci chodzi? O POTH?

— O POTH.

— Tak właśnie myślałem. Wiesz, najlepszych osiem lat mojego życia spędziłem na badaniach nad nim i konstruowaniu go. Cały pomysł był mój, to jak dziecko mojego umysłu.

— Ile ci zapłacili za to dziecko twojego umysłu?

— Niewiele. Zwykła jałmużna jak na lata poświęceń i uczciwej harówki.

— Ile dostaniesz po zaprezentowaniu go w bazie Edwards w przyszłym miesiącu?

— O tym też wiesz?

— I o tym, i wszystko o tajnych próbach na pustyni Negev. Będą ci wypłacać honoraria za prawa autorskie, kiedy Pentagon przyzna już wszystkie te miliony dla Kompanii Deana i dla Tzaddi Electronics Industries?

— Kiedy w przyszłym tygodniu będą zgłaszane patenty, ja nie dostanę żadnego z nich. Koncepcja konstrukcji,

fototoniczny system operacyjny, schematy obwodów, które wymyśliłem i opracowałem, a nawet oprogramowanie, które napisałem — wszystko to należy do korporacji. Oczywiście mnie przypadnie zasługa skonstruowania urządzenia POTH, ponieważ to moje nazwisko i nazwiska moich pięciu kolegów widnieją na patentach. Ponieważ jednak tę pracę wykonywaliśmy *na zamówienie*, a naszym pracodawcą była korporacja, ona właśnie jest pełnoprawnym właścicielem patentów. Ja... my nie dostaniemy żadnych honorariów. Wszystko, na co możemy liczyć, to zwykłe pensje, opieka lekarska i hojna premia, którą Kompania MWD obiecała nam wypłacić.

— *Hojna premia?*

Ortman wydął usta ze złością. Utkwił wyłupiaste oko w Rostovie i spytał nagle burkliwym tonem:

— Ile z tego będą mieli moi koledzy?

— Pójdą na to?

— Jeżeli im powiem, że ubijam interes, będą chcieli także mieć coś z tego. Wszyscy myślimy podobnie. Wiemy, że nas nabrano. Główny księgowy korporacji powiedział mi w zaufaniu, że o ile Pentagon podpisze kontrakt z Tzaddi, i dopiero wtedy, kiedy to nastąpi, każdy z nich dostanie premię w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów, ja zaś dostanę czterdzieści, ponieważ jestem głównym projektantem i pomysłodawcą. — Ortman potrząsnął głową, odchrząknął, zrobił kwaśną minę i splunął. — Kupują nas i sprzedają jak sprzęty. Nasze pomysły, koncepcje, które tworzymy — dzieci naszego umysłu — są produktami, dzięki którym się bogacą. Jesteśmy jedynie częścią aktywów przedsiębiorstwa. M i D Deanowie przytransportowali nas tutaj jak maszynerię, którą kupujesz, sprzedajesz, wynajmujesz. Teraz dadzą nam na otarcie łez nędznych kilka zielonych. No więc dobra, pieprzę ich! Moi ludzie wchodzą w to, jeśli ja im tak powiem. A *tak powiem*, Viktorze, stary druhu! Ale zanim dam ci ostateczną odpowiedź, muszę obgadać z nimi całą sprawę.



— W porządku — powiedział Rostov. — Powiedz im, że jeśli wyjadą z tobą, jak tylko wylądujemy w Zurychu, każdy dostanie czterysta tysięcy dolarów. W gotówce.

— Amerykańskich dolarów?

— A są jakieś inne?

— Wolnych od podatku? — zaśmiał się Ortman.

— Ależ naturalnie — odrzekł Rostov, poklepując Ortmana po ramieniu.

— Jak unikniemy pościgu? W moim wieku nie mam ochoty spędzić reszty życia w izraelskim więzieniu.

— Zaręczam, że nie pójdziesz do więzienia. Wszystko zostało opracowane do najdrobniejszego szczegółu. — powiedział Rostov. — Nie musisz się o nic martwić. Wierz mi.

— Viktor, muszę znać wszystkie szczegóły. Jestem człowiekiem praktycznym. Muszę wiedzieć, jakie jest ryzyko. Jaką stawkę mogę przegrać? Ile zyskam? Jakim sposobem to wywieziecie? Wykonalność całego planu? Konsekwencje?

— Wszystko jest załatwione i nie będzie żadnych konsekwencji. To naprawdę całkiem proste. Jutro na dwie godziny przed zachodem słońca izraelska załoga wojskowa będzie bardzo zajęta, kiedy w pobliskich miasteczkach równocześnie wybuchnie tuzin rozruchów. Wezwą posiłki i większość ludzi pilnujących Tzaddi Electronics i kompleksu mieszkalnego zostanie wysłanych na pomoc.

Przy przepracowanej, kadłubowej obsadzie wartowników pełniących służbę nie ma nawet mowy, żeby znaleźli czas na zatrzymanie i przeszukanie twojego samochodu, bo będą zbyt zajęci rewidowaniem wszystkich, którzy idą na cosobotni wieczorny koncert do kibucu. Poza tym, *ty* jesteś głównym projektantem i masz najlepsze referencje i nienaganną opinię. Czy kiedykolwiek przedtem zatrzymano cię i rewidowano?

— Nie.

— To dlaczego martwisz się, że zatrzymają cię jutro

wieczór? Sprawdzą w komputerze, że zawsze o tej samej porze w soboty chodzisz na wieczorny koncert. Kiedy zobaczą, że Abdul wywozi równocześnie ciebie i twoich kolegów, nie będą niczego podejrzewali.

— A co będzie, jeśli jakimś nieszczęśliwym trafem zatrzymają nas jednak i zajrzą do bagażnika?

— POTH nie będzie w bagażniku. Będzie za twoimi plecami, schowany w tylnym siedzeniu. Jest łatwy do ukrycia i nie większy od walizkowego komputera.

— Zdumiewasz mnie, Viktorze. O tym także wiesz?

Rostov wzruszył ramionami i mówił dalej.

— Chcę mieć także wszystkie dane, wyniki prób na pustyni Negev, całe oprogramowanie i wszystko inne, co się z tym wiąże. Kiedy będziesz wyjeżdżał, zabierz ze sobą wszystko, co dotyczy POTH. Nie wolno ci zostawić żadnej teczki ani notatki. Innymi słowy, masz usunąć wszystko do czysta, żeby Tzaddi nie była w stanie zrobić kopii albo splagiatować oryginalnego urządzenia POTH i żeby nie miała żadnych danych ani szkiców wymaganych przy staraniu się o patenty.

Ortman podrapał się po karku, pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Dobrze, przemyślę to i przedyskutuję z kolegami. Ale jutro to za szybko. Dam ci znać w przyszłym tygodniu.

— Przyszły tydzień to za późno. Wszystko już jest przygotowane. Wydaliśmy wiele tysięcy na zorganizowanie zamieszek. Ty i twoich pięciu kolegów wyjedziecie ze mną jutro tuż po zachodzie słońca, przemycimy cię przez granicę, a potem polecimy do Zurychu po pieniądze. Jutro wieczór, Helmut, albo umowa nieważna.

— Jak przemycisz nas przez granicę? I... mam jeszcze sto innych pytań, na które muszę znać odpowiedź, zanim się zdecyduję.

— Musisz mi zaufać, Helmut. Jesteś moim przyjacielem. Nie pozwoliłbym, żeby coś ci się stało. Moi ludzie potrzebują cię, żebyś im wytłumaczył, jak budować i jak obsługiwać POTH-a. Tak naprawdę to mogą nawet dać ci roczny angaż za sześciocyfrową sumę, żebyś udzielał im konsultacji. I jestem pewien, że jeśli ich poproszę, urządzą ci pracownię badawczą na szczycie tej twojej góry, gdzie będziesz mógł radośnie majstrować sobie i wymyślać nowe elektroniczne systemy obronne, za które przy okazji przyzwoicie ci zapłacą, a nie będą wynajmować jak braną w dzierżawę maszynę.

Ortman odwrócił się, spojrzał w dół na kompleks Tzaddi Electronics, przeżuwał to przez kilka minut, kołysał się to w przód, to w tył na piętach, trącając laską starożytne skały, potem obrócił się szybko z uśmiechem.

— Więc jutro o siódmej? — zapytał Rostov.

— Oczywiście. Gdzie się spotkamy?

— Hadżdżi powie Abdulowi, gdzie cię ma zawieźć. Przy okazji, muszę poprosić cię, żebyś zrobił dla mnie coś jeszcze. Nie wyniesiesz nic poza POTH-em i materiałami z nim związanymi. Żadnego bagażu, żadnych toreb, żadnych walizek. Ani nawet szczoteczki do zębów, brzytwy czy dodatkowej pary skarpet. Dostarczymy ci wszystkiego, czego będzie ci trzeba. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

Rostov wyciągnął do niego rękę.

Ortman chwycił jego dłoń, wymienili uścisk, a potem przeszli przez mur starodawnej fortecy i zeszli ze wzgórza. Ortman, na przedzie, wskazywał drogę.

# 5

GIVAT TZADDI
25 kilometrów na południe od Hajfy, Izrael
Środa, 28 lipca, 23.03

Abdul Sayid wspiął się na strome wzgórze ze zręcznością młodego kozła uganiającego za kozicą. Na szczycie, drżąc z niecierpliwości i czekając, aż rozejdzie się chmura przesłaniająca poświatę księżyca, miał wielką ochotę użyć małej latarki halogenowej. Ale zaraz spojrzał na widoczny w oddali kompleks budynków Tzaddi Electronics i odłożył ją. Nie miał odwagi jej zapalić.

Abdul był kiedyś wewnątrz bunkrów wartowni w Tzaddi i widział potężne lunety celowników noktowizyjnych Rafael i kilka laserowych radarów poszukujących, i dalmierzy używanych przez Izraelczyków do obserwacji okolicznych wzgórz i pastwisk. Hadżdżi ostrzegł go, żeby się nie narażał. Roczna praca i cały interes poszłyby na marne, gdyby Abdul dał się złapać, albo gdyby zorientowali się, co było na górze, zanim zdąży to odnaleźć.

Kiedy księżyc wzeszedł, Abdul ukląkł przy murze starożytnych ruin, gdzie pięć godzin temu rozmawiali Ortman i Rostov, i namacał palcami szczeliny pomiędzy kamieniami. Gdy trafił na pierwszy miniaturowy mikrofon, wyrwał go i zaczął iść wzdłuż muru, zwijając przewód, aż znalazł następny. Kiedy odzyskał już wszystkich sześć mikrofonów, które Hadżdżi kazał mu tu założyć, wydobył z ziemi uruchamiający się na dźwięk głosu magnetofon, zakopany uprzednio w wodoszczelnym plastikowym pudełku w odległym kącie murów obronnych, włożył to wszystko do plecaka i odszedł.



W jakiś czas potem, powróciwszy do kępy krzaków przy nieasfaltowanej drodze, gdzie ukrył motocykl marki Honda, wyciągnął magnetofon, usiadł na ziemi po turecku, przewinął taśmę i wcisnął przycisk odtwarzania. Przez pierwszych sześć minut nie było słychać nic poza krzykami ptaków, szelestem, czymś, co brzmiało jak syk żmii, oraz grzechotem żwiru i piasku niesionego wiatrem. Nagle pojawiły się głosy. Przyłożył magnetofon do ucha i nawet nie drgnął, wsłuchując się w każde słowo. Kiedy przesłuchał już całą taśmę i przewinął ją, przyszło mu do głowy, że uczyni go ona człowiekiem bogatym. W sekundę później serce załomotało mu w piersi, a ręce zaczęły się trząść.

W ciągu roku, kiedy Abdul przebywał w kompleksie Tzaddi Electronics, mieszkając w domku Ortmana niedaleko laboratoriów, zdążył znienawidzić każdą minutę swojego tam pobytu. Nienawidził odgrywania roli głupkowato uśmiechniętego pajaca, kiedy pracował dla Ortmana i obwoził go po okolicach; nienawidził jego nudnego ględzenia o rzeczach, które nic go nie obchodziły; nienawidził słuchania Wagnera dzień i noc na okrągło, gdy Ortman uczył go doceniać wartości tkwiące w wielkiej operze albo gdy dawał mu lekcje gry w szachy. Abdul nienawidził jeszcze pewnych innych rzeczy, ale łatwiej mu przychodziło się z nimi pogodzić, bo niektóre były nawet przyjemne.

Z wyjątkiem wtorków i świąt muzułmańskich, kiedy to miał wychodne i jeździł na swojej Hondzie po całym Izraelu, Abdul czuł się jak jeden z ośmiuset niewolników należących do szejka. Szejkiem był Rashid ibn-Nasir, potentat naftowy, dla którego ojciec Abdula pracował w Abu Dhabi jako księgowy.

Lecz Abdul nie był podobny do żadnego z niewolników szejka. Miał pieniądze w banku. I tych dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w markach w hamburskim banku wystawiało jego cierpliwość na próbę. Co tydzień, gdy wysyłał Hadżdżiemu taśmy z zapisem rozmów telefonicznych Ortmana i „mózgowych" dyskusji, które uczony prowadził

z asystentami w domu, gdzie Abdul pozakładał podsłuch we wszystkich pomieszczeniach, marzył o tym wszystkim, co będzie mógł robić, mając tyle pieniędzy, i często mówił swojemu przyjacielowi Madfie, że nie może już doczekać się chwili, gdy zacznie je wydawać.

Teraz, po przesłuchaniu taśmy, Abdul był przekonany, że jego plan się powiedzie. Był tego tak pewien, iż postanowił powiedzieć Hadżdżiemu, że magnetofon się nie włączył i nie ma żadnego nagrania. W każdym razie o tej taśmie Hadżdżi *nigdy* się nie dowie, bo to, co jest na niej, jest gwarancją, że Abdul będzie bogaty ponad swoje najśmielsze oczekiwania.

W tym starannie obmyślonym planie przechytrzenia Hadżdżiego była tylko jedna rzecz, której Abdul żałował: nie ośmieli się pojawić w pobliżu pieniędzy, które miał złożone w Hamburgu, ponieważ ludzie Hadżdżiego z pewnością by tam na niego czekali. Cóż, może za jakiś rok pojedzie do banku i wyciągnie je. Ale po co zaprzątać sobie tym głowę? Tylko głupiec troszczyłby się o wypłatę bzdurnych paru tysiączków Hadżdżiego, kiedy można dostać przynajmniej milion od kogoś innego... od człowieka, z którym spotka się o 3.00 nad ranem. Za parę godzin.

*O dziewiętnaście kilometrów od plaży. Ruszaj. Nie możesz sobie pozwolić na spóźnienie.* Abdul zapiął kurtkę, dopiął kask i kopnął starter Hondy. Plastikowa osłona wypełniona watą szklaną, którą założył na rurę wydechową, znacznie stłumiła hałas, ale i tak był dosyć głośny. Zawsze było niebezpieczeństwo, że jakiś izraelski patrol może go usłyszeć. Warkot silnika, a nawet cichy, precyzyjnie zduszony pomruk, jaki wydawał jego motocykl, niesie w pogodną noc na pół kilometra. W taką noc, jak teraz. Abdul wiedział to. Przez ostatnie cztery tygodnie zaplanował wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Odmierzył tę odległość krokami, podczas kiedy jego przyjaciel Madfa trzymał Hondę na zapalonym silniku i pełnym gazie.

Krótko przed północą Abdul dotarł do odległej plaży,



dziesięć kilometrów na południe od Hajfy. Znał już ten teren bardzo dobrze. Przez ostatnie trzy miesiące spędzał tu wszystkie wtorki i święta muzułmańskie, kręcąc się w pobliżu, i znał go równie dobrze jak wybrzeże Zatoki Omańskiej poniżej klifów gór Hadżar. Dopchawszy motocykl do kryjówki, porośniętego krzakami jeżyny parowu, który prowadził do pięciometrowej szerokości nyży w piasku — nyży, którą wykopał przed paroma tygodniami — pobiegł na plażę cofając się i zacierając pokrytą listowiem gałęzią ślady na piasku. Potem przykucnął za zbitą kępą wodorostów i spojrzał na zegarek.

W kwadrans później poprzez rytmiczny plusk przyboju posłyszał dźwięk. Zbliżał się jeep patrolu straży przybrzeżnej. Kiedy zatrzymał się na drodze biegnącej równolegle do plaży, Abdul znieruchomiał w ciszy. Podczas gdy antena radaru na ramie jeepa obracała się wokół, a kierowca usiadł, obserwując ekran, drugi z Izraelczyków stanął za przednią szybą i spoglądał przez noktowizor, omiatając wzrokiem plażę, fale przyboju, wody przybrzeżne i cały akwen morza aż po horyzont.

Kiedy odjechali, Abdul zlazł do parowu, rozebrał się, założył strój kąpielowy i kompas na rękę, wetknął halogenową latarkę do kieszeni, sprawdził plecak, żeby upewnić się, czy magnetofon jest dokładnie zamknięty w wodoszczelnym pudełku, umocował plecak na grzbiecie, a potem wyciągnął czarną, zrobioną z włókien szklanych deskę do windsurfingu. Rozpiął na maszcie czarny żagiel z dakronu, wybrał szot, aż żagiel wyprężył się na plastikowym bomie, i zaniósł deskę nad wodę. Potem zepchnął ją i wskoczył, jak to robił setki, nie, tysiące razy, począwszy od czasów, kiedy był dwunastoletnim chłopcem i żeglował na desce windsurfingowej po Zatoce Perskiej — a potem, kiedy był starszy i pływał na pokaźniejszych, krótszych i zaopatrzonych w większe żagle po Zatoce Omańskiej.

W kilka chwil później ślizgał się już szerokimi zakosami, pędzony lekką bryzą, która — jak odkrył — zawsze wiała

od strony góry Karmel, kiedy ziemia stygła, chociaż wiatry tu nawet w przybliżeniu nie były tak silne, jak w Zatoce Omańskiej powyżej strzelistych gór Hadżar.

O trzeciej, kiedy był już piętnaście mil od brzegu, dojrzał go. Wolno płynący, kabotażowy frachtowiec *Athene*, kierujący się z Aten na południe w regularnym, codwumiesięcznym rejsie do Hajfy. Dwa bomy ładunkowe. Jasno oświetlony.

Wziął namiar na odległe światła Hajfy i latarnię na górze Karmel i sprawdził czas. Punktualnie o 3.10 skierował słup światła z halogenowej latarki na frachtowiec, a potem gasił ją i zapalał na przemian przez jedną minutę. Po minucie znów powtórzył sygnał.

Czerwone światło na lewej burcie frachtowca mignęło dwa razy. Sygnał odebrany. Uwaga. Za dwie minuty. Zaraz nadpłynie ślizgacz, z ciemnym przedmiotem na holu. Dmuchaną łodzią sportową wyposażoną w pokryty specjalną warstwą silnik zaburtowy o mocy 50 koni mechanicznych. Wszystko, co było pokryte tą warstwą, nie dawało się wykryć radarem.

Abdul zdziwił się, kiedy zobaczył, że mężczyzna jest sam. Dobry znak. Teraz nie miał wątpliwości, że będzie gotów zapłacić za urządzenie POTH i Ortmana co najmniej milion dolarów. Nie, zażąda dwóch milionów dolarów. Wtedy będzie podwójnym milionerem, jeszcze zanim osiągnie dwudziesty piąty rok życia. Co by zrobił, gdyby tak zażądać tych dwóch milionów? Na pewno by się nie wycofał. Zapłaciłby z przyjemnością. Poza tym stać go było na to. Co do tego Abdul był pewny.

Człowiekiem w nadpływającej łodzi był bowiem Fahad ibn-Nasir, brat szejka Rashida ibn-Nasira, potentata naftowego i multimilionera, który w swoim szejkanacie miał osiem szybów.

Trzydziestoletni Fahad był czarną owcą w rodzinie. Był wprawdzie szejkiem, ale biednym, ponieważ w jego nieurodzajnym, w większej części nie zamieszkanym szejkanacie



w górach Hadżar nie było szybów naftowych. Tych nędznych parę milionów, które posiadał, zarobił na szmuglowaniu Pakistańczyków do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, wielu spośród których sprzedał szejkom i emirom w Arabii Saudyjskiej albo właścicielom burdeli w Iraku, Bahrajnie, Katarze i Omanie, którzy zamieniali ich w niewolników. Ponieważ płacił łapówki szejkom, których „siły morskie" patrolowały Zatokę Perską i Zatokę Omańską, i nie próbował konkurować z handlarzami narkotyków i przemytnikami otwarcie działającymi w cieśninie Ormuz, znanej również pod nazwą Wybrzeża Piratów, pozwalano arabskim *dau* Fahada, małym przybrzeżnym statkom, i szybkim łodziom motorowym swobodnie przepływać.

Kiedy Abdul Sayid miał dwanaście lat, uznał szejka Fahada ibn-Nasira za swojego idola, ponieważ Fahad, wówczas osiemnastolatek, zaprzyjaźnił się z nim i nauczył go wszystkiego na temat żeglarstwa, co sam umiał. Fahad miał swoje powody, dla których nawiązał przyjaźń z młodym Abdulem, którego nazywał „Braciszkiem", i z tych samych powodów ofiarował Abdulowi jego pierwszą deskę do windsurfingu. Chciał zdobyć zaufanie ojca Abdula, który prowadził księgi rachunkowe starszego brata Fahada — Rashida. Fahad nienawidził Rashida i chciał wiedzieć wszystko, co się da, o jego interesach. Miał nadzieję, że od ojca Abdula dowie się pewnych sekretów... Ale ojciec Abdula nie zdradziłby swojego pracodawcy...

W ten sposób już w tak młodym wieku zaczynały przejawiać się zdolności Fahada do chytrych podstępów i jego gorąca ambicja zrobienia milionów.

Teraz, w dwanaście lat później, szejk Fahad ibn-Nasir, choć nawet w jednej setnej nie tak bogaty jak jego brat, król nafty, wciąż próbował.

— Niech Allach będzie pochwalony — powiedział Fahad w ich ojczystym dialekcie, kiedy Abdul wszedł na pokład łodzi motorowej. — Udało ci się, Braciszku.

Zaczynałem się już martwić o ciebie, gdy płynąłeś tak daleko na desce surfingowej... Dzięki ci, Allachu, że izraelski radar nie może wykryć plastikowych łodzi.

W świetle księżyca Fahad wyglądał o wiele starzej, niż go zapamiętał Abdul. Rysy mu stwardniały i miał jakieś znamię bezwzględności, zwłaszcza w oczach. Jak to możliwe, żeby człowiek zmienił się tak bardzo w tak krótkim czasie? Upłynęły zaledwie dwa lata, odkąd widział go po raz ostatni.

Abdul wychylił się za burtę, odepchnął deskę surfingową, żeby mogła zdryfować na pełne morze, ponieważ nie zamierzał jej już używać, i uściskał Fahada.

— Potrafię zatroszczyć się o samego siebie, Fahadzie. Porywiste *sharqui* nie wieją tutaj tak jak na omańskim wybrzeżu.

Zdjął plecak, rozpiął go i wyjął magnetofon.

— Kiedy w zeszłym tygodniu zatelefonowałem do ciebie do Aten, powiedziałem, że będę miał dowód na taśmie — no i mam go.

— Nigdy w to nie wątpiłem, Braciszku.

Abdul uśmiechnął się szeroko. — Wiem, że nie wątpiłeś. Przywiozłeś gumową łódź, o którą prosiłem, a to dowód, że mi wierzysz. I przebyłeś kawał drogi z Grecji na tym frachtowcu tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć... Poniosłeś wiele kosztów.

— Niezupełnie, Abdul. Jestem właścicielem tego frachtowca i jeszcze trzech takich samych, i tak czy inaczej jutro rano mam interes do załatwienia w Jaffie, więc nie poniosłem żadnych wydatków ani nie zboczyłem z drogi, żeby się z tobą zobaczyć. — *Zminimalizuj wagę tego. Zmuś sprzedającego do przyjęcia postawy obronnej. Stary szejk kazał sobie płacić nabywcom swoich wielbłądów nawet za pchły.*

— Przywiozłeś ponton — a to spory wydatek...

— Przejdź do rzeczy, Abdul. Muszę dogonić frachtowiec i wrócić na pokład, zanim odpłynie za daleko. Puść taśmę.



— Najpierw musimy ubić interes.

— Nie powiedziałem, że się tobą zajmę, Braciszku? Czy nie jesteśmy sobie równie bliscy jak prawdziwi bracia? Czy mógłbym cię oszukać? Czyżbyśmy nie ufali sobie wzajemnie...?

Wyciągnął rękę po magnetofon, ale Abdul zabrał mu go sprzed nosa.

— Najpierw interes.

— Daj mi posłuchać kawałek. Jak dotąd na żadnej taśmie, którą mi przysłałeś, nie było niczego, co miałbym ochotę kupić. Jeśli jednak na tej jest Ortman, jak mówisz, przyjmujący ofertę Rostova, to porozmawiamy o pieniądzach.

— Zanim pozwolę ci posłuchać tego, musisz zgodzić się zapłacić mi dwa miliony dolarów.

— *Dwa miliony?* — Oczy Fahada rozszerzyły się, a przez twarz przemknął mu uśmieszek. — Powiem ci, że masz tupet, chłopie. Coś takiego, gdzieżeś się wychował? Kto cię nauczył takiego zuchwalstwa?

Abdul uśmiechnął się. — Ty. Ty mi powiedziałeś, żebym nigdy nie bał się żądać pieniędzy, i żebym miał dość ikry, by żądać dużych pieniędzy, kiedy wiem, że to, co mam, jest wiele warte. Powiedziałeś to tamtego dnia, kiedy sprzedałeś dwie pakistańskie dziewczyny temu skurwysynowi z Sharji, *pamiętasz?*

Fahad uśmiechnął się na wspomnienie tamtych zdarzeń i zrobił cierpiętniczą minę.

— To tak mi się odpłacasz za moje nauki? Czy uczeń musi wyłupać teraz oczy nauczycielowi i pozbawić go ostatniego kawałka chleba? No dobrze, niech już będzie. Jeśli taśma mnie przekona i rzeczywiście będziesz w stanie dostarczyć system POTH i sześciu ludzi, którzy go zaprojektowali i zbudowali, z radością zapłacę ci milion dolarów, Braciszku.

— Milion osiemset tysięcy — powiedział Abdul.

— Milion dwieście tysięcy...

— Milion sześćs...

— Półtora miliona, i to moje ostatnie słowo.

Abdul spojrzał mu w oczy, poczuł kołysanie morza pod kadłubem ślizgacza, usłyszał chlupot fal i przełknął słoną ślinę w gardle. *Mówi poważnie. Jeśli będę za bardzo naciskał, zacznie się opierać. Półtora miliona to kupa forsy. Można żyć z tego jak król. I mieć swój harem.*

— W porządku — powiedział Abdul — dobiliśmy targu.

Włączył magnetofon, wcisnął szybkie przewijanie, aż usłyszał głosy, cofnął na początek i podał go Fahadowi.

— Ten facet, z którym rozmawia dr Ortman, to Viktor Rostov. Jest sławnym fizykiem i działaczem antynuklearnym, którego pokazywali we wszystkich dziennikach telewizyjnych. To wszystko, co o nim wiem. On jest tym facetem, dla którego pracuje Hadżdżi.

W miarę jak Fahad słuchał, oczy zwężały mu się coraz bardziej i zaczął patrzeć na Abdula jak na człowieka, który stoi w obliczu bajecznych ukrytych skarbów i wie, że są już prawie jego.

Kiedy przesłuchał całą taśmę i przedyskutowali parę innych spraw, Fahad pokazał Abdulowi, jak obsługiwać specjalny silnik pontonu i jak wypuścić kółka na rufie, które umożliwią jednej osobie przeciągnięcie ciężkiej łodzi przez plażę do kryjówki. Potem Fahad dał Abdulowi mały wodoszczelny pojemnik zawierający miniaturowe radio UKF, urządzenie do nawigacji satelitarnej i dodatkowe baterie. Miał nie używać radia do kontaktowania się z *Athene* z wyjątkiem nagłego niebezpieczeństwa, i to tylko wówczas, gdy byli w promieniu trzech mil, które radio obejmowało swoim zasięgiem.

SatNav miał poprowadzić Abdula do punktu spotkania, pięćdziesiąt mil morskich w głąb Morza Śródziemnego. Żywiono nadzieję, że jest to już poza zasięgiem izraelskich nabrzeżnych stacji radarowych. Konieczne było wypłynięcie tak daleko na wypadek, gdyby silnik pontonu został jednak wykryty, co mogłoby się zdarzyć, jeśli specjalna



powłoka polimerowa Stealth oblazłaby od gorąca i słonej wody. Gdyby polimerowa powłoka straciła zdolność absorbowania fal radarowych i zaczęła je odbijać, izraelski radar mógłby ich wykryć.

Wreszcie, pokazawszy Abdulowi, jak przy użyciu Sat-Nava kierować się do umówionego miejsca spotkania, Fahad uściskał go i ucałował w oba policzki.

— Braciszku — powiedział, wydrapując się z pontonu i wsiadając na pokład ślizgacza — raduje się moje serce, kiedy wiem, że obaj staniemy się bardzo bogaci. *Athene* będzie w punkcie spotkania jutro rano około trzeciej. Pamiętaj, SatNav poda ci właściwy kurs i poprawki na dewiację i dryf, a także wskaże, ile mil morskich dzieli cię od miejsca spotkania. Niech Allach będzie z tobą i poprowadzi cię.

Odwiązał linę holowniczą od polera na rufie ślizgacza, sklarował ją i cisnął buchtę na dziób pontonu Abdula.

— *In'shallah* — powiedział Abdul, kiedy obie łodzie zaczęły dryfując oddalać się od siebie. Zapuścił silnik pontonu, wrzucił bieg i powoli zatoczył koło wokół Fahada, potem pokiwał mu ręką i wziął kurs na brzeg.

Przez kilka chwil Fahad przyglądał się, jak Abdul prędko odpływa, potem chwycił lornetkę i dalej patrzył, jak kieruje się do brzegu. Z wyjątkiem kilwateru, który wyglądał w świetle księżyca jak fosforyzująca wstążka, ciemnoszara łódź Hypalon była trudno dostrzegalna. Miał nadzieję, że będzie równie niewidoczna dla izraelskiego radaru i że jutro o tej samej porze będzie nadal niewidoczna.

POTH. Równie mały jak mój walizkowy komputer Zenith, coś takiego.

POTH: *przenośny, pozahoryzontalny przetwornik sygnałów radarowych*. Szerokopasmowość, niesłychane. Widzi poza horyzontem, niesłychane. Fantastyczne. Naprowadza się na każdy myśliwiec i bombowiec typu Stealth. Może unicestwić każdy odrzutowiec wojskowy i pasażerski. Kon-

troluje przestrzeń powietrzną. Przestrzeń powietrzną zamienia w drugą cieśninę Ormuz. To się w głowie nie mieści. Każdy kraj muzułmański zapłaciłby miliony, gdyby dowiedział się, że może na pięćdziesiąt mil katapultować pilotów, a odrzutowce strącać w płomieniach. Zbudować fabrykę w górach Hadżar. Tajną fabrykę. Zatrudnić dwustu techników palestyńskich do pracy w fabryce. Ci naukowcy będą dla mnie warci miliony, *miliardy*! Potem kupić willę na Hollywood Hills. Drugą na Riwierze. Muszę mieć armię do pilnowania mojej fabryki. Trzeba nająć i wyszkolić dalszych tysiąc Jemeńczyków. To dobrzy żołnierze. Zatrudnić jordańskich pilotów. Doskonali piloci myśliwscy. I trzech pilotów helikopterów do moich nowych Boeingów LHX Sikorsky. Są lojalni, jeśli im się dobrze zapłaci.

Elektroniczny przemysł zbrojeniowy, nazywają go EPZ. A także ELINT, elektroniczne coś tam, interferencja? Nieważne. Niewiele pamiętam z czasów politechniki. Powinienem był bardziej się przykładać, kiedy chodziłem tam jako student. Nie ma znaczenia, teraz wykorzystuję umysły innych ludzi. Nazwę moją górę *Silikon. Góra Silikonowa.* Podoba mi się. Tak, tak właśnie nazwę moją fabrykę.

Żeby tylko Braciszek to dostarczył. Mózgi tych ludzi są dla mnie warte miliardy! Miliardy. Kiedy wezmę ich do pracy w mojej fabryce, wyciągną dla mnie więcej niż brat Rashid wyciąga ze swoich szybów naftowych. Moja fabryka na Górze Silikonowej.

Szejkowie, moi zachłanni bracia, zapłacą za to, co mi zrobili, wypędzając mnie z Al Asard City jak jakiegoś zwykłego Palestyńczyka. Zobaczą jeszcze, że dotrzymam przysięgi danej Allachowi i zmuszę ich, żeby czołgali się przede mną na brzuchu jak wielbłądy... I będę się śmiał, kiedy będą błagać mnie o litość, i będę się śmiał, kiedy będą całować moje stopy i płacić mi miliony i miliony za opiekę!

Fahad zaczekał, aż Abdul zniknie w gęstej zasłonie nocy, zanim zapalił silnik ślizgacza.



Oszołomiony ogromem tego, co zamierzał dokonać, Fahad spojrzał w gwiazdy i krzyknął: „Niech będzie Allach pochwalony!" Potem wyruszył w ślad za swoim frachtowcem, który znajdował się już w odległości pięciu mil od niego...

# 6

EL YALUQ
Arabskie miasteczko o 10 kilometrów
na północ od Givat Tzaddi
Sobota, 29 lipca, 14.10

Głos Hadżdżiego przez radiostację zabrzmiał wrogo, gdy Abdulowi w końcu udało się nastroić ją na właściwą częstotliwość.

„Cóż takiego pilnego się wydarzyło?" — zapytał po arabsku. — „Mówiłem ci, żebyś nigdy się ze mną nie łączył, chyba że wyniknie jakiś poważny problem."

„Hadżdżi, to poważne."

„Gdzie jesteś, ty i cała reszta?"

„Tu, u Qaboosa."

„Mogą nas podsłuchiwać?"

Abdul odwrócił się twarzą do czterech Arabów siedzących w kucki w odległym kącie pokoju. W innej części domu ryczał telewizor. Na ulicy przed domem, w upale powyżej 116 stopni Fahrenheita, dzieci wrzeszczały i bawiły się w inwazję kosmitów. W kojcu za domem piał kogut. Szaleńcze wibracje kolumn głośnikowych z podkręconym basem w pokoju na piętrze trzęsły sufitem ponad ich głowami.

„Nie jestem pewien" — odpowiedział Abdul. — „Mam wyjść na zewnątrz?"

„Nie. I tak sąsiedzi wiedzą już o nas za dużo. Spróbuj ściszyć nadajnik."

Abdul spojrzał na rząd przycisków w radionadajniku, który trzymał w ręce, i podrapał się po głowie: „Nie wiem, który to przełącznik."



„Daj sobie spokój" — powiedział Hadżdżi. — „Co się nie udało? Co to za nagły wypadek?"

*Było już tak blisko, a teraz się wymyka. Musisz być teraz sprytny. Naprawdę sprytny.*

„Dr Ortman i jego pomocnicy zamierzają przechytrzyć Rostova. Kiedy zeszłej nocy wróciłem z wyprawy po taśmę, byli wszyscy w domu na naradzie..."

„Masz to?" — zapytał Hadżdżi.

„I tak, i nie. Mam taśmę, ale nic na niej nie ma. Czujnik głosu w mikrofonie musiał być nastawiony na zbyt małą rozdzielczość. Nagrał się szum wiatru, głosy ptaków i syk. Nic więcej. Prawdopodobnie taśma skończyła się już, kiedy tam przyszli."

Abdul przetarł twarz wierzchem dłoni i odegnał muchy, które łaziły mu po szyi i czole.

„Co planuje Ortman?"

„Musiałem przesłuchać nagrania z trzech godzin, żeby to znaleźć. Dopiero co skończyłem i..."

„Przejdź do rzeczy, Abdul. Streszczaj się..."

Abdul zaczął obficie się pocić. Oczy go piekły. W pokoju było pełno gęstego dymu, który wydobywał się z paleniska na węgiel drzewny w sąsiednim pomieszczeniu, gdzie na ruszcie piekły się ponadziewane na rożny i ociekające oliwą szaszłyki.

„Koledzy Ortmana zgodzili się na wszystko, czego chciał od nich Rostov. Długo spierali się co do wysokości sumy, którą im zaproponował. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że to mało i że muszą dostać więcej. Ktoś, zdaje mi się, że Ortman, powiedział, że powinni spróbować wejść w układ z kimś innym i zażądać przynajmniej piętnastu milionów dolarów. Pięciu dla Ortmana i po dwa dla każdego z jego ludzi."

„Padły jakieś nazwiska?"

„Nie. Tylko moje. Mają zamiar pozwolić mi wywieźć się dziś wieczór i będą udawać, że współpracują. Kiedy dowiozę ich tam, gdzie przypuszczają, że mam ich dowieźć —

zdaje się, że nie wiedzą, iż jedziemy w górę wybrzeża na tę plażę niedaleko granicy w Rosh Haniqra — mają zamiar zostawić mnie i odfrunąć na własną rękę z POTH-em i całym jego wyposażeniem."

„Masz to na taśmie?" — spytał Hadżdżi.

„Tak. Jest coś jeszcze. Ortman i pozostali będą wieźli ze sobą całą dokumentację i wszystkie notatki będące częścią tajnego projektu, nad którym pracują."

W głosie Hadżdżiego w słuchawce radionadajnika pojawiły się piskliwe nuty, kiedy zapytał: „Jesteś absolutnie pewien, że tak właśnie powiedzieli?"

„Tak. Zabierają POTH, oprogramowanie i całą resztę. Wszystko jest przez Ortmana dopięte na ostatni guzik i gotowe do wywózki dziś wieczorem. Będą mieli ze sobą nesesery z rzeczami osobistymi. Paszporty, pieniądze, karty kredytowe. I broń."

„*Broń?*"

„Tak, rewolwery, w neseserach."

„Daj mi Qaboosa."

Abdul odwrócił się i skinął na jednego z czwórki Arabów kucających przy ścianie niedaleko otwartych drzwi, jedynego miejsca w pokoju, gdzie powietrze nie było tak gęste, a much było nieco mniej. Qaboos, kościsty Palestyńczyk ze spojrzeniem twardym jak kamienie, którymi jego dziesięcioletni syn za poduszczeniem ojca rzucał w izraelskich żołnierzy, wstał, podszedł do Abdula i wziął od niego słuchawkę.

„*Ahlan*. Hallo, tu Qaboos."

„*Salam*, Qaboos. Abdul będzie dziś wieczorem potrzebował twojej pomocy. Abdul? Słyszysz mnie, Abdul?"

„Tak" — odpowiedział Abdul. Stał tuż obok niszy w ścianie, gdzie przenośna radiostacja ukryta była za obluzowanym blokiem betonu. W tej chwili kabel zasilania podłączony był dwoma krokodylkami do samochodowego akumulatora. Akumulator stał na podłodze pod niszą.

Hadżdżi mówił dalej: „Qaboos, chcę, żebyś dziś wieczór



o 19.00 czekał na Abdula około dwa kilometry od Givat Tzaddi na zakręcie drogi, w miejscu, gdzie przecina ona nową zaporę irygacyjną..."

„Znam to miejsce" — powiedział Qaboos.

„Ja też" — dodał Abdul.

„Dobrze. Qaboos, weź ze sobą trzech ludzi, ale mają pozostać niewidoczni i przyjść ci z pomocą tylko na wypadek kłopotów. Masz jakieś kajdanki?"

„Nie" — odrzekł Qaboos. — „Tylko plastikowe taśmy do pakowania. Mamy ich pełno."

„To bardzo dobrze. Masz wciąż jeszcze ten izraelski mundur?"

„Taa."

„Załóż go. Miej go na sobie, kiedy zatrzymasz furgonetkę Abdula, żeby niewierni myśleli, że jesteś izraelskim sierżantem, potem odbierz im broń i zwiąż im ręce z przodu. Chcę, żebyś im związał ręce z przodu w ten sposób, żeby wyglądało to naturalnie, kiedy będą jechać furgonetką. Zrozumiałeś?"

„Taa. Co potem?"

„Znasz tę plażę nad granicą libańską?"

„Tę na południe od Rosh Haniqra, z której korzystaliśmy ostatnim razem?"

„Tak. Tam właśnie pojedziesz. Ty i Abdul zawieziecie tam tych sześciu niewiernych. Sądzisz, że we dwójkę poradzicie sobie bez pomocy twoich ludzi?"

„Żaden problem — powiedział Qaboos."

„Oby nie było żadnego" — rzekł Hadżdżi. — „Zakładnikom nie może się stać żadna krzywda, więc odpowiadasz za nich głową. Są warci tysiąc takich jak ty. Rozruchy na tyłach odciągną Izraelczyków. Jeśli nawet was zatrzymają, może nie będą sobie zawracać głowy dokładną rewizją, gdy zobaczą ciebie w mundurze siedzącego razem z tamtymi w furgonetce.

Przy okazji. Nie chcę, żeby Palestyńczycy jechali z tobą. Zresztą i tak nie zmieszczą się w furgonetce, więc odeślij ich, jak tylko opanujesz sytuację.

A teraz słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał po raz drugi. Jutro punktualnie o 4.00 rano będzie ostrzał artyleryjski na granicy. To twoja osłona. Dywersja. Zorganizowaliśmy to tak, żebyś mógł przepłynąć na silniku tym wielkim pontonem i nie dał się złapać albo zmieść z powierzchni wody. Powinieneś przekroczyć nim granicę i być w Libanie w pięć minut, o ile będziesz około sześciu mil od wybrzeża i zaczniesz płynąć na silniku natychmiast, jak tylko usłyszysz wybuch pierwszego pocisku z haubicy.

I zapamiętaj, najważniejsze ze wszystkiego jest to: jeśli wpadniesz w kłopoty, tych sześciu ludzi to twoi zakładnicy. Są dla nas niesłychanie ważni, więc ruszaj głową, nie rób żadnych głupstw i miej ich dobrze na oku, a także pilnuj dobrze POTH-a.

Spotkam się z tobą w Ras el Baiyada jutro o 9.00 rano. Potem pojedziemy do Bejrutu i razem odlecimy z Libanu."

*2 kilometry na zachód od Givat Tzaddi*
*Sobota, 29 lipca, 19.10*

Kiedy Abdul ujrzał Qaboosa w mundurze armii izraelskiej, stojącego na drodze przy nowo budowanym systemie irygacyjnym, z ręką uniesioną do góry i zatrzymującego dwa samochody, zaczerpnął głęboko powietrza dla uspokojenia nerwów i zastopował swoją furgonetkę marki Volvo. Aż do tej chwili Abdul nie miał pojęcia, co robić. I teraz, kiedy ta chwila nadchodziła, siedział, pocierając spoconymi dłońmi o kierownicę, i dalej nie wiedział, co robić.

Dr Helmut Ortman odwrócił się na siedzeniu i uspokoił po niemiecku swoich kolegów: — Zachowajcie spokój. Bądźcie na luzie. Wszystko będzie dobrze. Ilekroć są zamieszki w arabskich miasteczkach, wszystkie samochody na drodze są rutynowo zatrzymywane i rewidowane. Nie



ma powodu do niepokoju. Zobaczą nazwę Tzaddi Electronics Industries na drzwiczkach i przepuszczą nas.

Mężczyzna siedzący za Ortmanem, chudzielec ze ściągniętą twarzą wiecznego malkontenta, pokazał przed siebie i powiedział: — Tamci są przeszukiwani. Spójrz, każą im wysiąść z samochodu i rewidują im bagaże.

Mężczyzna i kobieta o dwa samochody przed nimi wysiedli na szosę i stali z otwartymi walizkami. Qaboos, trzymając jedną ręką pistolet maszynowy Uzi, drugą wsadził do torebki kobiety. Potem spokojnie sprawdził teczkę, którą trzymał mężczyzna.

Czterej siedzący na tylnych siedzeniach gorączkowo sięgnęli po nesesery i otwarli je. Jeden z nich krzyknął piskliwym głosem, trzęsąc się ze strachu: — Co teraz zrobimy? Złapią nas z tym wszystkim!

Abdul jednym susem obrócił się na siedzeniu i spojrzał. Wyciągali broń, spoglądając na siebie ze strachem bliskim paniki, niezdolni wymyślić, co w takiej sytuacji powinni zrobić.

*Szczęście w nieszczęściu. Chwała niech będzie Allachowi.* — Oddajcie mi to — powiedział Abdul płynną niemczyzną, wyrywając broń z niepewnych dłoni dwóch mężczyzn siedzących bezpośrednio za nim. — Prędko, prędko, podajcie mi resztę — rzekł, pospiesznie wkładając rewolwery do plastikowej torby na śmieci, która wisiała pod deską rozdzielczą — torba z reklamą firmy Koszerna Pizza Sary była w każdym pojeździe należącym do kompleksu przemysłowego Tzaddi. Koledzy Ortmana usłuchali bez słowa.

Ortman otwarł swój neseser i wyciągnął mały pistolet automatyczny. Wrzucił go do torby na śmieci dokładnie w chwili, gdy człowiek w izraelskim mundurze pozwolił parze przed nimi wrócić do samochodu. Gdy pojazd odjechał, umundurowany mężczyzna skinął na Abdula.

Abdul podjechał do niego furgonetką Ortmana, zatrzymał się i wyłączył silnik. Ortman opuścił szybę, ob-

darzył Qaboosa uśmiechem i powiedział: — *Szabbat Szalom.*

Nagle Qaboos uniósł Uzi i wycelował go w pasażerów samochodu.

— Wysiadać z rękami w górze — rozkazał płynną hebrajszczyzną.

Kiedy Ortman i pozostali otwierali drzwiczki i wysiadali, Abdul sięgnął do torby na śmieci, wyciągnął jeden z pistoletów i wsunął go pod koszulę, zatykając za pasek od spodni.

W parę chwil później, gdy Abdul wynurzył się od strony kierownicy i nieśpiesznie obszedł furgonetkę, niosąc w ręce ciężką torbę na śmieci, Ortman i jego pięciu kolegów zauważyli u niego zwykłą nonszalancką postawę i spojrzeli po sobie z konsternacją. Konsternacja przerodziła się w zaniepokojenie, kiedy Qaboos pogroził im pistoletem maszynowym Uzi i powiedział: — Złożyć ręce z przodu. A teraz wyciągnąć ręce przed siebie. Dobrze, a teraz spleść palce razem.

Gdy stojąc z rękami wyciągniętymi przed siebie zobaczyli, że Abdul podaje Qaboosowi torbę na śmieci z ich bronią w środku, a potem bierze od niego pęk taśm do pakowania, niepokój na ich twarzach przerodził się w strach.

Nieco później nadciągnęło trzech młodych mężczyzn w arabskich nakryciach głowy, którzy przeszli obok Volkswagena; i strach w oczach naukowców zamienił się w panikę, kiedy Arabowie wycelowali do nich i zaczęli się im przyglądać z groźnym wyrazem twarzy.

— Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć? — krzyknął Ortman z udawanym tupetem, gdy Abdul okręcał mu wokół nadgarstków dwie cienkie taśmy do pakowania, a potem mocno je docisnął. — Jeśli to ma być jakiś żart Rostova — wrzasnął Ortman, wciąż próbując zgrywać bohatera — pożałujecie tego. Jak macie czelność robić nam coś takiego!



— Dobrze wiesz, dlaczego — odrzekł Abdul.

— Nie, nie wiem, dlaczego.

Abdul spojrzał mu w oczy i roześmiał się. — *Nie wie* pan?

Ortman poczerwieniał. Zrozumiał aluzję Abdula i pochylił głowę z rezygnacją. — Naprawdę nie ma potrzeby wiązać nas jak zwykłych kryminalistów.

— Wykonujemy tylko rozkazy Hadżdżiego — odrzekł Abdul.

— Od kiedy to *on* wydaje wam polecenia? Jest tylko szoferem i przewodnikiem Rostova.

— *Czyżby?*

— Mój Boże — powiedział Ortman. — Sugerujesz, że on jest... jest...?

— Ja otrzymuję rozkazy od Hadżdżiego, a on dostaje swoje od dra Rostova.

Abdul zamilkł i nie odezwał się już ani słowem, kolejno okręcając plastikowe taśmy wokół przegubów każdego z mężczyzn, dociskając je i wiążąc mocno. Resztę taśm schował do kieszeni.

W tym momencie jakieś auto wyjechało zza zakrętu i zaczęło wolno podjeżdżać. Qaboos skoczył za furgonetkę, położył torbę na śmieci na jezdni, a potem machnął bronią jak policjant drogowy i dał znak, żeby jechali dalej. Kierowca i kobieta w samochodzie twardo popatrzyli na Qaboosa, przyjrzeli się przez kilka sekund Ortmanowi i pozostałym i popędzili dalej.

Qaboos odszukał torbę na śmieci pełną broni, podszedł do Volkswagena i wręczył ją kierowcy. — Masz tu prezent. Zwijamy się. Spływaj stąd, zanim znowu ktoś nadjedzie.

Arabski kierowca podał torbę siedzącemu za nim człowiekowi, kiwnął przytakująco głową, zapuścił silnik i odjechał.

— Abdul, ruszamy! — powiedział Qaboos, machając pistoletem Uzi na Ortmana i resztę. — Wsiadać. Szybciej, szybciej.

Szturchnął Ortmana lufą pistoletu, pokazując mu, że ma

usiąść na jednym z dwóch tylnych siedzeń. Ortman wsiadł i przesunął się w głąb, podczas gdy reszta wgramoliła się, siadając obok niego i za nim.

Kiedy Abdul ruszał, Qaboos wsiadł bokiem na miejsce koło kierowcy, z odwróconą do tyłu głową, żeby nie spuszczać z oka Ortmana i reszty. Gdy ruszyli w dół autostrady, sześciu mężczyzn w tylnej części Volvo nie odrywało wzroku od śmiercionośnej lufy Uzi spoczywającej na przedramieniu Qaboosa. Sposób, w jaki była w nich wycelowana, budził u Ortmana skojarzenia ze stadkiem przypartych do muru myszy, których pilnuje jednooki wąż, gotowy w każdej chwili plunąć na nie śmiercią.

— Dlaczego to robicie? — zebrał się w końcu na odwagę i spytał jeden z ludzi. Głos mu drżał. — Dokąd nas wieziecie? O co w tym wszystkim chodzi?

Ortman podniósł ręce i potrząsnął zaciśniętymi pięściami. — Abdul, nigdy nie uda ci się z tym uciec. Kiedy zobaczę się z Rostovem...

— To *co* zrobisz? — przerwał mu Abdul. Ustawił lusterko wsteczne w taki sposób, żeby mógł widzieć Ortmana. Twarz tego człowieka była skurczona ze strachu. *Nie uda mu się mnie zwieść. Jest tak spanikowany, że aż szczęka zębami.* — Na wypadek, gdybyś nie zauważył, informuję cię, że właśnie z tym *uciekamy*, Herr Doktor.

— Abdul, mój drogi Abdul — powiedział Ortman, przełykając własny strach i próbując podejść go z innej strony. — Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz?

— Mój drogi Helmucie — zwrócił się Abdul do odbicia Ortmana w lusterku. — Odpręż się, proszę, i rozkoszuj się podróżą. Żadnemu z was nic złego się nie stanie, nikomu nie zrobimy żadnej krzywdy, jeśli będziesz robił dokładnie to, co mówię. A teraz bądź już cicho, proszę. Mamy przed sobą długą drogę, więc spróbuj skorzystać z tego jak najlepiej.

Abdul zwolnił przed skrzyżowaniem, poczekał, aż prze-



jedzie ciężarówka i dwa samochody osobowe, a potem skręcił w lewo.

— Co to ma znaczyć? — wrzasnął Qaboos po arabsku. Pochylił się do przodu, spojrzał na prawo i pokazał na znak. — Tędy się jedzie do Drogi 21. Pojechałeś w złym kierunku. Masz jechać tędy...

— Nie jedziemy na północ — odrzekł Abdul i przyśpieszył, wyprzedzając wolno jadącą ciężarówkę i dwa samochody osobowe. — Hadżdżi czeka na nas na plaży o niecałe dwadzieścia kilometrów stąd.

— Nic mi nie powiedział o zmianie planów.

— Nie było żadnej zmiany planów — odrzekł Abdul, nie odrywając spojrzenia od drogi przed sobą.

Dogonił autobus, wyprzedził go i natychmiast zwolnił do granicy dozwolonej prędkości, gdyż zobaczył nadjeżdżający z przeciwka samochód policyjny. *Tylko tego brakowało, żeby zatrzymali mnie za przekroczenie prędkości.*

Qaboos także go zobaczył. Opuścił broń. Kiedy policja śmignęła koło nich, jadąc w przeciwnym kierunku, Qaboos znowu podniósł Uzi, wycelował w mężczyzn siedzących z tyłu i powiedział, przyglądając się przez tylną szybę, jak wóz policyjny znika w oddali: — Co masz na myśli, mówiąc, że nie było żadnej zmiany planów? Hadżdżi powiedział nam obu przez radio, że mamy pojechać na tę plażę koło Rosh Haniqra, gdzie jeździliśmy przedtem...

— Nigdy nie mieliśmy zamiaru tam jechać. — Abdul potarł spocone dłonie o kierownicę i nadal patrzył prosto przed siebie.

— Człowiek, który odbył *hadżdż*, pielgrzymkę do Mekki, nie kłamie. Przynajmniej nie mnie. Nazywamy go Hadżdżi, gdyż jest człowiekiem prawdomównym i mądrym, *hadżdżim*, który kroczył ścieżką prawdy. Dlaczego miałby mnie okłamywać?

— Nie kłamał. Powiedział tak z ostrożności. To ważna misja. Nigdy nie wiadomo, kto słucha radia.

— To kłamstwo! — wysyczał Qaboos. — Znam się

doskonale na radiach. Rozmawialiśmy przez radio zmiennozakresowe. Kiedy się rozmawia przez radio zmiennozakresowe, nie ma obawy o podsłuch.

— Radio zmiennozakresowe ma zasięg pięciu kilometrów — powiedział Abdul. — Na odległość wzroku. Najbliższy przekaźnik jest koło Megiddo. Pozostałe są ukryte w miasteczkach wzdłuż drogi do Jerozolimy. — Zablefował teraz: — Skąd wiadomo, *kto* jest tam na nasłuchu?

— Uczysz Noego budować arkę? — krzyknął Qaboos. Chwycił mocniej Uzi i opuścił lufę, kierując ją na Abdula. — Sam montowałem te przekaźniki i wiem, że nawet Izraelczycy z całym tym swoim wymyślnym skomplikowanym sprzętem do nasłuchu nie mogą nas podsłuchiwać.

Mocno już teraz spocony, Abdul rzucił na Qaboosa zagniewane spojrzenie.

— Myślę, że kiedy dostaniemy się na plażę, sam zapytasz Hadżdżiego, dlaczego ci nie powiedział. Może nie chciał, żeby pozostali znali nasze plany. Tak, może dlatego chciał, żebyś myślał, że jedziemy na północ.

— Moi bracia nigdy by nas nie zdradzili.

*Uważaj na niego. Trzyma palec na tym cholernym spuście.* — Hadżdżi to Hadżdżi — powiedział Abdul. Poczuł, że pot spływa mu po plecach, pomimo że wewnątrz furgonetki było chłodno. — Spokojnie, opanuj się, Qaboos, już zaraz będziemy w punkcie spotkania i wtedy Hadżdżi wszystko ci wytłumaczy.

— Pięć lat pracowałem dla Hadżdżiego — rzekł Qaboos. — Pięć lat, i ani razu mi nie skłamał. To ja cię wkręciłem do Givat Tzaddi i to ja odwaliłem całą brudną robotę i załatwiłem ci pracę u Ortmana. Dlaczego miałby zawierzyć właśnie tobie, a nie mnie? Myślę, że coś kombinujesz, Abdul, a jeśli tak, to niech wszystkie pchły z tysiąca wielbłądów zalęgną ci się pod pachami i niech twoje jaja zaroją się tysiącem robaków.

Abdul poczuł nagle suchość w ustach. Zerknął w lusterko i zobaczył, że Ortman i pozostali przyglądają się im.



Mimo że nie rozumieli po arabsku, mogli zorientować się z tonu ich głosów i wyrazu twarzy, że coś było nie w porządku. *Bardzo nie w porządku. To wymyka się z rąk. Qaboos jest fanatykiem. Z fanatykiem nie porozmawiasz rozsądnie. Muszę to zrobić. Teraz. Potem może być za późno.*

Teraz. *Teraz.* Abdul wcisnął gaz do dechy. Strzałka szybkościomierza zaczęła przesuwać się do góry. W jednej chwili pędzili już sto trzydzieści na godzinę. Sto czterdzieści. Sto pięćdziesiąt.

— Zwolnij! — krzyknął Qaboos.

Abdul nie zwrócił na niego uwagi. Pedał gazu cały czas trzymał wciśnięty do deski. Silnik ryczał. Ciężka furgonetka trzęsła się na nierównościach autostrady, a niewłaściwie wyważone opony zaczęły wydawać złowróżbny głuchy odgłos. Pęd powietrza, który wpadał do środka przez uchylone okienka, zaczął smagać im twarze żwirem z drogi, piaskiem i solą z pobliskiego morza.

— Zwolnij! — zawył Qaboos.

Abdul nadal nie zwracał na niego uwagi i zaczął jechać skrajem drogi. Przednie i tylne prawe koła zaczęły podskakiwać na wybojach. Qaboos złapał za uchwyt nad drzwiczkami i uwiesił się na nim; znieruchomiały wpatrywał się w drogę przed sobą. Sześciu mężczyzn za nimi pobladło ze strachu i chwyciło się mocno, obawiając się krzyczeć albo cokolwiek powiedzieć, żeby nie rozproszyć uwagi Abdula.

Abdul spojrzał na Qaboosa, zobaczył, że zaciska zęby, patrząc prosto przed siebie. Wtedy Abdul oderwał lewą rękę od kierownicy i sięgnął pod koszulę. Jego dłoń zacisnęła się na kolbie pistoletu. Palec dotknął spustu. Uniósł pod koszulą broń z krótką szeroką lufą. Ubranie wybrzuszyło się, kiedy celował do Qaboosa.

Nacisnął spust. Na nagły trzask wystrzału Qaboos zerwał się, odchylił do tyłu, opierając się o drzwiczki z wyrazem zaskoczenia w twardych oczach. Nie wiedział,

że został trafiony. Swąd kordytu uderzył Abdula w nozdrza. Strzelił ponownie. I jeszcze raz. Trzeci strzał dosięgnął Qaboosa poniżej lewego oka i rzucił go bokiem na drzwiczki.

Abdul zjechał z powrotem na szosę, wyciągnął pistolet spod koszuli, położył go na siedzeniu obok i zerknął w lusterko wsteczne. Żadnego ruchu. Nikogo w zasięgu wzroku. Spojrzał przed siebie. Nigdzie żadnych pojazdów. Wtedy przechylił się ponad konwulsyjnie drgającym ciałem Qaboosa, złapał za klamkę i nacisnął ją.

W chwili gdy drzwiczki odskoczyły, Abdul chwycił broń Qaboosa za lufę, zdjął nogę z pedału gazu, kopnął Qaboosa w kierunku otwartych drzwiczek, skręcił zwalniającą furgonetką w prawo i wypchnął go nogą na zewnątrz.

Mężczyźni siedzący za Abdulem i w przerażeniu przyglądający się mrożącej krew w żyłach scenie, odwrócili się skuleni i z trudem łapali powietrze w płuca, patrząc, jak ciało Qaboosa stacza się z drogi i uderza w skarpę. W parę chwil później Abdul zwolnił, prawie zatrzymując pojazd, obrócił się na siedzeniu i popatrzył po nich.

— Panowie — powiedział po niemiecku — zrobicie dokładnie to, co powiem, i nie próbujcie robić mnie w konia. Jasne?

W pół godziny później Abdul jechał nabrzeżną autostradą w kierunku nie uczęszczanej plaży, gdzie ukryty był ponton. Jak dotąd, świetnie. Ani żywej duszy. Zaczął zerkać w lusterko wsteczne i przed siebie, czy nie nadjeżdża jakiś pojazd.

Nie dało się przewidzieć, gdzie są patrole jednostek straży granicznej. Nie wiedział, czy już przejechały tą drogą, czy też właśnie jadą teraz w jego kierunku. Niepokoiło go to. I jeszcze coś innego go niepokoiło. Jak zabrać tych sześciu mężczyzn na plażę, spuścić na wodę ponton i odpłynąć dostatecznie daleko w morze, zanim nadjedzie izraelski patrol, albo jakiś wścibski znajdzie furgonetkę i zobaczy ich, jak usiłują się do niego dostać?



Spojrzał na zegarek, popatrzył na horyzont i skalkulował, że za jakieś piętnaście minut słońce zacznie zachodzić. Za około pół godziny zrobi się ciemno. Księżyc nie wzejdzie jeszcze przez następne trzy godziny. A jeśli uda im się spuścić ponton i odpłynąć dostatecznie daleko w morze, to ile czasu upłynie, zanim zostanie odnaleziona furgonetka i rozpoczną się poszukiwania?

Abdul zastanawiał się nad tym i nagle wpadła mu do głowy myśl!

Na poboczu drogi odnajdywane są stale porzucone z takiej czy innej przyczyny pojazdy. Najczęściej przyczyną jest jakiś defekt. To jest to! Dzięki niech będą Allachowi.

W miarę jak purpurowa kula słońca na horyzoncie zanurzała się coraz bardziej w morze, robiła się coraz większa. Zaczęła właśnie zachodzić, kiedy Abdul zatrzymał się w końcu. Byli o kilka metrów od kryjówki, gdzie schowany był ponton.

Wysiadł z furgonetki z wycelowanym w Ortmana Uzi przewieszonym przez ramię i spojrzał w kierunku północnym. Żadnych pojazdów w zasięgu wzroku. Pocił się obficie, serce podchodziło mu aż pod gardło, a język skołowaciał mu, jakby był z drewna.

Powinien teraz zaryzykować? Im dłużej zwlekał, tym gorsza była jego sytuacja. Zdecydował, że zaczekają do zmroku. Wskoczył za kierownicę, zatrzasnął drzwiczki i odjechał powoli.

— Czy to tutaj mieliśmy się spotkać z Hadżdżim? — zapytał Ortman.

— Nie. Tutaj go nie będzie — odrzekł Abdul. Spojrzał na zegarek. — Teraz jest po drugiej stronie granicy, w Libanie.

— Więc z kim?

Abdul złapał się na tym, że myśli o czasach, kiedy Fahad skierował ładunek Pakistańczyków do portu w Omanie, zamiast zabrać ich do Bahrajnu, za co zapłacili. Potem,

kiedy już odpłynęli i Fahad zasiadł do liczenia pieniędzy, które omański emir zapłacił mu za dostarczoną niewolniczą siłę roboczą, powiedział, chytrze mrugnąwszy okiem: „Braciszku, pamiętaj zawsze, ludzie są jak żarłoczne muchy — zawsze więcej ich złapiesz na miód niż na lep na muchy."

— Herr Doktor Ortman — rzekł Abdul, jadąc powoli autostradą i rozkoszując się zachodem słońca i szybko blednącym światłem — muszę panu coś wyznać. Jest tu ktoś, kto chce zapłacić panu dwadzieścia milionów dolarów w złocie za urządzenie POTH i za pańską konsultację. To znaczy dziesięć milionów dla pana i po dwa dla każdego z pańskich kolegów. Do tego właśnie to człowieka was zabieram. Nie wydaję was z powrotem w ręce Rostova, jak z pewnością pan sobie do tej pory wyobrażał.

— Związanych jak więźniowie?

— Tak, jak więźniowie — powiedział Abdul. — A czy pozostawił mi pan jakieś inne wyjście? Wiem, co planowaliście.

— Przypuszczam, że nie poprawi w niczym naszej sytuacji to, że powiem, iż gdybyś zdjął nam te sznury, pojechalibyśmy z tobą dobrowolnie. Nie jesteśmy ludźmi zdolnymi do przemocy. I nie jesteśmy już młodzieńcami na tyle nieroztropnymi, żeby próbować, jak to określasz, zrobić cię w konia. Z całą pewnością, przez pamięć dawnych czasów, możesz zaufać, że będę z tobą uczciwy. Dziesięć milionów dolarów to kupa pieniędzy i dla takiej forsy gotów byłbym pojechać na koniec świata.

Abdul zmierzył Ortmana spojrzeniem i uśmiechnął się.

— Wierzę panu, sir. Ale nie zdejmę tych więzów, dopóki nie dotrzemy do punktu przeznaczenia. Jeśli zgodzi się pan współpracować i pomóc mi, uwolnię was, jak tylko się tam znajdziemy.

— A co ty masz z tego? — spytał Ortman.

Abdul uśmiechnął się do odbicia Ortmana w lusterku.



— Sporą sumkę. Tak, Herr Doktor Ortman, całkiem sporą sumkę.

— Jeśli pójdziemy na współpracę z tobą, czy uwolnisz nas, gdy już dostaniemy się tam, dokąd nas wieziesz?

— Ma pan na to moje słowo, sir.

— Dość uczciwie postawione. Co chcesz, żebyśmy zrobili?

Abdul zerknął w lusterko wsteczne i uśmiechnął się. — Dowiecie się za dwie minuty.

To nie do odbicia Ortmana się uśmiechał. Uśmiechnął się na widok patrolowego jeepa izraelskiej straży przybrzeżnej, który właśnie mignął mu w lusterku jakiś kilometr za nim. Zawrócił na drodze i kierował się na północ, w przeciwnym kierunku. Żołnierze izraelscy przynajmniej przez najbliższą godzinę nie będą patrolowali tego rejonu...

Upewniwszy się, że patrol zniknął z pola widzenia i nie mógł go już dostrzec, Abdul zawrócił, popędził w rejon plaży, gdzie czekał ponton, i zaparkował. Otwarł drzwiczki, wysiadł, popatrzył na przednie koło, wyciągnął rewolwer, wycelował w oponę i nacisnął spust. Opona sflaczała z głośnym sykiem. Potem włożył broń do kieszeni na biodrze i powiedział:

— Panowie, proszę zabrać POTH-a i pozostałe materiały i wysiąść z samochodu.

Kiedy rozładowano już furgonetkę, Abdul pozamykał drzwiczki, podniósł maskę, umocował ją w tej pozycji, żeby zaznaczyć, że samochód został porzucony z powodu awarii, i poprowadził ich na plażę.

Kilka minut później, gdy Ortman wraz z kolegami — wciąż mając ręce związane z przodu — wyciągnęli z kryjówki ponton i załadowali na jego pokład POTH-a, nesesery i dokumentację, obstąpili ciężką łódź i przetoczyli ją nad wodę. Wówczas Abdul wrócił do kryjówki, porozrzucał gałęzie jeżyn wokół wejścia, cofnął się do drogi z obsypaną liśćmi gałęzią w ręce i, wracając po własnych śladach do

kryjówki, a potem przez plażę nad samą wodę, pośpiesznie zasypał piaskiem odciski stóp.

Zatrzymał się, żeby sprawdzić swoje dzieło, odrzucił gałąź, zepchnął ponton na głębszą wodę i przytrzymał go nieruchomo, kiedy wsiadał Ortman i reszta. Gdy ponton zaczął się unosić na wodzie, złożył podwozie, wdrapał się na pokład, nie dbając o piasek i wodę, które dostały mu się do butów, i zapuścił silnik.

O 2.00 w nocy, gdy SatNav wskazywał, że są o pięćdziesiąt mil od wybrzeży Izraela, w punkcie spotkania, Abdul przycisnął włącznik SatNava i odczytał czas Greenwich na podświetlanym ekranie.

Godzina oczekiwania.

Morze spokojne. Jasna poświata księżyca.

Abdul wyłączył silnik. Kiedy łódź zaczęła unosić się w miejscu na wodach spokojnego Morza Śródziemnego, wyciągnął z kieszeni składany nóż, otwarł ostrze, spojrzał na Ortmana i pozostałych mężczyzn, którzy siedzieli na dnie z włókna szklanego i na wypełnionych zbiornikach powietrza, przyglądając mu się w milczeniu, i zaczął przecinać taśmy krępujące ich ręce.

— Cóż — powiedział Ortman, rozcierając nadgarstki, żeby przywrócić w nich normalne krążenie krwi. — Sporo czasu ci to zabrało, ale dotrzymałeś słowa.

— Tak, Herr Doktor — odrzekł Abdul. — Uwolniłbym was wcześniej, ale ze względu na kupę szmalu, którą mam dostać, nie chciałem podejmować żadnego ryzyka.

— Nie mogę mieć o to do ciebie żalu — rzekł Ortman. — Kto by tam chciał wiać przed taką kupą szmalu, jaką — jak twierdzisz — mają nam zapłacić? — Roześmiał się, a inni uśmiechnęli się do siebie, po czym zawtórowali mu śmiechem.

Potem Ortman spytał: — Co teraz?

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Abdul. Spojrzał na niebo, odszukał linię gwiazd od Syriusza do Adhary,



popatrzył na horyzont w kierunku południowym i wskazał ręką.

Jasno oświetlony statek nadpływał w ich kierunku.

— Jest o około siedem mil morskich od nas i za jakąś godzinę zabierze nas na pokład — powiedział. — *Athene*.

— Aa — rzekł Ortman, wpadając w poetycki nastrój. — Starożytna grecka bogini mądrości i nauk...

# 7

GIVAT TZADDI
Niedziela, 30 lipca
8.00

Jack Lund wyskoczył z brązowego śmigłowca bojowego izraelskich sił powietrznych, schylił głowę i przebiegł pod wirującymi łopatami wirnika. Potem machnął ręką do pilota, przewiesił sobie torbę przez ramię i szybkim krokiem podszedł do czterech mężczyzn, którzy oczekiwali go przed głównym biurem Tzaddi Electronics Industries.

Kiedy zaczęli wymieniać powitalne formułki, helikopter zwiększył obroty i z ogłuszającym łopotem wirnika i pędem powietrza, który chłostał ich piaskowego koloru koszule i kładł pokotem kwiaty i trawę, uniósł się w powietrze, zapikował nad ich głowami i zniknął im za plecami, zasłonięty dwupiętrowym budynkiem.

Wysokim mężczyzną, który przytrzymując sobie myckę na głowie ściskał rękę Jacka, był Chaim Meron, dyrektor produkcyjny Tzaddi Electronics Industries. Chaim Meron, emerytowany pułkownik izraelskich sił powietrznych i ojciec dziewięciorga dzieci, miał krewki charakter szczęśliwego człowieka, który we wszystkim dostrzegał elementy humorystyczne i wierzył, że wszystko jest możliwe, nawet cuda.

Przed wojną Yom Kippur, kiedy Chaim był osiemnastoletnim członkiem obsługi naziemnej sił powietrznych, wszyscy zwracali się do niego per „ten chuderlawy mechanik liniowej służby inżynierskiej, który potrafi wszystko naprawić". W wieku dwudziestu lat Chaim stał się legendą swoich czasów dzięki umiejętności naprawiania i ulep-



szania przyrządów nawigacyjnych, systemów naprowadzania i uzbrojenia przy użyciu części wymontowanych ze zdezelowanych samolotów, przestarzałych pocisków i kawałków złomu. Od tamtej pory wszyscy, od premiera począwszy po szefa wywiadu wojskowego — człowieka, który teraz stał za Chaimem — zaczęli nazywać go „Druciarz".

Chaim Meron należał również do drugiej generacji izraelskich pionierów prototypowych, skomputeryzowanych, satelitarnych systemów wczesnego ostrzegania, które zabezpieczały naród. Był wynalazcą i konstruktorem wielu wysoce skomplikowanych systemów przeciwlotniczych. Ponadto był człowiekiem, który pilnował, żeby wszystko było zrobione *na czas*.

Dlatego też był najlepiej opłacanym dyrektorem Kompanii MWD.

— A więc, Jack — Chaim Meron poklepał Jacka po plecach i powiedział łamaną angielszczyzną — przynajmniej raz nie łamałem sobie głowy całymi dniami, kiedy się pojawisz. Tym razem pojawiłeś się, kiedy cię oczekiwałem. Oczywiście, że musiałem załatwić z siłami powietrznymi, żeby cię tu przywieźli, i naturalnie mamy na głowie potencjalne zagrożenie bezpieczeństwa narodowego. I oczywiście być może, że Arabowie porwali sześciu moich najważniejszych ludzi, ale wreszcie mi się udało! Udało mi się!

Jack Lund uśmiechnął się szeroko i stał, kręcąc głową. Lubił Chaima Merona. Nic nigdy nie wyprowadza go z równowagi. Bez względu na grozę sytuacji i powagę okoliczności zawsze ze wszystkiego żartuje.

— Chaim, pamiętasz ślub swojego syna cztery lata temu? No więc, zdążyłem na czas, żeby na nim być. A trzy lata temu, kiedy urodził ci się dziewiąty syn? Byłem na *bris*, prawda? I dwa lata temu podczas konfirmacji Mikeya także siedziałem koło ciebie w synagodze na uroczystości bar micwah, jeśli dobrze sobie przypominasz. A we wrześniu zeszłego roku...

— To się nie liczy, to się nie liczy — Chaim pomachał przecząco ręką i pokręcił głową z udanym oburzeniem. — Tamto to była przyjaźń, a to jest interes — powiedział, śmiejąc się. — I mamy *tzurros*, kłopoty — dodał, klepiąc Jacka w ramię i ściskając je mocnymi palcami. — Jack — rzekł, wciąż się śmiejąc i odwracając go na siłę ręką uczepioną jego ramienia — to jest generał Moshe Pinchas, szef wywiadu wojskowego, Amanu.

Zaczekał, aż wymienią uściski dłoni i ukłony, a potem wskazał gestem na drugiego mężczyznę: — Pułkownik Simcha Shapiro z Mossadu.

Po tym jak uścisnęli sobie dłonie, Chaim wskazał na trzeciego mężczyznę: — A ten młody kolega z podbitym okiem to sierżant Yossi Traub, także wywiad wojskowy. Panowie, proszę za mną do środka — rozpoczniemy od razu rozmowy.

Kawa była mocna, zaparzona tak, jak to potrafił robić tylko Chaim Meron. A głos generała Moshe Pinchasa był równie stanowczy jak w dniu, kiedy głosował za prewencyjnym atakiem na Egipcjan, który zdecydował o zwycięstwie w wojnie. Lecz teraz był w nastroju czarniejszym niż tablica w „kantorze" Chaima, na której ten właśnie skończył podsumowywać fakty w trzech zapisanych kredą kolumnach.

Generał Pinchas popatrzył po twarzach Chaima Merona, pułkownika Simchy Shapiro, sierżanta Yossi Trauba i Jacka Lunda, siedzących naprzeciw niego w fotelach z pulpitami.

— Panowie, mamy do rozwiązania poważny problem i mamy na jego rozwiązanie czas do piątku, 4 sierpnia. — Przez chwilę zatrzymał wzrok na Jacku, a potem powiedział: — Pańskie akta służby w wywiadzie Marynarki USA są imponujące, panie Lund.

— Dawne dzieje — odrzekł Jack. — Zrezygnowałem ze stopnia oficerskiego i opuściłem NavTel pięć lat temu, kiedy zacząłem pracować dla Deanów.



— Pańskie akta w Kompanii MWD są równie imponujące. W istocie jest pan najbardziej niezwykłym SDO korporacji, o jakim zdarzyło mi się kiedykolwiek słyszeć. Rozwiązywanie sporów w niemal pięciuset filiach Kompanii MWD i nadzór nad operacjami G-VI Deana, największej na świecie prywatnej agencji bezpieczeństwa; przechytrzanie organizatorów nagonek na korporację, rozwiązywanie problemów bezpieczeństwa, większe kradzieże, odzyskiwanie własności, która przedostała się w niepowołane ręce — wiem o ostatniej aferze z Shipholdoorn Avionics — i dwadzieścia innych tego rodzaju przypadków szpiegostwa przemysłowego, które rozwiązał pan w taki sposób, że ani jedno słowo nie przedostało się na zewnątrz.

— Mówi pan to wobec tych wszystkich dżentelmenów — powiedział Jack — nie po to, żeby mi schlebiać, ale z jakiegoś innego powodu. Co pan ma na myśli, generale?

Generał przysiadł na nie uporządkowanym biurku Chaima i popatrzył po ich twarzach. — To, o czym będziemy rozmawiać, nie wyjdzie poza mury tego pokoju. *Zrozumiano?"*

Kiedy uzyskał w odpowiedzi ich przytakujące skinienia głową, zaczął mówić:

— Wyjaśniłem, dlaczego musimy odzyskać urządzenie POTH, zanim wpadnie w niewłaściwe ręce. A Chaim Meron powiedział wam o paru straszliwych rzeczach, które mogłyby się wydarzyć, gdyby technologia POTH została komuś ujawniona i użyta przeciwko nam. A zatem wiecie, panowie, dlaczego musimy to odzyskać i dlaczego musimy odnaleźć sześciu ludzi, którzy nad tym pracowali.

Przede wszystkim nie można dopuścić do tego, żeby technologia systemu POTH i dr Helmut Ortman oraz jego pięciu asystentów wpadli w niewłaściwe ręce — nawet gdybyśmy musieli zniszczyć POTH-a, żeby temu zapobiec... A co do Ortmana i jego ludzi, będą musieli tu wrócić... w przeciwnym razie, jeśli okaże się to niemożliwe... cóż, nie myślmy o najgorszym.

Generał przerwał, żeby uporządkować myśli, a potem rzekł do Jacka: — Jako że pańscy pracodawcy są żywo zainteresowani zaginionym POTH-em i sześcioma ludźmi, którzy go zbudowali, do pana obowiązków zaś, jako SDO, należy zabezpieczenie interesów Kompanii MWD, a także interesów Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych będącego stroną wspólnego przedsięwzięcia z Tzaddi Electronics Industries, i ponieważ jest pan doświadczonym oficerem kontrwywiadu, jestem gotów uczynić rzecz nie mającą precedensu w annałach izraelskich służb wywiadowczych. Jeśli popełniam błąd, znajdę się na ulicy, sprzedając z wózka *felafel*. Jeśli mam rację, cóż... Jacku Lund, jestem gotów założyć się, że mam rację, i dlatego daję panu moje zezwolenie na poprowadzenie tego śledztwa, zakładając, że chce pan to robić. — Jego milczące spojrzenie wymagało natychmiastowej odpowiedzi.

Jack przytaknął. — Tak, chcę to zrobić.

— Dobrze — powiedział generał, wymieniając spojrzenia z Chaimem Meronem i pułkownikiem z Mossadu. Obaj mężczyźni niezauważalnie skinęli przytakująco głowami.

— Chciałbym włączyć w to trzech moich najlepszych wywiadowców z G-VI — powiedział Jack.

— To wykluczone — odrzekł generał. — G-VI nie ma zezwolenia na operacje na terenie *Eretz Yisrael*. Nie pozwalamy na to, żeby prywatne siły bezpieczeństwa miały cokolwiek wspólnego z narodowym przemysłem obronnym Izraela, gdzie produkuje się elektroniczne systemy lotnicze, systemy naprowadzania powietrznego i uzbrojenie. Zapewniamy bezpieczeństwo własnymi środkami. Jednakże oferujemy panu wszelką pomoc i zabezpieczenie logistyczne, jakiego panu będzie trzeba. Sierżant Yossi Traub będzie pańskim adiutantem, ordynansem, wszystkim, czym pan chce. Pułkownik Shapiro również będzie pana wspomagał... A teraz, Jack, czy są jakieś pytania?



— Tak, sformułuję je w postaci podsumowania: parę minut temu powiedział pan, że dokonano zamachu na życie sierżanta Yossi Trauba i dziewczynę z wywiadu DASD, w czasie kiedy śledzili Viktora Rostova. Yossiemu szczęśliwie udało się wyjść jedynie z podbitym okiem, ale dziewczyna będzie jeszcze przez długi czas chodziła o kulach. Obok ciała palestyńskiego terrorysty, który usiłował ich zabić, znaleziono nowego typu radionadajnik zmiennozakresowy zbudowany w Pretorii. Na dwie godziny przed dokonaniem zamachu na życie Yossiego i dziewczyny ciężarówka wyładowana betonowymi blokami, ta sama, którą posłużono się przy próbie morderstwa, została porwana na Drodze Anatot.

— Yossi i pozostali agenci Amanu obserwowali Rostova i jego grupę działaczy „Świat bez Bomby Atomowej", ponieważ dostali anonimowo cynk, że Rostov ma coś wspólnego ze zdalnie sterowanym robotem, który zniknął z kontenera statku płynącego z Baltimore do Hajfy. W świetle tego wszystkiego chciałbym wiedzieć, dlaczego Rostov nie został wzięty na przesłuchanie?

Generał i Chaim spojrzeli na pułkownika Simchę Shapiro. Pułkownik, który wiele lat spędził na łagodzeniu sporów między generałami, środowiskiem wywiadu i przywódcami politycznymi, odezwał się: — Rostov z dnia na dzień stał się świętą krową. Prasa byłaby wprost zachwycona, gdybyśmy go aresztowali. Cały czas czekają na taką okazję, żeby móc nas zgnębić w środkach masowego przekazu za to, że posiadamy pociski z głowicami nuklearnymi i nękamy aktywistę antyatomowego ruchu pokojowego, dra Viktora Rostova, a także za to, że nie ustępujemy Palestyńczykom. Jeśli Rostov wpadnie, a my chwycimy go za dupę i wsadzimy do pudła, wkrótce będą robić z niego drugiego Mandelę.

— Dlaczego miałoby tak być? — zapytał Jack. — Odnoszę wrażenie, że środki masowego przekazu zaczynają dostrzegać, co kryje się za nim i za jego fałszywą organi-

zacją „Świat bez Bomby Atomowej". Szef bezpieczeństwa Schipholdoorn w Holandii i liczni dziennikarze widzieli, jak Rostov rozmawiał podczas demonstracji „Świata bez Bomby" z człowiekiem o nazwisku Otto Carveld. Carveld jest dawnym szefem bezpieczeństwa w Schipholdoorn Avionics, którego przyłapano na kradzieży poufnych dokumentów. Dwa tygodnie temu w Amsterdamie Carveld i dwóch jego agentów próbowali mnie zabić. Udało mi się odwrócić kartę i zamiast tego zabrać Carvelda na przejażdżkę łodzią. Po krótkim nagabywaniu zeznał, że Viktor Rostov i on pracują we dwójkę dla człowieka o nazwisku Voros...

— *Boris Voros?* — przerwał mu generał Pinchas. — Czy to ten dawny pułkownik KGB, który jakieś pięć lat temu uciekł na Zachód?

— Tak, proszę pana — powiedział Jack. — Próbowałem zasięgnąć o nim języka, ale bezskutecznie...

— Zobaczymy, czego nam uda się dowiedzieć" — rzekł generał, spoglądając w kierunku pułkownika z Mossadu. Obaj mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia.

— Wracając do Rostova... — mówił Jack — w świetle tego wszystkiego, co o nim wiemy, czy to nie trochę dziwne, że nagle stał się świętą krową? *Kiedy* to się stało? I jak do tego doszło?

— W piątek po południu... — powiedział pułkownik z Mossadu.

— A co takiego zdarzyło się w piątek po południu?

— W czasie gdy Yossi i ta dziewczyna obserwowali Rostova, inny zespół wywiadowców zobaczył, jak dziennikarz z *Washington Post* podrywa młodą *sabrę* z ruchu „Świat bez Bomby" demonstrującą przed Knessetem. Śledzili ich aż do pokoju dziennikarza w hotelu King David. Potem, kiedy dziennikarz i dziewczyna zeszli na dół popływać w basenie, agenci zaczęli zakładać instalację podsłuchową w jego pokoju. Żeby nie rozwodzić się zbytnio, powiem, że dziennikarz wszedł i przyłapał ich na gorącym



uczynku — i od tej pory nie przestaje trąbić. Artykuły zatytułowane „Agenci izraelscy szpiegują dziennikarzy"; „Izraelczycy faszerują pokój hotelowy reportera mikrofonami i ukrytymi kamerami" zostały wczoraj nadane teleksem prasowym z Jerozolimy. Teraz wielu innych reporterów lituje się nad nim i łaknie naszej krwi.

Jack usiadł, potrząsając głową. Wreszcie spojrzał na generała i zapytał: — Przed minutą pułkownik Shapiro powiedział „*jeśli* Rostov wpadnie". Czy to znaczy, że nie wiecie, gdzie on jest?

Generał Pinchas odrzekł: — Nie mamy pojęcia. — Wskazał ręką na sierżanta. — Yossi widział go ostatni.

— A co z Zitą Dean?

Generał rozłożył bezradnie ręce. — W piątek późnym popołudniem poszła ze swojego mieszkania przy Yemin Moshe na Stare Miasto. Po drodze zatrzymała się i zatelefonowała do dziennikarza z *Washington Post*. Powiedziała mu, że Viktor Rostov został zmuszony do ukrywania się, ponieważ deptał mu po piętach izraelski wywiad wojskowy, i że próbuje się wymknąć...

— Skąd wiecie, że właśnie to mu powiedziała? — spytał Jack.

— Dziennikarz jest nadal śledzony. Podsłuch telefoniczny. Jak mówiłem, przydzieliliśmy Zicie Dean sześciu ludzi i — wyobraża pan sobie — stracili ją z oczu w tłumie na Via Dolorosa.

— Zdarza się — powiedział Jack. *Zgubiła ich, bo chciała ich zgubić. Gdzie teraz jest? Prawdopodobnie z nim. Przestań tak o tym myśleć.*

— Wracając do ostrzału artyleryjskiego na granicy libańskiej, o którym pan wspomniał — rzekł Jack. — O której godzinie to było?

— O 4.00.

— Tylko haubice strzelały, żadnych rakiet?

— Jedna stara jugosłowiańska haubica górska — odrzekł generał. — Znaleźliśmy ją porzuconą na polu wraz

z osiemnastoma łuskami po pociskach 76 mm, które z niej wystrzelono koło Rosh Haniqra.

— Jakieś ruchy na granicy? Pojazdy, próby przekroczenia, łodzie przy wybrzeżu?

— Niczego nie zauważono — powiedział generał. — Nikt się nie przedostał. Ale oczywiście może pan przejrzeć jeszcze raz wszystkie nasze taśmy z zapisem działania zabezpieczeń. Mamy noktowizory i sensory na podczerwień i grawitację, a także nieustanny podgląd telewizyjny. Nawet mysz nie wyjdzie z dziury tak, żebyśmy o tym nie wiedzieli. Otwarcie mówiąc, nie sądzę, żeby opuścili kraj tamtędy, jeśli w ogóle go opuścili. Należącą do kompanii Tzaddi furgonetkę Volvo, w której widziano po raz ostatni Ortmana i resztę, znaleziono porzuconą na nabrzeżnej autostradzie, koło plaży na południe od Hajfy. Pojazd był zamknięty, a maska podniesiona. Przednia opona bez powietrza.

— Stoi tam jeszcze? — zapytał Jack. — Chciałbym ją zobaczyć.

Pułkownik z Mossadu podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu, wystukał numer i zaczął szybko mówić coś po hebrajsku. W chwilę później odłożył słuchawkę. — Odholowali ją wczoraj rano. Opona została przestrzelona. Teraz dokładnie przeczesują pojazd. Jeśli będzie tam coś istotnego, dadzą nam natychmiast znać.

— Plaża? — powiedział Jack, zwracając się do Yossiego. — Przeszukamy ją. Ustal dokładne położenie.

Yossi wziął z mapnika na pulpicie fotela złożoną mapę i podniósł ją do góry. — Znalazł ją patrol graniczny. Współrzędne są już naniesione.

Jack wstał, podszedł do tablicy i stuknął palcem w zaznaczony kredą w trzeciej kolumnie znak zapytania.

— Generale, mówił pan, że ciało mężczyzny w mundurze sierżanta, którego widziano przy pozorowanej blokadzie autostrady, zostało odnalezione w połowie drogi stąd do plaży, przy której porzucono furgonetkę. Czy ten mężczyzna został zidentyfikowany?



— Tak, to był Walid Qaboos, agent urzędu zatrudnienia. Mieszkał w El Yaluq, arabskim miasteczku niedaleko stąd.

— *Agent* urzędu zatrudnienia?

— Kiedy potrzeba arabskich robotników, albo pracowników sezonowych, tacy ludzie jak Qaboos znajdują ich, dostarczają i zabierają z powrotem za procent. Przyprowadził całkiem sporo Arabów, którzy nadal pracują tutaj, w Tzaddi Electronics. Sprawdzamy ich teraz wszystkich.

— Powiedział pan, że zniknął także szofer i służący Ortmana, Abdul Sayid?

— Prowadził furgonetkę, kiedy przejeżdżali przez posterunek przy głównej bramie, a w parę minut później został zauważony przez mężczyznę i kobietę, którzy przypadkiem wpadli na pozorowaną blokadę autostrady. Kobieta rozpoznała Abdula, ponieważ już wcześniej widywała go, jak woził Ortmana. — Generał utkwił wzrok w Jacku i powiedział: — Domyślam się, że zastanawia się pan, czy to Qaboos wprowadził tu, do Tzaddi, Abdula. Odpowiadam: tak, to on. Musimy zatem dojść do wniosku, że został tutaj umieszczony od samego początku dla odegrania znacznej roli w porwaniu. Wczoraj odkryliśmy, że wszystkie pokoje w domu Ortmana były na podsłuchu. Sądzimy, że zrobił to Abdul. Przy okazji, zanim Abdul tu przyjechał, studiował w Niemczech. Grzebiemy teraz w tej części jego przeszłości.

Jesteśmy pewni, że uczestnicy zamieszek zostali opłaceni przez nieznanych prowokatorów, żeby zorganizować rozruchy. Znaleźliśmy dużo amerykańskich banknotów pięćdziesięciodolarowych u wielu spośród Arabów aresztowanych i zrewidowanych w dwunastu miasteczkach, gdzie wybuchły zamieszki. Skonfiskowaliśmy prawie sześć tysięcy dolarów w nowych banknotach o kolejnej numeracji. Jest dla nas oczywiste, że zamieszki zostały zainscenizowane po to, żeby odciągnąć nasze siły bezpieczeństwa od

Tzaddi Electronics Industries, tak aby można było bezpiecznie wywieźć Ortmana, jego kolegów i aparat POTH, albo porwać ich siłą bez zwrócenia uwagi szczątkowego oddziału służby bezpieczeństwa.

— Jeszcze tylko jedno pytanie — powiedział Jack. — Czy sprawdziliście kartotekę szofera Viktora Rostova, tego, którego — jak mówicie — nazywają Hadżdżim?

— Wygląda na to, że mamy sprawę z bardzo tajemniczym facetem. Jego izraelskie świadectwo urodzenia, dowód osobisty i prawo jazdy są sfałszowane. Jego taksówkę znaleziono dzisiejszego ranka koło Kiryat Shmona, trzy kilometry od granicy i około pięćdziesiąt kilometrów w głąb kraju od Rosh Haniqra, gdzie miał miejsce ostrzał artyleryjski. Sądzimy, że przekroczył tam granicę. Nasi agenci w Libanie donieśli, że widziano go zeszłej nocy na lotnisku w Bejrucie, jak wsiadał do samolotu Air France lecącego do Marsylii.

— Ktoś za nim poleciał? — spytał Jack.

— Dalej już nie. Stracili go z oczu. Nie widzieli, żeby opuszczał lotnisko w Marsylii. Kiedy spostrzegli, że udało mu się przesiąść na inny samolot, i wywnioskowali, że musiał polecieć do Cannes albo Monako, było już za późno.

Jack spojrzał na pułkownika, potem znów przeniósł wzrok na generała i powiedział: — Gdy przesłuchiwałem Carvelda w Amsterdamie, powiedział, że Boris Voros ma główną kwaterę na dużym, luksusowym jachcie oceanicznym z helikopterem na pokładzie. Statek nosi nazwę *Gwiazda*. A portem macierzystym *Gwiazdy* jest Monako.

Usłyszawszy to, pułkownik z Mossadu chwycił za telefon, wystukał numer i zaczął mówić do kogoś po hebrajsku. Za parę minut aktualny raport o *Gwieździe* zostanie nadany faxem z londyńskiego biura *Lloyd's Registry of Yacht and Ships*, a równocześnie będą sprawdzać w kapitanacie portu w Monako, próbując ustalić obecne położenie jednostki i zasięgnąć języka o Borisie Vorosie.



Chaim Meron serwował im świeżo zaparzoną kawę, kiedy rozległ się nagły piszczący dźwięk. Odstawił imbryk, przechylił się, sięgając na biurko, odgarnął ręką stertę schematów, podniósł słuchawkę żółtego telefonu, przedstawił się, przywitał, chwilę słuchał, a potem odrzekł: „Właśnie jest tutaj", i skinął na Jacka.

— Szef wcześnie jest dzisiaj na nogach — powiedział Chaim, kiedy Jack odbierał od niego słuchawkę telefonu. W Izraelu dochodziła 13.00, ale w Nowym Yorku nie było jeszcze 6.00 rano.

— Prawdopodobnie jeszcze w ogóle się nie położył — rzekł Jack, przyciskając wyłącznik mikrofonu. Znał Webstera Deana, znał jego ścieżki, znał ścieżki, którymi podążał jego umysł. Jeśli coś go niepokoiło, potrafił całymi dniami nie wracać do domu, do swojej posiadłości w Connecticut. Kiedy coś szło nie tak, nawet run na giełdzie nie był w stanie wyciągnąć go z budynku na Park Avenue i zmusić do przejścia do biura na Wall Street. Wówczas nawet posiłki jadał przy biurku w swoim gabinecie na Park Avenue, drzemał z nogami na parapecie okna, dopóki nie rozwiązał problemu.

„Dzień dobry, Webster, tu Jack."

Webster jak zawsze przeszedł od razu do rzeczy. Żadnego hallo?, jak się masz?, jak tam w Ziemi Świętej?, jaką macie pogodę? Czas jest zbyt cennym towarem, żeby go marnować na błahe i nieistotne pogaduszki.

„Przegryzłem się przez ten zawikłany raport, który Chaim nadesłał mi faxem wczoraj wieczór, i nie zamierzam się nim martwić. Liczę na ciebie, że odzyskasz urządzenie POTH, ale będziesz musiał zdrowo się śpieszyć. Termin pokazu w Bazie Sił Powietrznych Edwards jest ustalony na 6 sierpnia i nie chcemy się spóźnić. Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby Pentagon poużywał sobie na mnie — to psuje nasze imię, a jeszcze bardziej psuje interesy.

Na wypadek gdybyś jeszcze nie wiedział, kazałem G-VI zrobić komputerowe zestawienie kartotek Viktora

Rostova i Helmuta Ortmana. Wykazało ono, że znali się przed laty w Los Alamos. Według kartotek FBI, Ortman i Rostov byli podejrzani o wspólne zabawy w tatusia i mamusię, co znaczy, że pasują do naszej sylwetki homo-niepewnego. A to oznacza, że gdyby kierować się statystyką, to są szanse jak osiemdziesiąt do jednego, że Rostov wszedł w układ z Ortmanem."

„Co prowadzi do wniosku, że?" — zaindagował Jack.

„Że Ortman i pięciu jego pomagierów nie zostali porwani. Całe te brednie o arabskich rozruchach to pic na wodę. Sprzedali nas, tak jak Carveld próbował to zrobić w Amsterdamie."

„Rostov jest w to zamieszany" — powiedział Jack — „ale to nie on jest główną sprężyną, mimo że wychodzi na takiego wielkiego w telewizji z tym swoim ruchem «Świat bez Bomby». Próbujemy wywęszyć, kto teraz stoi za nim."

„Czy mówiąc *my*, masz na myśli wywiad izraelski?"

„Tak, Webster."

„To świetnie. Jestem pewny, że z ich pomocą bardzo prędko to rozgryziesz." — Długa przerwa. — „Jack?" — Głos Webstera Deana zniekształcony przez łącze satelitarne zabrzmiał dziwnie głucho, gdy powiedział nagle miękkim tonem: „Wiesz, wiem, że ty i Zita byliście razem — i to blisko — i przyznaję, że z początku nie było mi miło to usłyszeć. Ale już wolę, żeby wisiała na szyi tobie, niż temu nicponiowatemu komunistycznemu radykałowi, Rostovowi. Powiedz mi, Jack, jakie masz zamiary względem mojej córki?... Skreślam to pytanie, nie musisz odpowiadać. To nie mój interes."

Jack uśmiechnął się szeroko do telefonu. Tam gdzie chodziło o sprawy osobiste, Webster nie znał pojęcia *taktu*. Był w równym stopniu człowiekiem sukcesu w interesach, co bankrutem w życiu osobistym: nie wiedział, jak poradzić sobie z własnymi uczuciami, i nie umiał być ojcem dla własnej córki.

„Webster" — powiedział Jack po długim milczeniu —



„sądzę, że powinieneś wiedzieć, że cholernie mi zależy na Zicie i staram się ją odnaleźć. Potem osobiście zatroszczę się o to, żeby ten Rostov na stałe zniknął z jej życia. Podkreślam, *na stałe*."

„Dziękuję, że mnie o tym poinformowałeś, Jack. Może przestanie tak leźć w oczy. Te przemówienia, które wygłasza przed Knessetem, nadawane są przez wszystkie sieci telewizyjne. Denerwuje to i Merrilla, i mnie, nie mówiąc już o naszym zakłopotaniu. Zdjąłeś mi ciężar z serca. Gdzie jest teraz Zita?"

„Próbujemy ją odnaleźć. Z tego, co wiemy, jak dotąd jest w Izraelu, prawdopodobnie z Rostovem. Nieoficjalnie powiem ci, że dostałem wolną rękę do prowadzenia własnego śledztwa. Wyjeżdżam za parę minut, żeby posprawdzać kilka możliwych tropów. Będę w kontakcie."

Wyłączył się. Bez żadnych „nie martw się", „uważaj na siebie", „do widzenia".

Webster zawsze się przechwalał, że co roku kupuje nowego Rollsa za pieniądze zaoszczędzone na niemarnowaniu czasu na opowiadanie dyrdymałek podczas rozmów międzymiastowych.

# 8

EL YALUQ
Niedziela, 30 lipca
15.00

Czterech uzbrojonych mężczyzn z twarzami zasłoniętymi chustami *kaffiyeh* przebiegło uliczką za pobielonymi dwupiętrowymi domami przy północnym murze arabskiego miasteczka. Kiedy dotarli do podwórka, na którym stała zaparkowana stara furgonetka marki Ford, trzech z nich, ze strzelbami na piersiach, puściło się biegiem, by zająć pozycje w uliczkach i bramach, skąd mogli obserwować wszystkie podejścia do posesji. Czwarty mężczyzna podbiegł do furgonetki, zajrzał i przywitał się z mężczyzną i kobietą, którzy siedzieli na tylnym siedzeniu, składając lekki karabin maszynowy sowieckiej produkcji na dwójnogu.

— *Salam*, Ismail — odpowiedział mężczyzna w środku. — Czego się dowiedziałeś?

— Dzisiaj rano do Tzaddi Electronics Industries przybył Amerykanin Jack Lund. Śledczy z Amanu zadają pytania o Qaboosa i sprawdzają każdego, kogo przyprowadził do pracy w Givat Tzaddi.

— A co z ciałem w kostnicy?

— To Qaboos. Widziałem na własne oczy.

— To było duże ryzyko.

— Nie, al-Sirat. Udawałem, że szukam kogoś innego.

Człowiek nazwany al-Siratem podniósł rękę, spojrzał na karabin maszynowy i pokazał na taśmę z amunicją. — Nie, nie, Effia, powinna wysuwać się prosto ze skrzynki. — Popatrzył, jak poprawia taśmę, i uśmiechnął się. — Tak, tak



jak teraz. Widzisz, łuski są wyrzucane tędy, więc z tej strony musimy zostawić wolną przestrzeń. — Oderwał od niej wzrok i przesunął się do przodu furgonetki.

— A teraz, Ismail — powiedział al-Sirat, przełażąc przez fotel kierowcy i wysiadając z furgonetki — czego zdołałeś się dowiedzieć?

Zaczęli iść w kierunku domu.

— Amerykanin przyjedzie tu osobiście.

— Skąd masz pewność?

— Widziano, jak Amerykanin i żandarm wojskowy po cywilnemu rozmawiają z dwoma oddziałami izraelskich żołnierzy. Wszyscy razem stali koło stacji benzynowej i czekali, aż ich trzy jeepy zatankują paliwo. Porównywali mapy i nanosili współrzędne. Chłopak ze stacji benzynowej, który widział, jak to robili, mówi, że mieli mapy tego miasteczka i terenu wokół nas w dużej skali. Mówi, że wyglądało, jakby pokazywali na dom Qaboosa.

Al-Sirat i Ismail dotarli do domu i zatrzymali się. Ismail wyjął przenośny radionadajnik i pokazał go, trzymając w górze.

— W tej samej minucie, w której opuszczą Givat Tzaddi — powiedział, poklepując radio — będziemy o tym wiedzieli.

Al-Sirat uśmiechnął się. — Będę gotów. Tym razem moja w tym głowa, żeby Amerykanin zginął na pewno. Dlatego zamierzam zrobić to sam. Popełniłem straszny błąd, wysyłając Hassana Hakima do Amsterdamu.

— Nie obwiniaj o to siebie — powiedział Ismail. — Hassan był najlepszy. Na tysiąc kroków potrafił przestrzelić oko wielbłąda. To nie twoja wina, że on i ta kobieta z Czerwonych Brygad zostali zabici, zanim mieli okazję to zrobić. — Ismail spojrzał na al-Sirata. — Czy to prawda, co mówią...?

— Co mówi *kto*?

— Wszyscy mówią, że to Styx ich zabił, dawny rodezyjski starszy sierżant.

Al-Sirat obrzucił Ismaila przeciągłym spojrzeniem. — Tego nie wiemy na pewno. Zanim Hassan wyjechał, ostrzegałem go, żeby nie zadawał się z tymi amsterdamskimi gogusiami. Jeśli postąpił wbrew rozkazom i mimo wszystko się z nimi spiknął, to na pewno zabił go jeden z nich. A więc, na twoim miejscu przestałbym rozsiewać te plotki.

— Al-Sirat, odkąd to gogusiowate pedały rozpruwają ludzi w taki sposób, w jaki według meldunków zarżnięto Hassana i kobietę z Czerwonych Brygad?

— *Zazdrosne* pedały mogą — rzekł al-Sirat, ale wiedział, i Ismail także wiedział, że to nie była prawda.

— Jaki masz plan? — spytał Ismail.

— Dziel i rządź, jak zawsze. Furgonetka zaparkuje najbliżej domu Qaboosa jak tylko się da. Effia da mi znać, kiedy Amerykanin pojawi się w zasięgu. Potem zrobię to, po co przejechałem całą drogę aż z Damaszku.

Jack Lund i sierżant Yossi Traub stali w opustoszałym frontowym pokoju, w prymitywnym kamiennym domu, który rzekomo należał do Qaboosa, i rozglądali się wokół.

— Coś tu śmierdzi i to wcale nie jest zapach kebabu — zauważył Jack, wskazując na małą pozbawioną okien kuchnię w tylnej części domu. — W tej furgonetce jest tak gorąco, że można by w niej palić kawę, a mimo to ta arabska cizia siedzi sobie spokojnie, czytając gazetę.

Yossi przecisnął się bokiem koło niego i wyjrzał na zewnątrz. Upał na ulicy był tak dotkliwy, że można było zobaczyć, jak ponad matową karoserią furgonetki unoszą się połyskliwe fale gorąca.

— Masz rację, Jack. Ona coś kombinuje.

Wyciągnął przenośny nadajnik radiowy i już miał go włączyć, kiedy Jack powstrzymał go.

— Jeśli ja się cokolwiek na tym znam, to to jest zasadzka i najprawdopodobniej jesteśmy obserwowani. Naprawdę wygląda na to, że siedzą tam i czekają na nas.



A poza tym jeszcze jedno: gdzie podziały się wszystkie kobiety i dzieci? I jeśli już jesteśmy przy tym, to gdzie w ogóle są *ludzie*? Za każdym razem, kiedy jadę do Givat Tzaddi, Druciarz i ja zazwyczaj tędy przejeżdżamy, zjadamy lunch i łazimy trochę, zwiedzając miasteczko. Wiesz, to miasteczko to kawał historii. Jeremiasz i inni biblijni prorocy chodzili tymi uliczkami. Armia Saladyna rozbiła obóz za tymi murami. Tą drogą pędzili rzymscy woźnice rydwanów. — Jack zamilkł na chwilę, nie odrywając oczu od dziewczyny w furgonetce, a potem mówił dalej: — Byłem tu dziesiątki razy i zawsze te uliczki roiły się od dzieciaków i tłumu ludzi — nigdy nie było tak pusto, jak teraz.

— Lepiej poślę po resztę oddziałów. Nic nam nie da to, że będą pilnowali dróg dojazdowych. Będziemy potrzebowali wsparcia. Co ty na to? — Zawisł palcem nad przyciskiem radionadajnika. — Mam ich wezwać?

Jack stał przed domem, przypatrując się dziewczynie w furgonetce, i potrząsnął przecząco głową. — To mogłoby mieć fatalne skutki. W tej chwili jesteśmy rozdzieleni, i na pewno chcą, żebyśmy byli rozdzieleni. A to daje nam lepsze możliwości wyrównania szans, bo najprawdopodobniej posłali także swoich ludzi do pilnowania naszych chłopców i w ten sposób też są rozdzieleni.

— Co masz na myśli?

— Daj mi się zastanowić, a tymczasem rozejrzyjmy się wokół. Może na coś wpadniemy — powiedział Jack. Zauważył, że w odległym kącie pokoju, przy ścianie, było mniej brudu i piasku na podłodze. Podszedł do ściany, potarł podeszwą buta zapiaszczoną podłogę, przystanął, klęknął i wciągnął powietrze.

— Zalatuje jakby kwasem akumulatorowym.

Yossi podszedł i stanął za nim. Powąchał, wskazał na ścianę i klepnął w nią dłonią. — To dochodzi stąd. — Zaczął obmacywać palcami kamienne bloki. Pchnął dłonią jeden z nich, a kiedy kamień się poruszył, podniósł z rozbawieniem wzrok na Jacka.

Obaj chwycili blok rękami i pociągnęli ku sobie. Kamień wysunął się z łatwością. Położyli go na starym klepisku, zajrzeli do otworu i wydobyli trzy przenośne radionadajniki i akumulator samochodowy. Yossi wyciągnął ramię, sięgając głębiej do otworu w ścianie, przez chwilę grzebał po omacku i wyciągnął ciężki plastikowy worek. Była to torba na śmieci z reklamą Koszernej Pizzy u Sary. W środku były trzy sztuki ręcznej broni.

Jack spojrzał na radia i podał jedno Yossiemu. — Zmiennozakresowe, dokładnie takie, jakiego używał facet, który chciał cię zabić. Zrobione w Pretorii.

Pogrzebali w torbie na śmieci, obejrzeli broń, włożyli ją razem z radionadajnikami z powrotem do torby i znów podeszli do przeciwległej ściany, by jeszcze raz rzucić okiem na zewnątrz.

— Zauważyłeś coś dziwnego w tej furgonetce? — spytał Jack.

Yossi zerknął, wychyliwszy głowę, i zmarszczył się.

— To zwykła furgonetka. Zaparkowana tutaj wygląda zupełnie normalnie.

— To właśnie jest najgorsze — rzekł Jack. — Zaparkowana tutaj wygląda zbyt normalnie. Zostań tutaj na posterunku. Obejdę ciężarówkę łukiem i zajdę od drugiej strony. Nie ruszaj się stąd, dokąd cię nie zawołam. Zrozumiałeś?

Yossi skinął głową przytakująco.

Jack sprawdził magazynek Uzi, którego pułkownik Shapiro dał mu razem z całą kolekcją innej broni, żelaznymi racjami żywności i wojskowym plecakiem; odbezpieczył go, wyregulował długość pasa na ramieniu i rozglądnął się za tylnym wyjściem ze starego arabskiego domu. Drzwi w pozbawionej okien kuchni prowadziły na małe podwórko otoczone wysokim murem. Trzy wychudłe kurczaki i koza nie zwróciły na niego uwagi, kiedy wynurzył się z domu, rozglądając się wokół. Nie było żadnego wyjścia. Wspiął się na wyrzuconą na śmietnik pralkę, wyjrzał ponad murem i rzucił okiem w dół wąskiej alejki.



Zatrzymał się, wyjął plan ulic miasteczka El Yaluq, odnalazł alejkę i przebiegł po niej palcem. Przez jeden blok domostw prowadziła łukiem na północ i kończyła się podobnym do tunelu sukiem, uliczką kramów. Poskładał mapę, odłożył ją na bok i przelazł przez mur.

W trzy minuty później pędził w dół znanej mu ulicy, którą w przeszłości tylekroć przemierzał wraz z Chaimem. Ulica, która, jak dobrze pamiętał, zawsze roiła się od rzemieślników, jubilerów, dostawców żywności, kramów z pamiątkami, handlarzy dywanów i mieszkańców miasteczka, teraz była całkiem opustoszała. Nigdzie ani żywej duszy. Wszystkie kramy, z których niejeden przeszperał w poszukiwaniu podarków dla rodziców, siostrzenic i bratanków, były teraz pozamykane na cztery spusty. To było niesamowite uczucie, i miał wrażenie, że przyglądają mu się setki oczu.

Wreszcie wydostał się z suku, wszedł w wąską alejkę i przebiegł ją truchtem. Stała tam furgonetka. Była zaparkowana pomiędzy nim a domem Qaboosa. Za kierownicą siedziała dziewczyna, odwrócona plecami do okienka od strony kierowcy, i wciąż czytała tę samą arabską gazetę.

Jack wyskoczył z alejki, przeciął pędem kamienny bruk, uniósł Uzi i przesunął się wzdłuż furgonetki. Kiedy docierał już do dziewczyny, posłyszał jakiś odgłos. Jakby odgłos buta zgrzytającego o metalową podłogę. Ktoś jeszcze był w furgonetce. Z tyłu za dziewczyną. Nie mógł zajrzeć do środka, ponieważ okienka były zamalowane na brązowo.

Mógł zrobić tylko jedno i zrobił to.

Wyprostował się za plecami dziewczyny, chwycił ją lewą ręką za włosy, szarpnął jej głowę do tyłu na zewnątrz okienka i w tej samej chwili wepchnął lufę Uzi do środka i wycelował ją w mężczyznę, który kucał z tyłu skulony.

— Siedź spokojnie, chłopcze — powiedział Jack. — Nie ruszaj się. Tak dobrze. A teraz powoli połóż ręce na karku.

Jack pogroził mu lufą pistoletu maszynowego. — Zrób to, albo jesteś martwy...

Mężczyzna w arabskim nakryciu głowy ani drgnął. Kucał skulony, z obiema rękami na wycelowanym w zamknięte drzwiczki lekkim karabinie maszynowym na dwójnogu.

W tym momencie Jack zrozumiał, po co tu byli i co zamierzali zrobić. W chwili, w której Yossi i on wyszliby z domu Qaboosa, drzwiczki furgonetki uchyliłyby się, a oni zostaliby rozsiekani kulami.

— Powiedziałem, ręce na kark.

Arab siedział, wpatrując się w niego z wyzwaniem w oczach.

Dziewczyna jęknęła i próbowała wbić Jackowi paznokcie w nadgarstek, ale on zacisnął mocniej rękę na jej długich czarnych włosach i targnął jej głowę do tyłu, przeginając ją przez framugę otwartego okienka tak bezlitośnie, że rozległ się głośny łomot, a dziewczyna wrzasnęła.

W tej właśnie chwili mężczyzna rzucił się do przodu, usiłując chwycić Uzi za lufę i wyrwać go z rąk Jacka. Jednak był zbyt powolny. Jack nacisnął spust równocześnie z jego pierwszym poruszeniem. Siła ogłuszającej serii odrzuciła mężczyznę w bok. Przeleciał przez karabin maszynowy i wylądował na podłodze, waląc głową o boczne drzwiczki. Jack puścił włosy dziewczyny, złapał za klamkę, jednym szarpnięciem otwarł drzwiczki, krzyknął: *„Yossi, droga wolna!”*, ponownie chwycił dziewczynę za włosy, wywlókł ją głową w dół na bruk i zanurkował ponad siedzeniem kierowcy, w prawej ręce wciąż trzymając Uzi wymierzony w śmiertelnie rannego mężczyznę.

Arab, leżący w dziwnej pozycji w tyle furgonetki i usiłujący wyciągnąć 9-milimetrowy sowiecki pistolet Makarov, nie był już w stanie unieść ramienia, a tym bardziej utrzymać w ręce broni, bowiem życie uchodziło z niego wraz z krwią, która bluzgała z kilkunastu dziur w tułowiu i buchała ustami.

Jack usłyszał, jak Yossi podbiega do furgonetki, w czasie



gdy sam przechylił się przez oparcie siedzenia, wyłuskał pistolet z ręki Araba i wymierzył do niego z Uzi. — Kim do cholery jesteś, chłopcze? Dlaczego próbowałeś mnie zabić?

Arab kaszlał, skręcał się konwulsyjnie w agonii, dławił się własną krwią i znów kaszlał przez kilka sekund. Kiedy przestał, chyba nie zauważył, że gdy tak wpatrywał się w oczy Jacka, Yossi także przechylił się ponad oparciem siedzenia i przyglądał mu się. Usiłował coś powiedzieć i w końcu udało mu się wykrztusić po angielsku, mimo krwi cieknącej z ust: — Amsterdam. Byłbyś już martwy, gdybym nie posłał Hassana.

— *Ma afham,* nie rozumiem — powiedział Jack. — Kto to jest Hassan? O co chodzi z tym Amsterdamem? Dlaczego próbowałeś mnie zabić? Kto ci kazał?

Głos Araba stawał się coraz słabszy. Wyszeptał po arabsku: *„...taamin...hadid...malik...”,* zakrztusił się krwią, zesztywniał w agonii i umarł.

Jack potrząsnął głową i popatrzył na Yossiego.

— Zrozumiałeś coś z tego?

— Tak. To brzmiało jak coś o ubezpieczeniach, żelazie i królu.

— Nie rozumiem.

Usłyszeli pojękiwania dziewczyny i spojrzeli na nią. Leżała koło furgonetki na bruku i próbowała usiąść. Jack ześlizgnął się z siedzenia i ukląkł przy niej. Yossi wysiadł z furgonetki z drugiej strony, obszedł ją dookoła i stanął, przypatrując się dziewczynie. Usłyszeli nadjeżdżającego pędem drugiego jeepa, w którym musiano usłyszeć ogień z broni palnej. Wszędzie wokół ludzie zaczynali otwierać okna i wyglądać. Kilkoro dzieci odważyło się wyjść z domów i stało na ulicy, gapiąc się na nich.

— Kto to był? — zapytał Jack dziewczynę, podciągając ją do pozycji siedzącej. — Ten mężczyzna w środku — kto to był?

Podniosła wzrok na Jacka, wymamrotała coś po arabsku i potrząsnęła głową.

Odezwał się Yossi: — Powiedziała, że powinieneś leżeć martwy.

— Zapytaj ją, dlaczego.

Yossi mówił coś szybko po arabsku, a potem stał, czekając na odpowiedź. Znów podniosła wzrok na Jacka, splunęła na niego i powiedziała po angielsku: — Odpierdol się.

Nadjechała reszta jeepów z dwoma oddziałami umundurowanych żołnierzy izraelskich. Porucznik podszedł do nich szybkim krokiem, podczas gdy jego ludzie z bronią gotową do strzału zajmowali pozycje na środku ulicy, bacznie omiatając wzrokiem bramy, okna i wyloty uliczek wokół siebie.

Kiedy porucznik spostrzegł siedzącą na bruku dziewczynę, podniósł oczy na Jacka i Yossiego z wyrazem zaskoczenia.

— Hej, Effia, ty stara torbo.

Potem powiedział coś do niej po arabsku. Gdy nie odpowiedziała mu, a jedynie spojrzała spode łba, postąpił ku niej dwa kroki, jakby miał zamiar kopnąć ją w twarz.

— Okay — rzuciła po angielsku, osłaniając się przed nim rękami.

Była ładna i miała śliczne zęby, z których była dumna. Nie było sensu narażać na uszczerbek urody dla kogoś, kto i tak nie mógł już tego docenić.

— Będę mówić — wyszeptała przestraszonym głosem — ale nie tutaj, gdzie mogą mnie zobaczyć. Chcecie, żeby mnie zabili?

GIVAT TZADDI
Niedziela, 30 lipca
18.30

Kantor Chaima Merona został teraz zamieniony w punkt dowodzenia Jacka i Yossiego. Godzinę temu zameldowali się z powrotem z arabskiego miasteczka i poinformowali



Chaima i generała o tym, co się tam wydarzyło. Teraz, czekając, aż tamci wrócą z odpowiedziami na powstałe pytania, Jack i Yossi usiedli przy komputerach Chaima i przegrzebywali dane z kartoteki pracowników Tzaddi, popijając kawę i skubiąc *pitę*. Do tej pory poszukiwania potencjalnych podejrzanych były bezowocne. Donikąd prowadziły nawet tajne kartoteki, do których dostęp można było uzyskać dopiero po tym, jak optyczne skanery odczytały i zatwierdziły ich odciski palców.

Kiedy już drugi raz napełniali kubki kawą, wszedł Chaim, generał Pinchas i pułkownik Shapiro.

— Dopisało wam szczęście? — spytał generał. Wziął jedną filiżankę.

— To była strata czasu — odrzekł Jack. — Co miała do powiedzenia ta dziewczyna?

— To również było daremne — powiedział generał, nalewając sobie kawy. — Wszystko, co była skłonna przyznać, to to, że al-Sirat był jej kochankiem. Ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła, że byli zwolennikami sekty islamskich fundamentalistów; ale powiedziała, że chociaż sympatyzowali z OWP, to jednak uważali ją za bandę terrorystycznych radykałów i wykolejonych ekstremistów.

Jeśli chodzi o źródło pieniędzy, z których korzystał al-Sirat, powiedziała, że nie ma o niczym pojęcia. A było to po tym, jak na jej oczach znaleźliśmy trzydzieści tysięcy dolarów amerykańskich w bagażu al-Sirata, który przechowywała dla niego we własnym domu. Zaprzeczyła także, jakoby wiedziała, dlaczego al-Sirat próbował cię zabić, albo dlaczego wysłał Hassana Hakima i terrorystkę z Czerwonych Brygad do Amsterdamu.

Potem dodał nawiasem: — Założę się, że nie miałeś pojęcia, iż jesteś celem zabójcy.

— Nawet jeśli trudno ci w to uwierzyć. Zobaczyłem zamieszanie i samochody policyjne po drugiej stronie kanału, a potem usłyszałem, że znaleziono zamordowa-

nych dwóch terrorystów, ale ani mi przez myśl nie przeszło i nigdy bym nie przypuścił, że miało to cokolwiek wspól-nego ze mną. — Jack pociągnął łyk kawy i rozparł się w fotelu. — Cóż, ktokolwiek ich zabił, uratował mi tym życie. — Podniósł filiżankę, wznosząc toast. — Winien mu jestem zaproszenie na kielicha.

Jack łyknął kawy i zapytał generała: — Co mówiła o podżegaczach zamieszek?

— Ani słowa. Uczestnicy zamieszek wszyscy powtarzają tę samą historię. Człowiek, którego nigdy przedtem nie widzieli, zapłacił im za zorganizowanie demonstracji i rzucanie kamieniami. Opisują go jako niskiego, grubego Syryjczyka z brodawką na podbródku. Przepuściliśmy ten opis przez bank danych, ale nic z tego nie wynikło. Przy okazji, furgonetka z Tzaddi została dokładnie przepatrzona i nie znaleziono nic interesującego.

— A co z radiami?

— Według tego, co twierdzi wytwórnia C3 w Pretorii, nigdy ich nie sprzedawali. Powiadomili nas, że sześć egzemplarzy okazowych zostało skradzionych z ich stoiska na ostatnim Pokazie Lotniczym w Paryżu. Numery seryjne, które nam podali, zgadzają się.

— A broń, którą znaleźliśmy w torbie na śmieci w domu Qaboosa?

— Należała do asystentów Ortmana.

— Broń mogła zostać im odebrana po tym, jak wyjechali z terenu fabryki zeszłej nocy, i mogli być trzymani na muszce i zmuszeni do wywiezienia POTH-a. Zachodzi pytanie, czy zrobił to Abdul Sayid?

Nie wspomniał o tym, że Webster Dean powiedział mu, iż Rostov i Ortman znali się blisko przed laty w Los Alamos.

Generał odłożył filiżankę. — Prześledziliśmy przeszłość Abdula na uniwersytecie w Hamburgu, gdzie robił specjalizację z rachunkowości. Mógłbym dodać, że od strony naukowej było to całkowite nieporozumienie. Rok temu zniknął



z Hamburga bez śladu. W tydzień później pojawił się w Tzaddi i zaczął pracować dla Ortmana. W Hamburgu przyjaciele Abdula, zaniepokojeni brakiem wieści o nim, zadzwonili na policję. Policja podjęła śledztwo, nie uzyskując niczego poza tym, że Abdul, zanim zniknął, widziany był wielokrotnie w towarzystwie mężczyzny — pięćdziesięcioletniego mężczyzny, którego rysopis pasuje jak ulał do Hadżdżiego.

— Hadżdżi, co? Myśli pan, że mógł zwerbować Abdula?

Generał wzruszył ramionami i pociągnął łyk kawy.

— Jak wygląda przeszłość Abdula?

— Jego ojciec jest księgowym i pracuje w Abu Dhabi dla arabskiego szejka miliardera. Ojciec Abdula wiązał ze swoim jedynym synem wielkie nadzieje i wysłał go na uniwersytet w Hamburgu, żeby zrobić z niego takiego samego księgowego jak on. Ale okazuje się, że Abdul, jak wielu dwudziestoczterolatków, woli przygody i łatwą forsę od solidnej przyszłości i dobrego zawodu.

Generał uniósł brwi i powiedział: — I teraz sprawa zaczyna być interesująca. Szejk Fahad ibn-Nasir, brat szejka miliardera, dla którego pracuje ojciec Abdula, jest dla Abdula wzorem i najbliższym przyjacielem. Niewiele wiemy o Fahadzie — jego szejkanat jest położony głównie w górach — poza tym, że uważany jest za żmiję i macza palce w wielu bezecnych interesach, włączając w to przemyt broni, handel niewolnikami i inne odstręczające przedsięwzięcia. Krótko mówiąc, Fahad jest dla Abdula bohaterem i ma na niego przemożny wpływ.

Generał przerwał, upił łyk kawy i spytał:

— Słyszał pan o miejscu nazywanym Al Asard City?

— Tak, oczywiście. To nowe miasto, które Saudyjczycy wybudowali parę lat temu za dwadzieścia miliardów dolarów. Ludność: sto tysięcy, i żadnych zezwoleń na osiedlenie dla Palestyńczyków — powiedział Jack, uśmiechając się szeroko. A potem poważnie dodał: — Dzisiaj produkują tam wszystko, począwszy od karabinów aż po pociski

międzykontynentalne, w skomputeryzowanych fabrykach posługujących się najnowocześniejszą technologią. Mają nawet satelitarne stacje naziemne i wysoce skomplikowaną sieć radarową, pokrywającą swoim zasięgiem całą przestrzeń powietrzną od Morza Czerwonego po Zatokę Perską...

— No cóż — generał pociągnął jeszcze jeden łyk i kontynuował — zdaje się, że przyjaciel i wzór Abdula, szejk Fahad ibn-Nasir, został publicznie upokorzony i obłożony zakazem wjazdu i pobytu w Al Asard City. Pyszczyły o tym wszystkie arabskie środki masowego przekazu. Cytowano słowa Fahada, jak obiecywał zbudować w swoim szejkanacie miasto przemysłowe, które zaćmi Al Asard City. Publicznie złożył świętą przysięgę w imię Allacha i zaklinał się, że nie spocznie, póki wszyscy jego bracia szejkowie nie przyjdą go błagać o przebaczenie i opiekę.

Generał potoczył wokół spojrzeniem i zatrzymał wzrok na Jacku. — Powtarzam, *Fahad złożył uroczystą przysięgę, że nie spocznie, aż jego bracia szejkowie przyczołgają się do niego, błagając o litość i opiekę.*

Jack przez dłuższą chwilę nic nie mówił, przeżuwając w myślach sugestię generała. Potem skinął głową przytakująco i rzekł: — To by się zgadzało. Mógłby być tym człowiekiem, którego szukamy. Abdul mógł zmontować całą sprawę.

Generał wyjął szczegółową mapę w dużej skali z mapnika na biurku Chaima i przytrzymał ją w górze. — Furgonetkę znaleziono z przestrzelonym kołem, żeby wyglądało na to, że została porzucona z powodu pęknięcia opony, co nie powinno wzbudzać podejrzeń. Przypuśćmy teraz, że Abdul i pozostali wysiedli z samochodu i zeszli na plażę, gdzie czekała na nich mała łódź — łódź wysłana po nich ze statku na morzu. Przypuśćmy, że ta łódź została wyekspediowana po tym, jak statek odebrał sygnał radiowy od Abdula; wówczas zabrała Abdula, dra Ortmana



i jego pięciu kolegów. *Czy mogło tak być?* Aman jest zgodny co do tego, że tak mogło być — a Aman i Mossad razem są zdania, że w ten sposób prawdopodobnie potoczyły się wypadki.

Generał ponownie otwarł mapnik, wyciągnął kawałek papieru i podniósł go do góry. — To jest fotokopia meldunku z kapitanatu portu w Jaffie. W środę, przedwczoraj, *Athene*, mały grecki frachtowiec, zakotwiczył na redzie Jaffy. Potem dokonano rozładunku transportu odzieży i kapeluszy, a właściciel załatwił jakieś interesy w jednym z banków i powrócił na statek. O 19.00 wciągnięto na pokład szalupy i *Athene* podniosła kotwicę, wychodząc w morze.

Generał rozłożył mapę i przytrzymał ją na tablicy.

— Przeciętna szybkość jednostki tej klasy co *Athene* to osiem węzłów, czyli osiem mil morskich na godzinę. Zakładając, że *Athene* płynęła średnio z tą prędkością, mogła znaleźć się tutaj, w tym punkcie, o 3.00 rano w sobotę — uderzył dłonią w mapę — dokładnie o pięćdziesiąt mil morskich na zachód od miejsca na nabrzeżnej autostradzie, gdzie porzucono furgonetkę. I zechcą panowie zauważyć, że pozycja w odległości pięćdziesięciu mil od wybrzeży Izraela jest powszechnie, acz błędnie, uważana za wykraczającą poza zasięg naszego radaru.

Generał złożył mapę i cisnął ją Jackowi. Potem wyjął ze swojego mapnika kartkę żółtego papieru. — Mam tutaj fotokopię raportu oficera dowodzącego stacją radarową w Hajfie, w którym potwierdza on fakt, że statek zidentyfikowany jako *Athene* w istocie był o pięćdziesiąt mil morskich od wybrzeża, w tym właśnie punkcie, o 3.00. — Znów podniósł meldunek kapitanatu portu w Jaffie. — To zaś świadczy, że właścicielem *Athene* jest obywatel ZEA, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, pewien szejk nazwiskiem Fahad ibn-Nasir.

Jack przyglądał mu się bacznie przez chwilę, a potem powiedział: — Nie do wiary. To prawie zbyt piękne, żeby

mogło być prawdziwe. Wszystko układa się w całość aż za dobrze.

— Takie są fakty, i sugeruję, żeby pan wraz z Yossim wziął helikopter i natychmiast poleciał przeszukać tę plażę. Przy odrobinie szczęścia może pan po prostu znaleźć potwierdzenie tej zgrabnie układającej się teorii, z którą wystąpiliśmy. — Generał skinieniem głowy wskazał Yossiemu telefon na biurku Chaima.

Gdy Yossi zajęty był telefonowaniem do sił powietrznych, żeby zażądać helikoptera, pułkownik Shapiro wstał, nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i rzekł:

— Nie byliśmy w stanie zasięgnąć języka o Hadżdżim, ale mamy nadzieję, że do czasu pańskiego powrotu już będziemy mieli dla pana jego dane z Interpolu.

Co do Borisa Vorosa, był na pokładzie *Gwiazdy* w Monako, ale wyjechał dzisiaj wczesnym rankiem. Nasi ludzie przesłuchali kapitana jachtu i załogę. Voros był na pokładzie *Gwiazdy* dwa tygodnie temu w Amsterdamie. — Pułkownik zamieszał kawę. — Był tam równocześnie z tobą, Jack. Wyjechał tego samego popołudnia, kiedy przywiozłeś Carvelda z powrotem z przejażdżki łodzią i przekazałeś go holenderskiej policji. Jest nadzieja, że o wiele więcej będzie o Borisie Vorosie w aktach Interpolu, które również powinniśmy otrzymać lada chwila.

— A zatem — powiedział Jack, machnąwszy ręką ze zniecierpliwieniem — poczekamy i zobaczymy, czy to Voros pociąga za sznurki Rostova. A jeśli już mówimy o Rostovie, czy pojawił się gdzieś?

— Nie ma ani słowa o nim ani o Zicie Dean. Dowiedzieliśmy się z pewnego źródła, że pojechała spotkać się z Rostovem gdzieś na północ od Jerozolimy.

Jack wskazał ręką na Yossiego i powiedział do generała:

— A ten zaginiony kontener, za którym węszył Yossi i grupy Amanu, i w którego zniknięcie rzekomo zamieszany był Rostov, macie na ten temat coś nowego?



— Kontener się znalazł — rzekł generał. — Niech pan zgadnie gdzie?

Jack spojrzał na Yossiego. Obaj unieśli brwi i wzruszyli ramionami.

— Cały czas był na pokładzie statku. Cynk był oczywiście fałszywy. Konosamenty i manifest okrętowy zostały pozmieniane. Śledztwo jest w toku i kontenerowiec nie opuści Hajfy, dopóki nie otrzymamy na to odpowiedzi.

Kiedy helikopter wylądował, dwaj żołnierze wysiedli z jeepa i zaczekali, aż Jack i Yossi podbiegną do nich. Przedstawili się, ale z powodu hałasu wirnika nie sposób było usłyszeć ich nazwisk.

— Stała zaparkowana dokładnie tutaj — wykrzyczał sierżant, podbiegając truchtem i pokazując ręką. Późnopopołudniowe słońce rzucało fioletowawe cienie na ślady stóp i opon samochodowych. Jack mógł zobaczyć, którędy wycofywał się ciągnik.

Yossi zapytał: — Czy ktoś zszedł na plażę i rozejrzał się tam?

Obaj żołnierze potrząsnęli przecząco głowami. Sierżant wskazał na zestaw przyrządów elektronicznych i ekran radaru w jeepie. — Mamy rozkaz kontynuować patrolowanie i zostać na posterunku. To jest nasz posterunek.

Jack i Yossi ruszyli w dół zakola drogi i weszli na plażę. Podążali w kierunku południowym po miękkim piasku w stronę skalnego występu, szli powoli, szukając śladów stóp i innych znaków czyjejś obecności.

Nic. Zeszli nad sam brzeg wody, chwilę wpatrywali się w fale przyboju i dostrzegli o dziesięć metrów w głębi plaży, za sobą, oznaczenie maksymalnego przypływu. Odwrócili się i przeczesali wzrokiem pusty horyzont. Z wyjątkiem domu stojącego o około kilometr w dół drogi po przeciwnej stronie nadmorskiej autostrady plaża była opustoszała i pozbawiona domów i zabudowań.

Kiedy wracali znad brzegu wody ku skałom, Jack za-

uważył skalną rozpadlinę i krzaki jeżyn. Zaczął zbliżać się do skał i nagle puścił się pędem.

— Mamy to! — krzyknął.

Yossi, biegnąc za nim, wykrzykiwał: — Co za *to*? Nic, do cholery, nie widzę.

— Jeżyny. One tak nie rosną. Zostały ścięte i rozmyślnie tam poukładane.

Pobiegł do parowu i ostrożnie, unikając kolców, chwycił gałęzie jeżyn i odciągnął je na bok.

Znaleźli motocykl marki Honda należący do Abdula, wymienili triumfalne spojrzenia i pełni animuszu wpełzli do parowu w poszukiwaniu dalszych dowodów. Jack pokazał odciśnięte ślady na piasku. — Miał tu schowaną łódź pontonową ze sztywnym kilem. Zauważ, jak środek kila zagłębił się w ziemię. Był wyposażony w podwozie z dużymi kołami. Całość razem z silnikiem musiała ważyć z pół tony.

Yossi trącił łokciem Jacka i pokazał. — Ślady stóp, liczne, musiały powstać, kiedy wyciągali ją stąd. — Podczołgał się do śladów i posłużył się ręką zamiast linijki. — Cztery różne rozmiary butów.

Jack znów przysiadł na piętach i powiódł wzrokiem po ziemiance w gwałtownie blednącym świetle słońca. — Teraz, kiedy już wiemy, że z całą pewnością tu byli, i wiemy, że tutaj ukryta była łodź, a także, że posłużyli się w ucieczce łodzią, możemy logicznie założyć, że mieli ze sobą tajne urządzenie i wszystkie dokumenty. Pozostaje nam ustalić trzy rzeczy: gdzie znajdują się teraz, dokąd jadą i w jaki sposób odnajdziemy urządzenie i sprowadzimy tych sześciu facetów z powrotem.

Yossi zapytał: — Czy możemy zasięgnąć języka o obecnym położeniu *Athene?*

— Jestem pewien, że generał Pinchas i Chaim Meron już nad tym pracują. Wy, Izraelczycy, jesteście w stanie określić dokładnie położenie każdej jednostki na morzu, w każdym punkcie świata, za pośrednictwem waszego satelitarnego systemu wykrywania.



— Mówiono mi o tym. — odrzekł Yossi. — Dokąd stąd pojedziemy?

Jack wstał, otrzepał ręce i kolana z piasku i ruszył do wyjścia. Yossi przyłączył się do niego i śpiesznie wydrapali się na wydmy, zmierzając w kierunku helikoptera i żołnierzy, którzy czekali na nich koło jeepa patrolu straży granicznej. Jack, poleciwszy im wysłać kogoś po motocykl Abdula, pokiwał ręką na pilota helikoptera, zasygnalizował mu, żeby przygotował się do startu, podbiegli i wdrapali się na pokład.

W dwadzieścia sekund później, dokładnie w chwili, gdy odrywali się od ziemi i wzbijali w powietrze nad nadmorską autostradą, biorąc kurs z powrotem na Givat Tzaddi, furgonetka Nissan wjeżdżała na drogę pół kilometra na północ od miejsca, w którym byli Jack i Yossi.

Gdyby w tym momencie Jack popatrzył przez mocną lornetę i gdyby nastawił ją na mężczyznę prowadzącego ciężarówkę, rozkazałby pilotowi ścigać go, a także przekazałby przez radio do patrolu straży granicznej, żeby go aresztował.

Mężczyzną w furgonetce był Viktor Rostov.

# 9

RUINY DAWNEGO MECZETU
8 kilometrów na północ od El Yaluq
Niedziela, 30 lipca, 15.25

Ciemne chmury zgromadziły się nad ruinami meczetu z dziewiątego wieku, a kiedy przesłoniły słońce, dąć zaczęły podmuchy wiatru — równie gniewne jak fale wściekłości przetaczające się przez myśli Viktora Rostova. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Był wystarczająco rozzłoszczony, żeby zabić chuderlawego, krzywonogiego Araba, który stał z głupawym uśmieszkiem na twarzy, opierając się o ścianę, na którą Rostov popchnął go znowu przed chwilą.

— W porządku — powiedział Rostov po arabsku. — Zaczniemy jeszcze raz od początku. Ostatni raz widziałeś Qaboosa i Abdula zeszłej nocy przy blokadzie drogowej. Co zrobiłeś po tym, jak dał ci broń i kazał odjechać? Dokąd pojechałeś? Kto był razem z tobą? Dokąd pojechał Qaboos?

— Wszystko ci już powiedziałem. Prowadziłem furgonetkę Qaboosa. Byli ze mną Jabir i Madfa. Wróciliśmy do domu Qaboosa, ukryliśmy pistolety tam, gdzie chowamy nadajniki radiowe, i włączyliśmy telewizor. Zrobiło się bardzo późno, a Qaboos nie wracał. Czekaliśmy na niego, a kiedy telewizja skończyła program, zasnęliśmy. Myślę, że Qaboos pojechał do Kiryat Shmona. Tam właśnie jeżdżą czasami, kiedy chcą przekraść się przez granicę do Libanu. Myślę, że chciał się przekraść razem z tymi sześcioma ludźmi z fabryki elektronicznej.

W środku nocy usłyszeliśmy, jak dzieciaki wrzeszczą,



że żołnierze wracają z powrotem. Ktoś powiedział, że ci ludzie z fabryki elektronicznej zniknęli i że szukają ich i Abdula. Wstaliśmy i uciekliśmy z miasteczka, żeby nas nie przesłuchiwano. Wróciliśmy dzisiaj rano i to wszystko.

— Nie masz pojęcia, gdzie może być Qaboos?

— Nie mam.

— A Abdul Sayid?

— Nie.

— Abdul był twoim przyjacielem. Powiedziałeś, że razem zjeździliście cały kraj na motocyklu i że byliście bardzo dobrymi przyjaciółmi. Opowiedz mi coś o Abdulu. Z czym ci się zwierzał? Jakie miał tajemnice? Wiesz, co mam na myśli. Dobrze się zastanów, Bani. — Rostov wsadził rękę do kieszeni i wyjął plik banknotów. — Mam tu pięćset dolarów. Są twoje, jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć. — Zobaczył, że oczy młodego Araba rozbłysły na widok pieniędzy. — Powiedz mi wszystko, Bani, i będą twoje.

Rostov bawił się zwitkiem banknotów i stał, przyglądając się Baniemu.

— Abdul mnie zabije.

— Boisz się Abdula?

— Nie! Nie boję się nikogo.

*Twardziel, dobrze. Pomachaj mu pieniędzmi przed nosem, pokaż mu je, daj mu powąchać.*

— W co wplątany był Abdul?

— No, czasami jeździliśmy we wtorki do Hajfy i odwiedzaliśmy dziewczyny.

Rostov, przyglądając się z bliska Baniemu, pochwycił jakiś błysk w jego oczach, który pojawił się i zniknął. Coś ukrywał. Kłamał.

— Dziewczyny? — zapytał Rostov. Włożył pieniądze z powrotem do kieszeni.

Bani nadal unikał jego wzroku. — Tak, bardzo ładne dziewczyny.

Wpatrywał się w ziemię i częściowo naprawioną kamienną posadzkę. Kiedy w chwilę później podniósł oczy,

wyprostował się jednym szarpnięciem, ujrzawszy w ręce Rostova 9-milimetrowy półautomatyczny pistolet.

— Masz nóż, Bani? — zapytał Rostov.

— Taa, mam nóż.

Rostov wyciągnął lewą rękę, dłonią do góry. Broń w zaciśniętej prawej ręce wymierzona była w pierś Baniego. — Pokaż go.

Bani powoli sięgnął ręką za nakrycie głowy i wsunął ją za kołnierz. Kiedy wyciągnął ją, trzymając rękojeść noża między kciukiem a palcem wskazującym, Rostov odciągnął kciukiem bezpiecznik pistoletu. Dźwięk odbił się echem w opustoszałych ruinach jak wystrzał. Bani zatrzymał się, odczekując chwilę, by pokazać Rostovowi, że niczego nie kombinuje, i dalej wyciągał nóż z pochwy przywiązanej rzemieniem poniżej linii zarostu na karku. Kiedy wyjął go całkiem, opuścił ramię i ostrożnie wręczył Rostovowi.

Rostov opuszką kciuka wypróbował ostrą jak brzytwa klingę, a potem znienacka przytknął czubek noża młodemu Arabowi do gardła. — Dokąd pojechał Abdul, Qaboos i pozostali ludzie?

Uśmieszek zniknął z twarzy Araba. Strach zawładnął jego duszą, oddychał ciężko i znieruchomiał, obawiając się poruszyć, ponieważ ostrze rozcinało mu ciało.

— Allach niech zaświadczy za mną, nie wiem, przysięgam na Allacha, nie wiem.

— Gdzie widziałeś ich po raz ostatni?

— Powiedziałem ci, koło blokady drogowej, w piątek wieczór.

— Dokąd Abdul miał zawieźć Qaboosa i ludzi?

— Nie wiem. — Oczy rozwarły mu się szeroko, a wargi zaczęły drżeć, gdy poczuł, że ostrze rozcina mu ciało. Było tak ostre, a on sam był tak bardzo przerażony, że nie poczuł bólu. Jedyną rzeczą, jaką sobie uświadamiał, była lepka, ciepła krew ściekająca mu po szyi i piersi.

— Byłeś z Abdulem w Hajfie, gdy telefonował? Do kogo dzwonił?



— Czasami do swojego ojca w Abu Dhabi.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? — Rostov udał, że zabezpiecza półautomatyczny pistolet i wkłada go do bocznej kieszeni, nie przestając przy tym trzymać noża na gardle Baniego.

— Zapomniałem, doktorze Rostov. Zapomniałem, przysięgam na Allacha.

— Do Abu Dhabi, powiadasz? Czy ojciec Abdula tam mieszka?

— Tak. Ojciec Abdula jest buchalterem. Pracuje dla potężnego szejka. Ten ojciec Abdula to bardzo ważny człowiek. Szejk jest bardzo bogaty i ma dużo szybów naftowych. Ojciec Abdula był wściekły na syna i wciąż dopytywał się, co robi w Izraelu zamiast, jak było umówione, chodzić do szkoły w Niemczech i uczyć się na księgowego, żeby pójść w ślady ojca. Ale Abdul tego nie chce. Wciąż powtarza, że zostanie milionerem, zanim skończy dwadzieścia pięć lat.

— Czy Abdul powiedział, jak zamierza tego dokonać?

— Nie. Może powiedział Madfie. Madfa jest tutaj jego najukochańszym przyjacielem.

— Madfa? Co jeszcze powiedział ci Abdul?

— Zawsze chełpił się, że brat szejka, dla którego pracuje jego ojciec, Fahad ibn-Nasir, jest jego serdecznym przyjacielem. Wciąż gadał o Fahadzie ibn-Nasirze i o tym, jak żeglowali razem, i że znają się od czasów, kiedy on miał dwanaście lat, a Fahad osiemnaście. Fahad także jest szejkiem, ale nie mieszka w Abu Dhabi i nie ma żadnych szybów naftowych. Jego szejkanat leży w górach niedaleko Omanu i zatoki. Nie wiem, gdzie mieszka, ale przypuszczam, że gdzieś tam, w Emiratach Arabskich.

— Gdzie teraz jest Abdul?

— Przysięgam na imię Allacha i jego proroka, Mahometa, nie wiem.

Rostov znienacka zagłębił koniuszek ostrza w ciało

Baniego, w grdykę, i pociągnął w dół, rozcinając powierzchownie skórę.

Bani wrzasnął i usiłował uchylić się przed ostrzem, lecz Rostov dźgnął go lekko czubkiem klingi w ramię i obrócił nóż w ranie. — Gdzie jest Abdul?

— Allach mi świadkiem, że nie wiem. — Zaczął łkać i jęczeć.

— A jak myślisz, gdzie może być?

— Nie wiem. Spytaj Madfę. — Łzy bólu spływały mu po policzkach.

— Osłaniasz go?

— Nie. Zapytaj Madfę. On wie. — Zaczynał cały się trząść.

— Warto umierać dla Abdula?

— Nie, doktorze Rostov. — Skamlał, rzucał się gwałtownie.

— Gadaj, do cholery.

— On... on czasem jeździ na motocyklu na tę plażę na południe od Hajfy i tam pływa na desce, ale nie wiem, gdzie to jest. Trzyma tam w ukryciu deskę do windsurfingu, ale ja byłem tam z nim tylko raz i, przysięgam, nie wiem, gdzie to jest. Madfa wie. Jeździł tam z nim często.

Rostov cofnął nóż i postąpił krok do tyłu. W tym momencie Bani udał, że się kuli i uchyla w bok, ale nagle zebrał się w garść i wymierzył Rostovowi potężnego kopniaka w pachwinę.

Rostov z jękiem upadł na plecy, upuszczając nóż. W chwilę potem Bani zgarnął swój nóż. Gdy Rostov zaczął się podnosić, Arab zamachnął się nożem trzymanym w prawej ręce i nagle zaatakował go wściekłym cięciem.

Rostov rzucił się w tył, skoczył na nogi, zrobił unik w prawo i zdołał uniknąć następnego cięcia klingi. Szczerząc zęby w uśmiechu, nie odrywając ani na moment wzroku od twarzy Baniego, obszedł go wokół, z rękami uniesionymi i rozczapierzonymi, kołyszącymi się z rytmem prądów, rozluźnionymi, wyczekującymi, jak u podwodnego pływaka. Bani zrobił gwałtowny wypad do przodu i znów spróbował dosięgnąć ostrzem gardła Rostova.



Jednym błyskawicznym ruchem, zbyt szybkim, by nadążyć za nim wzrokiem, Rostov zrobił unik w bok, pochwycił młodego Araba za rękę trzymającą nóż, podbił ją w górę, wykręcił i skierował ostrze w jego pierś, wbijając je aż po trzonek. Kolana ugięły się pod nieszczęsnym Banim. Zgiął się wpół. Rostov zrobił krok wstecz i przyglądał się, jak upada na nóż. Stęknął raz jeden. Potem zaległa cisza.

Rostov szturchnął palcem u nogi nieruchome ciało Baniego, kopniakiem odwrócił je na plecy, przez chwilę spoglądał w wybałuszone, niewidzące oczy Baniego i wyszedł z ruin meczetu.

Gdy podchodził do furgonetki marki Nissan, którą przyjechał z Jerozolimy, zauważył, że ciemne chmury zasnuły całe niebo. W widocznej w oddali dolinie na wschodzie już padało. Na zachodzie późnolipcowe słońce wciąż jeszcze prażyło ziemię. Piękno wiejskiego krajobrazu i pogoda niewiele go teraz obchodziły. Popatrzył na zegarek i stwierdził, że już prawie czwarta. Czas skontaktować się przez satelitę z Borisem Vorosem.

Wsiadł do furgonetki, gdzie zamontowany miał radionadajnik o zmiennej częstotliwości i wzmacniacz zdolny spotęgować jego pięciowatowy sygnał, zapuścił silnik i włączył radio. Zanim zaczął mówić, upewnił się, że dioda luminiscencyjna wskazuje, iż urządzenie szyfrujące jest włączone i ustawione na z góry ustaloną częstotliwość. Potem powiedział po rosyjsku: „Viktor do Bravo, słyszysz mnie?"

Głos po rosyjsku odpowiedział: „*Da*. Co poszło źle, Viktor?" — Nieszczery świergot. Tak, to był Boris.

„Skąd wiedziałeś, że poszło źle?"

„Hadżdżi jest ze mną. Kiedy się nie pojawili, przyleciał mi o tym zameldować. Co się stało?"

„Czekałem na nich do piątej rano, a kiedy się nie pojawili, zjechałem do starego meczetu w pobliżu arab-

skiego miasteczka i połączyłem się z domem Qaboosa. Odpowiedział Bani. Qaboosa nie było. Kazałem mu przyjść tutaj, bo wiedziałem, że jest starym kumplem Abdula. Skończyłem przesłuchiwać Baniego kilka minut temu. Nie znał planów Abdula i nie wiedział, dokąd pojechał. Nie miał także pojęcia, gdzie jest Qaboos. Abdul, Qaboos i sześciu ludzi z izraelskiej fabryki zbrojeniowej byli wszyscy w furgonetce przy blokadzie na szosie, i od tej pory nikt ich nie widział."

„Więc Qaboosa także nie ma, co? Dzieje się tam coś bardzo złego."

„Stało się to oczywiste, kiedy nie powrócił wczoraj wieczorem."

„Co o tym myślisz, Viktor?"

„Myślę, że Abdul nas wykiwał. Myślę, że zawiózł tych sześciu ludzi i urządzenie gdzie indziej. Bani powiedział, że Abdul przechwalał się, że zostanie milionerem, zanim skończy dwadzieścia pięć lat. I Bani pojechał kiedyś z Abdulem na opustoszałą plażę, gdzie Abdul trzymał w ukryciu czarną deskę do windsurfingu."

„Deskę do windsurfingu? Czy uprawia to jako sport?"

„Uprawiał, według tego, co twierdził Bani. Ale wątpię, żeby to dlatego trzymał czarną deskę schowaną na plaży. Raczej użył jej albo planował jej użyć jako środka lokomocji, żeby skontaktować się z kimś na statku, z dala od izraelskich wybrzeży. Taka deska nie daje się wykryć przez radar, bo jest zrobiona z włókien szklanych i dakronu."

„Statek musiałby być w odległości co najmniej pięćdziesięciu mil, żeby nie został przechwycony przez izraelskie naziemne stacje radarowe" — zaświergolił głos Borisa w głośniku radiowym. — „Da się pożeglować na tych deskach windsurfingowych tak daleko?"

„Bani powiedział, że Abdul robił to stale i chełpił się, że przepłynął kiedyś na takiej w poprzek cieśninę Ormuz. Jeśli wiesz, co robisz, i masz dość wprawy i odporności, możesz na tym osiągać duże prędkości."



„Przyjmując, że wypłynął w morze na spotkanie z kimś, wątpię, żeby żeglował dalej niż dwie mile. Zdajesz sobie sprawę, że gdyby udało mu się utrzymać średnią prędkość dziesięciu albo dwunastu węzłów, dopłynięcie tam zabrałoby mu cztery do pięciu godzin, a droga powrotna następne cztery do pięciu godzin. *Niet*, Viktor. Niewykonalne. Abdul tego nie zrobił."

„Zachodzi pytanie, z *kim* się spotkał i *kiedy* się z nim spotkał. I jak daleko od brzegu wtedy byli?"

„To są dobrze postawione pytania" — powiedział Viktor. — „Nie potrafię na nie odpowiedzieć. *Na razie*."

„Co jeszcze wydobyłeś z Baniego?"

„Powiedział, że ojciec Abdula jest buchalterem pracującym dla szejka ibn-Nasira."

„*Rashida ibn-Nasira*?" — spytał ostrym nagle głosem Boris Voros.

„Nie, powiedział, że na imię ma Fahad."

„To musi być jego brat, czarna owca rodziny."

„Znasz go?" — Viktor był zaskoczony.

„Jego reputację" — powiedział Boris. — „To bandzior, nowoczesny pirat. Jedna z jego uzbrojonych łodzi zatrzymała nas w zeszłym roku, kiedy płynęliśmy do Kuwejtu, i zażądała myta za prawo przepłynięcia cieśniny Ormuz. Szejk Fahad jest zamieszany we wszystko. Szmugluje narkotyki, broń, komputery, a nawet trochę niewolników."

„Żartujesz — handel niewolnikami w dzisiejszych czasach?"

„Odbywał się i odbywa nadal od początku świata. Teraz w cenie są Pakistańczycy i czarne dzieci z Sudanu, nie licząc ślicznych, jasnowłosych dziewcząt, które zawsze były szczególnie cenione przez szejków jako uzupełnienie haremów."

„A komputery?"

„Tak, japońskie i amerykańskie superkomputery. Jest embargo na te typy, które używane są do skomplikowa-

nych zastosowań wojskowych, a zatem powstał wielce zyskowny czarny rynek komputerowy i przemytnicy zbijają na tym fortuny."

„Co jeszcze możesz mi powiedzieć o szejku Fahadzie?"

„Dlaczego pytasz? Myślisz, że Abdul mógł ubić z nim interes?"

„Tak. To wielce prawdopodobne. Nie zapominaj o tym, co Bani powiedział o przechwałkach Abdula dotyczących zostania milionerem. Być może POTH i sześciu ludzi, którzy go opracowali, mają właśnie być jego biletem do tego miliona. Abdul ma zaledwie dwadzieścia cztery lata, ale nie jest głupcem. Po prostu nie doceniliśmy go, to wszystko. W innym razie nie przeoczylibyśmy tej możliwości, że nas przechytrzy."

„Każę moim ludziom porównać kartoteki obydwóch. Nawiasem mówiąc, naszego wspólnego przyjaciela, Otto Carvelda, nie ma już wśród żywych."

„Carveld schrzanił robotę?" — wykrzyknął Viktor. Tętno zaczęło bić mu gwałtowniej, gdy oczekiwał na złe nowiny, które — jak pojął — ma mu do przekazania Boris Voros.

„Tak. Spieprzył ją. Lund wziął górę i najwidoczniej rozbroił Carvelda. Miałem wątpliwą przyjemność oglądać Lunda na dziobie motorówki, kiedy zabierał Carvelda w morze. Carveld był jego więźniem."

„Gadał?" — spytał Viktor.

„Jestem pewien, że tak, ale to było już ostatnie jego gadanie w życiu. Aktualnie jest najprawdopodobniej na dnie Zuider Zee, jeśli dwóch moich ludzi wykonało robotę. Wygląda na to, że będziesz musiał sam zatroszczyć się o Jacka Lunda."

„Będzie to dla mnie, mój drogi Borisie, wielka przyjemność."

„W porządku. Będę na nasłuchu o północy, Ujednolicony Czas Uniwersalny. Połącz się wtedy ze mną. Będę już miał kartotekę szejka Fahada i uaktualnione dane o Abdulu."



Viktor usłyszał, że zbliża się jakiś pojazd, wysiadł z furgonetki i spojrzał w dół urwistego, usianego kamieniami wzgórza. Volkswagen Qaboosa mozolnie taszczył się pod górę po nieasfaltowanej drodze.

Gdy Zita Dean wyłoniła się z furgonetki i ujrzała Viktora Rostova, przystanęła, spojrzała na jego twarz, a potem puściła się pędem ku niemu i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Kochany, co się stało!

Viktor uwolnił się z jej objęć, odsunął ją na długość ramienia i spytał po arabsku czterech Arabów, którzy wygramolili się z furgonetki: — Co was zatrzymało? Powinniście tu byli być godzinę temu.

— Izraelczycy dokonali rajdu na El Yaluq — odpowiedział Yamani, wysoki Arab w koszuli w prążki i w luźnych bawełnianych spodenkach. — I musieliśmy przycupnąć. Przeszukali dom Qaboosa i znaleźli nadajnik o zmiennej częstotliwości. A palestyński bohater al-Sirat został zamordowany przez Amerykanina, Jacka Lunda. Ibram i ja widzieliśmy, jak mu gratulowano, kiedy wynoszono ciało al-Sirata. Potem przeszukali dom przyjaciółki al-Sirata. Mieliśmy szczęście, że udało nam się wymknąć razem z Zita Dean i Izraelczycy nas nie nakryli. Gdzie jest Bani?

Rostov pokazał ręką na ruiny meczetu. — Tam w środku.

Chociaż Zita nie zrozumiała, co powiedział, wyczuła, że coś jest nie w porządku, i ruszyła w kierunku meczetu. Rostov zatrzymał ją. Chwycił ją za obie ręce i przyciągnął do siebie. — Nie chcesz chyba tam wchodzić?

Kiedy czwórka młodych Arabów zobaczyła, że Viktor ją powstrzymuje, wymienili zaniepokojone spojrzenia i rzucili się biegiem całą grupą w kierunku ruin.

— Zdaje mi się, że winien mi jesteś jakieś wyjaśnienia, Viktorze — powiedziała Zita oburzonym głosem. — Mogłeś mi przynajmniej powiedzieć, że zamierzasz mnie zostawić samą tamtego krytycznego piątku. Dlaczego nic nie powiedziałeś? Wiesz, jak bardzo się o ciebie martwiłam?

I jeszcze ta absurdalna wiadomość, że rząd izraelski chce się ciebie pozbyć — dlaczego mieliby chcieć to zrobić?

Viktor nie słuchał. Zapytał lodowatym tonem:

— *Zawiadomiłaś* prasę, że izraelska tajna policja jest na moim tropie i zamierza mnie aresztować?

— Tak, jak tylko znalazłam tę karteczkę, na której było napisane, żebym zadzwoniła do dziennikarza z *Washington Post*, zaraz to zrobiłam. A teraz może mi powiesz, dlaczego Izraelczycy cię ścigają, Viktorze? Co zrobiłeś? I dlaczego zmusiłeś mnie, żebym brała udział w tej inscenizacji z cyklu płaszcza i szpady, i wywiozłeś mnie chyłkiem z Jerozolimy w bagażniku samochodu, zanim mogłam tu przyjechać i być z tobą?

W tym momencie wypadło dwóch Arabów, wrzeszcząc po arabsku do Rostova: — Dlaczego to zrobiłeś naszemu bratu?

Podczas gdy jeden z Arabów stał, przeklinając Rostova, drugi podbiegł do furgonetki i wsiadł.

— Nie miałem z tym nic wspólnego — rzekł Rostov po arabsku. — W takim stanie znalazłem go, kiedy tu przyjechałem parę minut temu.

Arab w furgonetce wyskoczył z Kałasznikowem w rękach, podniósł broń do ramienia, skierował lufę w dół i wymierzył do Rostova. — Kłamiesz! Dlaczego zabiłeś Baniego?

— Nie zabiłem go. Kiedy ja zabijam, nie używam noża.

— Nie sądzę, żeby to zrobił on, Madfa — powiedział drugi z Arabów.

— Więc kto to zrobił, Yamani, kto? — krzyknął Madfa, wymachując karabinkiem szturmowym.

Dwóch pozostałych Arabów wynurzyło się z ruin i podeszło do Yamaniego. Yamani powiedział do Madfy. — Zabierz Rostova jego furgonetką, zawieź go do przekaźnika i zobaczymy, czy uda ci się nawiązać kontakt z Qaboosem. Może już wrócił. Zapytaj Qaboosa, co mamy teraz robić. My pochowamy tutaj Baniego i zaczekamy. — Pokazał palcem na Zitę. — Ona zostanie z nami, aż wrócisz.



Rostov odwrócił się i ruszył w kierunku furgonetki. Zita zawołała do niego zaniepokojonym głosem: — Viktor, co się dzieje? Dokąd jedziesz?

Rostov zatrzymał się koło furgonetki, spojrzał na nią i powiedział po angielsku: — Zjeżdżamy kawałek drogi ze wzgórza do jaskini, gdzie ukryty jest przekaźnik, może złapiemy przez radio Qaboosa. Opanuj się, Zita, za parę godzin, a najdalej o północy, kiedy wszystko się powyjaśnia, będę z powrotem. — Wdrapał się przez otwarte drzwiczki i wślizgnął się za kierownicę.

Madfa usiadł obok Rostova, zaczekał, aż ten zapuści silnik, a potem powiedział: — Wiem, że zabiłeś Baniego. Któż inny mógłby zrobić coś podobnego? Kiedy jechaliśmy tu, nie widzieliśmy nikogo na drodze, ani na wzgórzu. Jedynie ty byłeś tu z nim — więc to ty musiałeś zrobić.

— *Effendi* — powiedział Rostov, zmieniając biegi i ruszając w dół wzgórza — dlaczego nie poczekamy trochę, aż rozstrzygnie to Qaboos?

Madfa wbił przymrużone oczy w Rostova, powoli odciągnął zamek karabinka i wprowadził do lufy nabój. — Ty i ja dobrze wiemy, że Qaboos nie odpowie przez radio. Nie odpowie, bo jest martwy, i zarówno ty jak i ja wiemy, że zabił go Abdul.

Rostov pokierował furgonetką po ciasnym skręcie, wpadł w lekki poślizg na sypkim łupku i spojrzał na Madfę.

Po raz pierwszy w tym momencie uświadomił sobie, że Madfa ma delikatne dziewczęce rysy i długie rzęsy.

— Nie, Madfa, nie wiem o tym. Ale skoro to ty o tym wspomniałeś, być może wiesz o wiele więcej o tym, co się działo, niż chcesz się przyznać.

— O czym ty mówisz?

Rostov skręcił kierownicą w lewo, żeby uniknąć dużego kamienia, i nagle pomacał Madfę dłonią po piersi. Madfa

zesztywniał, szturchnął Rostova lufą karabinka w prawy policzek i wysyczał: — Zrób to jeszcze raz, niewierny psie, a zabiję cię.

Rostov popatrzył na niego. Uznał, że już dosyć tego. Odbierze mu karabinek, zwiąże go i zaknebluje. Madfie spodoba się to.

— Chciałem się tylko dowiedzieć, jakiej jesteś płci.

— Teraz już wiesz, że nie jestem kobietą.

— Zgadza się — powiedział Rostov. — Zgadza się. Ale to nie przeszkodziło ci kochać Abdula — a także Baniego — jak kobieta...

# 10

WZGÓRZE PONIŻEJ RUIN
STARODAWNEGO MECZETU
8 kilometrów na północ od El Yaluq
Niedziela wieczorem, 30 lipca, 21.45

Rostov zaparkował furgonetkę marki Nissan opodal brudnej drogi koło wejścia do groty, wysiadł, spojrzał w górę na odkopane ruiny meczetu rysujące się w bladym świetle księżyca, zobaczył, że furgonetka Qaboosa wciąż jeszcze stoi u wylotu nieasfaltowanej drogi, i ostrożnie otwarł boczne drzwiczki samochodu. Dźwięki rozchodzą się daleko po tej krainie nocnej ciszy, a on nie chciał, żeby trzej Arabowie i Zita wiedzieli, że wrócił. Miał jeszcze pewien nie załatwiony interes do dokończenia.

— Jesteśmy na miejscu, Madfa — odezwał się po arabsku, wyjmując ostentacyjnie nóż. — Widzisz, nawet cię nie tknąłem i jesteś z powrotem zdrów i cały, tak jak ci obiecałem.

Zaczął przecinać więzy, którymi ręce i nogi Madfy przywiązane były do ramy tylnego siedzenia. Kiedy był już uwolniony, Rostov sprawdził pęta, którymi młody Arab wciąż miał związane ręce, upewnił się, że knebel jest na swoim miejscu, a potem pomógł mu wysiąść z pojazdu i poprowadził do groty.

Kiedy weszli, Rostov zapalił latarkę i popchnął Madfę w kierunku stalagmitu, który wyrastał w dalekim kącie klepiska groty jak beznogi olbrzym ze spiczastą głową. Stalagmit, który został precyzyjnie odpiłowany od podłoża, był ruchomy. Gdy stał, tak jak teraz, na swoim miejscu, całkowicie zakrywał wejście do małej komory pod

główną grotą. Był doskonałym kamuflażem. Pasterze zapewne używali tej komory jako tajnej kryjówki przez tysiące lat.

Gdy Rostov odsunął na bok stalagmit, dźwięk przesuwanego kamienia napełnił grotę złowróżbnym echem zgrzytów, od których Madfie ścięła się krew w żyłach i zacisnęły zęby. Rostovowi zdawało się to nie przeszkadzać, obszedł stalagmit i wlazł do komory.

Ultrakrótkofalowy przekaźnik radiowy stał na wierzchu plastikowej skrzynki. Był podłączony do całej baterii wysoko wydajnych akumulatorów samochodowych. Przewód antenowy biegł do góry i ginął ponad głowami w łukowym sklepieniu komory. Na czerwonej plastikowej skrzynce koło przekaźnika radiowego stała sfatygowana lampa naftowa. Madfa zapalił ją siedem godzin temu, kiedy po raz pierwszy weszli do jaskini. Wciąż się paliła.

— A teraz, Madfa, skoro byłeś mi tak pomocny i nie gniewałeś się, kiedy odebrałem ci broń i związałem cię, a potem tak ochoczo zaprowadziłeś mnie na plażę, gdzie Abdul trzymał ukrytą deskę do windsurfingu — powiedział Rostov z dziwnym uśmiechem — i ponieważ ostrzegłeś mnie przed nadjeżdżającym patrolem izraelskiej straży granicznej, mam zamiar wyjąć ci knebel, żebyś mógł dalej ze mną współpracować.

Rostov odłożył na bok latarkę i wyciągnął nóż. Trzymając ostrze przyłożone do szyi Madfy, popchnął go w kierunku wielkiego stalagmitu, potem chwycił za związane nadgarstki i uniósł je wysoko nad głową w kierunku czubka stalagmitu. Jednym nagłym szarpnięciem w górę przerzucił związane przeguby Madfy poza szpic, który wystawał mu teraz spomiędzy rąk, a potem ściągnął ręce Madfy w dół, przyszpilając go w ten sposób ciasno plecami do zwapniałej powierzchni kamienia.

Madfa jęknął i zaczął się szarpać, ale nie był w stanie się poruszyć. Próbował unieść nogi, ale szorstka kamienna



powierzchnia orała mu plecy. Był bez szans i wiedział o tym, więc przestał się wysilać.

Nie zwracając uwagi na własny cień, który wydawał się majestatycznie kroczyć za nim po ścianie komory jak anioł śmierci, Rostov przyłożył ostrze do policzka Madfy i przeciął sznury, które opasywały jego głowę i przechodziły mu przez usta jak wędzidło, podtrzymując knebel.

Kiedy opadły, Madfa poruszał chwilę szczękami, zawisnął z głową odchyloną do przodu na rękach związanych wysoko z tyłu, wypluł knebel i wlepił wzrok w Rostova.

— A teraz, Madfa, zadam ci kilka pytań. Ale będę pytał tylko raz. Jeśli mi nie odpowiesz, albo odniosę wrażenie, że kłamiesz, zrobię ci małe nacięcie. Zacznę od tego miejsca — podniósł nóż i przytknął mu koniec do małżowiny ucha — i będę ciął w ten sposób.

Madfa próbował rzucić głowę do tyłu, ale Rostov zdążył go zaciąć. Krew zaczęła ściekać Madfie po szyi na koszulę bez kołnierzyka.

— Jesteś rzeźnikiem. Zabiłeś Baniego i teraz zabijesz mnie.

— Tak, oczywiście, że zabiłem Baniego. I ciebie także zabiję, jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć. A teraz, kiedy doszliśmy już do porozumienia, mogę zaczynać?

Madfa westchnął, spuścił wzrok, spoglądając na świeżą krew, która wsiąkała mu w koszulę, i zapytał: — Co chcesz wiedzieć?

— Gdzie jest Abdul?

— Nie wiem, na imię Allacha, nie wiem. Ostatni raz, kiedy go widziałem, to było we wtorek. Mieliśmy jechać na plażę, ale musiał się z kimś spotkać i nie mogłem z nim jechać.

— Z kim miał się spotkać?

— Powiedział, że z Hadżdżim. To wszystko, co wiem.

Rostov przysunął ostrze nieco bliżej drugiego ucha Madfy. — Opowiedz mi o szejku, przyjacielu Abdula, szejku Fahadzie ibn-Nasirze. Jak on wygląda?

— Nie wiem. Nigdy go nie widziałem.

— Kiedy Abdul widział się z nim po raz ostatni?

— Nie wiem. Abdul mówił, że czasami jeździ do Jaffy, i to wszystko, co wiem. Abdul powiedział, że wypłynie w morze na desce do windsurfingu i spotka się z Fahadem, kiedy będzie tędy przepływał statkiem w drodze do Jaffy, ale nie wiem kiedy. Proszę, doktorze Rostov, mówię panu wszystko, co wiem, *wszystko*. Na imię Allacha, niech mnie pan więcej nie tnie.

— Chcę wiedzieć, gdzie jest teraz Abdul. Chcę, żebyś mi powiedział, gdzie on jest, dokąd zabrał tajne urządzenie z Tzaddi i dokąd zabrał ludzi.

— Nie mogę panu powiedzieć tego, czego sam nie wiem...

Rostov przytrzymał ostrze przy lewym uchu Madfy i przeciął je. Madfa zaskowyczał i zaczął szlochać. — Na imię Allacha, mówię wszystko, co wiem... *wszystko*.

— Od początku, Madfa — powiedział Rostov, nie zwracając uwagi na jego wymówki. — Gdzie teraz jest Abdul? Jest w Izraelu? Wyjechał? Jakim sposobem wyjechał? Kiedy wyjechał?

Madfa spojrzał na Rostova i krzyknął z goryczą: — Nie wiem, nie wiem, na imię Allacha i jego proroka Mahometa, nie wiem...

O dziewiątej, godzinę wcześniej, Zita Dean poczuła, że jest w tarapatach, kiedy Yamani wrócił z wycieczki do groty w dole wzgórza i rzucił jej osobliwe spojrzenie. Upewniła się co do tego, gdy Yamani powiedział coś po arabsku, co wywołało u Ibrama i Daibina — pozostałych dwóch Arabów — ryk śmiechu. A nabrała absolutnej pewności, że jest w niewesołej sytuacji, kiedy Yamani powiedział jej po angielsku, szczerząc zęby w uśmiechu:

— Twojego ukochanego nie ma w grocie, i już bardzo, bardzo dawno temu wyjechał. Zdaje mi się, że ma cię dość. A skoro ma cię dość, nie kocha cię już, ślicznotko. A skoro



cię już nie kocha, to wstyd trzymać wszystkie całusy dla niego, podczas gdy wokół jest tylu miłych facetów, którzy też mogą słodko cię ucałować. Takich facetów jak my, na przykład...

Zita udała, że śmieje się z dwuznacznych słów Yamaniego, i starała się, jak potrafiła najlepiej, podtrzymywać rozmowę, zgodnie z podręcznikową techniką, którą często wykładała dla kółek feministycznych, kiedy przerabiano temat sposobów uniknięcia gwałtu. Mówiła o ruchu „Świat bez Bomby Atomowej"; wdała się z nimi w gorący spór na temat Palestyńczyków, którzy przez czterdzieści lat babrzą się w błocie w obozach złożonych z lepianek, czekając, aż przyjdzie ktoś i coś da im za nic, podczas gdy powinni robić coś pożytecznego, żeby wyciągnąć się z tego o własnych siłach.

Po zapadnięciu zmroku weszli do jednego z pomieszczeń bez okien, tak że mogli bez obaw zapalić zasilaną z baterii lampę. Pojedyncze przyćmione dziesięciowatowe światełko na szczycie tego wzgórza w taką przejrzystą noc jak dzisiaj mogło być widoczne w El Yaluq, osiem kilometrów dalej.

Zita wiedziała, że jest bezpieczna tak długo, jak długo będą zaangażowani w kolejne dyskusje. Zaczęli krzyczeć na nią, kiedy wysunęła tezę, że tacy biedni Arabowie jak oni, maluczcy tego świata, są frajerami wykorzystywanymi przez podżegających do wojen finansistów, którzy zbijają fortuny dzięki temu, że ludzie są poróżnieni i strzelają do siebie nawzajem, zamiast poszukać pokojowego rozwiązania sporów. I zaczęli ryczeć ze śmiechu, kiedy Zita rozprawiała o wszystkich prawach, których muzułmańskim kobietom odmawiali ich szowinistyczni męscy ziomkowie, każąc im nosić czarczafy w miejscach publicznych i odmawiając im równych praw pracowniczych i prawa do głosu — praw, którymi cieszyły się kobiety w oświeconym wolnym świecie.

W końcu, gdy przestali się śmiać i zaczęli gapić się na nią, Zita zrozumiała, że to zaraz nastąpi. Pierwszy zbliżył

się do niej Yamani. Wyciągnął nóż i zaczął do niej podchodzić. Zita cofała się przed nim powoli, dopóki nie znalazła się przy ścianie. Zrobiło jej się niedobrze od woni jego niedomytego ciała i cuchnącego, ziejącego czosnkiem, smrodliwego oddechu.

Wiedziała, co będzie, jeśli zacznie stawiać opór; i wiedziała także, co będzie, jeśli nie stawi oporu. Dawno skończył jej się zapas tematów i nie mogła wymyślić żadnej kwestii, która odwróciłaby ich uwagę. I nagle dłoń Yamaniego znalazła się na jej piersi. Nisko pochylił się nad nią i uporczywie wpatrywał się w jej oczy, z nie ogoloną twarzą zaledwie o parę centymetrów od jej policzka, podczas gdy palcami gmerał jej przy bluzce i obłapiał ją za prawą pierś.

Poczuła zimny dotyk stali, kiedy przytknął jej nóż do policzka, a potem zsunął go na jej pierś. Spojrzał w dół i zaczął obcinać jej guziki od bluzki.

W przelocie dostrzegła, że Ibram i Daibin przyglądają się rozgorączkowanymi oczami i z rozbudzonym zainteresowaniem, jak Yamani ściąga jej bluzkę i muska pieszczotliwie napęczniałe sutki; i zorientowała się, że Yamani zaczyna oddychać w przyśpieszonym rytmie, kiedy dotknął jej warg płazem noża — noża, który był symbolem jego męskości. Oczy Zity napotkały jego wzrok, lecz nie mrugnęła nawet powieką, ani nie drgnęła, kiedy opuszczał nóż. A potem śmiało chwyciła go za uzbrojoną rękę, podniosła nóż do ust i, wytrzymując jego spojrzenie, pocałowała płaską część ostrza.

Yamani wybuchnął na to śmiechem, podniósł nóż wysoko do góry jak trofeum i odwrócił się, żeby pokazać go dwóm pozostałym. Ibram i Daibin widzieli to i siedzieli teraz w kucki pod przeciwległą ścianą, chichocząc i potrząsając głowami jak dwa bliźniacze nie ogolone Jasery Arafaty.

Nabrawszy teraz pewności siebie, Yamani znów opuścił ostrze i przytknął je do skórzanego paska od sięgających kolan szortów Zity.



— Nie — Zita chwyciła go za ręce i zaśmiała się — to dobry pasek. Pozwól mi.

Rozpięła pasek i zaczęła powoli rozpinać guziki szortów. Yamani cofnął się o krok i pożerał ją wzrokiem, z czołem i twarzą perlącą się od potu. Ibram i Daibin siedzieli, przyglądając się z zapartym tchem i wybałuszonymi oczami.

Zita pozwoliła opaść szortom i stanęła przed nimi, mając na sobie tylko majteczki bikini i... uśmiech... niewesoły uśmiech... uśmiech, który maskował czający się w jej oczach gniew... uśmiech, którym pokrywała zrodzony w jej umyśle śmiały plan.

Yamani miał pistolet w kaburze na ramieniu pod luźną pasiastą koszulą. Miała nadzieję, że był nabity. Modliła się, żeby nie miał takiego bezpiecznika, którego odbezpieczenie zajęło jej kiedyś, gdy jako mała dziewczynka chadzała z ojcem na strzelnicę, dobrą godzinę. Ale to było już ładnych parę lat temu, kiedy była mistrzynią w strzelectwie kobiet, i zanim jeszcze przystąpiła do ruchu, którego celem było zakazanie broni palnej i wszystkich śmiercionośnych narzędzi.

Wyciągnęła ramiona do Yamaniego, on zaś zbliżył się do niej, wkładając nóż do pochwy u pasa. Kiedy wziął ją w ramiona, przesunęła dłonie po jego piersi, a potem cofnęła je i sięgnęła pod koszulę, gładząc go pieszczotliwie. Ciało miał lepkie i tłuste w dotyku jak iguana, którą kiedyś złapała na swoim łóżku.

Przylgnął twarzą do jej szyi i zaczął opuszczać dłonie w dół po jej ciele. Kiedy jego palce wślizgnęły się pod gumkę majteczek, zacisnęła prawą rękę na kolbie pistoletu w kaburze.

Gdy jego palce zaczęły buszować po jej ciele, Zita kręcąc pośladkami i jęcząc, wyłuskała pistolet z kabury, przycisnęła mu lufę do podbródka i nacisnęła spust.

Błysk i huk wystrzału rozległ się w pomieszczeniu tak donośnie, że wydawało jej się, iż popękały bębenki

w uszach. Potem, kiedy bryzgi krwi, odłamki kości i kawałki skrzepów spłynęły po jej twarzy i piersiach, a Yamani zgiął się wpół, wpijając się rękami w jej ciało i osuwając się bez życia na podłogę, Zita poderwała pistolet do góry, wycelowała do Ibrama, strzeliła raz, potem drugi, i patrzyła, jak wrzeszczy i wali się plecami na ścianę; a wtedy starannie wymierzyła do Daibina, który krzyczał, rozpaczliwie usiłując dotrzeć do drzwi i wydostać się na zewnątrz, strzeliła, i strzelała tak długo, aż iglica uderzyła w pustą komorę nabojową.

Zita powiodła wzrokiem po trzech nieżywych mężczyznach, z niedowierzaniem spojrzała na pistolet w swojej ręce i z jakiegoś niezrozumiałego nawet dla niej samej powodu głośno wypowiedziała słowa tak przecież znienawidzonej przez siebie dewizy Narodowego Towarzystwa Strzeleckiego USA: „*Broń nie zabija ludzi; to ludzie zabijają ludzi.*"

Nagle, kiedy znaczenie tych nienawistnych słów po raz pierwszy dotarło do niej w pełni, upuściła broń, pozbierała podartą bluzkę i szorty i wybiegła z odkopanych ruin dawnego meczetu.

W parę minut później, kiedy serce przestało już bić jej jak szalone i odzyskała pełnię władz umysłowych, podeszła do zbiornika z deszczówką, zanurzyła w wodzie podartą bluzkę i wyprała ją. Potem podeszła do furgonetki, otwarła torbę podróżną, włożyła świeże majteczki, szorty i bluzkę i usiadła za kierownicą.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, silnik zrobił jeden obrót i nic. Wysiadł akumulator. Co teraz? Musiała odnaleźć Viktora. Ale gdzie on się podziewał? Było już po dziesiątej. Dlaczego nie wrócił po nią?

Myśl, że właśnie przed chwilą zabiła trzech ludzi, przyprawiła ją o drżenie. Chociaż wiedziała, że nie powinna o tym myśleć, nie mogła jakoś temu zapobiec. Wyraz ich twarzy w chwili śmierci będzie nawiedzał ją do końca życia. Zapach kordytu, odór śmierci; wciąż czuła w nozdrzach mdłą woń krwi i skrzepów, które



zbryzgały ją całą, kiedy zastrzeliła Yamaniego, i robiło jej się niedobrze.

Musi wydostać się stąd, ale to natychmiast. Wyskoczyła z ciężarówki i zaczęła zbiegać ze wzgórza. Kilkakrotnie się poślizgnęła i o mało co nie upadła, i pędząc tak w dół nieasfaltowaną drogą zalaną księżycową poświatą, zdała sobie sprawę, że ogarnęła ją panika, a to jest niebezpieczne. Kiedy dajesz się ponieść panice, tracisz opanowanie. A ona przecież jest Zitą Dean, niezwyciężoną, upartą, wytrwałą, pewną siebie, wyzwoloną kobietą, która nigdy dotąd w swym życiu nie straciła panowania nad sobą i swoimi emocjami. Czy teraz idzie do groty?

Nie!

Do groty. *Grota.* Viktor powiedział, że jadą do groty, gdzie jest radionadajnik. Może jest tam teraz. Musi go znaleźć. Musi znaleźć Viktora. Biedny kochany Viktor. Potrzebuje go teraz jak nigdy dotąd w swoim życiu nie potrzebowała żadnego mężczyzny. Kocha go. I on ją kocha. Było im pisane być razem.

Nie przestawała biec. Była na oświetlonym księżycem stoku i chłodny nocny powiew osuszał łzy spływające jej po twarzy. Wszystko wokół niej było nierzeczywistą zamazaną plamą. Zamazana nierzeczywistość w jej oczach była jednak aż nadto rzeczywista. Podniosła wzrok i ujrzała w poświacie księżyca ruiny meczetu na szczycie wzgórza. Wyglądały niesamowicie, i przeszedł ją dreszcz, gdy wyobraziła sobie leżących w tej chwili tam na górze zabitych mężczyzn — mężczyzn, którzy zgwałciliby ją i zabili, gdyby ona nie zabiła ich wcześniej; mężczyzn, którzy zginęli o niecałe dziesięć metrów od ich przyjaciela Baniego, którego ciało tego samego popołudnia grzebali na jej oczach w meczecie z oznakami czułości i miłości.

Kiedy doszła do zakola drogi, ujrzała furgonetkę zaparkowaną parę metrów dalej w kępie mizernych drzew. Serce zabiło jej mocniej, gdy ją rozpoznała. To był Nissan Viktora! Podbiegła do niej i dotknęła maski. Nie była

ciepła, była *gorąca*. Dopiero co wrócił. Gdzie jest ta grota? Musi tu gdzieś być, musi!

Na grotę natknęła się niemal przypadkiem. Gdyby nie to, że furgonetka zaparkowana była zaledwie o dwa metry od niej, przeoczyłaby ją zupełnie w bladym świetle księżyca. Nawet w dziennym świetle nie udałoby jej się znaleźć wejścia na tle wyjałowionej ziemi i wyżłobień w rumowisku łupków i skał.

Weszła śpiesznie do groty, odnajdując po omacku drogę wzdłuż skalnej ściany, aż ujrzała w głębi przyćmione światło. Gdy doszły do niej głosy, stanęła i zaczęła nasłuchiwać. Od razu rozpoznała głos Viktora. W parę chwil potem poznała piskliwy głos Madfy. Słyszała go wystarczająco często podczas jazdy do El Yaluq z Jerozolimy, dokąd przyjechał po nią, a także dzisiaj, nieco wcześniej, podczas okrężnej podróży Volkswagenem z arabskiego miasteczka do meczetu.

Nie miała pojęcia, co mówią. Głos Viktora wydawał się zagniewany. Głos Madfy przypominał skamlenie. Poszła w kierunku źródła światła i głosów, obeszła wokół stalagmit i zdrętwiała w pół kroku na widok, który ujrzała.

Madfa był cały zlany krwią. Zwisał głową w przód z dużego stalagmitu, z rękami w tyle zahaczonymi w spętanych nadgarstkach o wystający pionowo w górę czubek zwapniałej kolumny. Męczennik przy palu, nie na krzyżu. Viktor stał przed nim, w ręku połyskiwał mu splamiony czerwienią nóż, i mówił coś, na co Madfa krzyknął i potrząsnął głową, histerycznie zaprzeczając.

Potem Viktor powiedział jeszcze coś innego, czego Zita nie dosłyszała, ale co musiało być straszliwe, ponieważ Madfa opluł go i zaczął miotać się na wszystkie strony i rozpaczliwie szarpać więzy.

Nagle Zicie brakło tchu, gdy zobaczyła, jak Viktor podnosi ostrze.

W następnej chwili, chwili, gdy rozciął Madfie gardło od ucha do ucha, wrzasnęła i zasłoniła sobie twarz rękami.



Krzyknęła ponownie, kiedy ujrzała orgiastyczny grymas wykrzywiający mu usta. I wrzasnęła raz jeszcze... i znowu, zobaczywszy, że zbliża się do niej, wymachując zakrwawionym nożem, z sadystycznym błyskiem w wyłupiastych, złych oczach.

— Co ty tutaj robisz, Zita?

Odzyskała głos i krzyknęła: — Jak mogłeś zrobić coś podobnego...?

Nie była w stanie otrząsnąć się z szoku po scenie, której przed momentem była świadkiem. Nie mogła się ruszyć z miejsca. Sparaliżowana wstrząsem i strachem. Wstrętem i niesmakiem.

Stał teraz na odległość wyciągniętego ramienia. Szarpnął do przodu rękę z nożem skierowanym ostrzem ku niej. Jak urzeczona wpatrywała się w krew Madfy na nim i na całej guźlastej jak u rzeźnika, zaciśniętej pięści Viktora, i skuliła się.

— Co ty tutaj robisz?

Poczuła niepohamowaną potrzebę odpowiedzenia.

— Chcieli mnie zgwałcić... — Dziwaczne spojrzenie jego oczu. Jak mogłam być tak zaślepiona? Jack miał rację. Jak mogłam się tak pomylić? Jak mogłam kochać tego człowieka, który zdolny jest z zimną krwią dokonać tak zbrodniczego czynu?

— Miałem nadzieję, że cię zgwałcą — powiedział Viktor z krzywym uśmiechem. — Sądziłem, że raczej ci się to spodoba.

— Ty skurwysynu! Nie kochasz mnie. Nigdy nie kochałeś. Jesteś niezdolny kochać kogokolwiek. W co ty zagrywasz, mój panie?

Usiłowała odzyskać równowagę emocjonalną i miała nadzieję, że oburzenie i gniew staną się dla niej źródłem siły.

— Dlaczego to zrobiłeś? Jesteś zwykłym rzeźnikiem...!

Rzuciła okiem na Madfę, zobaczyła jego nieruchome, okrwawione ciało, lśniącą kałużę krwi pod nogami, jego

martwo patrzące oczy i szaropopielatą twarz, i zwymiotowała. Odwróciła się w bok, rzygając, zataczając się, płacząc, i musiała oprzeć się o ścianę groty, ponieważ kręciło jej się w głowie, kolana uginały się pod nią, w głowie miała pustkę, omdlewała.

Zanim zdążyła zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, Viktor chwycił ją za ramię i powalił na ziemię. W jednej chwili klęczał nad nią, zdzierał z niej bluzkę, wpijał się ustami w jej piersi, zakrwawionymi rękami rozpiął jej szorty i ściągnął je z bioder i nóg.

Wziął ją gwałtownie, przygniatając jej nagie ciało do szorstkich kamieni na podłożu groty. Wpiła się paznokciami w jego twarz, ale strącił jej rękę i trzasnął ją w policzek raz i drugi, aż głowa odskoczyła jej na boki jak główka szmacianej lalki. Nie wiedziała, ile razy ją tak uderzył. W końcu przestała się opierać, nie wyszła mu naprzeciw, nie kołysała biodrami. Leżała jak żywe zwłoki, z głową odwróconą, żeby nie widzieć jego spoconej twarzy; wolała już uporczywie wpatrywać się w martwe, nieruchome oczy Madfy zwisającego ze stalagmitu niby jakiś potworny galion podwieszony pod bukszprytem statku-widma.

Kiedy Viktor skończył z nią, zaczął uderzać ją raz po raz, a ona z wdzięcznością powitała ból, choć nie wiedziała, dlaczego, i błogosławiła zapomnienie, które po nim nadeszło.

Głosy. Viktor mówił coś przez radio. Mały głośnik, przenośne. Słowa po angielsku. Słowa po rosyjsku. Znała rosyjski na tyle, żeby nadążyć za nimi. Viktor nazywał go Borisem. Otwarła oczy. Zobaczyła, że Viktor przebrał się.

Teraz zrobiło się chłodno. Byli w furgonetce. Kiedy próbowała poruszać rękami, przekonała się, że były związane. On był obok niej, za kierownicą. Silnik furgonetki pracował, a radio podłączone było do samochodowej zapalniczki. Według zegara na desce rozdzielczej dochodziła północ. Spojrzała na prawo. *Usiane gwiazdami niebo nad*



*dalekim horyzontem. Jesteśmy gdzieś na wzgórzu. Świeży powiew wnosi czyste powietrze przez otwarte okienka, wywiewając odór śmierci z mojej duszy.*

„...znasz już całą sprawę" — mówił Viktor. Patrzył przez przednią szybę i nie zorientował się, że Zita odzyskała przytomność i słyszy go. Siedziała nieruchomo, z głową wciśniętą w tapicerkę siedzenia, przyglądając mu się ukradkiem. Gdy się poruszył, szybko zamknęła oczy i nadal udawała, że śpi.

Głos przebił się ponad świergot w głośniku. *Dziwne.*

„Już wiele miesięcy temu Abdul, dowiedziawszy się, co to jest POTH i że zamierzamy go przechwycić wraz Ortmanem, skontaktował się z Fahadem."

Znów ten świergot. Świrk. Świrk.

„Jak kontaktował się z Fahadem? Ludzie Hadżdżiego w Tzaddi pilnowali każdego kroku Abdula."

„Jechał na motocyklu do Hajfy i dzwonił do biura linii okrętowej Fahada w Atenach. Madfa przyznał się, że słyszał, jak wielokrotnie rozmawiał o POTH-u. Chełpił się przed Madfą, że Fahad uczyni go bogaczem. Madfa jednak nie znał ich planów, chociaż Abdul powiedział, że zostanie milionerem jeszcze przed swoimi dwudziestymi piątymi urodzinami."

„Mówisz, że Madfa pokazał ci dzisiaj kryjówkę Abdula na plaży. Opowiedz mi jeszcze raz, co się wydarzyło, powoli. Część z tego, co mówiłeś, umknęła mi z powodu tego świergotu"

„Zobaczyliśmy samochód patrolowy straży granicznej zaparkowany koło plaży, więc musiałem się zatrzymać prawie pół kilometra na północ od nich. Miałem szczęście, że się zatrzymałem, bo właśnie w tej samej chwili pikował nad nami helikopter. Kiedy wylądował, zgadnij, kto z niego wysiadł?"

„*Jack Lund?* Żartujesz! A co u diabła *on* tam robił?"

Rostov powiedział: „Tzaddi Electronics jest jego ukochanym dzieckiem, a poza wszystkim, on *jest* SDO Kom-

panii MWD i to jest jego cholerna praca. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Aman i Mossad dają mu wolną rękę do prowadzenia śledztwa. Sądzę, że przyjechał na plażę, ponieważ odnaleźli miejsce, gdzie Abdul ukrył deskę do windsurfingu i motocykl. Widziałem, jak Izraelczycy wytaczali go na drogę."

„Trzeba powstrzymać Jacka Lunda. Musisz to zrobić zaraz, Rostov. Im wcześniej, tym lepiej. Skoro my wpadliśmy na to, że Abdul i nasz POTH, a także Ortman i spółka są na pokładzie statku Fahada, można założyć, że Jack Lund i Izraelczycy także na to wpadną. Jeśli raz zaczną sprawdzać ruch statków i dowiedzą się, że statek Fahada, *Athene*, był dokładnie naprzeciw wybrzeży izraelskich w tym samym czasie i przy tej samej plaży, gdzie widziałeś Lunda i gdzie Abdul wyciął numer ze zniknięciem, będziemy mieli na głowie niezgorszy problem."

„Od czego chcesz, żebym zaczął?" — zapytał Rostov.

„Hadżdżi mówi mi właśnie, że nasz rezerwowy oddział uderzeniowy ma dwa pociski ziemia-powietrze Stinger zadekowane w El Yaluq."

*„Co rezerwowe?"* — wykrzyknął Rostov. — „Jaki rezerwowy oddział uderzeniowy? O czym ty, do diabła, mówisz?"

Słychać było, jak Boris Voros się śmieje. — „Mój drogi Viktorze, czy nie mówiłem ci, że troszczę się o ciebie jak kwoka o swoje ukochane kurczęta? Cóż, kazałem cię ubezpieczać pewnemu naszemu staremu znajomemu. To wstyd, że jego człowiekowi nie udało się zabić Jacka Lunda w Amsterdamie. Ale nie sądzę, żeby następnym razem spartaczył, ponieważ zapewnił mnie, że zrobi to osobiście. Kryptonimem tej operacji specjalnej jest *Ubezpieczenie*. A wszystko, co o mnie wie, to to, że jestem Żelaznym Królem."

„Przejdziesz wreszcie do sedna i powiesz mi, *o kim* mówisz?"

„O al-Siracie."



„Al-Sirat?" — Rostov parsknął śmiechem. — „Boris, to ty raczysz żartować. Al-Sirat spieprzył wszystkie roboty, które mu powierzyłeś w ciągu ostatnich dziewięciu lat, począwszy od porwania statku wycieczkowego, kiedy to zabito kalekę na wózku inwalidzkim. Jedyną rzeczą, którą jego banda zrobiła porządnie, było wysadzenie w powietrze przez ich samobójczego kierowcę wszystkich tych amerykańskich Marines w Bejrucie. No więc, możesz być pewny, że al-Sirat spieprzy następną robotę."

„Co chcesz przez *to* powiedzieć?"

„Boris, ty stara kwoko" — zaśmiał się Rostov. *Nieźle dał się nabrać. Szkoda, że nie mogę zobaczyć jego miny, kiedy mu powiem.* — „Al-Sirat został dzisiaj po południu rozsiekany na kawałki w El Yaluq. Zgadnij, kto go załatwił?"

„Nie wierzę!" — krzyknął Boris Voros. — „Nie wierzę w ani jedno pieprzone słowo! Mieli wszystko zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Jakim sposobem Lund do niego dotarł? Co się stało?"

„Nie znam szczegółów. Yamani i Ibram widzieli, jak wywożą ciało al-Sirata i przeszukują dom jego przyjaciółki. Widzieli, jak żołnierze gratulowali Jackowi Lundowi, stąd wiedzą, że Lund rozwalił al-Sirata."

„Cóż, sekcji nie ma sensu robić. Myślisz, że dasz radę zidentyfikować helikopter, który przydzielili Lundowi?"

„Tak, na kadłubie miał numer 143."

„Dobra. Skontaktuj się z Yamanim, powiedz mu, żeby wydobył Stingery, i każ mu czatować na niego. To powinno załatwić sprawę Lunda."

„Mam jeszcze inne złe nowiny, Boris. Yamani także nie żyje."

„Kiedy to się stało?"

Rostov rzucił okiem na Zitę. Wciąż nieprzytomna. — „Dziś po południu. Znalazłem Baniego, Madfę, Ibrama i jeszcze jednego nieżywych. Są w starym meczecie."

„Więc spróbuj znaleźć Ismaila, zastępcę al-Sirata. Będzie

wiedział, gdzie są Stingery. Albo nie, odwołuję to. Będziesz musiał wykonać tę robotę sam. Nie chcemy więcej żadnych partactw. Ismail to ta dupa wołowa, którą prawie schwytali w Londynie, kiedy próbował posłużyć się irlandzką dziewczyną, żeby wnieść bombę na pokład samolotu pasażerskiego. Dla ciebie misją najwyższej wagi jest, zaraz obok odzyskania POTH-a, takie załatwienie sprawy, żebyśmy byli pewni, że Jack Lund jest unieszkodliwiony na trwałe. Zrozumiałeś?"

„Taa, o ile dasz mi słowo, że nie będzie więcej niespodzianek z rezerwowymi grupami uderzeniowymi, które mają rzekomo mnie wspomagać. Wszystko, czego dokonały, to zaalarmowanie Jacka Lunda, przez co utrudniły mi bardzo całą robotę."

„Wprost przeciwnie" — zaśmiał się Voros. — „Teraz, kiedy pozostałych powysyłał na tamten świat, być może będzie się mniej pilnował i łatwiej ci go będzie upolować."

„Być może" — powiedział Rostov.

Voros milczał przez jakąś chwilę, a potem odezwał się: „Wnioskuję z tego, że jesteś teraz niedaleko El Yaluq?"

„Zgadza się. Sześć kilometrów na północ."

„Podaj mi swoje namiary."

Rostov wyjął mapę i rozłożył ją na kierownicy. Włączył górną lampkę w furgonetce, przyłożył mikrofon do ust i podał Vorosowi cyfry współrzędnych.

„W porządku. A teraz słuchaj, co chcę, żebyś zrobił. Jutro o 6.00 rano bądź w punkcie przecięcia współrzędnych dwa, trzy, pięć. To znaczy, że będziesz dokładnie osiemnaście kilometrów od granicy libańskiej. Będzie tam czekał na ciebie i na tę małą Dean helikopter Hoplita polskiej konstrukcji, wyposażony w system Stealth. Do nawiązania kontaktu posłuż się swoim radionadajnikiem na częstotliwości 541. Zacznij ich wywoływać dokładnie o 6.02. W przypadku, gdybyś popadł w kłopoty z powodu niewielkiej szybkości helikoptera, 130 węzłów, albo gdyby urządzenie do zagłuszania radaru zawiodło i nie udałoby ci się wymknąć Izraelczykom, Zita Dean będzie twoją zakładniczką; masz wtedy złamać ciszę radiową i użyć dziewczyny jako biletu na wolność."

„Możesz być tego pewny, Boris."

„Dobra. Być może jutro o tej samej porze będę już miał dla ciebie dane o pozycji i porcie docelowym *Athene* i będziesz mógł dokończyć misji."

Jak tylko Rostov wyłączył radio, wyciągnął przewód z gniazdka zapalniczki samochodowej i zaczął składać mapę, Zita spróbowała zwiać.

Schwycił ją, zanim zdążyła otworzyć drzwiczki, potem sięgnął do schowka na rękawiczki, wyjął stamtąd motek sznurka do bielizny i przywiązał jej i tak już skrępowane ręce i nogi do metalowych stelaży siedzenia. Kiedy był już pewien, że nie sprawi mu więcej kłopotów, wyłączył górne światło, wrzucił bieg i odjechał.

# 11

RUJM SHASH
Arabskie miasteczko
o 15 kilometrów od El Yaluq
Poniedziałek, 31 lipca, 5.05

Mimo że miasteczko wyglądało jak bożonarodzeniowa kartka z błyszczącą nisko nad horyzontem gwiazdą i księżycem w trzeciej kwadrze, który zraszał swoją perlistą poświatą przycupnięte budowle, nie dali się zwieść sielankowej scenerii. Z całą pewnością Jack Lund, Yossi Traub i mężczyzna, który był z nimi, Kemal Baka, nie byli w nastroju do podziwiania piękna malutkiej górskiej wioski, ponieważ dobrze wiedzieli, że czeka tam na nich potencjalne niebezpieczeństwo i śmierć.

Przespawszy się pięć godzin, Jack Lund i Yossi Traub stawili się na umówione spotkanie z Kemalem Baką, kapitanem z Mossadu. Ich zadanie polegało na schwytaniu czterech domniemanych terrorystów, którzy byli widziani w tamtej okolicy przez jednego z informatorów Mossadu. Podejrzani byli dawnymi uczniami al-Sirata, człowieka, którego Jack zgładził poprzedniego dnia. Przywódcą podejrzanych był człowiek znany jedynie jako Ismail.

Podczas gdy dwa towarzyszące im plutony izraelskich żołnierzy pozostały w pojazdach, czekając w gaju oliwnym o kilometr dalej, Jack, Yossi i Kemal, w myckach i długich do kostek białych szatach, które skrywały ich opaleniznę i schowane w futerałach radia i pistolety, zeszli nieasfaltowaną drogą w kierunku pobielonych kamiennych domów. Wkroczywszy do miasteczka, rozdzielili się przy ostatnim domu stojącym przy głównej ulicy, parterowym



budynku uginającym się pod ciężarem swoich lat, z przekrzywionymi ścianami i koślawym wejściem.

Podczas gdy Kemal poszedł dalej alejką, żeby zajść od tyłu, Jack i Yossi rzucili się do otwartych drzwi i zatrzymali się w wąskim przedsionku. Kiedy oczy przywykły im do półmroku, dostrzegli trzy wejścia do pomieszczeń. Każde z nich zasłonięte było dywanem wiszącym w miejscu drzwi. Czekając, aż Kemal wejdzie tylnymi drzwiami i dołączy do nich, ściągnęli mycki i chałaty, ponieważ spełniły już one swoje zadanie, i sprawdzili pistolety maszynowe Uzi.

Gdy wszedł Kemal, Yossi skierował lufę na wejście po swojej prawej stronie i ruszył w jego kierunku. Jack ruszył ku środkowemu wejściu i przylgnął ciałem do ściany. Kemal podniósł rękę, skoczył do wejścia obok i dał znak Jackowi i Yossiemu, że jest gotów iść na pierwszy ogień.

Zobaczyli, jak Kemal jednym szarpnięciem odsuwa zasłonę, zagląda do środka, a potem wkracza przez otwór wejściowy. Pojawił się w chwilę potem, potrząsając przecząco głową na znak, że nie ma tam nikogo, i dołączył do Jacka czatującego przy środkowym wejściu. Zaczekali, aż Yossi odsunie zwisającą z framugi frontowego pokoju zasłonę z dywanika i wpadnie do środka. W parę sekund później wynurzył się z pomieszczenia i rozłożył bezradnie ręce.

Pozostawało wejście środkowe. Rzucili na nie okiem, kiwnęli głowami na znak potwierdzenia, mocniej ścisnęli swoje Uzi i ostrożnie odsunęli zasłonę z dywanu.

W sączącej się przez otwarte okno poświacie księżyca ujrzeli mężczyznę śpiącego w ubraniu na podłodze. Obok niego leżał rosyjski karabinek szturmowy.

Kemal podkradł się do mężczyzny i cichaczem podniósł karabinek, podczas gdy Jack wszedł za nim do pokoju, a Yossi pozostał przed drzwiami na straży. Kemal podał karabin Jackowi, sam zaś trącił śpiącego lufą Uzi w ucho.

Mężczyzna ocknął się nagle ze snu, z głową przygwożdżoną do plecaka, którego używał jako poduszki, i wybałuszył oczy na Kemala. Ani drgnął.

Gdzieś na zewnątrz zapiał kogut. W oddali pohukiwała sowa.

— Gdzie jest Ismail? — zapytał Kemal po arabsku.

— Kto to jest Ismail?

Kemal odciągnął zamek Uzisa i dźgnął lufą mężczyznę w szyję. — Pytam cię po raz drugi, Ghafi. Gdzie jest Ismail?

— Kto ci zdradził moje imię?

Kemal pochwycił spojrzenie Jacka i pokazał na lampę naftową. Jack spostrzegł to, wyjął zapalniczkę, zdjął szklany klosz i zapalił knot. Wyregulował płomień i ustąpił krok w tył. Kemal wyjął z kieszeni kartkę papieru, rozprostował ją, strzepując w powietrzu, i pomachał nią przed oczami mężczyzny. — Twoja paskudna gęba jest na tym liście gończym obok wizerunków Ismaila, Najwy, Lafira, Effii i al-Sirata. Al-Sirat nie żyje, a Effia jest w kobiecym więzieniu. Teraz, kiedy już mamy ciebie, pozostaje Ismail, Najwa i Lafir. Gdzie oni są?

— Co się ze mną stanie?

— Pójdziesz do więzienia. Jesteś w Izraelu nielegalnie. Jesteś poszukiwany za wielokrotne zbrodnie terroryzmu. W zeszłym tygodniu wysadziłeś w powietrze autobus i zabiłeś szesnastu turystów. Dwa tygodnie temu zostawiłeś samochód-pułapkę koło kościoła Narodzenia w Betlejem i zabiłeś osiem kobiet, pięcioro dzieci i księdza. Jesteś zwyczajnym mordercą i członkiem al-Siratowego gangu morderców do wynajęcia.

— To nieprawda. Jestem palestyńskim bojownikiem o wolność. Walczę o prawa dla Palestyńczyków, o powrót naszych ojczystych ziem, które nielegalnie okupujecie. Nie zabijam ludzi dla pieniędzy. Jestem bohaterem naszej rewolucji.

— Co masz na myśli, mówiąc, że *nielegalnie okupujemy*



Izrael? Sześć waszych skurwysyńskich armii zaatakowało nas, bo myśleliście, że jesteśmy słabi, my zaś bez niczyjej pomocy pokonaliśmy was, odparli i odbiliśmy ziemie, które prawnie do nas należą. Mój ojciec i brat są tak jak i ja Arabami, a walczyli w tej wojnie w armii izraelskiej. Tacy tchórze jak ty nie potrafią stanąć z nami oko w oko i walczyć jak mężczyźni. Musicie uciekać się do działania ukradkiem jak zdradliwe tchórze, które zabijają niewinnych cywilów i dzieci, bo brak im odwagi do walki z żołnierzami. Ucieczka i ukrywanie się po tym, jak podkładasz bombę, która zabija niewinnych ludzi, jest aktem najwyższego tchórzostwa. I każdy, kto uważa podłożenie bomby za swoją zasługę, przyznaje tym samym, że jest tchórzem. Więc jak śmiecie nazywać siebie bohaterami rewolucji, skoro jesteście tylko bandą przegranych tchórzy?

— Dlaczego nie czytasz gazet? — krzyknął Ghafi. — Dlaczego nie oglądasz telewizji? Nie zobaczysz nigdy żadnego dziennikarza, który nazwałby nas tchórzami za to, co robimy. Nie! Ani razu żaden z nich nie nazwał nas tchórzami. Nazywają nas bojownikami o wolność, bo nimi właśnie jesteśmy.

— To właśnie błąd ze strony prasy — powiedział Kemal z zawziętą gwałtownością. — Wyłażą z tych swoich klimatyzowanych barów na wpół pijani, włóczą się za takimi zaplutymi psami jak wy i namawiają was do rzucania kamieni i popełniania innych aktów tchórzostwa, a potem twierdzą, że fotografują i zdają relacje ze spontanicznych wydarzeń w sposób bezstronny i obiektywny. Robią z was wszystkich bandę aktorów odgrywających rewolucję, która jest fikcją pozbawioną wszelkiej wartości, i zachęcają was do inscenizowania tych waszych wydumanych aktów buntu, które potem aranżujecie i odgrywacie przed kamerami... Ale po jaką cholerę dyskutuję z takim gównianym, odmóżdżonym idiotą jak ty? Gdzie jest Ismail i reszta?

— A kim ty do cholery jesteś, żeby ze mną nie dyskutować? Jesteś takim samym Arabem jak *ja!*

— Tak, jestem Arabem i Palestyńczykiem, i jestem z tego dumny. Moja rodzina żyła tu od stuleci, a ja sam urodziłem się w Gazie. Ale nie jestem takim samym Rabem jak ty. Jestem obywatelem Izraela. I są tu tysiące takich jak ja — przyzwoitych Arabów, którzy gardzą takimi zbirami i terrorystami jak ty. Wstyd nam za takich niezaradnych leniwych głupków i waszych fanatycznych zwolenników, którzy nie mają mózgownicy, żeby myśleć samodzielnie. Nie prosiliśmy was, żebyście tu przyjeżdżali i robili nam kłopoty. Ta dżihad, którą ogłosiliście przeciwko Żydom, nie jest żadną świętą wojną i nie jest też naszą wojną. Nie chcemy, żebyście wy i wasze FWP, OWP i OLP wścibiały nos w nasze sprawy. Nie chcemy, żebyście nas reprezentowali albo mówili za nas, i nie chcemy was tutaj. A teraz, zanim stracę cierpliwość, *gdzie jest Ismail i pozostali?*

Ghafi podniósł wzrok na Kemala i wzruszył ramionami.

— Gdybym ci powiedział, moglibyśmy zawrzeć układ, co ty na to? Byłem w izraelskim więzieniu i nie podobają mi się te dresy, które każą tam nosić. Ponadto niebieski, cha, cha, cha, to nie mój kolor. No więc, jeśli powiem ci to, co chcesz wiedzieć, czy zawrzesz ze mną układ i deportujecie mnie do Libanu albo na Cypr, zamiast posyłać do więzienia?

Kemal popatrzył na Jacka. Kiedy Jack zobaczył jego rozwścieczone oczy, wyszedł z pokoju i przyłączył się do Yossiego na korytarzu. Zrozumiał większą część tego, co mówiono, i wiedział, że Kemal chce dokończyć przesłuchiwania Ghafiego w cztery oczy, bez świadków.

Za zasłoniętym dywanem wejściem stał Yossi, kiwając głową na Jacka i przykładając palec do ust. — Zrozumiałeś wszystko?

— Tak. Może nie potrafię zbyt dobrze mówić po



arabsku, ale z pewnością uchwyciłem sens. Teraz, kiedy wie, że Kemal zrobi z niego *kuftah*, będzie mówił.

Usłyszeli, jak Kemal pyta: — Dlaczego al-Sirat próbował zabić Jacka Lunda?

— Kto to jest Jack Lund?

— Człowiek, który przed chwilą wyszedł, bo nie lubi oglądać, jak komuś mózg wbijają do żołądka.

— Aha, ten — głos Ghafiego zadrżał, mimo że próbował zachować pozory nieustraszonego. — Agent amerykański. Jego koncern buduje bomby atomowe, których Izraelczycy i wy, arabscy zdrajcy, użyjecie do zniszczenia ludu Islamu.

— Kto zapłacił al-Siratowi za zabicie go?

— Zapłacił?

— Kiedy wczoraj przeszukiwaliśmy dom Effii w El Yaluq, widziała, jak znaleźliśmy w bagażu al-Sirata trzydzieści tysięcy dolarów amerykańskich. Kto mu dał te pieniądze?

— To kłamstwo. Al-Sirat walczył w imię naszej szlachetnej sprawy, nie dla pieniędzy.

— Jeśli naprawdę al-Sirat tak postępował, to skąd wziął pół miliona dolarów w szwajcarskim banku na koncie na swoje nazwisko?

Dobiegł ich szelest przerzucanych papierów.

— Tutaj, sam przeczytaj. Ten dokument jest oficjalnie potwierdzony przez rząd szwajcarski, szwajcarski bank, w którym trzyma pieniądze, a także przez Mossad.

Po paru sekundach ciszy rozległ się wrzask: — Niech całe robactwo tysiąca pokoleń stoczy jego duszę! Okłamał mnie. *Okłamał*! Powiedział, że wszystko, co ma dla nas, to pięć tysięcy dinarów, a mnie dał raptem wszystkiego tysiąc dinarów.

— Kto mu płacił?

— Zawieramy układ? Bez układu nie powiem.

— Świetnie, masz swój układ.

— Zabierzecie mnie do granicy i pozwolicie mi przejść do Libanu?

— Tak, po tym, jak zdobędę potwierdzenie tego, co masz do powiedzenia. Ale jeśli mnie okłamujesz, Ghafi, to jakem Kemal, ugotuję cię żywcem w sikach tysiąca wielbłądów. Więc, dla kogo pracował al-Sirat? Kto mu płacił?

— Tylko dwa razy słyszałem, jak rozmawiali przez radionadajnik o zmiennej częstotliwości.

— Skąd al-Sirat zdobył radio o zmiennej częstotliwości?

— Od człowieka, z którym rozmawiał.

— Kiedy to było?

— Około sześć miesięcy temu. Byliśmy wtedy w Bejrucie. Przywiózł je kurier.

— Jak często rozmawiał przez radio z tym człowiekiem?

— Raz czy dwa razy w miesiącu. Po raz ostatni około trzy tygodnie temu, kiedy byliśmy w Damaszku. Ten człowiek powiedział, że musi kazać zabić Jacka Lunda dla *ubezpieczenia*, i żądał zagwarantowania, że to zostanie wykonane, gdy Jack przybędzie do Amsterdamu. Al-Sirat wysłał w tym celu Hassana Hakima do Amsterdamu. Powiedział, że jeśli Hassan skrewi, to wtedy on zajmie się tym osobiście, i to jest najlepsza gwarancja.

— *Ubezpieczenie*? Co chciał przez to powiedzieć?

— Czy to nie znaczy, że jeśli ktoś umiera i ma polisę, to spadkobierca zgarnia pieniądze?

— Kim był ten człowiek i jak się nazywał?

— Wiem tylko tyle, że miał rosyjski akcent i al-Sirat nazywał go *Żelaznym Królem*. Nigdy go nie widziałem i nie spotkałem się z nim. Słyszałem go tylko mówiącego przez radio.

— Gdzie jest ten Żelazny Król? Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko? Co oznacza słowo *ubezpieczenie*?

— Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Nie wiem, kim jest Żelazny Król. I powiedziałem ci, jak rozumiem słowo *ubezpieczenie*.

— Gdzie teraz są Ismail, Najwa i Lafir?

— Al-Sirat kazał Ismailowi przyrzec, że zabije Jacka



Lunda, jeśli jemu samemu się nie uda i coś pójdzie źle. Myślę, że wybrali się, żeby zabić Jacka Lunda. Ja mam co innego do zrobienia, więc nie pojechałem z nimi...

— Dokąd pojechali? Kiedy...?

— Wyjechali zeszłej nocy. Jadą czerwonym Mercedesem al-Sirata.

— Al-Sirat miał *czerwonego Mercedesa?* — krzyknął Kemal głosem pełnym niedowierzania. — Kiedy go zdobył?

— Powiedział, że potrzebują szybkiego samochodu, i Żelazny Król dał im w zeszłym tygodniu forsę, żeby go kupili w Tel-Avivie.

— Kupił go *w zeszłym tygodniu*?

— Tak, był prosto z fabryki, Turbo diesel.

— Masz wyobrażenie, ile to *kosztuje?*

— Dużo?

— Nie wiesz?

— Nie. Nie mam zielonego pojęcia o samochodach. Nie umiem nawet prowadzić. Dlaczego pytasz? Jest drogi?

Kemal milczał przez kilka sekund. Potem spytał: — Dokąd jechali?

— W porządku, zaraz po przejechaniu przez El Yaluq i zabraniu Stingerów...

— *Stingerów?* — wykrzyknął Kemal. — *Jakich Stingerów?*

— Trzech rakiet Stinger, które schował tam Qaboos.

— Jack! — zawołał Kemal. — Słyszysz to?

Jack wszedł do pokoju, potakując głową. Ghafi siedział na podłodze z lufą pistoletu maszynowego Kemala wciąż przytkniętą do ucha. — Tak — odpowiedział.

Kemal szturchnął Ghafiego Uzi. — Jeśli kłamiesz...

— Na imię Allacha. Mówię prawdę!

— Gdzie zamierzali zabić tego człowieka? — zapytał, pokazując na Jacka. — I kiedy planowali to zrobić?

— Nie mam pojęcia. Ismail nigdy mi nic nie mówi. Chce zająć miejsce al-Sirata w FWP i te Stingery zapewnią mu sukcesję po nim. Kiedy możesz sobie, stojąc gdziekolwiek

na ziemi, wystrzelić jedną z tych rakiet po prostu z ramienia i rozwalić samolot albo pasażerski odrzutowiec, ot tak sobie — powiedział, strzelając palcami — to jesteś gość.

Piąta czterdzieści rano. Przetransportowani zostali drogą powietrzną helikopterem bojowym. Jack przypięty był pasami do siedzenia za plecami pilota, Aviego Cohena, i Yossiego Trauba, który siedział na fotelu drugiego pilota. W tym właśnie momencie znajdowali się nad Karmelem, mając z lewej burty Morze Galilejskie, ledwie widoczny srebrzysty kształt harfy na południowy wschód ku wschodowi od nich. Dalej za Morzem Galilejskim złowieszcza ściana ustępujących przed świtem mroków, którą tworzyły wzgórza Golan i Syria rozciągnięta wzdłuż horyzontu jak śpiący smok. Dokładnie dwadzieścia kilometrów na północ od nich — Liban.

W pięć minut po tym, jak nadano przez radio biuletyn powiadamiający wszystkie posterunki i jednostki o poszukiwaniach czerwonego Mercedesa ze składanym dachem, jeden z patroli wojskowych zameldował, że zauważył odpowiadający opisowi samochód sportowy z trzema Arabami w środku. Podejrzany pojazd widziany był o 5.50 koło Sisufy i kierował się na zachód Drogą nr 211. Żandarmeria wojskowa mogła zatrzymać i przesłuchać rutynowo jego pasażerów, lecz nie zrobiła tego, ponieważ gdy pojazd ich mijał, zajęta była na miejscu wypadku udzielaniem pomocy czterem rannym.

O 5.58 czasu jerozolimskiego ogłoszony został nagły alarm. Lampki kontrolne w kokpicie zaczęły migać, a dwa ekrany Radaru Naprowadzania Bojowego rozbłysły światłem, podczas gdy kobiecy głos w słuchawkach ogłaszał po hebrajsku: „Do wszystkich samolotów w powietrzu w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów od Ain Ebel w Libanie. *Powtarzam, do wszystkich samolotów w powietrzu w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów od Ain Ebel w Libanie*. Powiadamia się, że nie zidentyfikowana maszyna wystartowała z okolic Ain Ebel o 5.57 i leci 30 metrów nad ziemią kursem 180 stopni kompasu magnetycznego, z prędkością 120 węzłów. Ostrzega się przed zagrożeniem ze strony nie zidentyfikowanej maszyny; powtarzam, ostrzega się przed zagrożeniem ze strony nie zidentyfikowanej maszyny zbliżającej się do izraelskiej przestrzeni powietrznej."



Pilot zaczął szybko wciskać przełączniki, głośno mówiąc: „Szerokopasmowe radarowe odbiorniki sygnałów ostrzegawczych włączone. Radar przeszukiwania powierzchni ziemi włączony. Czujniki powietrze-ziemia włączone. System ostrzegania przed pociskami uruchomiony. Podczerwienny system zagłuszania włączony. Dystrybutor systemu przeciwrakietowego włączony. System testów samosprawdzających uruchomiony."

Lewostronny ekran RNB przed Avim i Yossim w jednej chwili zaczął przeszukiwać przestrzeń powietrzną wokół nich. Prawostronny RNB śledził teren. Na obu ekranach pojawiały się tabele, w miarę jak system samosprawdzający testował obwody urządzeń awiacyjnych i sensorów.

Pilot wskazał na drugi RNB. Yossi i Jack potwierdzili skinieniem głowy, że widzą linie współrzędnych zbiegające się w celu. Pilot powiedział do mikrofonu: „Tu L-143. Mamy intruza w zasięgu radaru, odległość czternaście kilometrów, pozycja zero-zero-pięć. Jestem w pogotowiu."

Odezwał się męski głos: „L-143. Uzbroić rakiety."

Pilot wcisnął czerwony przełącznik. — „Rakiety uzbrojone."

„Bądź w pogotowiu, L-143."

Pilot, sprawdzając RNB, powiedział: „Odległość od celu osiem kilometrów, pozycja zero-zero-pięć. Wysokość piętnaście metrów."

Głos mężczyzny: „Śledzimy go. Śledzimy"

Nagle dwa izraelskie myśliwce zawyły obok nich, wznosząc się łukiem ku szybko jaśniejącemu niebu. Co najmniej trzy Machy, ocenił Jack. Gdy helikopter podskoczył i za-

trząsł się w strugach powietrza pozostawionych za ogonem odrzutowych myśliwców, które przed momentem przeleciały tuż obok nich, Jack zauważył pierwsze promienie słońca wyglądające spoza dalekich gór.

Pilot, spoglądając przed siebie przez plastikową kopułę, zameldował: „Kontakt wzrokowy. Intruzem jest mały helikopter."

Gdy dwa następne izraelskie myśliwce śmignęły koło nich, Yossi przyjrzał mu się przez lornetkę. — „To Hoplita, polskiej produkcji, WSK Świdnik, z trzystopniową przekładnią. Zbiornik paliwa pod podłogą kabiny. Jest nie uzbrojony. Nie widać żadnych zasobników ani pocisków Sagger.

„Intruz ląduje na pastwisku na południe od Jish" — powiedział pilot podając współrzędne. — „Intruz jest teraz na zerowej wysokości. Schodzę niżej, żeby wykonać manewr uniemożliwiający start."

— Jakaś furgonetka zmierza przez pastwisko w kierunku helikoptera — powiedział Yossi, pokazując w dół przez kopułę i podając lornetkę Jackowi.

Jack spojrzał przez szkła i nachylił się Yossiemu przez ramię. — Furgonetka zatrzymuje się.

Pilot zszedł na wysokość piętnastu metrów i zawisł dokładnie nad helikopterem.

Jack rzucił przekleństwo i złapał za hełmofon Yossiego. Zaczął mówić do mikrofonu: „Furgonetka właśnie podjechała do helikoptera. Wysiadł z niej mężczyzna z kobietą. Mężczyzną jest poszukiwany osobnik, Viktor Rostov. Ma zakładniczkę. Podejrzany prowadzi zakładniczkę do helikoptera z bronią przytkniętą do głowy. Zakładniczką jest obywatelka amerykańska. Nazywa się Zita Dean i jest córką człowieka, którego koncern jest właścicielem Tzaddi Electronics Industries. To pilne. Powtarzam, *pilne*. Zachodzi konieczność natychmiastowego skontaktowania się z Amanem i powiadomienia o zaistniałej sytuacji generała Moshe Pinchasa."



„Zostanie wykonane. Proszę podać swoją tożsamość."

„Jestem Jack Lund. Kiedy powiadomicie generała Pinchasa, połączcie mnie z nim."

Pilot wyrównał maszynę bojową zwisającą nad helikopterem na ziemi, podczas gdy Jack i Yossi siedzieli, przyglądając się bezradnie, jak Rostov prowadzi do niego Zitę. Kiedy dotarli do helikoptera, Zita zaczęła wyrywać się Rostovowi, ale ten wykręcił jej rękę, przycisnął jej pistolet do gardła i opanował ją siłą. Gdy Jack to zobaczył, wszystko się w nim zatrzęsło. Strach, który ujrzał na twarzy Zity, kiedy spojrzała w górę, gdy Rostov wpychał ją do helikoptera, doprowadzał go do szału.

Jack głośno zaklął, cierpiąc udręki z powodu swojej bezradności, i przyrzekł sobie, że nie spocznie, dopóki nie dopadnie Rostova i nie uwolni od niego Zity.

Nagle zaczął migotać i popiskiwać wskaźnik częstotliwości radiowych wskazujący, że na alarmowym kanale łączności z jednostkami latającymi nadawany jest komunikat. Pilot włączył przycisk i rozległ się męski głos: „Halo, wszystkie posterunki, wzywam wszystkie posterunki i maszyny w powietrzu w pobliżu Jish w Izraelu. Mamy zakładnika, córkę Webstera Deana, i zabijemy ją, jeśli natychmiast nie otrzymamy zezwolenia na start i odlot do Libanu."

„Kontrola ruchu powietrznego" — powiedział pilot, przełączając na kanał łączności wojskowej. — „KRP, odebrałeś to?"

„Uwaga L-143. Mamy generała Pinchasa na linii naziemnej. Łączymy go z panem Lundem."

Odezwał się głos generała: „Pan Lund? Jak wygląda sytuacja?"

„Podejrzany Rostov uprowadza córkę Webstera Deana, grożąc jej bronią. Są na pokładzie helikoptera, któremu uniemożliwiamy start. Zakomunikowali przez radio, że chcą natychmiast odlecieć, albo panna Dean zostanie zabita."

„Wejdź na ich kanał i zażądaj rozmowy z nią" — powiedział generał. — „Zobacz, może da się ich zagadać."

„W porządku, generale, spróbuję. Ale proszę, niech pan wyda rozkaz, żeby do nich nie strzelano. Sierżant Traub poinformował mnie, że zbiornik paliwa helikoptera znajduje się pod kadłubem kabiny."

„Dobrze."

Jack trącił pilota. — Przełącz z powrotem na kanał alarmowy.

Pilot wykonał polecenie i pokazał ręką w dół. Wirnik stojącego na ziemi helikoptera zaczął się obracać z dużą szybkością.

„Rostov" — powiedział Jack. — „Wiem, że jesteś na nasłuchu i że mnie odbierasz. Ostrzegam cię, chłopie. Jeśli Zicie stanie się jakaś krzywda, policzę się z tobą osobiście. A teraz daj mi Zitę, chcę z nią porozmawiać."

„Jack, to ty?"

„Nic ci nie jest, dziecinko?"

„Nie, nic."

„Bądź dobrej myśli, dziecinko. Wszystko będzie dobrze."

Nagle głos Rostova rozległ się w głośniku. — „Odlatuj, Lund. Startujemy. Zabieraj się stąd, do cholery!"

Pilot odwrócił się i rzucił Jackowi pytające spojrzenie. Jack skinął potakująco głową. Pilot natychmiast wykonał manewr, usuwając bojową maszynę znad uziemionego helikoptera.

Helikopter Rostova zaczął się natychmiast wzbijać w powietrze. W tym samym czasie cztery izraelskie myśliwce przypikowały i śmignęły koło nich. Jack, uderzając zaciśniętą pięścią w kolano, siedział wpatrzony w nabierający wysokości helikopter Rostova i mamrotał pod nosem przekleństwa.

Wtem Yossi dostrzegł coś, co kazało mu odwrócić się i porwać lornetę ze stolika koło fotela Jacka. Gdy tylko nastawił soczewki, wykrzyknął: — To czerwony Merc! Tam, tam, popatrz tam... — i pokazał ręką.



Jack spojrzał przez szklaną kopułę w kierunku wskazywanym przez Yossiego. Dwaj mężczyźni stali obok czerwonego Mercedesa zaparkowanego na wzgórzu wznoszącym się ponad pastwiskiem, gdzie Rostov porzucił furgonetkę. Jeden z mężczyzn trzymał na ramieniu pocisk Stinger. Celował prosto w ich maszynę bojową.

Pilot ujrzał ich w tym samym momencie. „Podczerwienny system antyrakietowy włączony."

— Mój Boże! — wykrztusił Jack. — Jeśli odpalą do nas ten pocisk, przejdzie obok, a potem dogoni i zniszczy helikopter Rostova — i Zita...

Pilot natychmiast położył maszynę w skręt i wcisnął guzik automatycznego przechwytywania celu poniżej ekranu RNB. Zanim ktokolwiek zdążył mrugnąć okiem, cel pojawił się na ekranie video i zaczął być namierzany. Gdy poziome i pionowe linie spotkały się i przecięły na świecącym na czerwono kursorze, pilot musnął przycisk na drążku sterowniczym i w chwilę potem pocisk rakietowy wystrzelił z bojowego helikoptera.

Nie minął ułamek sekundy, jak mężczyzna trzymający Stingera i mężczyzna obok niego, a także człowiek siedzący w czerwonym Mercedesie oraz sam czerwony Mercedes zamienili się w kulę ognia.

Jack westchnął z ulgą i poklepał pilota po plecach. — Dzięki, Avi. Świetny strzał.

Avi pokazał zęby w uśmiechu. — To nie moja zasługa.

Pogłaskał RNB i konsolę wskaźników kontrolnych, sunąc równocześnie w pościgu za umykającym helikopterem Rostova. — To jedno z cacuszek skonstruowanych w waszym Tzaddi. Nigdy nie chybia. Gdybyśmy teraz mieli taką broń, która sprowadziłaby ich na ziemię, nikogo nie raniąc...

W parę minut później, kiedy dotarli w pościgu za helikopterem Rostova do granicy, pilot odwrócił się i rzekł do Jacka: — Tu kończy się nasza droga. Musimy przerwać pościg. — Pochylił się w przód i pokazał ręką. — Popatrz.

Yossi gwizdnął i pokiwał głową. Syryjskie myśliwce przechwytujące MIG-23 Flogger-B/G. Skąd, do diabła, się tu wzięły?

Dwa myśliwce przechwytujące przecięły przestrzeń powietrzną tuż za linią graniczną, czekając z wyzwaniem, żeby tylko ją przekroczyli.

Izraelski helikopter bojowy zawisł na kilka minut, obserwując, jak helikopter Rostova wydaje się w oddali coraz mniejszy i mniejszy, a kiedy nie można już go było dostrzec, zawrócili na południe.

— No i co, Jack — powiedział Yossi. — Wygląda na to, że i ciebie, i mnie czeka podróż. Już dawno nie byłem w Libanie. A ty?

Jack nie odpowiedział. Siedział, wpatrując się ponad ramieniem pilota w panoramę przedstawiającą ziemie Izraela — kraj, gdzie zrodziła się cywilizacja, kraj, który teraz rozciągał się przed nimi w porannym słońcu — i przysiągł na Boga, że przetrząśnie każdy kamień i nie spocznie, aż odnajdzie Zitę i zabierze ją z powrotem do domu.

I wtedy, dopiero wtedy ruszy za Rostovem.

I wtedy, dopiero wtedy go zabije.

# 12

HAR EMET
(Izraelski Tajny Podziemny Wojskowy
Punkt Dowodzenia, gdzieś w Galilei)
Poniedziałek, 31 lipca, 11.00

Kiedy Jack Lund i Yossi Traub wysiedli z podziemnego wagonika, który przeniósł ich w głąb tajnego podziemnego kompleksu zabudowań, stanęli, przyglądając się w osłupieniu temu, co tam zobaczyli. Byli na najwyższym poziomie trzydziestometrowej wysokości ośmiokątnego centrum dowodzenia sił powietrznych. Centrum podzielone było na cztery części o ścianach pokrytych ekranami kinowych rozmiarów.

Przy podwójnym ekranie w każdej części oznaczonej po hebrajsku jako Północ, Południe, Wschód i Zachód, za konsoletami komputerów siedziało po dziesięciu mężczyzn i kobiet. Na wyższym poziomie, w środku amfiteatralnego pomieszczenia, za plecami czterdziestu operatorów i techników komputerowych znajdował się przeszklony obszar. W tej części sztab naczelnego dowódcy składający się z dwudziestu osób siedział kręgiem wokół stanowiska dowódcy zmiany dyżurującej.

Środkowa konsola i fotel dowódcy zmiany dyżurującej, podobnie jak konsole stanowisk komputerowych wokół niego, umieszczone były na obrotowych podstawach. Stanowiska obracały się mechanicznie i były tak zaprogramowane, żeby ustawiać się na wprost tego z czterech pomieszczeń z ekranami, na którym w danej chwili powinna skupić się uwaga sztabowców.

Jack i Yossi rozglądali się właśnie, gdy usłyszeli, że

rozsuwają się automatyczne drzwi, i skinęli głowami na powitanie generała Moshe Pinchasa, który wyłonił się z windy w towarzystwie Chaima Merona. Gdy generał radośnie ich przywitał: — „Witajcie, panowie", Jack zdał sobie sprawę, że pierwszy raz, odkąd poznał generała, widzi uśmiech na jego twarzy.

— Jak się panu podoba nasz kompleks Har Emet?

— Nie mogę wyjść z podziwu — powiedział Jack.

— A mnie aż odjęło mowę — wtrącił Yossi. — Czuję się tak, jakbyśmy byli w jakimś dalekim przyszłym świecie.

— W pewnym sensie jesteście — powiedział Chaim Meron. — Znajdujemy się głęboko wewnątrz szeregu ogromnych puszek Faradaya, które chronią całą naszą elektronikę i inne systemy nawet przed wybuchem jądrowym w atmosferze. Tutaj nasi technicy obsługują sieci ostrzegawczych sensorów omiatających niebo, które identyfikują, wyświetlają na ekranie i śledzą wszystkie maszyny w powietrzu, satelity na orbicie i wszystkie pociski balistyczne, które mogą nam zagrozić. — Wskazał na środkowe pomieszczenie. — To serce naszego kompleksu, gdzie przetwarzanie wszelkich danych i komunikatów połączone jest z naszymi powietrznymi, kosmicznymi i naziemnymi posterunkami. To daje nam faktyczną zdolność zestawienia i oceny napływających danych wstępnych, które przetwarzamy i retransmitujemy poprzez naszą sieć komputerową premierowi i dowódcom sztabów, ci zaś mogą zareagować, polecając naszym dowódcom obrony użycie elektronicznych środków przeciwlotniczych.

Na podwójnych ekranach, które widać w każdej z czterech części, nasz sztab generalny może obserwować nasze jednostki bojowe podczas akcji, a także komunikować się z wszystkimi razem lub z każdą z osobna. Na tych ekranach możemy wyświetlać instrumenty pokładowe naszych samolotów i widzieć ich cele tak samo, jak w rzeczywistości widzą je piloci i nawigatorzy podczas lotów bojowych albo walk.



Spoglądając w dół na amfiteatr, Jack powiedział przejętym głosem: — Słyszałem plotki o tym miejscu, ale nawet mi się nie śniło, że ono naprawdę istnieje. Ten ośrodek operacyjny zaćmiewa nawet nasze centrum dowodzenia siłami powietrznymi NORAD w górach Cheyenne.

— Tak — potwierdził generał Pinchas. — Naszym zamiarem jest, żeby Har Emet wyprzedzało zdobycze technologiczne największych potęg światowych. Nasze biologiczne przetrwanie zależy od tego, czy zdołamy przewodzić światu w badaniach, konstrukcji, produkcji i wdrażaniu środków wsparcia elektronicznego, elektronicznych środków przeciwdziałania i systemów elektronicznego uzbrojenia.

Jak pan wie, dziś jedynym krajem arabskim, z którym pozostajemy w pokojowych stosunkach, jest Egipt. Żyjemy w niemal permanentnym stanie wojny ze wszystkimi naszymi pozostałymi sąsiadami, którzy nie czynią żadnej tajemnicy z tego, że są zdecydowani nas zniszczyć. Dlatego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, o każdej porze dnia i nocy, jesteśmy w stanie gotowości. To dlatego ponosimy tak ogromne wydatki jak te, które pan tu widzi. Ponad tysiąc ludzi jest przez cały czas na posterunku tutaj, w Har Emet, a tysiące innych pozostają na posterunkach w tajnych bazach na pustyni Negev i w różnych innych miejscach rozsianych po całym Izraelu, bo jesteśmy zdecydowani nigdy nie dać się zaskoczyć niespodzianie, jak to się nieomal stało podczas wojny Yom Kippur. W tamtej wojnie dostaliśmy nauczkę i teraz jesteśmy przygotowani i zdolni do obrony przed każdym atakiem ze strony naszych zaprzysięgłych wrogów w czasie poniżej jednej minuty od ogłoszenia alarmu.

Nie możemy dopuścić do tego, żebyśmy nie byli w stanie odpowiedzieć uderzeniem i zastosować środków prewencyjnych natychmiast po otrzymaniu wiadomości. Od tego zależy nasze przeżycie.

Tak, podkreślam to — *życie naszego narodu od tego zależy, bowiem każdy Izraelczyk wie, że pierwsza wojna, którą przegramy, będzie naszą ostatnią wojną.* I niech Bóg broni, by tak się stało, bo wówczas nie tylko Żydów na całym świecie czekałby nowy holokaust, ale i chrześcijan na całym świecie spotkałaby wraz z nami zagłada.

Jesteśmy bardzo dumni z tego, cośmy tu osiągnęli, i możemy podziękować Chaimowi i ludziom podobnym do niego za to, że pomogli nam uczynić tę bazę najnowocześniejszą na ziemi. A przy okazji, sporo z tego, co tu oglądacie, zostało zbudowane z przestarzałego wyposażenia i materiałów odpadowych, które Chaim zdobył w krajach całego świata, oszczędzając nam tym samym miliardy funtów izraelskich. — Skinął na nich i poprowadził ich do windy. — Chodźcie, panowie, musimy podjąć decyzję i trzeba się z tym uwijać.

Gdy usiedli już za stołem konferencyjnym w przyciemnionym pomieszczeniu na niższym piętrze, gdzie dołączyli do nich pułkownik Simcha Shapiro i kapitan Kemal Baka z Mossadu, generał nacisnął guzik na tablicy rozdzielczej i włączył wielki ekran ścienny. Gdy pojawił się obraz i wyregulowano ostrość, generał wyjaśnił:

— To ogólny widok Morza Śródziemnego w takiej postaci, w jakiej przekazał go godzinę temu, o 1.00 Uśrednionego Czasu Uniwersalnego, nasz satelita szpiegowski. Wiemy teraz, że frachtowiec przybrzeżny *Athene* był o 3.00 o pięćdziesiąt mil morskich od Hajfy. A zatem, przyjmując, że nadal płynął ze średnią prędkością ośmiu węzłów przez płycizny i miał przeciwne prądy, dzisiaj o 1.00 nie mógł znaleźć się dalej niż 248 mil morskich od Hajfy w dowolnym kierunku.

Tak więc bierzemy pod lupę obszar w promieniu 248 mil. — Generał nacisnął dwa klawisze i na ekranie pojawił się migający napis „4 x powiększenie", równocześnie z przedstawieniem łuku od Egiptu po Cypr i Turcję.



— Poszukiwania na superzbliżeniu we wszystkich portach, do których mógł zawinąć *Athene*, w celu jego wykrycia.

Nacisnął jakiś klawisz i na ekranie ukazało się zbliżenie rufy statku z napisem *Athene*.

— Kamera naszego satelity zrobiła to zdjęcie w Port Saidzie, który leży około 214 mil morskich na południowy zachód od Hajfy.

A to — nacisnął znowu klawisz i pojawiło się zbliżenie podobnej rufy statku, także z napisem *Athene* — zdjęcie statku stojącego w doku w Kyrenii na Cyprze, 246 mil morskich na północ od Hajfy.

Nacisnął jeszcze jeden klawisz i powiedział, gdy trzecie zbliżenie przekazało obraz komina statku o nazwie *Kathene*: — A to zdjęcie statku zacumowanego w Bejrucie, w Libanie, tylko 76 mil morskich od Hajfy.

Panowie — powiedział generał — który ze statków jest tym, którego poszukujemy?

Yossi zaryzykował śmiałą hipotezę. — Statki w Egipcie i na Cyprze są w oczywisty sposób atrapami. A zatem ten w Bejrucie musi być naszym celem, ponieważ jest jedynym, do którego nazwy dodano **K**, by zmienić ją i wprowadzić nas w błąd.

Generał potakująco skinął głową i wskazał ręką na pułkownika Shapiro, który rozparł się głęboko w fotelu i rzekł sucho: — Agenci Mossadu w Kyrenii i w Port Saidzie powiadomili nas, że istotnie oba statki należą do szejka Fahada; i że nazwy wyraźnie zostały ostatnio przemalowane — *ale* statki stoją w porcie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Z drugiej strony, nasi agenci w Bejrucie potwierdzili, że *Kathene* przybyła wczoraj o 14.00 i nie weszła do basenu portowego. Zamiast tego stanęła na kotwicy na redzie przeznaczonej dla statków objętych kwarantanną i jest teraz pod ścisłym nadzorem agentów Mossadu i naszego podniebnego szpiega.

Generał zapalił światła w pomieszczeniu i stuknął w klawisz. Na obraz *Kathene* nałożyły się fotografie Borisa

Vorosa, Viktora Rostova, Hadżdżiego, Abdula i dra Helmuta Ortmana. Lampka kursora wskaźnikowego zaczęła migać na wyświetlonej fotografii Vorosa.

— Dowiedzieliśmy się, że ten człowiek, Boris Voros, jest SO bandyckiego konsorcjum, które od dawna systematycznie i bezwzględnie kradnie najnowocześniejsze tajne technologie i przejmuje kontrolę nad przedsiębiorstwami na całym świecie. Przy użyciu tych samych technik, które stosował, kiedy był pułkownikiem KGB i kontrolerem sieci szpiegów, wtyczek i „nielegalnych", ex-pułkownik Boris Voros podjął próbę skompromitowania Tzaddi Electronics Industries.

Wskaźnik kursora zaczął migać na wizerunku Rostova.

— Viktor Rostov, fizyk, był sowiecką wtyką w Los Alamos. W tym czasie jego oficerem kontrolnym ze strony Sowietów był Boris Voros. W czasie, gdy Rostov tam przebywał, zaprzyjaźnił się z tym mężczyzną, drem Helmutem Ortmanem. — Kursor migał teraz na wizerunku Ortmana. — W tym czasie Ortman właśnie rozpoczął prace nad urządzeniem POTH. Teraz, po ośmiu latach, w wyniku wspólnego przedsięwzięcia Kompanii MWD, Tzaddi i Departamentu Obrony USA Ortman i jego pięciu asystentów znaleźli się tutaj, w Izraelu, pracując w Givat Tzaddi nad udoskonaleniem i produkcją POTH-a.

Teraz kursor zabłysnął na zdjęciu Hadżdżiego.

— Ten człowiek zwerbował dwudziestoczteroletniego Abdula Sayida na uniwersytecie w Hamburgu — światełko błysnęło na wizerunku Abdula — i zdołał umieścić go w domu Ortmana w Givat Tzaddi. Z materiałów, które udało nam się dotychczas zgromadzić, i z pobieżnego rozeznania wnosimy, że Rostov wszedł w układ z Ortmanem i jego kolegami, by wykraść POTH-a i zwiać z nim z Izraela. W sobotę wieczór, o 19.00, kiedy Abdul wywiózł Ortmana i jego ludzi z Givat Tzaddi, udając, że zawozi ich na koncert, mieli udać się w kierunku północnym, na plażę nie opodal libańskiej granicy. Następnie mieli zostać prze-



myceni przez granicę o 4.00 rano w niedzielę i tam spotkać się z Hadżdżim.

Na ekranie pojawiła się podobizna Qaboosa z migocącym kursorem.

— Qaboos, który pracował dla Hadżdżiego i Rostova, miał w założeniu towarzyszyć Abdulowi podczas wywózki Ortmana i reszty, wraz z POTH-em, poza granicę kraju. Ciało jego znaleziono w połowie drogi między Givat Tzaddi a plażą, gdzie natknięto się na motocykl Abdula. To nasuwa nam wniosek, że Abdul zabił Qaboosa, gdy ten odkrył, iż Abdul nie ma zamiaru zawieźć Ortmana i pozostałych nad granicę libańską.

Podobizna szejka Fahada ibn-Nasira z migocącym kursorem pojawiła się na ekranie.

— Szejk Fahad, w rzeczy samej, wszedł w układ z Abdulem — i prawdopodobnie również z Ortmanem — żeby przechytrzyć Rostova.

Stąd wnioskujemy, że szejk Fahad, Abdul, Ortman, jego pięciu pomocników i prototyp POTH-a znajdują się na pokładzie *Kathene*, która w tej chwili zakotwiczona jest na redzie dla statków objętych kwarantanną przed wejściem do Bejrutu.

Generał rzucił na ekran podobiznę Zity Dean.

— Komplikacja. Zita Dean, córka Merrilla Deana z Kompanii MWD, której częścią jest Tzaddi Electronics Industries, jest obecnie zakładniczką Viktora Rostova. — Rzucił na ekran serię pojedynczych klatek fotograficznych zrobionych kamerą pokładową podwieszoną na helikopterze Jacka Lunda, na których ukazana była z lotu ptaka Zita uprowadzana pod groźbą pistoletu przez Rostova.

— Agenci Mossadu donoszą, że Viktor Rostov, Zita Dean i Hadżdżi widziani byli na lotnisku w Bejrucie dzisiejszego ranka o 9.00.

Generał wygasił wszystkie podobizny i rzucił na ekran jeszcze jedno ujęcie *Kathene*.

— Dzisiaj rano poznaliśmy zamiary szejka Fahada

ibn-Nasira. — Generał wyjął z aktówki egzemplarz arabskiej gazety i rzucił go na stół konferencyjny. Fotografia szejka widniała na pierwszej stronie.

— Fahad złożył oświadczenie, które — jak widać — zamieszczono w dzisiejszym *Islam Herald*. Oznajmia w nim, że już rozpoczął produkcję elektronicznego sprzętu wojskowego i urządzeń przeciwlotniczych w swoim nowym przedsiębiorstwie i w tajnej fabryce w górach Hadżar niedaleko Zatoki Omańskiej.

Nazywa swoją nową fabrykę Górą Silikonową i zapowiada, że jako dawny student uczelni technicznej wtajemniczony w wiele sekretnych projektów Ameryki i Izraela, z których znaczna część realizowana jest przez amerykańskie spółki wykupione za petrodolary jego kompanów szejków i tym samym kontrolowane teraz przez jego kompanów szejków, ma wystarczające doświadczenie, by dostarczyć swoim arabskim braciom oszołamiająco nowe i odmienne od dotychczasowego, najnowocześniejsze uzbrojenie, które zadziwi świat i pozwoli im zepchnąć Izraelczyków do morza, itd., itd., aż do znudzenia...

— Czy to prawda? — wykrztusił Yossi.

Jack spojrzał na niego i przytaknął ponuro. — Arabscy naftowi miliarderzy *rzeczywiście* są w posiadaniu pakietów kontrolnych akcji wielu *poważnych* amerykańskich korporacji, a nawet części majątku 5000 korporacji będących głównymi kontrahentami Departamentu Obrony i produkujących wszystko od najtajniejszych środków łączności, poprzez elektroniczne systemy uzbrojenia, samoloty, statki kosmiczne, po przyrządy nawigacyjne.

Ponadto Arabowie są właścicielami nieruchomości w całej Ameryce — drapaczy chmur, centrów handlowych, zakładów przemysłowych, wystawnych rezydencji i czego byś tylko chciał, wartości miliardów dolarów.

Z drugiej strony zaś Amerykanom nie udziela się zezwoleń na posiadanie własności w Emiratach, Omanie, Kuwejcie, Bahrajnie czy Arabii Saudyjskiej, pomimo tego,



że Arabowie całkiem na pewno wykupują wszystko, co im wpadnie w oko w Ameryce. Ostatnio zrobili się nawet tak chciwi, że nie pozwalają tankowcom należącym do amerykańskich armatorów zabierać i dostarczać ropy. Wydali dekret, że należące do Arabów tankowce mają przejąć całe zaopatrzenie, i zbudowali ogromne suche doki na całym świecie, żeby je utrzymać.

— A co z twoją Kompanią MWD? — spytał kapitan Baka. — Czy ją także wchłonęli Arabowie do jakiejś swojej kompanii?

— Nie. Dzięki Bogu są jeszcze tysiące amerykańskich businessmenów podobnych do moich szefów, którzy mają dosyć zdrowego rozsądku i uczciwości, żeby się nie wyprzedawać, nie dopuścić arabskich petrodolarów i nie chcieć mieć z nimi nic do czynienia.

Generał uniósł rękę, prosząc o ciszę, i powiedział:

— Panowie, proszę nie odbiegać od tematu... Teraz, kiedy wiemy, że szejk Fahad ibn-Nasir planuje zabrać POTH oraz Ortmana i spółkę do górskiej fortecy w swoim szejkanacie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, podstawowym pytaniem jest, co zamierzamy zrobić, żeby go powstrzymać?

Pułkownik Simcha Shapiro odpowiedział: — Naszym pierwszym zadaniem jest odzyskanie POTH-a i wszystkich związanych z nim dokumentów i papierów, oraz albo uratowanie, albo aresztowanie dra Helmuta Ortmana i jego kolegów — a także oczywiście odbicie panny Dean. Naturalnie nie może być mowy o nowym Entebbe — mówił dalej pułkownik Mossadu. — Zachowanie tajemnicy przed i po fakcie jest rzeczą o kapitalnym znaczeniu. Ponieważ w obecnej chwili w Bejrucie jest co najmniej tuzin różnych, wzajemnie się zwalczających odłamów — że już nie wspomnę o Syryjczykach, to gdybyśmy spróbowali czegoś, co nie odniosłoby skutku, nie tylko wystawilibyśmy POTH na niebezpieczeństwo, lecz także ryzykowalibyśmy życie wszystkich osób w to zamieszanych.

Jack powiódł wzrokiem po twarzach obecnych i siedział, potakując głową. Yossi, pułkownik Shapiro, kapitan Kemal Baka i Chaim Meron mieli równie zawzięty wyraz twarzy jak on.

— Panowie — powiedział generał — nie muszę wam przypominać, co by się stało, gdyby choć słówko o tym, co jest na pokładzie tego statku, przedostało się na zewnątrz... A teraz pytam was, co z tym zrobimy?

Jack siedział, bębniąc palcami w stół, i zaczął mówić: — Musimy zapobiec temu, by Rostov i Voros położyli łapę na POTH-a, musimy zapobiec temu, by Fahad zabrał POTH w góry, i musimy odbić Zitę Dean.

Jack przestał bębnić palcami, spojrzał na generała i spytał: — Czy jest pan pewien, że Ortman, Abdul i pozostali wciąż jeszcze są na pokładzie statku?

— Tak. Statek znajduje się pod ścisłą obserwacją. Dzisiejszego ranka Ortman, jego koledzy, Abdul, a także szejk Fahad ibn-Nasir zostali zauważeni podczas spaceru po pokładzie.

— Co będzie, jeśli spróbują wymknąć się hydroplanem albo helikopterem?

— Sądzimy, że Fahad czeka na okazję, żeby właśnie to zrobić.

— Dlaczego czeka? — zapytał Yossi.

— Wie, że Rostov i Hadżdżi obserwują go. Wie, że Rostov może próbować zestrzelić go rakietą Stinger. I nie jest głupcem. Nie chce podejmować takiego ryzyka.

Pułkownik Shapiro zwrócił się do kapitana Baki: - Kemal, pozwól nam usłyszeć twoją opinię.

Kemal Baka przez chwilę pocierał podbródek, po czym rzekł: — Tak jak mówił Jack, powinniśmy natychmiast zneutralizować Rostova i Vorosa, a także oczywiście spróbować odbić tę Dean. Potem niewielki oddział, powiedzmy trzech lub czterech z nas, powinien spróbować podpłynąć pod wodą do *Kathene* i wejść na jej pokład.

Ale — dorzucił Kemal z naciskiem — jest to dokładnie to, czego najprawdopodobniej Fahad spodziewa się po nas, i niemal na pewno będzie przygotowany na nasze przyjęcie. Zakładam, że ma na pokładzie tego statku uzbrojonych ludzi...

— Zakładasz prawidłowo — rzekł pułkownik Shapiro. — Nasi agenci oceniają, że w obecnej chwili na pokładzie znajduje się przynajmniej dwudziestu ludzi w niebieskich dżinsowych ubraniach, z których kilku uzbrojonych jest w AR-47, i pełnią tam nieustanną wartę.

Jack wyprostował się, oparł się obiema rękami o stół i powiedział: — Panowie, skoro najistotniejszy jest czas, uważam, że musimy zneutralizować Rostova i odbić Zitę w pierwszej kolejności. Gdy tego dokonamy, i to po cichu, i jeśli utrzymamy Fahada w przekonaniu, że Rostov wciąż czatuje na niego z wycelowanym Stingerem, nie będzie próbował odlecieć ani odpłynąć z POTH-em i Ortmanem. Można mieć nadzieję, że będzie odczekiwał, a to da nam trochę cennego czasu, żeby przedziurawić tę jego przeklętą krypę spod wody.

— Czy mówiąc to, ma pan na myśli *zatopić ją?*

— Nie za jednym zamachem, ponieważ tego prawdopodobnie także się spodziewa. *Kathene* jest statkiem handlowym o wyporności 1500 ton. Zbudowana jest ze stali i prawdopodobnie ma czterdzieści lat albo i więcej.

— Czterdzieści sześć — powiedział generał. — Zbudowana w Szwecji.

— Takie stare łajby mają masę problemów, przeważnie z instalacjami przechodzącymi na wylot przez kadłub i zaworami pomp balastowych, które są zrobione z brązu. Stal i brąz to metale nie do pogodzenia...

— Mam lekarstwo na wasze kłopoty — przerwał mu Chaim Meron. — Mamy takie małe elektroniczne urządzenie podwodne, które zastosowaliśmy kiedyś do unieszkodliwienia syryjskiego statku. Wywołuje ono pojawienie się silnie przyśpieszonej elektrolizy w morskich instalacjach z brązu. Całkiem nowy zawór balastowy rozłoży w sześć-

dziesiąt minut, i nikt nie będzie w stanie stwierdzić, że dokonano sabotażu.

Jack spojrzał na niego z szerokim uśmiechem. — Doskonale, dokładnie to miałem na myśli.

— Będziemy potrzebowali nurka z aparatem tlenowym — powiedział pułkownik Shapiro.

— Macie go przed sobą — odrzekł Jack. — Wiem dokładnie, gdzie to umieścić pod kadłubem tego statku.

— A co potem? — zapytał kapitan Baka.

— Kiedy przestaną działać zawory wody zaburtowej w instalacji dostarczającej wody morskiej do chłodzenia maszyn i generatorów, woda zaczyna przeciekać do zęz i włączają się sygnały alarmowe. Nie da się uruchomić maszyny głównej i generatorów i statek musi leżeć w dryfie. Żeby znowu mógł pływać, trzeba uszczelnić przecieki pakułami i wypompować wodę z zęz. Wówczas szybko usuwa się pakuły i podczas gdy woda morska bucha do środka przez otwory w kadłubie, nurek wstawia i przytrzymuje nową instalację i zawory za pomocą specjalnych narzędzi, a ludzie w środku zamocowują to.

— Wspaniale — zawołał pułkownik Shapiro. — A zatem kapitan będzie musiał posłać po nowe zawory i pewnie po dwóch czy trzech mechaników oraz nurka do ich zainstalowania. Chyba że ma na pokładzie zapasowe części i nurka, a jego mechanik potrafi sobie z tym poradzić. Czy mechanik okrętowy jest w stanie to zrobić?

Jack przytaknął: — Jest w stanie.

Wszyscy siedzieli przez kilka chwil, spoglądając po sobie, pułkownik Shapiro zaś odwrócił się do nich plecami, podniósł słuchawkę telefonu i zaczął mówić ściszonym głosem, żeby nie można go było podsłuchać. Odwiesił słuchawkę, powiódł po nich wzrokiem, oni zaś siedzieli czekając, aż coś powie. Minęła minuta. Dwie minuty. Wtem zadzwonił telefon. Pułkownik złapał za słuchawkę, chwilę słuchał, coś wymamrotał, po czym usiadł, uśmiechając się do nich szeroko.



— No i co, Simcha...?

— Czy można mieć więcej szczęścia? Nigdy nie zgadniecie, gdzie w tej chwili przebywa mechanik pokładowy.

— Nie każ nam zgadywać, Simcha! — wrzasnął generał.

Pułkownik Shapiro nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. — Mechanik i dwóch ludzi z załogi maszynowej wdali się w pijacką burdę w sobotę rano, przed wypłynięciem *Athene*. Zostali aresztowani.

Pułkownik Shapiro wybuchnął śmiechem, a kiedy opanował śmiech, zdołał dopowiedzieć: — Są teraz w areszcie tymczasowym w Jaffie. Za parę minut nasi agenci Mossadu będą ich przesłuchiwać i wtedy dowiemy się wszystkiego, czego nam trzeba, o tym statku.

— Dzięki Ci, Boże, za pijanych marynarzy! — wykrzyknął Chaim Meron, śmiejąc się i odmawiając krótką modlitwę.

# 13

BEJRUT, LIBAN
Poniedziałek, 31 lipca
21.30

W trzydzieści minut po zwodowaniu i wejściu na pokład szybkiej łodzi motorowej przewiezionej potężnym izraelskim helikopterem transportowym na północ od Bejrutu i dwadzieścia mil w głąb morza, Jack zaczął brać namiary radarowe na nabrzeżne punkty orientacyjne, podczas gdy Yossi i Kemal stali za nim przy sterze, przyglądając się przez noktowizor statkom na kotwicowisku. Kiedy byli w odległości trzech mil od wschodniobejruckiego portu, Jack wygasił piekielnie hałaśliwe dieslowskie turbiny.

Gdy już opadli na płatach i zaczęli unosić się na równej stępce, wciąż jeszcze przyzwyczajając się do nagłej ciszy i utraty szybkości z początkowych sześćdziesięciu węzłów praktycznie do zera, dostrzegli statek motorowy *Kathene*. Stał pośród pięciu innych małych statków i trampów frachtowych, zakotwiczony dokładnie dwie mile morskie na wprost nich i jedną milę morską od pirsów wyładunkowych Piątego Basenu.

Teraz, kiedy zauważyli już swój cel, Jack włączył oba cichobieżne silniki elektryczne przyśrubowane do stewy ich szesnastometrowej, czarnokadłubowej łodzi *Riva*, produkcji włoskiej, i ponownie ruszyli. Gdy zbliżyli się do kotwicowiska, Jack podniósł na maszcie flagowym nad anteną radarową dużą banderę kuwejcką, włączył czerwone i zielone światła nawigacyjne oraz białe światło rufowe i chwycił za noktowizor.

W mozolnym tempie sześciu węzłów dopłyną do kei dla



jednostek o głębokim zanurzeniu za pół godziny, o 22.00, dokładnie jak zaplanowano. Tam zacumują do bunkrowca z ropą, gdzie będzie oczekiwał ich łącznik Mossadu.

Kiedy zaczęli przepływać w odległości ćwierć mili od *Kathene*, poruszając się wolno po spokojnych wodach, Kemal i Yossi przycupnęli w kokpicie, osadzili noktowizory na okrężnicy i przyglądali się statkowi. Z wyjątkiem światła postojowego na szczycie masztu i kilku świateł kabinowych *Kathene* była całkiem zaciemniona, lecz jej sylwetka rysowała się na tle łuny świateł miasta Bejrut i linii brzegowej.

— Widzę dwóch strażników na prawej burcie koło dziobu i co najmniej czterech w kierunku rufy od nadbudówki — zauważył Yossi.

— Ja mam dalszych dwóch na pokładzie mostka — powiedział Kemal. — Mają karabiny.

— Yossi — odezwał się Jack, stojąc za kołem sterowym — nakieruj na trzy statki od strony lewej burty *Kathene*. Kemal, rzuć okiem na pozostałe dwa, są bliżej. Rostov mógł umieścić na nich ludzi do obserwacji *Kathene*.

Po minucie Yossi odezwał się: — O ile dobrze widzę, nie ma nikogo na pokładzie żadnego z nich. Ani żywej duszy.

Kemal nie odrywał lornety od statku zakotwiczonego najbliżej *Kathene*.

— Na pokładzie frachtowca, na jego prawej burcie, jest jakiś człowiek — powiedział. — Stoi koło przedniego bomu wyładunkowego. Ma lornetkę. Jeszcze jeden człowiek, nie, dwóch na dziobie. Także z lornetkami.

— Patrzą na nas?

— Nie, są odwróceni plecami. Pilnują *Kathene*, nie ma żadnych wątpliwości. Ustawiają soczewki, żeby lepiej widzieć. Wygląda na to, że jeden z nich ma przenośny nadajnik radiowy.

Yossi nakierował lornetę na statek i powiedział: — Zdaje się, że wszyscy noszą mundury — ochronne panterki.

— I berety — rzekł Kemal. — Najemnicy albo członkowie milicji. Nie potrafię powiedzieć.

— Milicja — odrzekł Yossi. — Dwóch z nich patrzy w naszą stronę. Mają na czapkach emblematy, ale nie mogę rozróżnić. Rzuć okiem, Kemal. Co o tym myślisz? Ooo, zobaczyli nas. Nie, w porządku. Dostrzegli naszą flagę i z powrotem przyglądają się *Kathene*.

— Różne emblematy — zawyrokował Kemal. — To raczej najemnicy, starsi faceci, nie dzieciaki, twarde najmusy, które gotowe są zrobić wszystko i dla każdego — byle za pieniądze.

— Jak nazywa się statek, na którym są? — spytał Jack.

— *Gwiazda Islamu* — odparł Yossi. — Port macierzysty Qatar na rufie.

— Czy to mogą być chłopcy szejka Fahada? — spytał Jack. — Dla wsparcia.

— Nie, nie sądzę — powiedział Kemal z okiem przyklejonym do soczewki. — Nie interesują się nami. Za bardzo dokładnie pilnują *Kathene*.

— Yossi — powiedział Jack — zejdź na dół i włącz podsłuch radiowy. Ja ustawię w ich stronę antenę kierunkową. Jeśli posługują się przenośnym nadajnikiem, może uda nam się coś złapać.

Yossi natychmiast zszedł na dół i włączył automatyczny podsłuch radiowy, który umieszczony był w samym zejściu pod pokład, a w tym czasie Jack nakierował małą antenę nad szybą ochronną ku *Kathene*. Światełka aparatu podsłuchowego rozbłysły natychmiast w górze i w dole skali częstotliwości, ale przez głośniki nic nie było słychać.

Spokojny pomruk silników elektrycznych i niesiony echem wybuch pocisku artyleryjskiego nad Zieloną Linią demarkacyjną w Zachodnim Bejrucie były jedynymi odgłosami, jakie dochodziły do nich, gdy przepływali koło statków na kotwicowisku, powoli zostawiając *Kathene* za sobą, i szli dalej kursem na falochron.

Kilka minut po tym, jak zacumowali do polerów na



rufie bunkrowca i wyłączyli światła, ujrzeli, że z mroków jednego z ogromnych magazynów na nabrzeżu wychodzi jakiś człowiek i zaczyna iść w ich kierunku. Był niskim, korpulentnym pięćdziesięciolatkiem w białym ubraniu i w zabawnym kapeluszu panama. Kemal przez chwilę przyglądał mu się przez lornetkę, a potem opuścił ją.

— To Sultan, punktualny jak zwykle. Jest tak akuratny i niezawodny, że można według niego nastawiać zegarek.

— Jak dobrze go znasz? — spytał Jack.

Kemal wręczył lornetkę Yossiemu, który właśnie wyszedł spod pokładu. Poczekawszy, aż Yossi przyjrzy się mężczyźnie i odda mu szkła, odpowiedział: — Sultan zaczął dla nas pracować w latach siedemdziesiątych, po tym, jak OWP podrzuciła samochód-pułapkę niedaleko jego restauracji. Mieli zamiar zabić amerykańskiego konsula, ale spóźnili się i zamiast tego rozerwało w kawałki żonę i dzieci Sultana. Od tej pory zawsze nadstawia dla nas głowę. Jest naszym najcenniejszym agentem. Szpiegowanie dla nas to jedyna rzecz, dla której żyje. Obecnie Sultan cieszy się reputacją jednego z najbardziej osławionych przemytników w Bejrucie, więc nie nabierz się na lep jego słów i nie daj się zwieść jego wyglądem. To tylko jego przykrywka. I dodam, że znakomita. Tak naprawdę to gwiżdże na pieniądze. Wiem to z całą pewnością. Wydaje tysiące na potrzebujących w obozach uchodźców i wspiera sierociniec w górach.

— SL, to znaczy Siły Libańskie, i inne prywatne odłamy milicji nie wchodzą w drogę ani jemu, ani jego sieci przemytników — smaruje wszystkie łapy bakszyszami i płaci haracz temu, komu trzeba.

— Prywatne odłamy milicji? — spytał Jack zdziwiony.

— Tak, właściciele przedsiębiorstw budowlanych, zakładów szklarskich, cementowni, stacji napraw samochodów zbijają spore majątki za każdym razem, kiedy ich milicje skończą bombardowanie dzielnic mieszkalnych. W ten właśnie sposób napędzają sobie klientów. I jest to

jedna z przyczyn, dlaczego tak trudno przywrócić tutaj prawo i porządek. Ale to nie należy do sprawy. Jak mówiłem, Bejrut stał się osobistym lennem Sultana. Dlatego też nikt nam tu nie przeszkadza. Myślą, że każdy, kogo zobaczą w jego towarzystwie, jest przemytnikiem, a cała ta broń zmagazynowana pod pokładem dodatkowo ich o tym przekona, gdybyśmy popadli w jakieś kłopoty.

Patrzyli, jak schodzi na barkę i pośpiesznie zdąża w ich kierunku.

— Ach, Kemal! — wykrzyknął, trzęsąc podwójnym, gładko wygolonym podbródkiem. — Świetnie wyglądasz — mówił po arabsku. — Co mi dziś przywiozłeś? Coś potrzebnego? Może trochę ślicznych sowieckich 64-milimetrowych pocisków RPG-18 z wyrzutniami z włókien szklanych? W dzisiejszych czasach można na nich zarobić po dwa tysiące dolarów.

— Nie w tym rejsie, Sulli — powiedział Kemal, ściskając mu rękę i towarzysząc mu, gdy wchodził na pokład. — Proszę cię, mów po angielsku. Moi przyjaciele nie mówią za dobrze po arabsku. Przywieźliśmy ci sto przenośnych pięćdziesięciopięciokanałowych nadajników radiowych UKF, sto Krinkovów i dwieście nowiutkich chińskich Kałasznikowów.

— Doskonale, doskonale — odrzekł Sultan po angielsku, zacierając pulchne dłonie i uśmiechając się do Jacka i Yossiego. — Domyślam się, że obaj panowie jesteście Kuwejtczykami? Przyjechaliście zakupić trochę libańskich wiśni? Mam nadzieję, że paszporty macie w porządku? — Sultan bacznie przyjrzał się Jackowi, marszcząc się na widok jego jasnych włosów.

— Nie — powiedział Kemal. — Ja jestem tutaj jedynym Kuwejtczykiem i oto mój paszport, możesz się przekonać, że jest w porządku. — Wyciągnął swój paszport i wręczył go Sultanowi. Sultan udał, że go ogląda, i zwrócił mu go.

Kemal pokazał gestem na Jacka: — Ten pan to Michael O'Reilly z Dublinu w Irlandii. — Potem wskazał na Yossie-



go. — A to jest Timothy Shea, również z Dublinu. Proszę pokazać panu Sultanowi wasze paszporty.

Kiedy podali mu sfabrykowane paszporty, Sultan udał, że na nie patrzy, ale nie przestawał ukradkiem rozglądać się wokół po budynkach magazynów i składach towarów na nabrzeżu. Wręczył im je z powrotem i powiedział:

— Tak, tak, wygląda, że są w porządku. Czy mógłbym teraz przejrzeć ładunek?

Gdy tylko znaleźli się pod pokładem, Sultan powstrzymał ich gestem ręki, przytknął palec do ust, nakazując milczenie, wyjął z bocznej kieszonki marynarki mały, bezprzewodowy mikrofon i pokazał im go w górze. Otwarł małe brązowe puzderko, włożył go do środka i zakręcił wieczko.

— Żeby rozwiać podejrzenia moich przyjaciół falangistów — rzekł doskonałą angielszczyzną — poprosiłem ich, żeby osłaniali mnie podczas spotkania z wami dzisiejszego wieczoru, podobnie jak często proszę ich o wsparcie, kiedy kontaktuję się z innymi przemytnikami. Nalegają zawsze, żebym nosił „pluskwę", udają, że martwią się o mnie i boją, żeby ktoś z moich klientów nie zechciał mnie obrabować albo coś w tym guście. Ale tak naprawdę to chcą mieć mnie na podsłuchu, żeby się upewnić, że gram z nimi uczciwie i dostają swój udział w zyskach w formie „podatków". Moi muzułmańscy przyjaciele szyici każą mi robić to samo. Ale dość już tego. Nie mamy za dużo czasu i czas nie pracuje na naszą korzyść, więc przejdę od razu do sedna.

Najpierw złe wieści. Te jołopowate głupki, którym kazałem śledzić Hadżdżiego, zgubiły go parę godzin temu, i nie mam pojęcia, gdzie jest teraz Viktor Rostov ani dokąd mógł zabrać tę amerykańską damę. Przy okazji, fotki, które przesłaliście mi faxem, są wielce pomocne. Dwóch moich ludzi pokazało je paru osobom, i sądzimy, że są w czynszowym domu gdzieś koło Martyrs' Square, to znaczy o parę kroków stąd. Szukają ich teraz moi najlepsi ludzie.

Rozpiął marynarkę i pokazał mały nadajnik radiowy na pasku. — Macie przy sobie wasze? — zapytał Kemala.

Kemal sięgnął ręką pod sportową koszulkę, którą miał na sobie, i pokazał mu swój nadajnik wiszący na rzemieniu na szyi. — Nastawić na kanał dwunasty?

— Kanał dwunasty — powiedział Sultan. — A teraz przejdźmy do dobrych wiadomości: Szejk Fahad i jego paczka wciąż są na pokładzie *Kathene* i nie ruszają się stamtąd.

A teraz znów złe wieści. Na pokładzie *Gwiazdy Islamu* jest z tuzin członków milicji pilnujących statku szejka.

— Wiemy o tym — rzekł Jack.

— Tak — wyjaśnił Kemal — widzieliśmy ich, płynąc tutaj.

— Są uzbrojeni w co najmniej dwa pociski ziemia-powietrze, prawdopodobnie Stingery — rzekł Sultan.

— No to jesteśmy uziemieni — powiedział Jack. — Chyba że uda nam się wstrzelić w ich transmisje radiowe i dokładnie ustalić ich pozycję.

Wskazał ręką na skaner nasłuchu zamontowany koło zejścia pod pokład; jego migające lampki wskazywały, że nadal bezowocnie przeszukuje wszystkie częstotliwości.

— To może się przydać — powiedział Sultan — ale wątpię, żebyście byli w stanie dokładnie wyznaczyć ich pozycję. Goniometry kierunkowe wskazują tylko kierunek, z którego nadawany jest sygnał, a zatem jest to cała linia pozycji.

— Goniometr, który posiadamy, potrafi więcej — rzekł Jack. — Oblicza na podstawie mocy sygnału i dzięki specjalnemu układowi interpretującemu efekt Dopplera, w jakiej odległości mierzonej w metrach na LP, czyli linii pozycji, znajduje się nadajnik.

Sultan ze zdumieniem wlepił oczy w Jacka. — Czego to jeszcze nie wymyślą? — Wyjął plan ulic Bejrutu i rozłożył go. — Na wypadek gdyby coś się przytrafiło i przyszłoby



wam opuścić łódź, bądźcie ostrożni. Są tu tysiące idiotów z bronią, którzy będą strzelać pod lada pretekstem. — Napisał coś po arabsku na marginesie planu i wręczył go Kemalowi. — To powinno pozwolić wam przejechać przez wszystkie blokady, czyli tak zwane punkty kontrolne.

Pogrzebał chwilę w kieszeni, wyciągnął łańcuszek, z którego zwisały dwa kluczyki, i dał go Kemalowi.

— Jeśli będziecie potrzebowali, weźcie mój samochód. To srebrny Mercedes zaparkowany na końcu basenu portowego z moim nazwiskiem po arabsku na tablicy rejestracyjnej. Znają go wszyscy członkowie wszystkich frakcji, więc nie będą was niepokoić. Notabene, dlatego jest to jedyny samochód w Bejrucie, którego nikt nigdy nie próbował ukraść albo zamienić w kupę złomu.

Jack zdjął pęk kluczy z haczyka na przepierzeniu i wręczył go Sultanowi. — Kluczyki od łodzi. Na wypadek, gdybyśmy musieli nagle wyjechać bez łodzi.

Sultan wsadził je do kieszeni i zachichotał. — Zawsze chciałem mieć swój jacht. Ilu ludzi może zabrać i jaką rozwija prędkość?

— Pięciu ludzi, sześćdziesiąt węzłów na spokojnej wodzie.

— Dobrze, panowie — rzekł Sultan, rzucając okiem na zegarek na ręce, Piaget z litego złota z brylantami na tarczy — tymczasem zaprzęgnę moich ludzi do roboty. Być może uda im się zlokalizować Rostova i tę amerykańską damę. Jeśli zdołamy się czegoś dowiedzieć, czegokolwiek, natychmiast dam wam znać.

Kemal podniósł walizkę, otwarł ją z trzaskiem i pokazał mu zawartość. — Pozdrowienia od pułkownika Shapiro. Pięćdziesiąt tysięcy angielskich funtów szterlingów — powiedział. — Przydadzą się?

Podbródki Sultana zatrzęsły się, gdy zaczął chichotać i potakiwać. — Ach, mój drogi przyjaciel Simcha Shapiro. Mam nadzieję, że miewa się dobrze? Więc został już pułkownikiem, no, no, to wspaniale. Podziękujcie mu ode

mnie, dobrze? — Oczy mu zabłysły na widok plików pieniędzy. — Wszyscy moi FL-owcy, falangiści, szyici, Palestyńscy Komuniści, Armia Libanu, druzowie, zaprzyjaźnieni kupcy sunnici, i w ogóle wszyscy w Pasie Nędzy przewrócą Bejrut do góry nogami w poszukiwaniu Rostova, kiedy im to pokażę. Moi drodzy chrześcijańscy i muzułmańscy przyjaciele chętnie by mnie za to zabili, a potem pomodlili się do swoich bogów. W dzisiejszych czasach zdrada, rabunek i morderstwa wśród przyjaciół są tutaj normalnym sposobem na życie.

Sultan znowu zerknął na zegarek, wyjął brązowe puzderko, otworzył je i głośno powiedział:

— Doskonale, panowie, doskonale. Pięćset kilo libańskich wiśni będzie dostarczonych jutro nie później niż w południe. Wtedy zabierzemy wasz towar. Pamiętajcie, mój samochód jest do waszej dyspozycji, więc proszę, nie krępujcie się go używać. Kasyno we Wschodnim Bejrucie i teatry nadal są otwarte, i jest wiele świetnych restauracji — i w bród kobiet. I jeśli starczy wam czasu, musicie zobaczyć nowy film z Clintem Eastwoodem. A teraz, panowie, muszę już iść. A więc żegnam panów.

Odprowadzili Sultana po schodkach do kokpitu, wręczyli mu walizkę i patrzyli za nim, jak wdrapuje się na barkę i śpiesznie odchodzi. Kiedy ucichły jego kroki, Yossi powiedział do Kemala: — Mam nadzieję, że, do cholery, wiesz, co robisz. Równie przebiegłego faceta jak Sultan jeszcze nigdy nie widziałem.

— Taki jest — powiedział Kemal. — Lepszego od niego nie znajdziesz.

— A co *teraz* zrobimy? — zapytał Yossi.

— Będziemy siedzieć na tyłku — odrzekł Jack, wpatrując się w zakotwiczony o milę za ich rufą statek. — I będziemy dalej przeszukiwać eter goniometrem. I będziemy się nieźle pocić.

Wpatrując się w statek, złapał się na tym, że znów myśli o Zicie. Ilekroć to się zdarzało, siłą woli kierował swoje



myśli gdzie indziej. Za nic w świecie nie mógł dać się owładnąć emocjom i rozpamiętywać, jak bardzo ją kocha, jak bardzo się o nią martwi, jak nienawidzi Rostova i jak bardzo chce go zabić. Jeżeli ma odnaleźć i uratować Zitę, musi zachować chłodny umysł i nerwy jak postronki. A poza wszystkim innym musi być dobrej myśli, i zarazem zachować obiektywizm.

Pierwszy trzask goniometra usłyszeli o północy. Jack, Kemal i Yossi rzucili się do głośnika w kokpicie i w napięciu słuchali, jak męski głos mówił po arabsku: „Kompania Gwiazda do bazy, Kompania Gwiazda do bazy."

Gdy Jack to usłyszał, w tej samej chwili złapał za przenośny wykrywacz kierunku fal radiowych, spojrzał na ekran, odczytał wartość cyfrową przechwyconej transmisji i ustawił tę samą częstotliwość. Potem wyskoczył na przedni pokład ślizgacza, odsunął się jak najdalej od barki, by jej ogromny żelazny kadłub nie wywołał zakłóceń kompasu, nałożył słuchawki na uszy, wycelował antenę w *Gwiazdę Islamu* i zapamiętał odczyt kompasu.

Transmisja powtórzyła się: „Kompania Gwiazda do bazy, czy mnie słyszysz?"

Gdy tylko Jack usłyszał odpowiedź: „Tu baza, Kompania Gwiazda", omiótł anteną dookoła, aż do punktu, w którym odbiór był najgłośniejszy, 180 stopni w skali od zera, i spojrzał na wskazówkę mocy sygnału.

„Nic niezwykłego?"

„Nic. Spacerują po pokładzie i nic nie robią."

„Dobra, miej oczy otwarte i melduj mi natychmiast, gdyby zaczęli robić coś niezwykłego."

„Tak jest, baza. Kompania Gwiazda, zostajemy w pogotowiu na tej samej częstotliwości."

„Zgłoś się znowu za jakąś godzinę. Będę na nasłuchu."

„Tak jest, baza. Kompania Gwiazda w pogotowiu."

Jack wcisnął przycisk „pamięć", a potem guziki „odległość" i „namiar kompasu". Kiedy dostał gotowy odczyt, zbiegł pod pokład do kabiny nawigacyjnej i rozłożył na

stole mapę. Wziął do ręki ołówek, wyrysował na mapie linię pozycji odpowiadającą kierunkowi namiaru kompasu, a następnie odmierzył cyrklem odległość w metrach wzdłuż linii pozycji. W punkcie, do którego doszedł, zaznaczył X, sprawdził obliczenia, ponownie skontrolował rozstaw cyrkla i spojrzał na mapę nawigacyjną w dużej skali, na której zaznaczone były główne ulice.

— Co udało ci się uzyskać? — zapytał Kemal, zaglądając mu przez ramię.

Jack pokazał mu X i powiedział, sprawdzając równocześnie swój automatyczny pistolet w kaburze pod pachą: — Dzielnica Ashrafiyyeh. Odczyt końcowy daje dokładnie 4143 metry, czyli trochę ponad dwie mile od miejsca, gdzie teraz jesteśmy. Sultan powiedział, że są gdzieś niedaleko Martyrs' Square, o parę kroków stąd — i tam właśnie są.

Jack rozpiął brezentową torbę i wyjął pęk magazynków z 9-milimetrowymi pociskami. Wręczył cztery z nich Kemalowi, a resztę schował do kieszeni. Gdy Kemal przejrzał już swoją broń, Jack wziął przenośny nadajnik radiowy, ustawił go na kanał 595, wziął drugie radio, sprawdził je i także nastawił na 595. Dał je Yossiemu, a potem to samo zrobił z trzecim radiem, które wręczył Kemalowi.

— Yossi zostanie tutaj. Pójdziesz ze mną na ochotnika, Kemal?

— Jasne, byłem tu parę lat temu i znam okolice Ashrafiyyeh. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mógłbyś iść sam. Pogładził małą skórzaną pochwę przy pasku. — Masz nóż?

Jack przytaknął, podciągnął prawą nogawkę spodni i pokazał Kemalowi nóż przytroczony do łydki.

— Rzućmy jeszcze raz okiem na tę mapę — powiedział Kemal.

Jack i Kemal pochylili się razem nad nią. Porównali plan miasta, który dał im Sultan, z mapą. Znak X wydawał się wskazywać na budynek na skrzyżowaniu ulic koło mu-



zeum, niedaleko autostrady Bejrut—Damaszek. Jack zakreślił go kółkiem.

— W porządku — rzekł Kemal, składając plan Sultana, wręczając go Jackowi i przewieszając sobie przez szyję rzemień noktowizyjnej lornety. — Skoczymy tam. Weźmiemy samochód Sultana, ale będziemy musieli trzymać się z dala od Zielonej Linii. To ziemia niczyja, rodzaj linii bramkowej pomiędzy szyickimi muzułmanami z jednej strony a chrześcijanami z drugiej. W wypadku, gdybyśmy wysiedli z samochodu i rozdzielili się, postaraj się tkwić w miejscu, dopóki nie będziesz mógł do mnie dołączyć.

Czterdzieści minut później zaparkowali niedaleko skrzyżowania we Wschodnim Bejrucie, które było celem ich wyprawy. Był tam tylko jeden budynek, skąd teoretycznie mogły pochodzić sygnały transmisji radiowej: niewielka czteropiętrowa budowla, hotel Savoy. Z wygodnego punktu obserwacyjnego, przez zaciemnione szyby limuzyny, mogli widzieć frontowe i boczne wejścia do hotelu. Ponieważ nie mieli pojęcia, w którym pokoju mógł przebywać poszukiwany przez nich mężczyzna, nie pozostawało im nic innego, jak tylko siedzieć w samochodzie na dole i czekać.

Wyjąwszy przejeżdżające niekiedy wojskowe jeepy obsadzone uzbrojoną milicją w ochronnych panterkach, ulice były opustoszałe. Po drodze przejeżdżali przez całe kwartały opuszczonych domów i zwalonych kamienic czynszowych, które padły ofiarą artyleryjskich pocisków i rakiet. Co dziwne, wiele innych ulic w dzielnicy Ashrafiyyeh nie poniosło żadnego uszczerbku. W tych rejonach widzieli światła w oknach, dwie czynne stacje benzynowe, liczne kafejki, trochę sklepów, bank z przeszkloną ścianą frontową i błyszczące, najnowsze modele samochodów stojące przed wieloma domami i na parkingach. Aż trudno uwierzyć, że byli w mieście rozdartym wojną i będącym polem bitwy.

— Szkoda, że nie wzięliśmy goniometru i kierunkowego wykrywacza fal — powiedział Jack.

— Cóż — rzekł Kemal — trudno było myśleć o wszystkim. Ale nie martw się, jak znam Yossiego, w tej chwili naprawia nasz błąd. Przy okazji, pułkownik powiedział mi w zaufaniu, że po zakończeniu tej akcji Yossi otrzyma z powrotem stopień kapitana.

— Miło mi to słyszeć — powiedział Jack. — Myślę, że go zgnoili, i jeśli ktokolwiek zasługuje na dostanie szansy, to właśnie on. — Jack spojrzał na zegarek. Był wtorek, prawie 1.00 w nocy.

Pięć po pierwszej radio zabrzęczało. To był Yossi. O wilku mowa.

„Nasz obiekt właśnie odebrał następny meldunek od swoich chłopców z *Gwiazdy Islamu*. Kazał im siedzieć na tyłku, dopóki nie połączy się z nimi ponownie o 2.00. Powiedział, że musi dokądś iść i że weźmie ze sobą radio, więc będzie można się z nim skontaktować."

„To wszystko?" — spytał Jack.

„Wszystko."

Zaczęło padać. W oddali błyskawica rozjaśniła niebo i słychać było donośny grzmot pioruna. Porywy wiatru omiatały ulice i z nieba zaczęły się lać strugi deszczu.

„Czy u ciebie pada?" — zapytał Jack.

„Tonę w potokach deszczu, tu Timothy Shea, odbiór."

„Michael O'Reilly" — odrzekł Jack. — „Jestem na linii."

W parę chwil później Jack i Kemal poderwali się sztywno w siedzeniach, ujrzawszy, jak najnowszy model limuzyny Nissan podjeżdża pod boczne wejście do hotelu i hamuje z piskiem opon. Kemal zaczął przypatrywać mu się przez lornetę. Włączył silnik i wycieraczki. Nagle z hotelu wynurzył się jakiś człowiek, podbiegł do limuzyny i wsiadł.

— To Hadżdżi! — powiedział Kemal, opuszczając szkła, włączając bieg i skręcając kierownicą.

W chwili, gdy Nissan odjeżdżał spod hotelu, Kemal ruszył za nim. Śledził na wyłączonych światłach, trzymając



się w odległości jednego kwartału domów od niego. Gdy Nissan skręcił w boczną ulicę o dwa bloki od hotelu, Kemal dodał gazu i nie stracił go z oczu. Widoczność była kiepska z powodu ulewy i potoków wody szybko zalewających ulice. Nissan jechał bez świateł. Widoczne były niekiedy jedynie czerwone światła stopu, które rozbłyskiwały, ilekroć kierowca zwalniał. Po przejechaniu paru bloków Nissan skręcił w prawo. Gdy Kemal skręcił za nim, spojrzał kątem oka przez przednią szybę i zaklął.

— Przed nami punkt kontrolny — most na rzece Bejrut — skurwysyńska milicja! Hadżdżi przejeżdża nie zatrzymywany, ale nas zatrzymają. Wyjeżdżają jeepy i blokują drogę.

Jack przesłonił dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem reflektorów. — Próbujemy się przedrzeć?

— Żartujesz? — powiedział Kemal, zwalniając i pokazując ręką.

Członkowie milicji w obu jeepach mierzyli do nich z pistoletów maszynowych. Na środku ulicy stało dwóch ludzi w panterkach i ponczach. Kemal spuścił szybę w okienku.

Jack wyjął mapę Sultana i wręczył ją Kemalowi.

Jeden z członków milicji podszedł, zapalił latarkę i skierował na nich przez okienko snop światła.

— Proszę dowody tożsamości — rzekł po arabsku.

Kemal odrzekł: — Jesteśmy klientami Sultana. Powiedział, żebyśmy wam to pokazali.

Mężczyzna nieśpiesznie omiatał im twarze snopem światła z latarki. W tym samym czasie Jack dojrzał znikające w oddali tylne światła Nissana.

Wreszcie członek milicji wsadził głowę przez okienko i zaczął czytać notkę, którą zostawił Sultan. Skinął głową, odstąpił od okienka i wrócił do jednego z jeepów, gdzie rozmawiał chwilę z człowiekiem siedzącym za kierownicą. Odbyli długą naradę, potem prawie minutę stali patrząc na srebrnego Mercedesa Sultana. Wreszcie członek milicji

wrócił i powiedział: — Przepraszam za zwłokę, panowie, ale nie możemy was tędy przepuścić. Sultan miałby do nas wielkie pretensje, gdyby spotkała was jakaś krzywda, albo gdyby ktoś was zranił czy zabił. Chodzi o to, że tam dalej jest trochę zamieszania, i nie chcielibyśmy, żebyście się dostali w krzyżowy ogień. Gdybyście zechcieli poczekać, aż się trochę uspokoi...

— Nie, dziękuję — powiedział Kemal, podnosząc szybę w okienku. Wrzucił wsteczny bieg, wycofał, zawrócił samochód i odjechał.

— To oczywiste, Hadżdżi zauważył nas na ulicy pod domem i czekali już na nas.

— Tak, oczywiste — powiedział Kemal z zaciśniętymi zębami. — To cholerne rzucające się w oczy auto Sultana można dojrzeć na kilometr.

Wróciwszy w dwadzieścia minut później na nabrzeże, siedzieli pogrążeni w milczeniu w Mercedesie, czekając, aż ustanie deszcz, gdy nagle ujrzeli błysk światła, potem następny, a w ślad za nim rozległy się dwie ogłuszające eksplozje.

Dochodziły z jednego ze statków na kotwicowisku. Nie byli w stanie powiedzieć, z którego.

W moment później, dalsze dwie eksplozje.

Jack i Kemal wyskoczyli z Mercedesa, przebiegli wzdłuż nabrzeża w rzęsistym deszczu, zeskoczyli na bunkrowiec i podbiegli do łodzi motorowej. Yossi stał w kokpicie, patrząc przez lornetę na szalejące płomienie, które trawiły jeden ze statków.

— To *Gwiazda Islamu* — krzyknął Yossi.

Chwycili swoje lornetki i wlepili w nią wzrok. Ujrzeli sześciu czy siedmiu mężczyzn w ogarniętych płomieniami ubraniach, biegających jak żywe pochodnie i wyskakujących za burtę. Ogień był wszędzie. Nadbudówka, przednie ładownie i pokłady stały w płomieniach skaczących na wysokość bocianiego gniazda.

Nagle usłyszeli potężne wirniki helikoptera. Zaraz potem



ujrzeli go w blasku ognia z płonącego statku. Pikował w dół sponad deszczowych chmur. Wyrównał i stanął w zwisie, pod wiatr, o niecałą jedną czwartą mili od rozszalałego piekła, i zszedł w dół na dziesięć metrów powyżej rufowej nadbudówki *Kathene*.

— To rosyjskiej produkcji Ka-27 Helix! — zawołał Kemal. — Oznakowanie jugosłowiańskie. Zwisają z niego dwie drabinki sznurowe. Naliczyłem ośmiu ludzi na szczycie najwyższej nadbudówki *Kathene*. Chwytają drabinki.

Jack rzucił się do radia koło steru ślizgacza i przełączył je na bezpieczną częstotliwość satelitarną. „Uwaga, nadaję komunikat. Uwaga, nadaję komunikat" — powiedział po angielsku. — „To Załoga Łodzi Jeden. Mamy nad celem śmigłowiec transportowy Helix ze znakami jugosłowiańskimi, który zabiera ośmiu podejrzanych. Słyszysz mnie?"

„Wiemy, że tam jest. Śledziliśmy tę maszynę przez ostatnie dwadzieścia minut" — odparł męski głos w odbiorniku. — „Jak wygląda sytuacja?"

„Gęsty deszcz. Burzowe chmury na niskim pułapie. Widoczność poniżej dwóch mil morskich. Płonie statek zakotwiczony od strony prawej burty podejrzanej jednostki. Wygląda tak, jakby go całego obrzucili napalmem. Podejrzani wspinają się teraz po drabinkach na pokład helikoptera."

„Uwaga Załoga Łodzi Jeden".

Yossi opuścił szkła, wgramolił się pod pokład i wrócił po chwili z wodoodporną mapą. Podał mapę Jackowi. Jack rzucił na nią okiem i natychmiast zaczął stukać w klawiaturę automatycznego nawigatora satelitarnego, programując współrzędne i kurs, jakim mieli sterować do z góry ustalonego punktu spotkania, skąd miano ich zabrać z morza.

„Załoga Łodzi Jeden, tu Har Emet. Jak teraz wygląda sytuacja?"

Kemal, patrząc przez lornetkę, powiedział: „Czterech z nich jest już na pokładzie helikoptera, pozostali czterej

wspinają się teraz po drabince. Wciągają także na pokład sieć z niewielkim ładunkiem. Słyszysz to, Har Emet?"

„Odebraliśmy. Zostaję na linii."

W parę chwil później odezwał się inny męski głos. — „Załoga Łodzi Jeden" — odezwał się. Był to generał Pinchas. — „Ruszaj, jak tylko helikopter zniknie z pola widzenia. Może być uzbrojony w pociski powietrze-ziemia. Daj mu minutę albo dwie, a potem ruszaj z maksymalną prędkością do punktu spotkania. Jakie są warunki żeglugi?"

„Trochę huśta w zatoce. Rzęsisty deszcz i trochę porywistego wiatru. Może nas opóźnić wysoka fala na pełnym morzu."

„Radar wskazuje, że zaburzenia atmosferyczne mają charakter lokalny. Twój przewidywany czas przybycia powinien być za szesnaście minut od tej chwili. Ustalimy go na za dwadzieścia jeden minut. Jakieś pytania?"

„Nie".

„Nie martw się o śmigłowiec. Ma prędkość przelotową 123 węzły, zasięg 432 mile morskie. Dokądkolwiek by się udali, będziemy z góry o tym wiedzieć."

„Ostatni człowiek już na pokładzie" — krzyknął Kemal. — „Helikopter odlatuje."

„Potwierdzam odbiór. Śledzimy go" — powiedział generał. — „Har Emet przechodzi na odbiór."

Jack sprawdził wskaźniki stanu akumulatorów, zobaczył, że są w porządku, skontrolował czas na zegarku i zaczął odliczać sekundy, podczas gdy Kemal i Yossi w pośpiechu zrzucali cumy. Kiedy odpychali kadłub od barki bunkrowej, Yossi spojrzał w głąb nabrzeża, przebił wzrokiem ścianę deszczu i pokazał ręką.

W ulewnym deszczu nadbiegali w ich kierunku jacyś ludzie. Członkowie milicji z karabinkami szturmowymi w rękach.

— Cholera, zabierajmy się stąd — ryknął Kemal, wskakując do kokpitu z buchtami lin cumowniczych w rękach.



Jack włączył silniki, zastartował i zaczął odbijać od pirsu. W tej samej chwili poprzez ogłuszający ryk potężnych turbin ślizgacza usłyszeli odgłosy strzałów.

Kula odbiła się rykoszetem od barki z rozdzierającym uszy brzdękiem.

Następna kula odłupała kawałek betonowego nabrzeża o dziesięć metrów od ich dziobu. Kiedy trzeci pocisk świsnął w powietrzu ponad ich głowami, Jack wcisnął do oporu manetki gazu.

Łódź uniosła się na płatach, z hukiem opłynęła falochron, tryskając w górę na piętnaście metrów pierzastym kilwaterem, a następnie zapadła się w ciemność i znikła z pola widzenia nadbiegających strzelców.

W parę sekund później, zostawiwszy za sobą falochron wschodniobejruckiego portu, a z prawej burty stojący w płomieniach statek i *Kathene* na środku kotwicowiska, przedzierali się przez ściany rzęsistego deszczu na omiatane szkwałem, rozkołysane morze.

# 14

4 MILE MORSKIE
OD BEJRUTU, LIBAN
Wtorek, 1 sierpnia, 2.36

Sztormowe chmury kłębiące się nad płonącym statkiem, który został teraz trzy mile za nimi, wyglądały równie ponuro jak ponure było spojrzenie Jacka — spojrzenie gniewne, zawiedzione i pełne niepokoju, ilekroć pomyślał o Zicie.

Chciał przestać o niej rozmyślać, ale nie mógł. Czuł się, jakby utracił kawałek siebie i zostawił go gdzieś na pastwę losu w rozdartym wojną Bejrucie.

Potworny łomot diesli, przenikająca do szpiku kości wibracja i gwałtowny pęd miały moc hipnotyczną. Dokąd nie zdoła otrząsnąć się z uczucia przygnębienia, mógł tylko siedzieć i gapić się na coraz mniejszą w oddali łunę za rufą.

Drgnął, kiedy poczuł czyjąś rękę na ramieniu. To był Kemal. Trzymał nadajnik radiowy. Diody migotały. Jack wziął go z rąk Kemala. Ustawiony był na kanał 12.

Już zabierał się do włączenia, gdy Kemal chwycił go za rękę i rzekł, przekrzykując hałas: — Uważaj, co mówisz. Ta częstotliwość może nie być całkiem bezpieczna.

„Tu Michael O'Reilly" — powiedział Jack po angielsku i przytknął radio wielkości portfela do ucha. Przy szeroko otwartych przepustnicach ryk turbin dieslowskich i wiatru był wprost ogłuszający.

„Aa, życzę piknego dzionka" — zapiszczał w mini-głośniku Sultan, naśladując irlandzką gwarę. — „Przykro mi, ale musimy unieważnić nasz interes z powodu tej bandy zwariowanych szyitów, która was ostrzelała. Mam



trochę dobrych wiadomości. Dorwaliśmy naszego wspólnego znajomego zaraz po tym, jak przejechał punkt kontrolny na rzece, gdzie was zatrzymano. Hadżdżi wysłał kogoś i zapłacił im za przystopowanie was. Zadzwonili do mnie, kiedy stwierdzili, że chodzi o mój samochód. Więc zapłaciłem im, żeby pojechali za Hadżdżim, i wtedy go zlokalizowali.

W dzisiejszych czasach robią fenomenalne interesy, no nie? Po co kończyć wojnę, jeśli każdy zarabia tyle forsy? Tak czy inaczej, Hadżdżi pojechał do posiadłości pewnego barona narkotykowego z Bekaa, około pięć kilometrów za punktem kontrolnym. Kiedy statek na kotwicowisku wyleciał w powietrze, Hadżdżi i ten drugi facet, którego szukacie, i ta śliczna amerykańska dama zwinęli się i odlecieli helikopterem. Nie ma w tym nic niezwykłego, bo helikoptery lądują i startują bez przerwy o każdej godzinie.

„Przychodzi panu do głowy, w jakim kierunku mogli się udać?"

„Proszę powtórzyć, sygnał zanika."

Jack powtórzył pytanie.

„Podsłuchaliśmy ich, jak rozmawiali na czternastu megahercach z kimś o imieniu Boris i powiedzieli, że wygląda na to, iż ludzie szejka Fahada zaatakowali *Gwiazdę Islamu* i wysadzili ją w powietrze za pomocą fosforowych bomb zapalających. Powiedzieli, że widzieli, jak duży helikopter z jugosłowiańskim oznakowaniem zabiera ludzi z pokładu *Kathene*. Potem powiedzieli, że jadą do Damaszku spotkać się z tym Borisem na pokładzie jego samolotu."

„Czego jeszcze się dowiedziałeś?"

„Ejże, musicie pędzić na łeb na szyję, wasz sygnał naprawdę teraz słabnie... Jugosłowiański helikopter, który zabrał ludzi, przypuszczalnie został ukradziony... Syryjskie siły powietrzne nadały, że namierzyły... usłyszeli ich... oni... śledzili ich i zaobserwowali... kurs na Cypr."

„Hallo, hallo?" — Już za daleko.

— Co on powiedział? — zapytał Kemal, kiedy Jack oddawał mu radio.

Jack, zanim odpowiedział, schował się za szybę i zaczął wycierać sobie twarz ręcznikiem. Chociaż przestało już padać, przy szybkości, jaką rozwijali na nieco spokojniejszych teraz wodach, sterowani przez automatycznego pilota po kursie, który zmuszał ich co pewien czas do przeskakiwania albo przebijania się przez dwumetrowe fale, nieustannie obryzgiwani byli unoszącym się w powietrzu wodnym pyłem, a raz na jakiś czas zwartymi ścianami morskiej wody, które niechybnie zmyłyby ich z pokładu, gdyby nie trzymali się mocno.

— Hadżdżi, Rostov i Zita Dean są w helikopterze, w drodze do Damaszku — Jack przekrzyczał ryk silników. — Nie wszystko dosłyszałem, ale zdaje mi się, że syryjskie siły powietrzne próbowały odnaleźć jugosłowiański helikopter, który przypuszczalnie został skradziony, i powiedział coś jeszcze o tym, że lecą na Cypr.

— Cóż — wykrzyczał Kemal, uwiesiwszy się na przedniej szybie, bo właśnie wskoczyli na potężną falę, a zaraz potem pogrążyli się na łeb na szyję w następnej w bezlitosnym zderzeniu — niedługo się dowiemy. Czy to, że wyjeżdżamy już z Bejrutu, poprawiło ci trochę humor?

— To było aż tak widoczne?

Kemal uśmiechnął się szeroko, pokiwał do niego ręką i wrzasnął mu do ucha: — U ciebie co w sercu, to na twarzy, a chodzisz z nosem spuszczonym na kwintę. — Złapał Jacka za ramię i mocno ścisnął. — Przestań się zamartwiać. Pracują nad tym wszyscy będący w dyspozycji agenci Mossadu. Wyciągną ją z tego — jeśli my tego nie zrobimy. Zobaczysz.

Jack kiwnął potakująco głową i poszedł do steru, gdzie za kołem siedział Yossi zachwycony działaniem automatycznego pilota, który sam obracał rudlem, utrzymując kurs z tolerancją pięciu stopni magnetycznych. Klepnął Yossiego w plecy, sprawdził instrumenty i spojrzał na zegarek. Zostało osiem minut do spotkania...



Za nimi z trudem można było już dostrzec płonący statek i łunę na zasnutym chmurami niebie, chociaż poblask świateł nad Bejrutem i miastami Jounieh, dwanaście mil na północ, i Damour, niewiele dalej na południe, był wyraźnie widoczny.

ABU MUSA
Wyspa w Zatoce Perskiej
Środa, 2 sierpnia, 8.45

Jack był niespokojny. Wyczuwał w powietrzu złe prądy. Coś przeoczono, a on nie wiedział co. Kiedyś, jeszcze przed tą misją, miał już takie odczucia — był wtedy w czynnej służbie w Marynarce USA — i mimo że wszystkie jego pieczołowicie opracowane plany spełzły na niczym, udało mu się jednak wydostać tego fizyka jądrowego. Przez trzy dni byli o krok przed oddziałami sowieckiego wojska, które ścigały ich po górach, dopóki nie przedostali się do Pakistanu, gdzie oczekiwał na nich samolot wywiadu Marynarki. Ale to było przed wielu laty. A on był młodszy. I w lepszej kondycji. W tamtych czasach, ilekroć miał urlop, jeśli akurat nie żeglował swoją łódką i nie wspinał się na maszty, to zawsze był gdzieś, gdzie mógł wspinać się po górach. Miał nadzieję, że jeszcze potrafiłby się z tym uporać.

Teraz stał na skraju pola naftowego, nieobecnym wzrokiem patrząc na zachód słońca, podczas gdy jego umysł metodycznie analizował wydarzenia ostatnich trzydziestu dziewięciu godzin. Har Emet prześledziło trasę jugosłowiańskiego helikoptera z Bejrutu na prywatne lądowisko w Kyrenii na Cyprze. Potem Mossad powiadomił, że Fahad, Abdul, Ortman i pięciu pozostałych odlecieli

w godzinę potem na pokładzie dwudziestoletniego odrzutowca Lear noszącego oznaczenia sił obrony powietrznej szejka Fahada ibn-Nasira.

Siły obrony powietrznej Fahada, podobnie jak jego marynarka wojenna złożona z trzech trampowych frachtowców i jednej łodzi patrolowej, były mizerne. Składały się z przestarzałego, dwunastomiejscowego odrzutowca pasażerskiego Lear i czterech małych helikopterów.

O 5.45, trzydzieści dziewięć godzin wcześniej, odrzutowiec Fahada wylądował w oazie Burayami, na wschodnich krańcach Abu Dhabi, niedaleko granicy z Omanem. W parę minut później ośmiu ludzi ponownie wystartowało, tym razem dwoma lekkimi helikopterami, które Har Emet śledziło przez pięćdziesiąt mil powietrznych, do Dżabal Aswad, twierdzy Fahada na szczycie niedostępnej, jałowej góry w zachodniej części łańcucha Hadżar.

Podczas narady strategicznej w Har Emet, po tym jak pośpiesznie wrócili, dowiedziawszy się, dokąd został zabrany POTH, Ortman i jego pięciu kolegów, wypadki potoczyły się szybko. Tuzin wysokiej rangi oficerów sztabowych z wywiadu wojskowego, Shin Bet, dwóch przedstawicieli premiera, kilku geologów i trzech ekspertów od Zjednoczonych Emiratów Arabskich z Uniwersytetu Hebrajskiego, dokooptowanych do generała Pinchasa, pułkownika Shapiro, Chaima Merona, Jacka, Kemala i Yossiego, udzielało odpowiedzi na temat wszystkich znanych faktów, niebezpieczeństw i przeszkód, jakie mogli napotkać po drodze.

Podczas krótkiej przerwy, w oczekiwaniu na mające nadejść dodatkowe dane wywiadu, Jack, Yossi, Kemal, pułkownik Simcha Shapiro i porucznik Avi Cohen, który miał lecieć z nimi jako pilot, przeszli badania lekarskie i dostali nienaganne świadectwa zdrowia.

Kiedy podjęto na nowo naradę, sytuacja została poddana drobiazgowej analizie. Przejrzeli szczegółowe mapy i fotografie fortecy Fahada i nieurodzajnego górzystego



terenu oraz przedyskutowali problemy zaopatrzenia i kilka rozmaitych planów dostania się do środka i odbicia POTH-a i ludzi. Zgodzili się w końcu, że najprostszy plan jest najlepszy ze wszystkich. Był to plan Jacka Lunda.

W pierwszym rzędzie potrzebowali bazy. Jack zasięgnął opinii Merrilla Deana i poinformował go o sytuacji, ten zaś skontaktował się ze swoimi partnerami w interesach i przyjaciółmi, którzy zawarli umowy, umożliwiające im wykorzystanie w charakterze tymczasowej bazy jednej z kilku dzierżawionych przez prywatne osoby stacji pomp i punktów obsługi technicznej na polach naftowych Zatoki Perskiej. Pole naftowe znajdowało się na wyspie Abu Musa, pięćdziesiąt mil od wybrzeży Iranu i mniej więcej w tej samej odległości od ZEA, Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Roszczenia do wyspy wysuwał zarówno Iran jak i Sharja, jeden z emiratów, i chociaż spór nie został rozstrzygnięty, otrzymają zezwolenie na lądowanie i start i nie będą nagabywani, ponieważ dowódcom miejscowych sił zbrojnych obu państw wręczono hojne łapówki.

Zdecydowano, że polecą helikopterem z Abu Musa w poprzek Zatoki Perskiej i ponad pustynią stanowiącą obszar emiratu Sharja do fortecy Fahada w zachodniej części łańcucha gór Hadżar.

Następnie wylądują na skalnej półce, dwa tysiące yardów poniżej szczytu, zostawią tam pilota i dalej będą się wspinać północną ścianą góry, od strony niewidocznej z fortecy.

Kiedy już znajdą się na szczycie, spuszczą się na linach do fortecy i unieszkodliwią strażników Fahada. Mieli opracowanych kilka sposobów wykonania tego po cichu i bez rozlewu krwi. Potem pouszkadzają radia i helikoptery Fahada, odnajdą POTH, wezwą własny helikopter i odlecą z Ortmanem i jego pięciu kolegami z powrotem na wyspę Abu Musa.

Wreszcie, na Abu Musa wsiądą na pokład oczekującego na nich odrzutowca i wrócą do Izraela okrężną drogą, żeby

wrogo nastawieni Arabowie nie mogli ich wykryć i przechwycić. W chwili, gdy już będą w bezpiecznej odległości, użyty przez nich helikopter uda się na Morze Arabskie i wyląduje na pokładzie oczekującego tam izraelskiego statku. Następnie zostanie odtransportowany z powrotem do Izraela przez Morze Czerwone i zatokę Akaba.

Gdy zgodzono się na ten plan, powstało pytanie o szanse powodzenia misji, i postanowiono głosować. Jednogłośnie stwierdzono, że plan jest wykonalny. Zgodzono się również, że trzeba podjąć ryzyko bez względu na konsekwencje, ponieważ stawka jest wysoka, i że mały pięcioosobowy oddział wyposażony w jeden helikopter ma największe szanse powodzenia. Większe siły byłyby skazane na klęskę, bowiem prawdopodobnie zostałyby wykryte, zanim zdołałyby się przedostać do twierdzy.

Faktem było — i wszyscy to wiedzieli — że cytadela Fahada na szczycie Dżabal Aswad, „Czarnej Góry", była na pozór równie niezdobyta, jak odległa. Była to nieurodzajna, jałowa kraina strzelistych skał pozbawionych roślinności i drzew. Kiedyś była jedną z obleganych twierdz Sulejmana Wspaniałego, który w roku 1890 skutecznie powstrzymywał tu regularną armię brytyjską przez dziesięć miesięcy, dopóki się nie poddał z powodu braku żywności. Jedyną drogą prowadzącą na górę był kręty, urwisty szlak, który niekiedy przebiegał skrajem stromych ścian skalnych przez głębokie na dwie mile wąwozy. Nawet dla jeepa jazda mogłaby się okazać zdradliwa i nieznośnie powolna z powodu licznych kamiennych lawin i srogich wiatrów *sharqi*, które nieustannie hulały wśród grani i przełęczy.

Ponadto wcale niełatwo będzie się tam dostać helikopterem. Będą musieli dokładnie wyliczyć moment swojego przybycia na kilka minut przed nastaniem dnia, dokładnie na przedświt, kiedy było ledwie na tyle światła, żeby coś zobaczyć. I będą musieli nadlecieć i wylądować na wąskiej skalistej półce na ścianie o milę poniżej cytadeli jeszcze przed wschodem słońca, w taki sposób, by niewielkie siły



obronne Fahada nie zauważyły ich ani nie usłyszały. W innym wypadku rozpętałyby się wszystkie piekła i nigdy nie zdołaliby ujść z pasma gór Hadżar z życiem.

Jack podszedł do zmodernizowanego helikoptera Westland Mk3 Commando, który stał pod dachem szopy narzędziowej jak gigantyczny brązowy chrabąszcz, i zaczerpnął dłonią garść piasku. Potem zaczął pocierać nim namalowany znak rozpoznawczy i napisy na burcie.

W rudawym świetle zachodzącego słońca znak firmowy w kształcie bułata i słowa Jambiya Petroleum Drilling Company Ltd wyglądały zbyt świeżo, żeby mogły być prawdziwe. Mogłyby nie oszukać podejrzliwego arabskiego celnika albo urzędnika na granicy, gdyby przyszło im przymusowo lądować w jednym ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich i gdyby poddano ich szczegółowym oględzinom.

Jack nie przejmował się fałszywymi paszportami i podrobionymi listami uwierzytelniającymi — były jak prawdziwe. I nie przejmował się także bronią, rakietami, brezentowymi workami, nadajnikami radiowymi, kanistrami i plecakami wypełnionymi instrumentami elektronicznymi i ekwipunkiem, które były poupychane w skrytkach pod podłogą helikoptera i w głowicy wirnika. Martwił się jedynie o to, co może stać się z Yossim Traubem, pułkownikiem Simchą Shapiro i ich pilotem, Avi Cohenem, jeśli zostaną schwytani i wyjdzie na jaw ich prawdziwa tożsamość. Ci trzej mężczyźni byli Żydami. A Żydzi byli personae non gratae w krajach arabskich.

Żydowscy businessmeni, bankierzy, załogi linii lotniczych, robotnicy i turyści nie byli wpuszczani do Emiratów ani do żadnego innego kraju arabskiego na Bliskim Wschodzie. Palestyńscy Arabowie, tak samo jak Żydzi, również nie byli tam wpuszczani. Gdy w tej części świata schwytano żydowskich szpiegów, to mogli powiedzieć, że opuściło ich szczęście: Arabowie ucinali im głowy.

Z drugiej strony, sami Izraelczycy też nie mogli liczyć na więcej szczęścia: spotykał ich jeszcze gorszy los.

Gdy ścierał piaskiem napisy i znak rozpoznawczy w kształcie miecza na drugiej stronie kadłuba, Kemal, Yossi i pułkownik Shapiro opuścili swoje schronienie w płóciennych przybudówkach i podeszli.

— Dobry pomysł — odezwał się pułkownik. — Nigdy dość ostrożności.

W tym momencie Avi Cohen wychylił się z helikoptera i skinął na Jacka. — Jest rozmowa do ciebie na tajnej linii.

To był Merrill Dean. Jak zwykle, zaczął mówić nie bawiąc się w uprzejmości. Jeszcze jeden dolec zaoszczędzony na poczet nowego Rollsa w przyszłym roku.

„Jesteś zwarty i gotowy do wyruszenia?"

„Wszystko gra" — odpowiedział Jack. — „Będziemy tam jutro przed brzaskiem."

„Rozmawiałem z szefem sztabu Mossadu. Powiedział, że moja córka nadal jest z Rostovem. Jego agenci wytropili ich w Bahrajnie. I nie uwierzysz, ale zatrzymali się w Hilton International w Manamie. Przynajmniej traktuje ją przyzwoicie, mimo że jest jego więźniem. Nie rozumiem tego, Jack. Dlaczego jej nie wypuścił? Wie, że wszyscy dowiedzieliśmy się już, w co jest zamieszany. Wypuszczenie jej nie wiązałoby się dla niego z żadnym ryzykiem. Na Bliskim Wschodzie nie ma ustawy Lindbergha przeciw kidnaperom."

„Ona jest jego gwarancją bezpieczeństwa" — powiedział Jack. — „W wypadku jeśli wyprzedzimy ich w wyścigu po POTH — *a tak będzie* — Boris Voros i Rostov prawdopodobnie planują użyć jej jako waluty przetargowej."

„A to skurwysyny! Nie mam na nich jeszcze żadnego haka, ale kiedy będę miał, ty pierwszy się o tym dowiesz. A wtedy poszczuję cię na nich." — Zapadła długa cisza, a potem głos Merrilla nieco zmiękł. — „Martwię się, Jack. Zita jest moją jedyną córką. Pewnie, nasze stosunki nie były znów tak świetne, ale zawsze to moja krew."

„Wiem, Merrill. Obaj chcemy, żeby wróciła, i choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię, wydostanę ją z tego,



chyba że Mossad zrobi to wcześniej ode mnie. Co jeszcze miał do powiedzenia szef sztabu Mossadu?"

„Jego agentom udało się skontaktować z Zitą. Przekupili kelnera i wnieśli dziś rano tacę do jej pokoju. Wszystko z nią w porządku. Mówi, że cię kocha, i prosi, żebyś jej wybaczył i nie martwił się o nią. Cholera! Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedziała moja córka. W całym swoim życiu nigdy nie błagała nikogo o wybaczenie. Albo naprawdę cię kocha, albo jest śmiertelnie przerażona. No, a ponieważ wiem, że Zita w całym swoim życiu nigdy nie bała się śmiertelnie nikogo ani niczego, więc myślę, że naprawdę cię... Co tam, robię się ckliwy... nie było rozmowy...

Rostov trzyma ją zamkniętą w pokoju i ma straży przed drzwiami dniem i nocą czterech swoich ludzi. Mossad nie decyduje się podjąć próby odbicia jej, ponieważ nie ma sposobu wydostania jej z kraju. Wszystkie porty lotnicze są pod ścisłym nadzorem, a otrzymanie wizy wjazdowej lub wyjazdowej z Bahrajnu w urzędzie celnym zajmuje zwykle ponad godzinę. Sama zaś nie ma szansy zwiać na własną rękę, ponieważ samotne kobiety w tym kraju — a szczególnie z wyglądem Zity — nie mają prawa jeździć taksówkami ani autobusami, chodzić po ulicach bez zasłony ani latać za granicę samolotem. Nie może też wyjechać, prowadząc sama samochód, ponieważ do Arabii Saudyjskiej jest pięćdziesiąt mil drogi lądem, a dziewczyna z jej buzią i figurą, przy tych wszystkich zaplutych szejkach z ich prywatnymi haremami i... — Merrill urwał nagle, odchrząknął i zakaszlał.

Nic, nie martw się o moją córkę. Pamiętaj, ona jest z Deanów, nigdy o tym nie zapominaj. A teraz wróćmy do Rostova. Wiemy, że odkrył, iż szejk Fahad jest w posiadaniu POTH-a, bo próbował skontaktować się z nim telefonicznie. Ha! Małe szanse.

Dzisiaj rano Fahad znów złożył oświadczenie dla prasy arabskiej. Przemianował swoją fortecę w górach Hadżar na

Górę Silikonową, czym wyraźnie daje nam do zrozumienia, co ma na myśli. Ogłosił, że już tam jest, i gdy tylko produkcja ruszy pełną parą, zacznie sprzedawać wszystkim swoim arabskim pobratymcom najnowsze elektroniczne uzbrojenie, systemy naprowadzania rakiet i systemy przeciwlotnicze."

„Domyślaliśmy się, że to właśnie planował" — powiedział Jack. — „Dlatego potrzebuje bezpiecznego schronienia na szczycie góry. Obawia się, że jego arabscy kuzyni spróbują wykraść mu POTH-a... albo zaproponują więcej pieniędzy od niego naszemu kochanemu doktorowi Ortmanowi i jego pięciu asystentom i nakłonią ich do pracy dla nich."

„Myślę, że masz rację. Ortman posprzedawałby własne dzieci, jeśli cena byłaby odpowiednio wysoka, to znaczy — gdyby miał dzieci. A teraz słuchaj dobrze, bo to ważne. Uznałem, że potrzebny wam będzie jeszcze jeden człowiek do odzyskania POTH-a, i powinien tam być lada chwila, więc nie denerwuj się, kiedy zobaczysz, że ląduje helikopter Obrony Powietrznej Sharjani. Ta mała wycieczka kosztuje mnie tyle co pięć dużych.

Ten człowiek, którego do was wysyłam, jest ze mną od dobrych paru lat i odwalił dla mnie kawał niezłej roboty; a raz czy dwa razy nawet uratował twój własny tyłek, mimo że nigdy się o tym nie dowiedziałeś. Jest, jak by tu powiedzieć, prywatnym agentem. Można by rzec, że trzymałem go w pobliżu w charakterze czegoś w rodzaju goryla, który miał cię na oku. W końcu jesteś moim SDO i należysz do najcenniejszych aktywów Kompanii MWD. Nie mówiąc już o tym, że jesteś naszym najlepiej opłacanym pracownikiem."

„To nie jest ktoś z agentów bezpieczeństwa twojej G-VI?"

„Nie, Jack."

Jack uśmiechnął się szeroko. — „Jak się nazywa?"

„Styx."



„Po prostu Styx?"

„Tak, po prostu Styx. To taki wielki facet z gębą ponurą jak noc listopadowa, sześć stóp i sześć cali wzrostu, siła dziesięciu mężczyzn, ekspert od wszelkiej broni, a zwłaszcza noża. Trzyma cały czas gębę na kłódkę, odzywa się tylko wtedy, kiedy musi, i ma w oczach coś takiego, że nawet ty się poczujesz nieswojo. Zna się na amunicji, potrafi prowadzić każdy czołg, ma licencję na pilotowanie wszystkich wielosilnikowych samolotów, także odrzutowców, a na dodatek jest doświadczonym pilotem helikopterowym. Jedyną rzeczą, której nie robi dobrze, jest żeglowanie łodzią. Nawet kajakiem. Dostaje morskiej choroby."

„Czy on może był ostatnio w Amsterdamie?" — spytał Jack z jeszcze szerszym uśmiechem.

„Ojej, jak na to wpadłeś, *był* tam równocześnie z tobą."

Jack roześmiał się. Im więcej słyszał na temat Styxa, tym bardziej go lubił. — „Mam nadzieję, że zna się trochę na górskiej wspinaczce."

Merrill zaśmiał się. — „Zgadłeś, już to robił. Dziesięć lat temu sporo czasu spędził dowodząc oddziałkiem omańskich rewolucjonistów w górach Hadżar. Zorganizował również kilka pokazów ogni sztucznych dla rebeliantów w Jemenie, ale nie mam zielonego pojęcia, po której był wtedy stronie."

„Chcesz przez to powiedzieć, że jest zawodowym *najemnikiem?*"

„Jest najlepszym cholernym najemnym żołnierzem, jaki istnieje i jaki kiedykolwiek istniał. Kiedy miał szesnaście lat, był już ex-rodezyjskim starszym sierżantem... kiedy miał siedemnaście, udaremnił zamach na życie... aaa, mam drugą rozmowę na linii."

Łączność na tej częstotliwości ustała.

Jack wynurzył się z szopy, i w tej samej chwili czteromiejscowy helikopter Obrony Powietrznej Sharjani spikował w dół, zawisł na wysokości metra nad ziemią,

pozwalając wyskoczyć mężczyźnie z wielkim zielonym marynarskim workiem, po czym pochylił się na bok i odleciał z rykiem szeroko otwartych przepustnic w nadciągającą rozgwieżdżoną noc.

Był to Styx.

I wydawał się jeszcze większy, nikczemniejszy i straszliwszy, niż go opisał Merrill.

# 15

ZACHODNIE GÓRY HADŻAR
Wtorek, 3 sierpnia
5.43

Ostatni odcinek podejścia pod wiatr do fortecy Fahada w mrokach przedświtu, z wykorzystaniem jedynie śledzącego powierzchnię ziemi radaru i noktowizorów na podczerwień, był przerażający. Jack, Yossi, Kemal i pułkownik Shapiro siedzieli w helikopterze z szalonym biciem serca, płytko oddychając, zaciskając pięści i pocąc się. Wszyscy wiedzieli, że w każdej chwili mogą zostać porwani przez nagły prąd termiczny i ciśnięci o ścianę urwiska; albo gdyby zboczyli zbytnio w kierunku ściany wąwozu i płaty wirnika uderzyłyby o jego kamienistą powierzchnię, runęliby milę prosto w dół, na pewną śmierć; albo gdyby system naprowadzania wprowadził ich w błąd, lub gdyby zawiódł jeden z przekaźników sensorowych, skończyliby w jednej chwili w postaci szczątków rozsypanych po całych górach.

Ale nie pozwalali sobie na rozpamiętywanie takich ewentualności.

Pesymizm był bezproduktywny. Mogły zawieść ich nerwy. A do *tego* nie mogli dopuścić, bowiem trzeba było chłodnych umysłów i nerwów jak postronki, jeśli mieli dokonać w tym dniu tego, po co tu przybyli.

W czasie gdy Avi Cohen pilotował ich coraz to bliżej punktu docelowego, manewrując wokół urwisk i szczytów, które mogli zobaczyć jedynie przy pomocy instrumentów pokładowych — a także podczas przelotu pomiędzy strzelistymi górskimi ścianami z obu stron i na wprost nic — Styx, siedzący na miejscu drugiego pilota, po lewej stronie

Aviego, z napiętą uwagą obserwował teren przez noktowizor.

Dokładnie za ich plecami Jack, Yossi, Kemal i Simcha Shapiro siedzieli wpatrzeni w kursor celownika na ekranie radaru nawigacyjnego, znajdującego się przed nimi na panelu z przyrządami. Wytyczał ich drogę przez labirynt krętych górskich przełęczy i wąskich parowów, jak to czyni środek siatki celowniczej w grach komputerowych.

Ponieważ powodzenie ich misji zależało od zachowania absolutnej tajemnicy i od czynnika zaskoczenia, nie odważyli się lecieć ponad górami; zamiast tego musieli zbliżyć się do fortecy Fahada krętą drogą poprzez wąwozy i kaniony, tak aby ich silniki turbinowe o mocy 2500 koni mechanicznych i łopot płatów wirnika wyposażonej w system Stealth maszyny nie zostały usłyszane przez ludzi pilnujących cytadeli.

Nieustanny skowyt stale wiejących w górach wichrów zagłuszał wszystkie inne dźwięki, które dochodziły z wiatrem na zawietrzną. Modlili się, żeby to wystarczyło, by wartownicy Fahada na murach cytadeli nie usłyszeli, jak nadlatują. Od tego zależało ich życie, bo gdyby zostali wykryci podczas podchodzenia do lądowania, musieliby zrezygnować z akcji i próbować się wymknąć, zanim zostaliby zestrzeleni ogniem zaporowym rakiet mini-Sam, pocisków ziemia-powietrze, które szejk Fahad ibn-Nasir — jak dowiedział się Mossad — sprzedawał od czasu do czasu Syrii i innym krajom arabskim.

Kiedy okrążali przepaść podczas końcowej fazy podchodzenia do Dżabal Aswad, Styx pochylił się do przodu, spojrzał przez noktowizor i pokazał coś w dole na wprost nich. Był to punkt orientacyjny, którego szukali z rosnącym niepokojem: poszczerbiony, rozparty, wysoki na cztery tysiące stóp szczyt, którego nie mogli ominąć i musieli przelecieć ponad nim. Wiedzieli, że podczas przelotu nad nim napotkają gwałtowne prądy powietrzne i silną turbulencję i że będą musieli wspiąć się na 5500 stóp,



by uniknąć najgorszego w postaci niewidocznych wirów powietrznych, które mogłyby cisnąć ich w dół, pozbawiając kontroli nad maszyną.

Gdy Avi pchnął dźwignię skoku śmigieł i przekręcił zgodnie z ruchem zegara podobny do manetki motocyklowej zawór przepustnicy, żeby zwiększyć obroty maszyn, można było zobaczyć na radarze śledzenia terenu górski szczyt sterczący jak najeżone nożami łoże hinduskiego fakira, które tylko czekało, żeby się na nie nadziali. Kiedy zaczęli nad nim przelatywać, potężne porywy wiatru szamotały maszyną, a w kadłubie powstały silne wibracje, które potrząsały i ciskały nimi, jakby mityczni bogowie wiatrów wymierzali im kopniaki.

Podczas gdy wszyscy, nie wyłączając Aviego, prawie gryźli paznokcie podczas przelotu przez wiry powietrzne, Styx spokojnie patrzył na skaczący wskaźnik manometru i stuknął w niego palcem. Wskaźnik był na czerwonym polu oznaczającym niebezpieczeństwo. Avi przyjął to dane mu przez Styxa bez słów ostrzeżenie skinieniem głowy i zaczął poprawiać stery.

W końcu, gdy wydostali się z wirów na wolną przestrzeń, a Avi przymknął przepustnice, wibracja ustała i wszyscy odetchnęli z ulgą. Wreszcie znów lecieli gładko i bez kołysania w kierunku celu, który według wskazań radionamiernika pozycji i radaru śledzenia terenu znajdował się o milę przed nimi i o pół mili w dole.

Avi rozglądnął się dookoła i pokazał w kierunku nieba, na co wszyscy spojrzeli przez szklaną kopułę i ujrzeli po raz pierwszy górską fortecę szejka, która rysowała się teraz na tle powoli jaśniejącego nieba. Gdy zobaczyli jej strzeliste mury i zamkowe blanki, pokręcili głowami i spojrzeli po sobie ze zmarszczonymi czołami. Z tej strony wyglądała jeszcze bardziej niedostępnie i straszliwie, niż sobie wyobrażali.

Co gorsze, gdy spojrzeli w dół na skalny występ o milę poniżej fortecy — choć był on jeszcze spowity w cienie

i trudno widoczny gołym okiem w pierwszym bladym świetle poranka — wydał im się zbyt mały, by na nim lądować.

Teraz miał się zacząć najbardziej szarpiący nerwy odcinek lotu. Nie odważyli się na podejście i lądowanie na włączonych silnikach, ponieważ ich dźwięk mógł zostać poniesiony wiatrem w górę i usłyszany przez załogę fortecy.

W normalnych warunkach, w suchym górskim powietrzu, przejście z lotu na silniku do autorotacji z napędem wyłączonym w celu bezgłośnego podejścia albo przymusowego lądowania nie wiązało się ze zbytnim ryzykiem. Ale to nie była sytuacja normalna. Ryzykowali, że dostaną się w nagły prąd powietrza tworzącego komin termiczny nad wyschniętym korytem rzeki daleko poniżej skalnej ściany urwiska. A to oznaczało, że Avi może nie być w stanie wspiąć się gładko z dziury powietrznej na prąd wznoszący. Nie byłby także w stanie kontrolować równocześnie skoku śmigła i utrzymać przy wyłączonych silnikach wystarczających obrotów wirnika. A to było niezbędne dla utrzymania stabilności lotu i bezpiecznej szybkości opadania w trakcie ślizgu pod ostrym kątem, koniecznego do wylądowania na skalnym występie.

W pewnej chwili mogli już tylko zrobić to albo zginąć. Lub nie zrobić tego i zginąć. Dotarli do punktu, z którego nie było odwrotu. Zacisnęli zęby, gdy Avi wyłączył silniki. Wszyscy wstrzymali oddech, patrząc, jak ściana skalna wyrasta przed nimi i rośnie w oczach, podczas gdy ślizgali się w kontrolowanym spadaniu w jej kierunku. Styx, patrząc przez soczewki, nie poruszył się i nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaniepokojony, kiedy Avi położył maszynę w skręt pod ostrym kątem do skalnego występu. Wydawało się, że pędzą kursem na zderzenie z górą i przypadają do bocznej ściany wąskiego występu, który teraz robił wrażenie na tyle małego, że ledwie można by na nim stanąć, ale na pewno nie lądować. Gdy zaczęli zniżać



się ku niemu coraz szybciej, z wyłączonymi silnikami i wirnikiem łopoczącym jak cepy, Avi znów wyostrzył kąt ślizgu, i wszystkich aż skręcało na siedzeniach, gdy patrzyli, jak pędzą na zderzenie z górą.

Dokładnie w chwili, gdy wszyscy poczuli, że niechybnie się roztrzaskają, Avi wyrównał, lekko przechylił wirnik na prawo i delikatnie posadził helikopter na płozach.

Kiedy zobaczyli, że wirnik obraca się coraz wolniej, a oni stoją zaledwie o kilka stóp od górskiej ściany i w takiej samej odległości od krawędzi występu, wszyscy odetchnęli z ulgą i głośno pogratulowali Aviemu.

Styx zerwał się z siedzenia i otwierał drzwiczki, zanim pozostali zaczęli odpinać pasy. Zeskoczył w dół, podbiegł do krawędzi i spojrzał przez noktowizor.

Występ skalny, na którym się znajdowali, był niewiele szerszy od kortu tenisowego. Mimo że wystawał ze ściany na około czterdzieści stóp, szczyt góry o milę ponad ich głowami pozostawał niewidoczny.

Gdy Jack i Yossi rozglądali się po swojej tymczasowej bazie i odeszli kawałek od pozostałych, Yossi trącił Jacka łokciem i powiedział ściszonym głosem: — Widziałeś wyraz twarzy Styxa, kiedy Avi wyłączył silniki? Był rozradowany. Wyglądał w przeszklonej kabinie jak szczerząca zęby czaszka, która flirtuje ze śmiercią.

Gdy słońce zaczęło wschodzić i czarny jak chiński tusz mrok w dole zmienił się w zamglony fiolet, a potem przeszedł w szarość i stopniowo robiło się widno, spojrzeli ponad krawędzią występu, zobaczyli o ponad milę pod sobą wyschnięte koryto rzeki i mocno wciągnęli powietrze. Kiedy popatrzyli w górę i ujrzeli niemal pionowy spad, po którym musieli się wspiąć, żeby dostać się na szczyt, znowu mocno zaczerpnęli powietrza i wymienili spojrzenia z niepewnym uśmiechem.

Z tego punktu obserwacyjnego forteca na szczycie góry wydała im się całkowicie nieosiągalna. Góra była tak stroma, że robiła wrażenie niemal pionowej. Wydawało się,

że czeka ich nie jedna mila pod górę, ale dziesięć. Styx był jedynym wśród nich, który nie robił wrażenia w najmniejszym stopniu przejętego jej widokiem ani perspektywą wyczerpującej wspinaczki, która ich czekała. Wszedł do helikoptera i wrócił z brezentowymi torbami z nadajnikami radiowymi. Podczas gdy Avi zaczął wynosić inne torby z zapasami, bronią, amunicją i plecakami, Styx pokazał im, że powinni umieścić nadajniki w lewej kieszeni na piersi, po czym rozdał im je. Potem dał im czarne włóczkowe kominiarki i pokazał, jak należy je nosić. Podwinięte brzegi w pewnej mierze mogły stanowić ochronę przed spadającymi kamieniami. Ciepła tkanina chronić ich miała także przed wiatrem. Chociaż nie było zimno, należało liczyć się z przenikliwymi podmuchami, kiedy znajdą się na nie osłoniętej górskiej ścianie.

Gdy Avi, Yossi, Jack, pułkownik i Kemal poukładali już amunicję w plecakach i pozakładali je na plecy, pomogli sobie nawzajem podopinać szelki i przytroczyć pistolety maszynowe Uzi. Oprócz pistoletu maszynowego Styx przywiązał do plecaka również kuszę.

Kiedy już byli gotowi, Styx sprawdził każdy plecak, coś jeszcze popoprawiał, a następnie wywalił zawartość dwóch ostatnich worów na skalistą półkę i zaczął układać zwoje lin, czekany, karabinki i cztery rodzaje klamer, których mogli potrzebować. Nosili przy tym plecaki, żeby upewnić się, że są wygodnie ułożone i właściwie przytroczone.

Kiedy zaczęli zbierać haki i upychać je do kieszeni lekkich wiatrówek, Styx, jak prawdziwy sierżant, którym kiedyś był, przyglądał się im krytycznym okiem. Zauważył, w jaki sposób pułkownik wsadza haki do kieszeni, i powiedział: — Pan nigdy przedtem nie wspinał się po górach, prawda?

— Ależ nie, wspinałem się — odrzekł pułkownik. — Wspinałem się na Synaju, a także na wzgórzach Golan. Używaliśmy tam własnych rąk i nóg, i tylko czasami liny. Nie mieliśmy takich narzędzi jak te.



Styx podniósł mały hak z pierścieniem i zapytał: — Jak to się nazywa?

Pułkownik zmarszczył się. — Hak, oczywiście.

Styx spojrzał na Jacka. — Powiedz mu, co to jest.

— To hak *rozporowy*, specjalnie uformowany do wbijania w płytkie pionowe lub poziome szczeliny.

Styx podniósł inny hak z nierdzewnej stali. Wyglądał jak płaski pazur z wykutym na końcu pierścieniem. Poprosił pułkownika: — Niech pan poda jego nazwę.

Pułkownik wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, jak to się nazywa.

Styx podsunął go Yossiemu. — Powiedz mu.

— To *pionowy*, do użytku w gładkich pionowych szczelinach.

— A ten? — spytał Styx pułkownika. Podniósł do góry nieco dłuższy hak, który wyglądał jak trójkątna klinga noża z pierścieniem przewleczonym przez ucho na jednym z końców.

— Nie mam pojęcia.

— Powiedz mu — rzekł Styx do Kemala.

— To *trójkąt* — powiedział Kemal. — Używa się go w szerokich poziomych szczelinach i w szerokich pionowych szczelinach.

Trzej Izraelczycy byli w szkółce alpinistycznej. Pułkownik najwidoczniej nie. Co do Jacka, Styx mógł przekonać się, że jest doświadczonym alpinistą i wie, co robi.

Styx odwrócił się plecami do pułkownika i skinął na Kemala i Yossiego. — Wy dwaj będziecie w drugiej grupie. Jack i ja poprowadzimy.

— A co ze mną? — spytał pułkownik. Był zmieszany i widać to było po nim. Był spakowany i całkiem gotowy do drogi. Styx odpowiedział, nie odwracając głowy w jego stronę: — Pułkownik zostanie tutaj z Avim. Avi będzie potrzebował pomocy przy zakładaniu siatki maskującej na helikopter i dodatkowej pary oczu, kiedy zawiadomimy go przez radio, że ma lecieć po nas na górę. Wystartowanie

helikopterem przy tym wietrze bez możliwości zawiśnięcia najpierw nad tym skalnym występem będzie skomplikowane.

— Kiedy znajdziecie się na górze, będziecie potrzebowali całej dostępnej siły ognia — powiedział pułkownik. Czuł się obrażony, że ten olbrzym, który zeszłej nocy spadł z nieba w Abu Musa, rozkazuje mu, co ma robić.

Styx odwrócił się i spojrzał na niego z góry. — Wiem — powiedział. — Dlatego pan tu zostanie. Dwuosobowe zespoły poruszają się o wiele szybciej. Gdybyśmy musieli zatrzymywać się i uczyć pana, opóźniłoby nas to.

Gdy już Jack i Styx przywiązali się do siebie bulinami sterczącymi ze zwojów lin, upewnili się, że broń przytroczona do lekkich plecaków jest bezpieczna i że pętlice czekanu i zwoje lin są właściwie przymocowane do pasów, Jack ustawił się pod kątem prostym na krawędzi skalnej półki. Styx ruszył i zaczął się wspinać, zatrzymał się, żeby oczyścić szczelinę z luźnych kamieni, wbił w nią hak, zatrzasnął klamrę w pierścieniu i sprawdził hak, szarpiąc liną w obie strony, a potem w dół i w górę, i bacznie mu się przyglądając. Uznawszy, że jest dobrze osadzony, sięgnął ręką w górę, znalazł dla niej oparcie, upewnił się, że ma mocny grunt pod stopami, i ruszył w górę po niemal pionowym zboczu. Gdy znalazł się w pozycji, wbił w szczelinę następny hak, zamocował na nim klamrę i sprawdził go. Wówczas zawiesił się na skalnym występie, sprawdził, czy lina nie ociera się o żadną ostrą krawędź skały, i zawołał do Jacka: — Sprawdź asekurację.

— Sprawdzam — powiedział Jack, uwieszając się stopniowo całym ciężarem ciała na linie.

— Właź — zawołał Styx, trzymając linę.

— Idę w górę — odpowiedział Jack, zaczynając wspinaczkę. Kiedy dotarł do pierwszej pozycji, dał znak Yossiemu i Kemalowi, którzy przyglądali się im z chciwą ciekawością.

Kemal, idąc jako prowadzący, ruszył i zaczął się wspinać, podczas gdy Yossi rozwijał łączącą ich linę asekuracyjną.

Kiedy byli około trzydziestu metrów nad skalną półką, na czterdziestopięciostopniowej pochyłości, Styx zawołał do nich: — Od tej pory będziemy musieli posługiwać się radiem dla utrzymania łączności. Kiedy wyjdziemy na odkrytą ścianę, wiatr będzie niósł nasze głosy.

Kiedy włączyli nadajniki w kieszeniach na piersi swoich lekkich wielokieszeniowych kurtek i przypięli mikrofony do nylonowych pasków w klapach, Styx wyspinał się na otwartą ścianę, wbił hak w długą pionową szczelinę, umocował do niego klamrę i sprawdził go.

Kiedy przelazł przez skalną ścianę, stał kilka chwil wyprostowany, zwisając na zewnątrz podtrzymywany liną przewleczoną przez pierścień haka, i powiedział do mikrofonu: — Silne podmuchy. Uważajcie na siebie.

Pozostali spojrzeli w górę i zobaczyli, że wiatr smaga jego kurtkę i nogawki spodni. Nikt z nich nie ośmielił się spojrzeć w dół, ponieważ byli teraz na prostopadłej ścianie urwistego zbocza górskiego. Spadek pionowy do wyschniętego koryta rzeki wynosił teraz około mili prosto w dół i jego widok mógł ściąć krew w żyłach.

O ósmej, dwie godziny później, pokonali już jedną czwartą drogi pod górę, wspinając się mozolnie po prawie pionowej pochyłości. Przeszkodą w posuwaniu się do przodu były silne wiatry, które nieustannie świstały, nadlatując z wąwozu daleko w dole. Coraz więcej czasu zabierało im znalezienie szczelin i pęknięć, do których można było wbić haki. Wielokrotnie trzeba było ponownie wbijać haki w innym miejscu, ponieważ wbite początkowo przez Styxa nie chciały trzymać i obluzowywały się. Wydawało się, że im wyżej idą, tym trudniej znaleźć oparcie dla rąk i stóp.

Kiedy dotarli do warstwy łupków powyżej pionowego urwiska, Styx wślizgnął się potężnym cielskiem w szeroką szczelinę w skalnej ścianie. Był to komin prowadzący

prosto w górę przez sto yardów, ale dokąd prowadził, nie miał pojęcia. Ruszył w górę, klinując się plecami i nogami, a w węższych miejscach posługując się rękami i kolanami. Jack podążył za nim, a potem także Kemal i Yossi. Robili teraz szybsze postępy, a i wiatr nie przeszkadzał im tak bardzo.

O godzinie dziewiątej Styx wyłonił się z komina i stanął prosto z rozkraczonymi szeroko nogami, trzymając linę, podczas gdy Jack i pozostali szli jego śladami. Mieli teraz za sobą trzy czwarte drogi w górę, ale wyglądało na to, że znaleźli się w ślepym zaułku i że nie da się tędy wspinać dalej.

Ponad ich głowami zwisała wybrzuszona na zewnątrz skała, i musieli znaleźć drogę, by ją ominąć. Którędy pójść? Nawet dla Styxa był to ciężki orzech. Jeśli pójdą w kierunku północnym, mogą po wielu godzinach wspinaczki zabrnąć w następny ślepy zaułek. Jeśli zaś ruszą poziomo w przeciwnym kierunku, ten może również zaprowadzić ich w ślepy zaułek, skąd będą musieli się cofnąć, zejść kominem i spróbować innej drogi. Myśl o tym była bolesna — prawie tak bolesna, jak bolesne byłoby mozolne powtórzenie dotychczasowych wysiłków.

Już raz, kiedyś, Jack znalazł się w podobnym dylemacie. Tyle że wtedy wspinał się na własną rękę, w Górach Skalistych, i musiał wydrapać się po prostopadłym urwisku, które na pozór było równie gładkie jak polerowany marmur. Tamtego popołudnia dostał twardą lekcję, z której nauczył się, że nieustające wiatry wygładzają powierzchnię z jednej strony bardziej niż z drugiej. Należało znaleźć tę stronę, starannie się przypatrując i wymacując ją rękami.

Jack dotarł do pionowej ściany skalnej za kominem i poszukał po omacku oparcia dla ręki. Podczas gdy Styx siedział i trzymał linę asekuracyjną, Jack podciągnął się, zmienił rękę i potarł dłonią o powierzchnię kamienia. Nie ma mowy o przejściu. Był wypolerowany jak płyta nagrobna i droga tędy musiała prowadzić donikąd.



Wtedy znowu zmienił rękę, opuścił się niżej i z powrotem zeskoczył na występ skalny powyżej komina. Poszedł w drugą stronę, z łatwością znalazł oparcie dla stopy, poszukał po omacku uchwytu dla ręki, znalazł jedynie szczelinę zbyt wąską, by chwycić ją palcami, wyjął hak, wcisnął go w to miejsce, potem sięgnął po czekan i wbił hak głęboko. Zatrzasnąwszy na nim klamrę i sprawdziwszy go, rozkołysał się i pogłaskał skalistą ścianę urwiska po drugiej stronie. Była chropowata. To musiała być właściwa droga. Szybko ustalił położenie następnej szczeliny, wetknął w nią hak, wziął czekan i wbił hak na miejsce. Sprawdziwszy go, rozhuśtał się i znalazł następną szczelinę.

Kiedy był około dziesięć stóp od półki skalnej, spojrzał w górę i uśmiechnął się.

Widać było szczyt o niecałe sto yardów wyżej. A ponad nim kamienne mury fortecy wznosiły się w górę na dalsze dwadzieścia yardów. Byli już prawie na miejscu.

Na tym kończyła się łatwiejsza cześć zadania.

# 16

DŻABAL ASWAD
Górska forteca szejka Fahada ibn-Nasira
Wtorek, 3 sierpnia, 10.30

Szejk Fahad ibn-Nasir siedział na ogromnym krześle w głębi wielkiego hallu, który kiedyś był salą tronową Sulejmana Wspaniałego, i przestając bawić się srebrnym łańcuchem przypiętym do nogi zakapturzonego sokoła siedzącego na jego lewej ręce osłoniętej skórzaną rękawicą, obdarzył Abdula Sayida łaskawym uśmiechem.

— Powiedziałem ci, Abdul — rzekł — że suma, którą ustaliliśmy, jest złożona na twoje nazwisko w banku w Abu Dhabi. Czy teraz zechcesz przestać mnie nachodzić i wrócisz do roboty? Dr Ortman potrzebuje cię, żebyś skończył myć ściany i podłogi w jego pokoju.

— Mam po dziurki w nosie Ortmana i nie mogę już na niego patrzeć. Jestem teraz milionerem i nie muszę już być jego służącym, ani zresztą nikogo innego" — rzekł Abdul głosem drżącym z podniecenia. Wiedział, że kroczy po grząskim gruncie, ale musiał nadrabiać miną. Rozmyślał o tym godzinami, planując, co powiedzieć i jak podejść do Fahada. Był w pełni świadom, jak niebezpiecznie było wejść Fahadowi w drogę.

Abdul nie znał nikogo, kto rzuciłby Fahadowi wyzwanie i przeżył, żeby móc o tym opowiedzieć. Pamiętał za to aż nadto dobrze, co przytrafiło się handlarzowi haszyszem, który pokłócił się z Fahadem o pieniądze, które miał rzekomo otrzymać. Fahad poderżnął mu gardło bez zmrużenia oka, siadł spokojnie i dokończył kolacji.

— Dotrzymałem ze swej strony warunków naszej umowy — podjął bez zająknienia Abdul — a teraz chcę stąd wyjechać, wrócić do cywilizacji i rozkoszować się wydawaniem pieniędzy.

Fahad obdarzył go znowu protekcjonalnym uśmiechem i powrócił do studiowania ostrych jak brzytwa szponów, w które tego ranka wyposażył ptaka trenujący go sokolnik. Szpony były długości spiczastych igieł zrobionych z najcieńszej chirurgicznej stali.

— Jak sobie życzysz, Abdul — powiedział Fahad, nie patrząc w jego stronę. — Dziś po południu, kiedy przyleci helikopter z zaopatrzeniem i żywnością, jeśli pomożesz nam go rozładować, to jak tylko pilot będzie gotowy do odlotu, będziesz mógł wrócić z nim do Abu Dhabi.

Przez chwilę Abdul był zbity z tropu. Nie oczekiwał, że Fahad tak łatwo pozwoli mu odejść. Coś było nie w porządku. Fahad nie ustąpiłby tak szybko. Powinien się mieć na baczności. W najwyższym stopniu na baczności. Ale może jest przewrażliwiony. I niepotrzebnie się martwi.

— Mogę wyjechać... dziś po południu? I tak po prostu iść do banku i podjąć swoje pieniądze?

Nie spojrzawszy na niego, Fahad rzekł: — Oczywiście. Kiedy pójdziesz do banku, pokaż im paszport, powiedz im, że chcesz wszystkie swoje pieniądze w amerykańskich dolarach, i wypłacą ci je. A teraz zabieraj się stąd i powiedz Baradzie, że czekam na niego.

— Jest na górze w sokolarni — powiedział Abdul. — Pójdę po niego.

Podszedł do drzwi i zawahał się z ręką na klamce z kutego żelaza. — Do zobaczenia, Fahad, nie masz nic przeciw temu, że nie będę już więcej pracował?

— Rób, jak uważasz, Abdul.

W pięć minut później niski Arab w długiej pasiastej szacie wszedł do hallu, niosąc walizeczkę. Był to Barada Mina, dyrektor handlowy Fahada. Wykształcony na Harvardzie, Barada był jedynym człowiekiem, któremu Fahad ufał. Zajmował się księgowością i prowadził wszystkie

legalne interesy Fahada, począwszy od linii okrętowej posiadającej trzy statki z bazą w Atenach aż po przedsiębiorstwo handlowe w Abu Dhabi, gdzie sprzedawano i kupowano wszystko. od broni i amunicji po podrabiane najnowsze produkty, takie jak zegarki Rolex, komputery IBM, leki i inne towary pochodzące z kontrabandy.

Barada podszedł wielkimi krokami do Fahada, położył walizeczkę na stole obok krzesła i otworzył zamki. — Telefon działa już bez zarzutu, Fahadzie. Wystarczyło włożyć nową baterię, więc ją włożyłem. Chcesz teraz do kogoś zadzwonić?

— Nie. Znalazłeś jakieś przedsiębiorstwo budowlane?

— Tak. Rozmawiałem z jedną firmą, która jest w stanie dostarczyć wszystkiego, czego potrzebujemy. Mają zespól konsultantów technicznych z doświadczeniem pozwalającym im na zaprojektowanie i uruchomienie dla nas całej fabryki urządzeń elektronicznych. Ich przedstawiciel przypadkiem jest teraz w hotelu Hilton International w Manamie i może przylecieć tu ze swoimi ludźmi, kiedy tylko uznasz to za stosowne.

— Co robią w Bahrajnie?

— Powiedział, że właśnie skończyli całkowity projekt i uruchamianie linii produkcyjnej dla Arabco Oil w ramach nowego projektu produkcji elektronicznej tej firmy.

Fahad uniósł brwi i spojrzał na Baradę ze zdziwieniem. Pierwszy raz o tym słyszał, a myślał, że wie o wszystkim, w co zamieszani są jego pobratymcy szejkowie. Jego szpiedzy zrobili się leniwi. Coś z tym trzeba będzie zrobić.

— Odkąd Arabco angażuje się w produkcję?

— To wszystko jest robione bardzo po cichutku — rzekł Barada. — Coś związanego z nowym systemem wtrysku paliwa do samolotów. Zaczną produkcję w przyszłym miesiącu.

— Jak się nazywa ta firma?

— Viktor Mideast Engineering — powiedział Barada. — Osobiście rozmawiałem z panem Viktorem i sądzę —



jeśli to, co mówi, jest prawdą — że może być właściwym człowiekiem do uruchomienia tutaj, w Dżabal Aswad, fabryki i...

— *Góra Silikonowa* — przerwał mu Fahad. Przyglądał się kilka chwil Baradzie, a potem powiedział z zimnym uśmiechem: — Od tej pory masz mówić o tym miejscu jako o *Górze Silikonowej*, zrozumiałeś? I zadzwoń do drukarni i każ wydrukować papeterię, wizytówki, faktury i wszystko inne, co potrzeba. Chcę mieć tłoczoną papeterię, takie bardzo elegancko wyglądające gadżety, jakie mają w banku.

— Tak, Fahadzie, natychmiast się tym zajmę. Wracając do tego, co mówiłem... pan Viktor powiedział, że on i jego inżynierowie zaprojektowali cały elektrooptyczny zakład produkcyjny Liptona w Sunnyvale, w Kalifornii, a także fabrykę dla Korporacji Elektronicznych Systemów Obronnych i laboratoria doświadczalne w Izmirze w Turcji. Powiedział, że fabryka w Izmirze produkuje pełną parą i osiągnęła docelową moc produkcyjną w trzydzieści dni, odkąd jego inżynierowie zakończyli ostatecznie projektowanie.

— Ile czasu zabrało im skompletowanie planów? — zapytał Fahad.

— Powiedział, że jego dwunastoosobowy zespół wyrysował wszystko w ciągu tygodnia, od momentu kiedy skończyli analizować schematy i ustalili, jak powinna być ustawiona taśma montażowa. Wyjaśnił, że jeśli wszystko jest właściwie zmontowane, komputery pozwalają osiągnąć i utrzymać optymalną produkcję przy bardzo niewielkiej sile roboczej. Potem można to zautomatyzować do tego stopnia, że nie potrzeba prawie wcale ludzi przy taśmie montażowej. Wszystko, co musisz zrobić, to poustawiać płyty z obwodami i innymi częściami, i roboty wszystko zmontują, a nawet posprawdzają i popakują.

— Chcesz mi wmówić, że może to wszystko zrobić tak, żebyśmy byli gotowi do produkcji w *pięć tygodni* po uzgodnieniu kwestii finansowych i dobiciu z nim targu?

— Tak, Fahadzie. I powiedział, że możesz odłożyć zapłatę za jego usługi, wyposażenie i surowce potrzebne do rozruchu do czasu, aż zaczniesz produkcję. Powiedział mi, że jego przedsiębiorstwo może nas zaopatrzyć we wszystkie formy do wtryskarek, których będziemy potrzebowali do obudów na przyrządy, i paneli, i że ma jeszcze drugie przedsiębiorstwo, które może nam dostarczyć płyt obwodów drukowanych i wszystkich części elektronicznych, przełączników, kondensatorów, diod, tranzystorów, aparatury kontrolnej, narzędzi, przewodów, wtyczek, kart poszerzeń, specjalnych komputerów analogowych, oprogramowania sterującego, generatorów sygnałów i całej reszty tego szmelcu.

— Poślij po niego natychmiast — rzekł Fahad. — Dzisiaj, i jak mówię dzisiaj, to znaczy *dzisiaj*! A teraz, co to za kłopoty, mówisz, że masz z Ortmanem?

— Chce zobaczyć forsę, którą obiecałeś mu zapłacić. Jego ludzie także szemrają. Żądają wyjaśnień, dlaczego nie dałeś im ich pieniędzy i dlaczego traktowani są jak więźniowie.

Fahad siedział, głaskając zakapturzonego sokoła, który wczepił się mu w nadgarstek. Po dłuższym milczeniu powiedział:

— Doprowadź tu Ortmana pod strażą. Myślę, że nadszedł czas, żebyśmy doszli do porozumienia. Jeszcze coś, zanim pójdziesz?

— Tak, dzwonili z prasy i chcą z tobą rozmawiać ministrowie obrony Qataru, Syrii i Omanu. Reporterzy z działu businessu chcą wiedzieć coś więcej o tym, co będziesz tu produkował i jak szybko to nastąpi; a ministrowie niecierpliwią się, żeby zacząć negocjacje i dobić z tobą interesu. Doszły do nich podsycane przez nas pogłoski o twoim nowym urządzeniu przeciwlotniczym i chcą jak jeden mąż zamawiać w ciemno wszystko, co będziesz robił.

— Pozwlekaj trochę z odpowiedzią i powiedz mi-



nistrom, że są na liście moich uprzywilejowanych klientów i że wkrótce skontaktuję się z nimi osobiście. Niech im trochę ślinka pocieknie. Jeżeli będą bardzo się do tego palić, to zapłacą więcej, a ja nie będę musiał im dawać tradycyjnych łapówek i prezencików.

— Jeszcze jedno — rzekł Barada. Nie znoszę podnosić tej sprawy, ale milicja skarży się, że nie zapłaciłeś im za ostatnie dwa miesiące i nie przyznałeś im urlopów, które obiecywałeś od ostatniego ramadanu. Dowódca straży fortecznej nie był w domu od roku, a większość podoficerów także narzeka. Rzekłbym, że ich morale jest niebezpiecznie niskie, i sądzę, że powinieneś ich ułagodzić.

— Ilu ludzi jest teraz na służbie?

— Nie licząc dwóch oficerów, dwudziestu siedmiu.

— Czy stać mnie na zapłacenie wszystkim zaległej gaży?

— Nie, chyba że naruszysz fundusze z banku.

— Nie, tego nie mogę tknąć. Muszę dla zachowania pozorów utrzymywać siedmiozerowy dodatni bilans. Gdyby przedostało się gdzieś jedno słowo o tym, że mam problemy z gotówką, zaczęliby mnie nazywać znowu ubogim bratem.

— Dziś rano znów rozmawiałem z szejkiem Tariqiem. Chce kupić dalszych sześć lekkich czołgów i tę sowiecką wyrzutnię rakiet Gecko-Romb SAM, którą trzymamy w oazie. Zechcesz sprzedać mu to za zaoferowaną cenę?

— O ile niższa od naszej?

— Pięćdziesiąt tysięcy. Jego ostatnia oferta wynosiła dziewięćset tysięcy za całość.

— Zobacz, czy nie dałoby się zmniejszyć tej różnicy. Jeśli nie, przyjmij jego cenę, ale sprzedaj mu tak, jak stoi, z odbiorem na miejscu i bez gwarancji.

— Zrobię, co będę mógł — powiedział Barada. — A przy okazji, szejk Maktum ma zapotrzebowanie na następną setkę pakistańskich kobiet.

— Dlaczego rozmawia o tym z tobą, zamiast ze mną?

— Cóż, cały zeszły miesiąc próbował cię złapać i nie

odpowiedziałeś na ani jeden jego telefon, a ponieważ jesteś tak zajęty projektowaniem fabryki, spytał mnie, czy nie mógłbym tego załatwić.

Fahad rozparł się głęboko i uśmiechnął do Barady.

— Słuchaj, stary, masz trzymać się ściśle moich *legalnych* interesów. Nie chcę, żebyś miał cokolwiek do czynienia ze sprawami zakazanymi. Pamiętaj, że niewolnictwo zostało tu zniesione w 1961 roku dla wszystkich z wyjątkiem szejków, a ja oficjalnie nie zajmuję się handlem niewolnikami — podobnie jak przemytem i narkotykami. Ale powiedz, proszę, szejkowi Maktumowi, że przepraszam go, iż byłem tak bardzo zajęty, i że zadzwonię do niego za parę dni.

W dziesięć minut później, kiedy dr Helmut Ortman został wprowadzony do dawnej sali tronowej przez dwóch umundurowanych członków milicji, którzy bezszelestnie zamknęli drzwi i pozostali na zewnątrz, Fahad stał przy otwartym oknie. Patrzył na dół, przyglądając się, jak Abdul spaceruje tam i z powrotem po czterech stanowiskach dla helikopterów, od niskiego murku podworca do masztu flagowego, na którym czerwony rękaw wskazywał kierunek wiatru. — Tam i z powrotem, tam i z powrotem — rzekł Fahad do zakapturzonego sokoła — jak suka w rui.

— *As salaam alaykum*, szejku Fahadzie — odezwał się Ortman.

Fahad odwrócił się i przywitał Ortmana chrząknięciem, po czym rzekł po angielsku: — Mój dyrektor finansowy mówi, że pan i pańscy ludzie narzekacie, że wam nie zapłacono, a także skarżycie się na sposób, w jaki was tutaj traktuję.

— Powiedzieliśmy tylko Baradzie, że chcielibyśmy ujrzeć dowód, że pieniądze zostały złożone na naszych kontach.

— Cóż, tak zostało zrobione, ma pan na to moje słowo — rzekł Fahad. — Jak tylko powróci mój kurier



z wyciągami z kont, będziecie mogli je otrzymać. A teraz — powiedział Fahad, pieszcząc zakapturzonego sokoła na przegubie ręki, odwracając się plecami i spoglądając w dół na Abdula, który wciąż spacerował niespokojnie tam i z powrotem — co ze skargami, że traktuję was jak więźniów? Z całą pewnością jest wam wygodnie i wszystkie wasze potrzeby są natychmiast zaspokajane, macie wolny dostęp do kuchni, biblioteki i sali telewizyjnej. A wasze kwatery są aż nadto przyzwoite, czy nie tak?

— Owszem, jest nam wygodnie, dziękuję. Ale to nie o to chodzi. Żaden z nas nie lubi siedzieć cały czas w zamknięciu w kwaterach, bez swobodnego dostępu do zewnętrznych dziedzińców, nie mogąc pospacerować po murach obronnych na świeżym powietrzu i słońcu...

— To dla waszego własnego bezpieczeństwa, mój drogi doktorze Ortman — odrzekł Fahad, obracając się twarzą do niego. — Nigdy nie można być pewnym, kiedy jeden z tych rebelianckich fanatyków nakieruje na nas pocisk rakietowy, a ponieważ nie mogę dopuścić, żeby coś wam się stało, nie mogę również pozwolić wam chodzić tam, gdzie wasze życie wystawione byłoby na niebezpieczeństwo.

— Szejku Fahadzie, to nonsens, i sam o tym wiesz. Nikt nie zdoła wyspinać się na te góry i podejść dostatecznie blisko, żeby odpalić na nas rakietę.

— Nazywasz mnie kłamcą?

Ortman spojrzał na Fahada i uśmiechnął się.

Oczy Fahada rozbłysły gniewem, gdy zobaczył wyraz twarzy Ortmana. Spokojnym głosem rzekł: — Świetnie, jak mawialiśmy w dawnych studenckich czasach, zanim ukończyłem z wyróżnieniem politechnikę...

— Wylali cię — powiedział Ortman.

Twarz Fahada ściągnęła się. — Kto panu tak powiedział?

— Twój indeks w bibliotece. Widziałem pismo relegujące cię z uczelni, które nieopatrznie zostawiłeś w nim.

— Zostałem reaktywowany, to była pomyłka. Ale nieważne, jak mówiłem, doktorze Ortman, jak mawialiśmy w Kalifornii, skończyły się dobre czasy. — Podniósł lewą rękę i zdjął sokołowi kaptur. — Czy wie pan, co to za ptak? — zapytał Ortmana lodowatym nagle tonem.

— Tylko tyle, że to ptak drapieżny, sokół.

— To bardzo rzadki białozór. Można go znaleźć tylko w rejonie Arktyki. Jest najbardziej krwiożerczy ze wszystkich sokołów i zabija foki, a czasami także polarne niedźwiedzie. Niech pan zauważy te specjalne stalowe szpile, które mój sokolnik przymocował mu do szponów. — Niepewnie dotknął je palcem. — Są ostre jak brzytwa.

Fahad odwrócił się i wyjrzał przez otwarte okno. Abdul stał na dole z jedną nogą opartą o blanki, wpatrzony w horyzont w oczekiwaniu na helikopter.

— Niech pan tu podejdzie, doktorze Ortman. Chcę, żeby pan coś zobaczył.

Ortman obrzucił Fahada podejrzliwym spojrzeniem, ale ponieważ ten był odwrócony do niego plecami, nie poczuł się szczególnie przestraszony. Stanął koło niego i wyjrzał. Wiatr dmący z przeciwnej strony wieży, w której się znajdowali, hulał po lądowiskach helikopterów, powodując, że rękaw lotniczy wskazywał kierunek od nich prosto ku odległym górom. Prąd powietrza mocno dmuchał im przez okno prosto w twarz, lecz nie z taką siłą, z jaką dął z przeciwnej strony, od nawietrznej.

— Co Abdul tam robi? — spytał Ortman, zauważywszy go na dole.

— Czeka, żeby odlecieć. On, tak samo jak wy, wyraził swoje niezadowolenie ze sposobu, w jaki go traktuję. Ale jego można się pozbyć, a was nie. A teraz pokażę panu, co spotyka niewdzięcznych głupców, którzy zwracają się przeciwko mnie.

Fahad zdjął łańcuch opasujący prawą nogę sokoła, wyprężył ubraną w rękawicę rękę i wskazał w dół na Abdula.



Ptak natychmiast rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze z przegubu dłoni Fahada. Wzniósł się powyżej baszty, zatoczył wysoko w górze dwa kręgi i nagle runął prosto w dół na Abdula z wyciągniętymi przed siebie i szeroko rozczapierzonymi szponami. W chwilę później połyskujące stalowe pazury ptaka rozpruły twarz Abdula i wryły mu się w oczy.

Abdul wrzasnął i na ślepo próbował uderzyć ptaka, ale za późno. Sokół odleciał i poza zasięgiem zataczał kręgi nad jego głową. Abdul nadal wrzeszczał wniebogłosy, zataczając się, ściskając twarz obiema rękami, podczas gdy krew i osocze trysnęły mu spomiędzy palców i zrosiły kamienie wokół purpurowymi bryzgami. W agonii Abdul kręcił się w kółko, zawodząc na całe gardło, słaniając się w tył, kurczowo zaciskając dłonie na pustych oczodołach, gdzie kiedyś miał oczy. Nagle potknął się o blanki, zahuśtał się przez moment na krawędzi kamiennego muru, przewalił się na plecy i runął jak kamień w przepaść.

Ortman był zdjęty przerażeniem i zszokowany. Twarz miał białą jak jego własna koszula. Zbierało mu się na wymioty i czuł w gardle smak napływającej żółci, cofnął się parę kroków zdjęty obrzydzeniem, wpatrując się w Fahada ze wstrętem i niedowierzaniem. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie mógł uwierzyć, że Fahad czy ktokolwiek z ludzi może być zdolny do zrobienia czegoś takiego drugiej ludzkiej istocie.

Fahad zagwizdał i sokół natychmiast podleciał do niego i siadł mu na chronionym rękawicą przegubie. Potem Fahad z powrotem założył ptakowi na głowę kaptur, przypiął łańcuch do jego nogi, pogłaskał ptaka, pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu smacznego kąska i włożył mu go do dzioba.

Kiedy Fahad odwrócił się do Ortmana, twarz miał pogodną i spokojną. Jakby nic się nie stało.

— Teraz, kiedy Allach dopilnował, żeby Abdul został

miłosiernie ukarany za swoją chciwość i niewdzięczność, co z zestawieniami, które miał pan przygotować? Są gotowe?

— Tak — odrzekł Ortman, pośpiesznie wyciągając wyraźnie trzęsącymi się rękami papiery z kieszeni. Z trudem przyszło mu je rozprostować i o mało nie upuścił jednej kartki. Przez dłuższą chwilę nie mógł mówić i musiał zebrać wszystkie siły, żeby się do tego zmusić. To był człowiek, z którym nie należy się spierać. Albo robisz, co każe, albo... Pogrzebał w kieszeni, szukając okularów do czytania, znalazł je, z trudem udało mu się je założyć, ponieważ za bardzo trzęsły mu się ręce, i kilka razy zaczerpnął głęboko powietrza. Musiał zerknąć na chwilę w papiery, zanim odpowie.

— Będziemy potrzebowali dziesięciu oscyloskopów, trzech mierników częstotliwości, tuzina omometrów i...

— Spytałem cię — przerwał Fahad — czy zestawienia są gotowe. Nie chcę szczegółów.

— Tak, tutaj jest wszystko, czego potrzebujemy. Listy części, schematy obwodów, składniki, wszystko do linii montażowej. U siebie w pokoju mam szczegółowe rysunki obudów. Będą nam potrzebne spawarki, lutownice do srebra i złota, specjalne aparaty testujące, lampy wzmacniające, mikroskopy, laserowe, optyczne...

— Oszczędź mi szczegółów, Ortman — powiedział Fahad. — Daj mi zestawienie i wynoś się. I niech Allach ma cię w swojej opiece, jeśli nie jest kompletne. Dzisiaj przybędzie tu firma inżynierska wynajęta do zaprojektowania naszego całego zakładu i będą chcieli zobaczyć kompletną listę wszystkiego, czego będziemy potrzebowali. Mam zamiar dostarczać moje urządzenie POTH już za miesiąc, a cena za nie będzie szła w miliony.

Ortman wręczył mu papiery i rzekł roztrzęsionym głosem: — To niemożliwe. Sam rozruch przed produkcją zajmie przynajmniej kilka miesięcy ciężkiej pracy...

— Kiedy będę chciał poznać twoje zdanie, zapytam cię o nie — powiedział Fahad. — A teraz wynoś się.



Gdyby w tej chwili Fahad albo Ortman wyjrzeli przez okno, dostrzegliby mężczyznę w czarnej włóczkowej kominiarce — mężczyznę z twarzą jak pośmiertna maska, który zaglądał przez te same blanki, skąd niedawno spadł Abdul...

# 17

MANAMA, BAHRAJN
Wtorek, 3 sierpnia
12.45

W chwili gdy Viktor oderwał wzrok od Zity i zaczął oliwić i czyścić dwa pistolety, które miał w walizeczce, odsunęła łokciem ciężkie firany zasłaniające okna limuzyny, wyjrzała na zewnątrz i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

To musiało być Houston. To nie mogła być Manama, wielowiekowe miasto, które przez starożytnych Mezopotamian niegdyś nazywane było Dilmun.

Spodziewała się zobaczyć wielbłądy i wąskie zaułki, bazary, żebraków, arabskich handlarzy dywanów, obdarte dzieci bawiące się na chodnikach, pamiątki i sklepy z wyrobami z mosiądzu, wiekowe meczety i tajemnicze, nadgryzione zębem czasu budowle z zakwefionymi kobietami, które wyglądają zza okiennic, a zamiast tego zobaczyła nowoczesne drapacze chmur, budynki i ulice zatłoczone najnowszymi modelami samochodów i klimatyzowanymi autobusami Mitsubishi.

Podczas czterech dni, kiedy była więźniem Viktora, pozostawała zamknięta w hotelowym pokoju. Nie pozwalano jej otwierać metalowych osłon na okna ani wyglądać przez okno, a tym bardziej wychodzić na przechadzkę. To był jej pierwszy rzut oka na zewnętrzny świat, odkąd przybyli limuzyną z zasłoniętymi szybami, która zawiozła ich do hotelu.

Teraz zaskoczona była, widząc, że ulice oznakowane są zarówno po angielsku, jak i po arabsku. Jechali wzdłuż szerokiej, pięknie zaprojektowanej arterii zwanej Al Khalifa Road, mijając sklepy z szyldami reklamującymi po angielsku ubrania od Calvina Kleina, Diora i Leviego, które można było kupić na kartę kredytową American Express; i były tam magazyny z telewizorami Sony na wystawach i sklepy z modną biżuterią, przedstawicielstwo Cadillaca i banki. Potem przejeżdżali koło brytyjskiej i szwedzkiej ambasady, i zdążyła zauważyć tablicę z nazwą ulicy. Ulica Rządowa.

To było to! To właśnie musiała być chwila, na którą czekała — chwila, gdy Viktor będzie zaprzątnięty czymś innym — chwila, w której mogła wreszcie spróbować ucieczki. Gdyby tylko zdołała otworzyć drzwiczki, wyskoczyć i puścić się biegiem, mogłaby zgubić się w tłumie, a potem nigdy nie będzie już w stanie jej odszukać.

Zabrał jej ubrania i kazał nosić długą do kostek, czarną szatę muzułmańskich kobiet z długimi rękawami i zasłoną na twarz. Tak wyekwipowana wmiesza się natychmiast w tłum arabskich kobiet, a on nie znajdzie jej nawet za milion lat.

Ale nigdzie na ulicach nie dostrzegła żadnych kobiet, z wyjątkiem kilku noszących gustowne europejskie ubrania, a i one były w towarzystwie schludnie wyglądających mężczyzn.

Kiedy przeciskali się powoli przez zatłoczone jezdnie, tylko gdzieniegdzie dostrzegała mężczyzn w tradycyjnych nakryciach głowy *kaffiyeh*, a w ogóle nigdzie nie widziała na ulicach kobiet tak wystrojonych jak ona. Rzucało się w oczy, że arabskie kobiety są nieobecne na ulicach i w sklepach. Nie było również wcale kobiet za kierownicą samochodów. *Jakie to dziwne*. Potem przypomniała sobie, że to wcale nie jest dziwne. W większości krajów arabskich kobiety były obywatelami trzeciej kategorii. Arabscy mężczyźni bardziej troszczyli się o swoje auta i wielbłądy niż o swoje kobiety. To dlatego poligamia wciąż jeszcze była szeroko praktykowana. Nie mogła pojąć, jak kobiety mogą w dzisiejszych czasach przystać na coś podobnego. Za-

przysięgła sobie, że jeśli kiedykolwiek uda jej się ujść z życiem z tej kabały, to jak tylko wróci do Stanów, chwyci za kij i zacznie robić porządek z tą straszliwą niesprawiedliwością.

Gdy zatrzymali się na światłach, wyjrzała na zewnątrz, korzystając z tego, że Viktor ładował naboje do magazynka, i zobaczyła tablicę z nazwą ulicy: Old Palace Road. Kiedy w hotelu wsiadali do limuzyny, zauważyła, że nie zaskoczyła automatyczna blokada drzwi. Viktor zapomniał nacisnąć guzik. Byli teraz o trzy przecznice od ulicy, na której widziała ambasady. Musi to zrobić teraz, zanim znajdą się za daleko od nich. To była jej ostatnia nadzieja. Jeśli odjadą zbyt daleko, nigdy nie zdoła ich odnaleźć. Zawsze miała kiepski zmysł orientacji. Przesunęła się do drzwi, jak tylko mogła najbliżej, obserwując Viktora jednym okiem, podczas gdy drugiego nie spuszczała z klamki.

Zebrała się na odwagę, głęboko zaczerpnęła powietrza, sięgnęła ukradkiem do klamki, upewniła się, że Viktor nie patrzy, szarpnęła za klamkę, jednym pchnięciem otwarła szeroko drzwi, wydostała się z samochodu, niemal zaplątała się w długą szatę, odzyskała równowagę, zatrzaskując drzwiczki, podciągnęła rąbek sukni i rzuciła się szalonym pędem, omijając stojące na światłach samochody. Co tchu w piersiach pognała środkiem ulicy, przebiegła na drugą stronę, uskakując przed nadjeżdżającymi pojazdami, które mijały ją ze świstem, omijając wszystkie rodzaje najnowszych samochodów, furgonetek i ciężarówek, z których niejedna hamowała z piskiem opon i rykiem klaksonu, żeby uniknąć potrącenia jej.

Wilgoć i upał były dławiące. Zanim zdążyła przebiec jedną przecznicę, była już zlana potem, a czarne szaty kleiły się jej do ciała, ale nie zwracała na to uwagi. Przystanęła, obejrzała się przez ramię i zobaczyła ścigającego ją Viktora. Przebiegła wzdłuż wolno jadącego autobusu, puściła się pędem przez chodnik i pobiegła w kierunku strzelistego biurowca.



Wpadła przez automatycznie otwierane drzwi, ominęła grupę ludzi tłoczących się koło wejścia w klimatyzowanym przedsionku, przebiegła obok stanowiska strażników, zobaczyła za nim szereg wind i ruszyła do jednej z nich, która właśnie w tym momencie się zamykała. Gdy wsiadła i ujrzała, że drzwi windy ponownie się rozsuwają, ponieważ dotknęła sensora blokującego zamknięcie, i gdy potem stwierdziła, że drzwi nie chcą się już zamknąć, prawie wpadła w panikę.

W tej samej chwili ujrzała Viktora przed budynkiem. Rozglądał się w górę i w dół ulicy. Nagle puścił się pędem do wejścia, którym przed chwilką weszła, odczekał, aż otworzą się automatyczne drzwi, i wpadł do przedsionka.

Nareszcie! W ostatniej chwili drzwi windy zasunęły się. Modliła się, żeby jej nie spostrzegł. Zaczynała odzyskiwać oddech. Oddychała coraz lżej. Winda wydawała jej się znajoma, taka sama jak w Stanach. To była duża ulga znaleźć się w środku klimatyzowanego, chłodnego pomieszczenia. Winda była produkcji firmy Otis, tak samo jak u niej w domu, a miękki męski głos mówił po arabsku: „Proszę przesunąć się w głąb kabiny. Jedziemy do góry.” *Niechby już to się stało. Szybciej, szybciej.*

Nagle winda stanęła na dziewiątym piętrze, drzwi rozsunęły się i zaczęło wsiadać pięciu mężczyzn, niektórzy w turbanach, a inni w *kaffiyeh*. Zita przepchnęła się przez nich i znalazła się w długim korytarzu. Gdy zamykały się drzwi od windy, zobaczyła, że mężczyźni przyglądają się jej ze zdziwieniem.

O ile mogła się zorientować, nie było tu wyjścia ani klatki schodowej, więc ruszyła biegiem w dół korytarza, rzuciła się do pierwszych napotkanych drzwi, stwierdziła, że są zamknięte, podbiegła zatem do następnych. Na piętrze było osiem biur i wszystkie były zamknięte.

W rozpaczy wróciła pędem do rzędu wind, przycisnęła równocześnie guziki w górę i w dół i stanęła, przytupując nogą i ssąc nadłamany paznokieć kciuka. Po chwili, która

wydawała jej się wiecznością, a trwała nie dłużej niż minutę, zobaczyła, że na trzeciej windzie zapala się zielone światełko, i podbiegła do niej. W porządku, jechała do góry. I co z tego? To, co jedzie do góry, musi potem zjechać na dół. Może znajdzie się tam jakieś miejsce do ukrycia. Może znajdzie jakieś biuro z otwartymi drzwiami, gdzie będzie mogła się zamknąć, dorwać się do telefonu i zadzwonić do najbliższej ambasady albo na policję. Tak, tak właśnie zrobi. A jeżeli nie znajdzie żadnego otwartego biura, włamie się do jakiegoś.

Gdy usłyszała, że winda zatrzymuje się, i zobaczyła otwierające się drzwi, serce zamarło jej w piersi. To był Viktor. Za nim stał szeroko uśmiechnięty strażnik.

Viktor nie rzekł ani słowa. Po prostu pokiwał na nią palcem. Popatrzyła na niego, zerwała z siebie nakrycie głowy i zasłonę z twarzy, rzuciła je na ziemię i wkroczyła do kabiny windy. Strażnik podniósł je z ziemi, wręczył Viktorowi, dyskretnie opuścił windę i nacisnął przycisk w dół.

*Prawdopodobnie myśli teraz, że spierze mnie za próbę ucieczki, męska szowinistyczna świnia!*

Kiedy drzwi się zamknęły, Zita rzuciła Viktorowi wyzywające spojrzenie i nie odrywała od niego oczu. — Kiedy pozwolisz mi odejść?

— Kiedy już dłużej nie będziesz mi potrzebna — odrzekł. — A teraz słuchaj, dam ci ostatnią szansę, żebyś była grzeczna. Jeśli pójdziesz spokojnie ze mną i dasz mi słowo, że nie będziesz próbowała podobnych głupot, nie założę ci tego. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął parę kajdanków.

— Dokąd idziemy?

— Na lotnisko. Wolałbym cię tu zostawić, ale może się wydarzyć coś takiego, że nie będę już wracał do Bahrajnu. Szczerze mówiąc, Zita, pomimo tego, co zaszło, wciąż zależy mi na tobie i nie chcę zamykać cię i zostawiać pod opieką ludzi, którzy mogliby cię wykorzystać albo i zrobić nie wiem jaką krzywdę.



— Powinieneś wiedzieć, jaką — gorzko powiedziała Zita, mając aż nadto żywo w pamięci, jak wziął ją siłą i zgwałcił w tamtej grocie w Izraelu.

— Punkt dla ciebie — rzekł. — Nie wiem, co mnie wtedy naszło, i wiem, że nie ma sensu prosić cię o wybaczenie...

— Masz rację. Byłby to daremny wysiłek. Nigdy ci tego nie wybaczę, *nigdy*.

— W porządku, a zatem jestem skazany przez to na wieczne cierpienie. Zostawmy to już, dobra? A teraz uważaj. Nie próbuj więcej ode mnie uciekać, dopóki jesteśmy w tej części świata. Sporo takich pięknych kobiet jak ty znika stąd bez śladu i wszelki słuch po nich ginie. A samotna kobieta w żadnym arabskim kraju nie przejdzie jednej przecznicy, żeby jej nie napastowano. Nie zobaczysz tutaj kobiet bez opieki na ulicach albo za kierownicą samochodu. Taksówki i samochody zresztą także nie zabierają samotnych kobiet bez opieki. Widziałaś podczas tej twojej małej eskapady jakąkolwiek spacerującą samotnie kobietę? Nie, oczywiście że nie. Więc nie próbuj więcej, bo daleko nie ujdziesz. Jak zapewne wiesz, albo i nie wiesz, niewolnictwo pozornie zostało zniesione w krajach arabskich, ale nadal jest powszechne — a w niektórych szejkanatach, zwanych teraz emiratami, są setki kobiet w serajach i haremach — kobiet, które nigdy za życia stamtąd nie wyjdą.

— Usiłujesz mnie zastraszyć, żebym zgodziła się na współpracę?

— Chcesz usłyszeć szczerą odpowiedź?

— Spróbuj ją dać.

— Tak, usiłuję cię zastraszyć, ale dla twojego własnego dobra. Przestaniesz sprawiać mi kłopoty? Co ty na to, Zita?

Winda zjechała do przedsionka. Drzwi rozsunęły się. Viktor stał, trzymając w ręce zwiniętą zasłonę na twarz i nakrycie głowy. Wręczył je jej z powrotem.

Spojrzała na to, zerknęła na niego kątem oka, wyrwała mu zawiniątko z ręki, otarła sobie nim pot z czoła i twarzy i włożyła na siebie. Potem wyszła równym krokiem, przepchnęła się do drzwi i podeszła do czekającej na nich limuzyny, gdzie ubrany w liberię arabski szofer, otwierając im drzwiczki, bez powodzenia próbował ukryć uśmieszek. Zita zawahała się przed wejściem do samochodu, obróciła się do Viktora i powiedziała:

— Przynajmniej mógłbyś pozwolić mi oglądać widoki przez szybę.

W pięć minut potem — z odsłoniętymi szybami limuzyny — byli już na Sheikh Hamed Causeway, w drodze do portu lotniczego Muharraq. Podczas gdy Zita siedziała posępnie, przyglądając się przez przyciemnione szyby ponurej scenerii tworzonej przez bezbarwne wody Zatoki Perskiej, nie kończące się piaszczyste wybrzeże bez jednego drzewa na horyzoncie i bezkresną mgiełkę, Viktor rozmawiał przez bezprzewodowy telefon.

Rozmowa jego przekazywana była przez wyposażony w urządzenie przeciwpodsłuchowe aparat do łączności satelitarnej, zasilany z gniazdka zapalniczki samochodowej.

Zita bardzo słabo znała rosyjski. Z wyjątkiem paru słów nie rozumiała, o czym mówi Viktor ani z kim rozmawia. Zarzuciła próby domyślenia się, o co chodzi, oparła głowę o szybę i obojętnie patrzyła na monotonny krajobraz, dostosowując swój nastrój do niewesołych myśli. Zastanawiała się, gdzie w tej chwili podziewał się Jack, i wiedziała, że martwi się o nią i prawdopodobnie wciąż robi, co może, żeby ją odnaleźć. Szkoda, że nie ma czegoś takiego, jak kontrolowane przesyłanie myśli na odległość. Pragnęłaby wtedy połączyć się z nim telepatycznie... ale to był przecież dziecinny nonsens...

Zita zamknęła oczy i pomyślała o ostatniej nocy, którą spędzili razem w Amsterdamie. Rozkoszowała się wspomnieniem i cierpiała z powodu poczucia winy za ten ostatni



cudowny pocałunek, ich ostatni namiętny pocałunek w nocy, nim się wymknęła jak... jak... Jak on to ujął? Jak złodziej, który ukradł mu nocą serce i uciekł z nim... Tak, była złodziejką, i przygniatało ją poczucie winy. Całując wtedy Jacka po raz ostatni, kiedy ostatni raz trzymał ją w ramionach i powiedział, że ją kocha, wiedziała już, że następnego dnia wymknie się i zostawi go, żeby pójść do Viktora.

Potem, wczesnym rankiem następnego dnia, gdy tylko znalazła się u Viktora, zrozumiała od razu, że popełnia straszliwy błąd, ale wówczas było już za późno, a ona była zbyt harda i dumna, żeby przyznać się do tego przed sobą... Teraz wie lepiej.

Jak to mówią? Po fakcie każdy jest mądry. Tyle, że jest już za późno.

„Tak, Boris" — mówił Viktor po rosyjsku — „Fahad połknął przynętę razem z haczykiem. Najlepszą przynętą, która ostatecznie zdecydowała, była przekazana jego pomocnikowi Baradzie propozycja odłożenia spłaty do czasu rozpoczęcia produkcji w jego fabryce na Górze Silikonowej. Fahad tkwi po uszy w długach, próbując zaimponować innym szejkom, więc bierze bez gadania wszystko, co może dostać za darmo."

„Uważaj, żeby nie przedobrzyć, kiedy już będziesz w górach" — powiedział Voros. — „Fahad jest przebiegły. Nie podejmuj żadnego ryzyka i nie wykonuj żadnego posunięcia, zanim nie upewnisz się na sto procent, gdzie jest POTH i że będziesz w stanie go stamtąd wydostać bez uszkodzeń. A także nie lekceważ jego milicji. Jest dobrze wyszkolona."

„I lojalna wobec niego?"

„To jemeńscy najemnicy. Nie będą walczyć na śmierć i życie za Araba. Nie pałają wielkim entuzjazmem, ponieważ Arabowie to ich odwieczni wrogowie i mają to we krwi. Żyją zgodnie z dewizą: Ten, kto dziś ucieknie i przeżyje, jutro będzie mógł walczyć."

„Dowiedziałeś się, ilu ich tam jest na górze?"

„W tej chwili" — rzekł Voros — „może być zaledwie pięćdziesięciu, albo nawet mniej, a na pewno nie więcej niż siedemdziesięciu. Pamiętaj, są dobrymi strzelcami i równie dobrze walczą wręcz, ale powszechnie wiadomo, że nie są bohaterami. Dwunastu najemników, którzy czekają na ciebie teraz na lotnisku, to typowi, bardzo fachowi zawodowcy — trzech Niemców, dwóch czarnoskórych byłych amerykańskich spadochroniarzy i pięciu innych, różnej narodowości. Kilku z nich ma czarne pasy, a jeden pretendował nawet do tytułu mistrza wagi ciężkiej. Zwerbowałem ich za pośrednictwem tego pułkownika z Pretorii, który już przedtem dostarczał nam żołnierzy. Poręczył za wszystkich. Są doskonali w walce wręcz i dostaną szczodre premie, jeśli będą dla nas walczyć skutecznie. Co najważniejsze, umieją słuchać rozkazów, więc powinieneś zdeklasować milicję Fahada z łatwością, mimo że ma przewagę liczebną."

„Mogą uchodzić na inżynierów?"

„Jeżeli dasz im plik skoroszytów i ołówki oraz podduczysz ich porządnie, możesz zwieść Fahada. Jednak nie martwiłbym się o to. Jak sam mówisz, Fahad nie będzie darowanemu koniowi zaglądał w zęby. To ty sam musisz być przekonujący, dopóki nie zmięknie. I powiem ci, Viktorze, mój chłopcze, że w najmniejszym stopniu nie boli mnie o to głowa. Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który w razie konieczności zdołałby namówić wschodnich Niemców, żeby odbudowali sobie Mur Berliński i z powrotem postawili zapory."

„Dojeżdżamy już w rejon portu lotniczego" — powiedział Rostov.

„Jak już wcześniej ci mówiłem" — rzekł Voros — „nie powinno być żadnych problemów. Powtarzam jeszcze raz: twoi ludzie są na pokładzie helikoptera na końcu pola startowego, koło hangaru nr 6. Maszyna to sowiecki Mil Hip z zasięgiem 250 mil morskich. Masz pozwolenie na



zatankowanie paliwa na pustynnym lotnisku w Al Buryami, na zachodnim skraju pasma gór Hadżar, zanim udasz się dalej do punktu docelowego. Pozostanie ci aż nadto dużo paliwa, żeby dostać się do następnego punktu docelowego, po odlocie z góry Fahada z POTH-em, Ortmanem i jego ludźmi. Nazwa Viktor Mideast Engineering została wymalowana na kadłubie. Macie zezwolenie na przejście przez biuro imigracyjne jako obywatele Omanu. Gdybyś napotkał jakieś przeszkody, co raczej wątpliwe, skontaktuj się z Głównym Inspektorem Imigracyjnym, Turkim. To nasz człowiek w Bahrajnie, który uwiarygodnił wasze papiery i wyświadczył nam te wszystkie przysługi. Dobrych łowów."

Zita była wściekła. Viktor co prawda pozwolił jej odświeżyć się przez pięć minut w klimatyzowanej umywalni na lotnisku, ale zaraz potem zaprowadził ją z powrotem do helikoptera, nie rzekł ani słowa i przypiął ją łańcuchem za kostkę do tylnego siedzenia.

Przez następne pół godziny, kiedy Viktor i dwunastu mężczyzn w białych kombinezonach orzeźwiało się, sącząc Colę i słuchając z żywym zainteresowaniem tego, co do nich mówił, w zaskakująco nowoczesnej poczekalni dla pasażerów, ona musiała czekać poza budynkiem w pustynnym słońcu, skąpana we własnym pocie w tym piecu, w który zamienił się dwudziestosześciomiejscowy helikopter.

O piątej po południu, kiedy wreszcie wystartowali i skierowali się ku górom Hadżar, jej ciało ostygło, ale nie jej temperament. Obiecała sobie, że przy najbliższej nadarzającej się okazji wyrówna rachunki z Viktorem, nawet gdyby ta próba miała ją kosztować życie.

Kiedy przyglądała się Viktorowi, próbując odgadnąć, co kombinuje z tymi przenośnymi nadajnikami, skoroszytami, rulonami papieru i piórami rozdawanymi swoim ludziom, zastanawiała się, co takiego w nim widziała, co

nasunęło jej myśl, że go kocha. Poza nieregularnymi rysami i uroczymi europejskimi manierami — wtedy, kiedy chciał być serdeczny i uroczy — nie było w nim nic zupełnie, co by jej się podobało. Jak mogła być tak zaślepiona?

Viktor musiał przekrzyczeć ryk dwóch turbośmigłowych silników Isotova, żeby usłyszeli jego ostatnie instrukcje.

— Pamiętajcie, jesteście uważani za doradców technicznych, więc zachowujcie się jak inżynierowie, nie jak żołnierze. Powtarzam, rzeczą pierwszej wagi jest, żebyście grali swoje role przez cały czas. Nie chcemy wzbudzić w nich podejrzeń, dopóki nie zdążymy się rozejrzeć. Zaraz po pierwszym zwiedzaniu fortecy rozdzielicie się na dwuosobowe grupy. Kiedy będziemy wiedzieć, gdzie jest każdy z członków milicji i gdzie jest mały komputer, dla zdobycia którego zadałem sobie cały ten trud, i kiedy już zlokalizujecie sześciu cywilnych Europejczyków, których także mamy dostać, przegrupujemy się. Wtedy zdecyduję o planie akcji i powiem wam, co macie robić.

A teraz, panowie, chciałbym sprawdzić waszą broń. Najpierw kabury pod pachą.

Mężczyźni rozpięli białe kombinezony i siedzieli, przyglądając się, jak Rostov przechodzi wzdłuż foteli i kiwa głową z aprobatą na widok noszonych przez nich kabur i troków z cienkiego dakronu.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Pokażcie teraz do sprawdzenia karabinki Mach-10, żebym mógł się upewnić, że są zabezpieczone, a tłumiki zostały właściwie przykręcone.

Jak doskonale wyćwiczony oddział, wyciągnęli pistolety maszynowe, przyjrzeli się im, sprawdzili bezpieczniki, dokręcili tłumiki zgodnie ze wskazówkami zegara i podnieśli je w prawych rękach, żeby pokazać, że są gotowi.

— Magazynki. W każdym trzydzieści nabojów.

Rozległ się głośny równoczesny klekot, kiedy odpinali magazynki, naciskali na górny nabój, żeby sprawdzić, czy



są załadowane do oporu, a potem podpinali je z powrotem do pistoletów maszynowych.

Na skinienie głowy Viktora powsadzali pistolety do kabur, pozapinali się i siedzieli patrząc na niego w napięciu. W tym momencie maszyna wpadła w wyjątkowo silny wir powietrzny. Nie zwrócili na to uwagi.

— Co z zapasową amunicją? — zapytał jeden z mężczyzn, trącając nogą ciężką brezentową torbę pod siedzeniem.

Viktor potrząsnął głową i kopnął z powrotem torbę pod siedzenie. — Wszystko inne zostaje tutaj. Tak jak powiedziałem podczas wstępnej odprawy, będziemy polegali na elemencie zaskoczenia i na naszych nożach, żeby ich załatwić. Ciężkie magazynki wystające wam z kieszeni zostałyby zauważone. A także całe to dodatkowe obciążenie przeszkadzałoby w ruchu i wstrzymywało was, kiedy dojdzie z nimi do starcia.

Przerwał na chwilę, spojrzał po twarzach wszystkich mężczyzn, a potem rzekł: — Jakieś pytania, panowie?

Musiał chwycić się nad głową szyny do trzymania, kiedy helikopterem zaczęło rzucać i miotać na boki w nowym silnym wirze powietrznym.

Nikt nie przytaknął ani nie odpowiedział. Nikt nie zwracał uwagi na niespokojny lot.

— Bardzo dobrze. I na koniec jeszcze jedno: jest rzeczą niezbędną, żebyście pamiętali, że jesteście inżynierami, którzy przybyli tam dokonać inspekcji całego terenu w celu rozplanowania i zaprojektowania kompletnej fabryki do produkcji elektronicznych urządzeń przeciwlotniczych. Będziecie udawali, że próbujecie wyznaczyć najlepsze miejsca do zmontowania linii produkcyjnych, aparatury testującej, komputerów, biur, kwater pracowniczych, stołówek fabrycznych, pomieszczeń do wypoczynku, kuchni, stanowisk pracy, działu transportu i tak dalej. Kiedy będziecie się rozglądać, oczekuję od was, że otworzycie wszystkie drzwi, wejdziecie do każdego pomieszczenia i przeszukacie każdy zakątek i każdą szparę w fortecy. Jasne?

Wszyscy przytaknęli.

„Cel w polu widzenia, panie Viktor" — odezwał się głos pilota w głośnikach.

Viktor poszedł na przód helikoptera, przypiął się pasami do siedzenia tuż za kokpitem i przyglądał się przez szybę, jak zaczynają schodzić z dwunastu tysięcy stóp. Przejrzysta biała mgiełka przesłaniała odległe góry, ale fort Fahada na szczycie był wyraźnie widoczny.

Pilot zmniejszył prędkość, ustawiając skok i obroty. Kiedy znajdowali się w odległości jednej mili od celu, pilot ustawił maszynę prosto pod wiatr, wyregulował obroty przedniego wirnika i zwiększył kąt natarcia łopat. W parę chwil później stanęli w zwisie nad lądowiskiem i opadli łagodnie na całe podwozie.

Podczas gdy dwaj mężczyźni otwarli luk i spuścili schodki, Viktor poklepał pilota po ramieniu. Pilot odwrócił się na siedzeniu. Wtedy Viktor wręczył mu plastikowe pudełko z namalowanym czerwonym krzyżem i wskazał na ogon, gdzie siedziała Zita. Gdy pochylił się nad pilotem, jego oczy napotkały spojrzenie Zity.

— Jeśli będzie sprawiać ci jakieś kłopoty, daj jej zastrzyk z morfiny.

Pilot otworzył pudełko, skinął potakująco głową i zerknął do tyłu na Zitę.

W tej samej chwili na szczycie baszty, dwadzieścia metrów nad dachem dawnej sali tronowej, której okna wychodziły na lądowisko dla helikoptera, Jack i Styx wyszli z zacienionych schodów i podczołgali się do blanków. Musieli przejść wzdłuż murów ze schylonymi głowami, żeby nie dostrzegł ich wartownik stojący na szczycie drugiej baszty, na przeciwległym krańcu fortecy. Kiedy byli już pewni, że nie można ich dostrzec, uklękli za jednym z dwóch otworów strzelniczych w kamiennym murze, wyjęli polowe lornetki i spojrzeli w dół na helikopter. Trzech mężczyzn stało na skraju lądowiska. Jeden z nich



miał na głowie *kaffiyeh*, a na okrytej rękawicą lewej ręce siedział mu sokół. Drugi mężczyzna ubrany był w długie, pasiaste dishidashi, trzeci zaś nosił popielaty garnitur i krawat.

— To Rostov — powiedział Jack. — Co on, do cholery, tu robi?

— Wkrótce się dowiemy — odezwał się Styx. Pośpiesznie otwarł plecak i wyjął z niego mikrofon kierunkowy, sterownik i parę mikroskopijnych słuchawek. Jedną słuchawkę wręczył Jackowi, drugą przytknął sobie do prawego ucha, włączył wzmacniacz i wycelował mikrofon.

Mimo nieustannego wycia wiatru mogli wyraźnie usłyszeć wszystko, o czym mówiono. W tym samym momencie ludzie w białych kombinezonach ze skoroszytami w rękach zaczęli wysiadać z helikoptera. Próbowali formować się w wojskową kolumnę, ale jeden z nich zreflektował się, co robią, i dał znak pozostałym, żeby się rozeszli i leźli powoli jak cywile.

— A oto mój zespół inżynierów, szejku Fahadzie — powiedział Rostov.

— Jak oni są inżynierami — odezwał się Styx — to ten białozór na ręce szejka jest kurczakiem. — Styx ustawił szkła, nakierował je na ptaka i zagwizdał. — Spójrz na te pazury. To noże.

— Ten mały gruby facet musi być majordomusem Fahada — powiedział Jack.

— Możliwe. — Styx wodził spojrzeniem po mężczyznach w białych kombinezonach. — Te skurwiele noszą kabury pod pachą. Wielu z nich. Rzuć okiem na wojskowe buty, jakie kilku z nich nosi.

Jack spojrzał, wodząc za nimi lornetką, w miarę jak defilowali przed mężczyzną w dishidashi.

— A teraz, panie Viktor — Jack i Styx usłyszeli Fahada ruszającego spacerkiem w kierunku wejścia do budynku pod nimi — w czasie gdy pańscy ludzie będą się rozglądać po terenie mojej przyszłej fabryki na Górze Silikonowej,

pozwoli pan, że ustalimy z grubsza kwestie finansowe. Kiedy rozwiążemy tę sprawę, będziemy mogli przejść do omówienia sposobu, w jaki zamierza pan zorganizować moją fabrykę broni przeciwlotniczych. Ale najpierw sprawa pieniędzy. Jak mówiło się w czasach, kiedy robiłem doktorat na politechnice: *„I gówno pomaszeruje, jak forsę wyczuje"*.

Kiedy zniknęli w drzwiach i nie dało się już ich dłużej podsłuchiwać, jedynym dźwiękiem, jaki dochodził do Jacka i Styxa, był świst wichru w uszach.

Jack zdjął słuchawki, opadł plecami na murek blanków i powiedział: — A to sprytny skurwysyn. Dlaczego sam nie pomyślałem, żeby dostać się tu tą drogą?

— Gdybyś to zrobił — odezwał się Styx, zdejmując słuchawki i odkładając do plecaka system podsłuchowy — mielibyśmy jeszcze gorszy problem niż teraz. Rostov ze swoimi żołnierzami w konkurencji z nami, żeby wykołować, a potem dorwać Fahada — to *naprawdę* byłoby coś.

Patrząc na spowite mgłą góry w oddali, Jack powiedział pewnym głosem: — Niespodziewanie może się to okazać korzystne.

Styx spojrzał na niego i rzucił mu jeden ze swoich trupich uśmiechów. — Czy myślisz o tym samym, co ja?

— Skąd wiesz? — odrzekł Jack z ponurym uśmiechem, ściągając na oczy kominiarkę i sadowiąc się wygodnie.

Styx wyciągnął długie nogi, oparł się o mur, ściągnął kominiarkę, wystawił twarz do zamglonego słońca i zdrzemnął się.

Zarazem można było wygodnie sobie posiedzieć i trochę odpocząć. Już za chwilę będą bardzo zadowoleni, że tak zrobili.

# 18

DŻABAL ASWAD
Wtorek, 3 sierpnia
22.00

W kryjówce na szczycie baszty, wysoko nad dachem sali tronowej z oknami wychodzącymi na lądowisko helikopterów, Jack i Styx na zmianę pełnili wartę. Teraz obaj mężczyźni spoglądali przez noktowizory, skupiając się na obserwacji pilota w żółtej czapce z daszkiem, który na krótko przed zmierzchem wylądował małym helikopterem Bell.

Wyłonił się z drzwi, którymi członkowie milicji wnosili pudła, skrzynki i kosze z dostarczoną przez niego trzy godziny wcześniej żywnością, i zaczął obchodzić swój helikopter z latarką w ręku.

— Nie widzę już stąd Żółtej Czapki — powiedział Styx. — Co on robi?

— Dłubie w zębach wykałaczką. Musiał niedawno skończyć żreć. Zdaje się, że sprawdza swój helikopter. Stoi na zastrzale płozy i wyciąga pręt olejowy. Wyciera go, sprawdzał poziom oleju. Wyciera palce o kadłub. Czy ten drugi facet wciąż sterczy w głównej baszcie?

— Ciągle tam jest — odrzekł Styx. — Ćmi peta z nogami na parapecie okiennym.

— Żółta Czapka lezie teraz znowu do helikoptera Rostova. Obchodzi go wokół, oświetla latarką. Włazi do środka... ooo, druga latarka. — wyszeptał zaskoczony Jack. — Ktoś jest w środku.

— Taa, widzę go teraz — powiedział Styx. — To musi być pilot. To zabawne, że nie zauważyliśmy go przedtem.

— Podejrzliwy skurwiel z tego Rostova — rzekł Jack. — To w jego stylu, postawić w środku ukrytą wartę. Ej, tam na dole coś się dzieje. Człowiek z helikoptera Rostova walnął Żółtą Czapkę. Żółta Czapka leży, drugi facet się rozgląda, przeszukuje kieszenie Żółtej Czapki, wyciąga z nich wszystkie szpeje, zabiera mu zegarek, wkłada Żółtej Czapce czapkę, przerzuca go sobie przez plecy, podbiega do muru. O Boże... po prostu zrzucił go z urwiska.

Jakiś dźwięk z wnętrza wieży. Styx i Jack opuścili lornety, położyli je delikatnie na ziemi, podczołgali się do schodów i uklękli po obu ich stronach. Jack dostrzegł w świetle księżyca błysk noża Styxa.

Szept: — To my.

Styx wsadził z powrotem nóż do pochwy na prawej nodze, gdy Yossi i Kemal weszli na górę i przyłączyli się do nich.

Kemal spytał: — Co się dzieje?

Jack poinformował ich o sytuacji, powiedział im o człowieku ukrytym w helikopterze Rostova i zapytał, czego oni zdołali się dowiedzieć.

Kemal odrzekł: — Zajrzeliśmy do wszystkich okien po drugiej stronie. Są tam dwa piętra poniżej wielkiej sali, nad którą jesteśmy.

— Jak wam się udało to zrobić? — zapytał Jack.

— Yossi i ja na zmianę spuszczaliśmy się na linie. Lepiej szło nam po zachodzie słońca, kiedy już się ściemniło, bo nie musieliśmy uważać na ten punkt obserwacyjny na górze. Na środku pierwszego poziomu jest duża jadalnia, i wszystkie drzwi od pokojów na obu poziomach wychodzą na nią. Jest tam wysoki balkon biegnący wzdłuż pokojów na wyższym poziomie. Naliczyliśmy osiem pokojów na wyższym poziomie i dziesięć na poziomie hallu. Wiesz, to miejsce jest zbudowane jak stary zamek krzyżowców.

— Zostało zbudowane przez króla Persji — powiedział Jack — W dwunastym wieku.

Kemal wyjął z kieszeni na piersi skrawek papieru i roz-



prostował go. Uniósł go pod światło księżyca i pokazał wyraźnie narysowany szkic pięter fortecy.

— Poniżej tego dziedzińca są dwa piętra. Ortman i jego pięciu asystentów mieszkają na piętrze z balkonem, w pierwszych dwóch pokojach, tutaj i tutaj. Pozostałe pokoje zajęte są przez strażników. Naliczyliśmy pięćdziesiąt sześć prycz w koszarach, ale widzieliśmy tylko dwudziestu członków milicji.

— Doliczając ludzi, których widzieliśmy na warcie — dodał Yossi — mamy w sumie dwudziestu dziewięciu członków milicji, tych w szarych plamiastych panterkach. W tym są już dwaj oficerowie, których widzieliśmy. Wszyscy uzbrojeni są w AK-47. Oficerowie mają broń boczną.

Kemal znowu pokazał na kartkę papieru. — Widzieliśmy, jak ten mały gruby facet w dishidashi wychodzi z pokoju na pierwszym piętrze obok dużego apartamentu pełnego luksusowych mebli, nadajników radiowych i komputerów. To chyba kwatera szejka, ponieważ jest to jedyny tutaj całkowicie umeblowany apartament. Są jeszcze dwie dalsze sypialnie, tam i tam, natomiast zdaje się, że kuchnia i kwatery kucharzy znajdują się po drugiej stronie jadalni. Widzieliśmy czterech starych Arabów czekających przy stole. To tam jest teraz Rostov i jego paczka. Siedzą przy dwóch dużych stołach i jedzą. Szejk i ten gruby facet są z nimi.

— A co z POTH-em i dokumentacją?

Kemal znów pokazał na rysunek. Musieli zmrużyć oczy, żeby odcyfrować go w bladej poświacie księżyca.

— Dwóch wartowników siedzi na ławkach przed tymi drzwiami na drugim poziomie. Z balkonu mogą obserwować z lotu ptaka całą jadalnię poniżej, ale sądzimy, że pilnują tego pokoju. — Stuknął palcem w kartkę papieru. — Mój wrzód podpowiada mi, że tam właśnie jest POTH.

— Jeśli już mówimy o ptakach — odezwał się Styx, nie zwracając uwagi na komentarz Kemala o wrzodach — słychać je, ale ich nie widać. Gdzie dokładnie jest sokolarnia?

— Udało nam się rzucić na nią okiem — odrzekł Yossi. Wskazał na główną basztę po przeciwnej stronie. — Z drugiej strony wieży jest rząd klatek. Punkt dowodzenia milicji jest chyba tuż obok w dwóch niskich, kamiennych budynkach. Nie widać ich stąd, bo zasłaniają je mury obronne i blanki. Jeżeli przyjrzycie się uważnie przez otwory strzelnicze, może uda wam się je dojrzeć.

Jack i Styx podczołgali się do murów i chwycili za noktowizory. Skupili się na obserwacji murów obronnych i blanków po przeciwnej stronie oraz przyjrzeli się podstawie wieży, a potem Jack podał szkła Yossiemu. Yossi wziął je, powoli przepatrzył cały rejon i rzekł, nie zaprzestając obserwacji:

— Nie, stąd ich nie widać, ale są po drugiej stronie murów obronnych. Przez otwory strzelnicze mają stamtąd doskonałe pole obserwacji na lądowisko helikopterów i wszystkie drzwi wychodzące na górny dziedziniec pod nami, z wyjątkiem drzwi znajdujących się tuż pod nimi, przez które wnosili zaopatrzenie.

— Mogą prowadzić prosto do spiżarni i kuchni — powiedział Styx.

— Gdzie prawdopodobnie jedzą służący i strażnicy — dorzucił Yossi.

— Żółta Czapka dłubał w zębach, kiedy stamtąd wyszedł — powiedział Jack, a potem zapytał: — Macie pojęcie, gdzie może być zbrojownia?

Styx wskazał ręką i spojrzał przez lornetę. — Według moich przypuszczeń jest za tymi małymi żelaznymi drzwiczkami w murze, jakieś sześć metrów od drzwi do kuchni. Wiszą na nich dwie duże kłódki.

— Myślę, że masz rację — rzekł Yossi. Nagle podniósł rękę i rzekł przyciszonym tonem: — Jeden z członków milicji podchodzi do drzwiczek, sprawdza je, oświetla latarką kłódki. Ruszył dalej. Ma przy sobie AK-47. Podchodzi do helikoptera Bell, oświetla go. Teraz podchodzi do muru. Staje na nim, rozpina się.



Styx przeniósł lornetę z członka milicji na duży helikopter. — Jakiś człowiek wychodzi z maszyny Rostova. Podkrada się za plecami faceta sikającego ze skarpy. Chwyta go za gardło, wyrywa mu karabinek z ręki, żegnaj, szczylu.

Yossi opuścił lornetę i oddał ją Jackowi. W świetle księżyca jego twarz wyglądała jak zamieniona w żywe srebro.

— Masz tu, weź ją. Nie czuję się najlepiej.

Styx nie zwrócił uwagi na Yossiego i powiedział do Kemala i Jacka: — Zaczyna się. Będą teraz pojedynczo wykańczać bandę Fahada. To z pewnością jest godzina zero. — Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. Na tarczy było trochę po 22.00.

— Wolałbym mieć do czynienia z facetami Fahada niż z najemnikami Rostova — powiedział Kemal.

Jack i Styx wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

— Co w tym zabawnego? — spytał Yossi.

— Nie martw się o to — odrzekł Jack, chichocząc z rozbawieniem. — Nie będziemy się ścierać z żadną bandą. Już wkrótce będą się wykańczać nawzajem, a nam pozostanie tylko upewnić się, że robią to porządnie.

Kemal zaczął się uśmiechać, klepnął Yossiego po ramieniu i spojrzał mu w twarz. — Lepiej się teraz czujesz?

Yossi zmrużył oczy w uśmiechu. — Co masz na myśli?

— Pilot helikoptera Rostova i dwunastu najemników dają razem nieszczęśliwą liczbę — zaczął Jack. — Jestem gotów się założyć, że gdyby nam się udało zaalarmować Fahada, nie ujawniając przy tym, że tu jesteśmy, rozkazałby swoim ludziom otworzyć ogień do grupy Rostova, a w ten sposób mielibyśmy przeciw sobie tylko Rostova i Fahada, i jeszcze być może jednego albo dwóch zmaltretowanych, pokrwawionych facetów.

— Mój wrzód już mniej mi dokucza — powiedział Kemal.

— Podoba mi się to, podoba mi się — rzekł Yossi. — Ale jak doprowadzimy do walki pomiędzy nimi?

Styx uciszył ich, szybko uniósł się na kolana i uważnie rozejrzał się przez noktowizor.

— Otwierają się drzwi od kuchni, wychodzi dwóch facetów w białych kombinezonach. Palą pety, podchodzą do helikoptera Rostova, przełażą przez płozę. Może gdyby udało nam się wyciągnąć tych dwóch — powiedział nie opuszczając lornety — i może gdybyśmy zostawili ich tam na dole, leżących na samym środku, i gdybyśmy potem zdetonowali parę wiązek mini-granatów, doszłoby do starcia, gdy tylko Fahad wybiegłby i zobaczył te ciężkie gnaty w kaburach, które mają poupychane pod pachami.

— Tylko jedno jest złe w tym pomyśle — skomentował Jack, przyglądając się, jak podchodzą do dużego helikoptera. — Wiemy, że wewnątrz helikoptera jest przynajmniej jeden człowiek, a prawdopodobnie jeszcze jeden lub dwóch dalszych. Zobaczyliby nas, zanim zdołalibyśmy załatwić ich na tym dziedzińcu.

— Moglibyśmy zaciągnąć ich do krawędzi murów dziedzińca — powiedział Styx, spoglądając w dół i wodząc wzrokiem po terenie poniżej ich baszty. — Krawędź murów jest dokładnie między nimi a miejscem, skąd moglibyśmy zrzucić tych dwóch w kombinezonach, nie zauważeni przez facetów w helikopterze.

Jack spojrzał na teren między podstawą ich baszty a dziedzińcem. — Myślę, że masz rację, Styx. Nie daliby rady zobaczyć z helikoptera, kiedy zrzucalibyśmy tamtych. Wręczył lornetę Kemalowi. Kemal przysunął się odrobinę bliżej blanków, wychylił się ponad murem, podniósł do oczu lornetę i spojrzał przez nią.

Styx odłożył szkła i sięgnął do plecaka. Wyjął mikrofon kierunkowy, konsolę sterującą i dwie słuchawki, wręczył jedną Jackowi, drugą przytknął sobie do ucha, włączył urządzenie i wycelował mikrofon w kierunku ludzi w białych kombinezonach. Potem wziął lornetę i przyglądał się, jak przechodzili przez lądowisko i zatrzymali się przy otwartym luku helikoptera.



— Wszystko załatwiłeś, Chuck? — usłyszał jednego z mężczyzn.

— Taa, i miałem sporo roboty — padła odpowiedź z drugiej strony.

— A pewnie, że miałeś.

— Zawsze trzymają się ciebie świńskie myśli, Ikey. Popatrz tutaj.

— Żółta Czapka, i co z tego?

— A popatrz na to.

— AK-47, skąd go wziąłeś?

Głos w środku odpowiedział coś, czego nie usłyszeli, a co rozśmieszyło obu mężczyzn. Wtedy jeden z nich powiedział:

— No to mamy o dwóch śmierdzących Arabów mniej na głowie.

— Co się teraz dzieje?

— Wszyscy są na dole, gdzie dają wyżerkę.

— Kiedy wreszcie się z tym uporamy? Chcę się stąd wydostać. To miejsce mnie wkurza. O której na nich uderzymy, wiecie coś o tym, chłopaki?

— Pan Viktor nie powiedział, ale rzucił słówko, że chce, żeby wszyscy zebrali się tu na górze. Za parę minut, jak skończą jeść, wszyscy zaczną się tu schodzić. Może wtedy nam powie.

— Sprytna sztuka z niego, no nie? Dowiedziałeś się o nim czegoś jeszcze? Co to za interes? Dlaczego taki ważny jest ten mały komputer, za którym się ugania? I ci faceci z Europy?

— Nie mamy pojęcia i nie wiemy nic ponad to, co powiedział już pułkownik Beard, że z niego kawał twardego skurwiela i że wdepcze w ziemię każdego, kto stanie mu na drodze.

— Otwierają się drzwi od kuchni — powiedział Jack.

Styx natychmiast nakierował na nie lornetę i obserwowali, jak wychodzi Rostov, a za nim dziesięciu ludzi w białych kombinezonach. Mężczyźni podeszli do heli-

koptera i otoczyli półkolem Rostova. Człowiek we wnętrzu helikoptera, klęczący w otwartym luku, był ledwie widoczny.

— Panowie — Jack i Styx usłyszeli początek przemowy Rostova. — Chcę, żebyście podzielili się na dwuosobowe oddziały, tak jak kazałem. Zróbcie to zaraz.

Jack i Styx zobaczyli, że się przegrupowują, a potem z powrotem stają półkolem.

— A teraz meldujcie — powiedział Rostov, wskazując palcem na pierwszy dwuosobowy oddział.

— Tutejszy garnizon mą połowę stanu osobowego — rzekł pierwszy z mężczyzn.

Stojący za nim dodał: — Naliczyliśmy jednego człowieka w dużej baszcie, kapitana i porucznika w kwaterach koło sokolarni, jednego człowieka w budzie radiowej, jednego wartownika tu na górze, dwóch wartowników przed drzwiami, gdzie przetrzymywanych jest sześciu Europejczyków, oraz sierżanta i szeregowca na dyżurce. Razem daje to dziewięciu ludzi i dwóch oficerów zmiany, która jest na służbie.

Następna zmiana obejmuje służbę o północy. Poranna zmiana zaczyna o 7.00, a psia warta zaczyna się o 15.00. W tej chwili szesnastu dalszych znajduje się w koszarach i w świetlicy. Cała załoga — dwudziestu siedmiu ludzi włącznie z podoficerami, plus dwóch oficerów.

Rostov wskazał ręką na następną grupkę. — Melduj.

— Jest dwóch arabskich kucharzy i czterech kelnerów, facet, który lata tym czajnikiem Bell, i ten stary flejtuch trenujący jastrzębie. Zostaje jeszcze szejk i ten rzezimieszek z tłustą dupą.

— Teraz ty — powiedział Rostov, wskazując na następnego.

— Nie mogliśmy nikogo więcej znaleźć. Wyszło mi, że tych arabskich śmierdzieli będzie tyle, co gadał tamten facet.

— A ty?



— To samo. Naliczyliśmy taką samą ilość arabskich śmierdzieli.

— Wszyscy zgadzają się z tym rachunkiem?

— Nie, panie Viktor — powiedział jeden z mężczyzn w szóstym oddziałku. To był Ikey. — Chuck wykończył pilota tego czajnika i wartownika z góry.

Rostov odwrócił się twarzą do pilota helikoptera, którego ledwie można było dostrzec przez lornetę, ponieważ siedział w głębi luku. — Dlaczego nie posłuchałeś moich rozkazów?

— Nie widziałem w tym nic złego. Takem se umyślił, że jak się ich pozbędę, będzie o dwóch śmierdzących Arabów mniej na głowie.

— Kiedy to zrobiłeś? Jak dawno temu?

— Aaa, nie wiem. Jaką chwilę temu. Może pół godziny, pięć minut w tę czy we wtę, jakoś tak.

Ikey odezwał się: — Chucky wywalił ich obu w krzaki.

Rozległ się przyciszony śmiech.

Głos Rostova przeszedł w syk. — Wy głupie buce. Taki kretyński wybryk mógł wszystko przekreślić. A teraz zapamiętajcie sobie, i to dokładnie. Od tej pory nikt nie kiwnie nawet palcem, dopóki nie wydam rozkazu. Zrozumiano?

Chórem odpowiedzieli: — Tak jest.

Rostov: — Godziną zero jest 5.00. Oddziały jeden i pięć, wy zajmiecie się wartownikami na balkonie. Oddział trzy, wy wyeliminujecie tych dwóch w strażnicy. Oddział cztery, wy załatwicie obu oficerów. Oddział pięć, macie pozbyć się człowieka na baszcie i tego drugiego w budzie z radiem, ale najpierw chcę, żebyście załatwili faceta od radia. Nie chcemy, żeby posłał w eter sygnały alarmowe. Oddział sześć, skoro jesteście w takim jowialnym nastroju, możecie zająć się kucharzami, kelnerami i sokolnikiem.

Oczekuję, że będziecie działać sprawnie i po cichu. Nie ma tu być żadnej strzelaniny, a żadnej nie będzie, jeśli załatwicie sprawę spokojnie. Kiedy wykonacie swoje zada-

nie, zbierzecie się w jadalni, usiądziecie za stołem i spokojnie wypijecie poranną kawę. Żaden z was nie ma prawa tknąć szejka ani jego pomocnika. Kiedy pozbędziemy się wszystkich członków milicji, osobiście zajmę się szejkiem Fahadem i tym drugim. A teraz, co do sześciu Europejczyków, żeby żaden nie tknął mi ich palcem. Nie wolno im zrobić krzywdy. Będziecie doglądać, żeby siedzieli plackiem w swoich pokojach i nie wychodzili. Jasne, panowie?

Chór głosów odpowiedział: „Tak jest!"

— A teraz tak — kontynuował Rostov. — Oddział jeden, zostaniecie tu na górze aż do godziny zero. Będziecie na zmianę spać i mieć na oku wszystko tu na górze. Wdrapcie się na tę opuszczoną basztę. — Rostov wskazał na basztę, gdzie siedział Jack i reszta, potem odwrócił się i skinął na człowieka w helikopterze. — Ty znasz także swoje rozkazy. Masz nie oddalać się od tej maszyny, zrozumiano?

Mrukliwa odpowiedź.

Rostov kiwnął na resztę i rzekł: — Panowie, odpocznijmy trochę. Szejk zapewnił mnie, że jest czysta pościel i nie ma robactwa na pryczach w południowej sypialni.

Rozległ się szmer ponurego śmiechu, podczas gdy szli z Rostovem do drzwi kuchennych i wchodzili za nim gęsiego do środka.

Styx zdjął słuchawkę, wyciągnął rękę do Jacka po drugą, zwinął w pętle przewody obu słuchawek, upchał je i cały aparat do plecaka i podczołgał się do schodów.

Jack, Yossi i Kemal podążyli chyłkiem za Styxem schodami w dół, na poziom dziedzińca. Potem Jack i Kemal zajęli stanowiska wewnątrz drzwi, a Styx i Yossi przycupnęli w cieniu podstawy baszty.

Kiedy usłyszeli, że nadchodzą obaj mężczyźni, wyciągnęli noże.

— Dlaczego zawsze dostają mi się do roboty jakieś gówniane nieistotne szczegóły? — słychać było słowa mężczyzny idącego na czele.



Dokładnie w chwili, gdy przełaził przez popękane kamienie progu w drzwiach, drugi odpalił: — Bo jesteś głupi buc.

Były to ostatnie słowa, jakie miał kiedykolwiek wypowiedzieć.

W sekundę później Styx chwycił go od tyłu i uciszył. W tym samym momencie Jack złapał drugiego mężczyznę wchodzącego do wieży za krtań, okręcił się gwałtownie i strzaskał mu kark. Następnie wynieśli oba ciała na teren zalany światłem księżyca, o dziesięć metrów od baszty, ułożyli je na plecach, rozpięli im kombinezony, żeby kabury pod pachami były wystawione na widok, i w pośpiechu wyspinali się z powrotem po krętych kamiennych schodach na szczyt wieży.

Czwarta godzina. Jack miał koszmarny sen. Śniła mu się Zita, widział ją w ramionach Rostova, słyszał, jak woła go po imieniu, i zerwał się ze snu. Rozejrzał się wokół z ciężko bijącym sercem. Dlaczego nagle poczuł się tak nieswojo? Pomyślał w tej chwili o Zicie i miał nadzieję, że wszystko z nią jest w porządku. Może Mossad ją odnalazł. A jeśli nie? Dowie się, kiedy złapie Rostova za gardło. *Uspokój się. Przestań myśleć w ten sposób.*

Wszędzie panował spokój. Nawet wiatr ustał. Na szczycie baszty wszyscy spali na siedząco, oparci o kamienne blanki. Kemal chrapał.

Jack trącił łokciem Styxa. Natychmiast otwarł oczy i wykrzywił twarz w trupim uśmiechu. Wtedy Jack trącił Yossiego i Kemala, którzy wyprostowali się na siedząco i zaczęli się rozglądać, a kiedy zobaczyli, że jest spokojnie, odetchnęli z ulgą.

Styx chwycił lornetę i omiótł wzrokiem blanki po przeciwnej stronie, basztę, a następnie dwa helikoptery i w końcu dwóch zabitych na dole na dziedzińcu. Wszędzie panował spokój. To była najwłaściwsza chwila.

Sięgnął po plecak, otwarł go i wyjął pudełko cukierków. M & M. Wyglądały jak różnokolorowe cukierki, ale to nie

były cukierki. Każda okrągła, spłaszczona pastylka zawierała silnie skoncentrowany żel wybuchowy. Po rozpuszczeniu przez parę sekund w zwykłej wodzie wybuchały z głośnym hukiem pod wpływem uderzenia. Jeśli pozwolić im moczyć się w wodzie co najmniej trzy minuty, aż rozpuści się cała kolorowa polewa, przy rzucie wybuchały z siłą ręcznego granatu. Umieszczone w szklanej butelce albo żelaznej rurze i w ten sposób rzucone, niosły straszliwe zniszczenia i śmierć.

Styx podsunął pudełko Jackowi. — Poczęstuj się.

— Zanim to zrobię — powiedział Jack, wyciągając z plecaka składany kubek i manierkę — myślę, że lepiej, żebyśmy się rozproszyli. Jeśli coś pójdzie nie tak, powystrzelają nas tu jak kaczki.

Spojrzał na Yossiego i Kemala. Skinęli potakująco głowami, chwycili plecaki, naciągnęli kominiarki głęboko na czoło i ruszyli na schody.

Kemal, zanim podążył za Yossim, zatrzymał się i powiedział: — W połowie drogi stąd do drugiej wieży jest występ murów. Stamtąd właśnie spuszczaliśmy się, żeby pozaglądać do okien. Będziemy tam na czatach.

Rozpiął kieszeń kurtki na piersi, wyjął mikrofon i przypiął go do paska w klapie. — Zadzwonimy do ciebie, jak będziemy już na miejscu. Wesołego Święta Zburzenia Bastylii.

W dziesięć minut potem Jack usłyszał szept Kemala przez mini-radio. Skinął na Styxa i patrzył, jak otwiera pudełko, usuwa opakowanie z waty i wytrząsa dwie garście różnokolorowych paciorków do kubka z wodą. Obaj chórkiem policzyli do dziesięciu, po czym Styx delikatnie wysypał zawartość kubka na swoją i Jacka dłoń, podniósł ją do góry i powiedział z szerokim uśmiechem: — Ty pierwszy.

Jack również uśmiechnął się szeroko i powiedział:

— Ależ nie, przyjacielu, ty masz pierwszeństwo.

— Cóż, skoro nalegasz — odrzekł Styx. Odwrócił się,



podczołgał się bliżej blanków i cisnął mini-bomby na środek dziedzińca, celując w miejsce odległe o około dziesięć metrów od rozciągniętych na ziemi ciał obu zabitych.

Nagle rozległa się kanonada wybuchów, która zabrzmiała dokładnie jak ogień karabinowy. Trzaski wybuchów obudziły ptaki w sokolarni, które zaczęły skrzeczeć. Zanim przebrzmiało echo w górach, rozległy się chrapliwe gwizdki podoficerów, a potem ryk syreny.

Styx obdarzył Jacka swoim ohydnym uśmiechem. — Na co jeszcze czekasz?

Jack rzucił swoją garść poza blanki. W parę sekund później, kiedy mini-bomby zaczęły uderzać o kamienne podłoże dziedzińca, rozległa się następna salwa strzałów.

W parę chwil potem członkowie milicji Fahada zaczęli nadbiegać dziedzińcem, niektórzy w samych spodniach, inni tylko w szortach, a kilku w pełnym umundurowaniu. Wszyscy byli uzbrojeni. Obaj oficerowie i wszyscy podoficerowie mieli latarki. Podczas gdy bezładnie biegali we wszystkie strony, próbując ustalić źródło strzałów, kapitan dojrzał dwa ciała na podworcu, zaczął krzyczeć, i wszyscy zbiegli się, żeby na nie popatrzeć.

W kilka chwil później wypadł z budynku Fahad, zobaczył swoich ludzi pochylonych nad zwłokami i truchtem pobiegł w ich kierunku. Gdy dobiegł do kapitana i zobaczył, że ten wyciąga pistolet maszynowy z kabury przy jednym z ciał w białych kombinezonach, natychmiast zaczął pokrzykiwać na swoich strażników, rozkazując im zabić wszystkich ludzi Rostova. Niektórzy nie usłyszeli go, ponieważ syrena alarmowa buczała w kółko.

Niespodziewanie od strony drzwi kuchennych dobiegło staccato ognia z pistoletów maszynowych. Fahad i jego ludzie rzucili się na ziemię, szukając osłony, i poszli w rozsypkę. Kapitan milicji wycelował Mach-10, który zabrał z trupa, w drzwi od kuchni i otworzył ogień do dwóch mężczyzn w białych kombinezonach, ostrzeliwu-

jących ich z wnętrza przedsionka. Jeden z nich padł na twarz, upuszczając broń, wił się w agonii, powlókł się dwa metry po podworcu, skręcił się w drgawkach i zesztywniał.

Kapitan nie przestał strzelać, dopóki nie opróżnił magazynka, potem wyrzucił broń, padł na ziemię, żeby uniknąć następnej serii z broni maszynowej, nadlatującej od kuchennych drzwi, wyciągnął broń boczną i odpowiedział ogniem.

Fahad co sił w płucach wykrzykiwał nadal rozkazy, ale jego słowa tonęły we wściekłym jazgocie syreny. Kiedy dotarło do niego, że nikt nie słyszy jego krzyków, zaczął biegać po obwodzie dziedzińca wzdłuż murów, rzucił się pędem do strażnicy i zniknął za murami obronnymi. W chwilę później syrena przestała wyć. Z wyjątkiem kilku pojedynczych strzałów, dochodzących gdzieś z dołu fortecy, i sierżantów Fahada wywrzaskujących rozkazy nie było słychać żadnych innych odgłosów.

Styx cofnął się od blanków i uśmiechnął się szeroko do Jacka. Jack spojrzał na niego, pokiwał głową z rozbawieniem i w tej samej chwili usłyszał głos Kemala w głośniku.

„Sześciu najemników Rostova zabarykadowało się w koszarach. Ludzie Fahada próbują wyłamać drzwi."

„Gdzie teraz jesteś?" — spytał Jack.

„Dokładnie nad oknem od koszar."

„Dlaczego nie rozruszasz ich trochę za pomocą paru granatów?"

„Zrobi się" — odrzekł Kemal.

W czterdzieści sekund później rozległy się dwie stłumione eksplozje, a potem krzyki. Po dalszych kilku chwilach do ich uszu doszły dwie serie z broni maszynowej AK-47. Ludzie Fahada byli wewnątrz koszar, wykańczając resztę obrońców.

Znów rozległy się sporadyczne strzały, tym razem z jakiegoś innego miejsca w dole fortecy. Wtem dwóch mężczyzn w białych kombinezonach wypadło z drzwi kuchennych, przeskakując przez ciało i kuląc się z kolbami pistoletów maszynowych przytkniętymi do ramienia w pozycji gotowej do strzału. Natychmiast powietrze przecięła seria wystrzelona z baszty. Obaj mężczyźni rzucili się na kamienną posadzkę, gdy bzykające, odbijające się rykoszetem kule zaczęły obsypywać ich odpryskami kamieni. W parę sekund później toczyli się po ziemi w kierunku drzwi i przeturlali się przez próg jak czmychające do wody białe krokodyle.



Styx odpiął kuszę, nałożył strzałę i był już o krok od wzięcia na cel strażnika z baszty, gdy Jack schwycił go za nadgarstek i powstrzymał.

— Dorwiesz go później. Teraz trzyma tamtych w szachu. Rostov ma teraz o czterech najemników mniej, nie licząc jednego albo dwóch, którzy mogą ukrywać się w helikopterze. Tak długo, jak ten nasz facet z baszty tam sterczy, nie ma mowy, żeby Rostov dotarł do helikoptera.

— Nic dziwnego, że nie padły ze śmigłowca żadne strzały — powiedział Styx, zdejmując z kuszy bełt ze stalowym grotem. — Ten z baszty nie wie, że ktoś tam jest, w innym przypadku waliłby do niego tak długo, aż trafiłby w zbiornik paliwa i wysadził wszystko w powietrze.

„Jack?" — To był Kemal. Przez radio.

„Słyszę cię "— odparł Jack.

„Najemnicy Rostova wyrzynają Jemeńczyków Fahada jak szaleni. Wszędzie leżą ciała, w jadalni i na balkonie. Doliczyliśmy się w pokojach jedenastu."

Jack podniósł się szybko na kolana, rzucił okiem na dziedziniec i z powrotem przypadł do ziemi. — „Tu na górze widzę jeszcze trzy ciała."

„To razem czternaście. Zostało może czternastu czy piętnastu, nie jestem pewien. A jak wygląda rachunek strat po drugiej stronie?"

„Licząc dwóch, których sami załatwiliśmy, jednego w drzwiach od kuchni i sześciu, których ty sprzątnąłeś, Rostovowi zostało trzech."

„Ho, ho, nasza strona górą."

„Widziałeś Fahada? Przed chwilą spostrzegliśmy go, jak wpadł do wartowni, zanim syrena przestała wyć."

„Yossi rozpracowuje właśnie tamten kierunek. Ja go osłaniam. Rachuj dobrze i nie oszukuj. Wygrany bierze całą stawkę. Cha, cha, cha."

„Jak tam z twoim wrzodem?"

„Krwawi jak cholera. Tak mi się zdaje. Ale jeszcze ze mnie nie cieknie. Ssam tabletki. *Ciao*, kolego."

Świt. W bladym świetle na tle jaśniejącego nieba zarysowały się sylwetki gór. Styx wziął kuszę, pęk strzał, swojego Uzi i ruszył schodami w dół.

— Dokąd idziesz? — spytał go Jack.

— Wkurza mnie ten facet w śmigłowcu. Dostanę go, zanim zamieni się w pochodnię. — Po chwili zniknął na dole klatki schodowej.

„Jack?" — Teraz Yossi na łączu.

„Jak ci leci?"

„Zdaje mi się, że przed chwilą widziałem Fahada koło sokolarni. Nie ma go tam teraz. Zobacz, czy nie dojrzysz go gdzieś z miejsca, w którym jesteś."

Jack wziął lornetę, podczołgał się do blanków i omiótł spojrzeniem cały teren od lądowiska helikopterów po podstawę przeciwległej baszty. Spojrzał w górę i zobaczył wartownika.

Potem ujrzał Fahada. Stał obok wartownika w drugim okienku wieży. Fahad trzymał poziomo wyciągniętą rękę w rękawicy.

Pokazywał w kierunku Jacka.

„Widzę go. Na szczycie wieży. Okienko na północ od okna wartownika."

„Mam go" — powiedział Yossi.

Rozległ się strzał. Gwałtowny huk odbił się równocześnie echem w kieszonkowym nadajniku Jacka.

Jack zobaczył, że Fahad słania się na nogach i pada na



twarz. Ujrzał także, jak wartownika obok Fahada rzuca do tyłu, gdy Yossi wystrzelił po raz drugi.

Ale Jack nie zobaczył białozora, sokoła z pazurami z ostrej jak brzytwa stali, który oderwał się od okrytego rękawicą ramienia szejka Fahada ibn-Nasira.

Nie widział także, że wzbił się na pięćset stóp ponad jego głową, zaczął zataczać kręgi, a potem z wyciągniętymi do przodu szponami i szeroko rozczapierzonymi stalowymi pazurami zaczął spadać prosto na niego.

# 19

DŻABAL ASWAD
Środa, 4 sierpnia
6.20

Styx wdrapał się na mur na krawędzi urwiska za wielkim helikopterem Rostova i zaczął podczołgiwać się do niego. Kiedy znalazł się nie dalej niż o dziesięć metrów, w połowie drogi, zatrzymał się i rozejrzał, żeby się upewnić, czy nikt go nie obserwuje, i zerknął w górę na główną basztę. Wartownik wychylał się z okna, przyglądając się czemuś w sąsiednim oknie.

Wartownik przyglądał się szejkowi Fahadowi, który wychylał się z drugiego okna. Fahad wysunął za okno rękę w rękawicy z siedzącym na niej białozorem. W chwili gdy Styx dostrzegł Fahada, sokół wzleciał w powietrze i wzniósł się wysoko ponad szczyt drugiej baszty — baszty, gdzie Jack w tym właśnie czasie klęczał za blankami.

Gdy Styx ujrzał wzbijającego się w powietrze ptaka i zdał sobie sprawę, że jego celem jest Jack, przykląkł na jedno kolano, założył strzałę na kuszę, napiął cięciwę i wycelował.

Niezwykle starannie wiódł wzrokiem za ptakiem, obserwując i zapamiętując, jak wykorzystuje prądy powietrzne, by panować nad swoim lotem i zmieniać szybkość, jaki jest kierunek i prędkość wiatru, sądząc po poruszeniach jego piór, jaka jest wysokość lotu i odległość i jaką dokładnie poprawkę należy przyjąć.

Jego Uzi nie był dość celny na taką odległość, by ryzykować strzał, więc nawet nie pomyślał o użyciu go. Stawka szła o życie Jacka i nie było miejsca na błąd. Nie



chciał również używać broni palnej, gdyż mogło to zaalarmować człowieka, albo ludzi, wewnątrz helikoptera. Nie posłużył się także radiem, by ostrzec Jacka, ponieważ nie wystarczyłoby czasu na wyciągnięcie mikrofonu z głębi kieszeni na piersi; poza tym byłoby słychać jego głos.

W chwili, gdy białozór osiągnął zenit swego lotu i krążył w przestrzeni z rozpostartymi skrzydłami, wyciągniętymi przed siebie nogami i rozczapierzonymi szponami, Styx wziął go na cel, ustalił dokładny punkt na trajektorii lotu ptaka, w którym znajdzie się on w tym samym ułamku sekundy, kiedy uderzy w niego strzała, wstrzymał oddech i czekał. Czekał. *Czekał*...

W momencie gdy ptak rozpoczął atak nurkowaniem w kierunku Jacka — Jacka, który był zupełnie nieświadomy tego, co się dzieje, i klęczał ukryty za blankami — Styx delikatnie nacisnął spust kuszy.

Strzała uderzyła w cel. W pół drogi ptak zawirował, przekoziołkował w powietrzu z powykrzywianymi skrzydłami i runął jak kamień w stronę wieży. Po sekundzie uderzył w blanki z głośnym łomotem, nie dalej niż metr od Jacka.

Zaskoczony Jack rzucił się na ziemię, ujrzał ptaka, strzałę, fruwające pióra, podniósł się, spojrzał w dół, zobaczył Styxa klęczącego z drugiej strony helikoptera z kuszą przy ramieniu, pokiwał głową i podniósł prawą rękę z wyciągniętymi dwoma palcami. Powiedział do mikrofonu: „Po raz drugi jestem ci coś winien, Styx. Dziękuję."

Styx usłyszał go przez radio, ale nie mógł odpowiedzieć. Jego zminiaturyzowany mikrofon spoczywał w kieszeni na piersi, poza zasięgiem. Ponadto ci z helikoptera mogliby go usłyszeć.

„Hej, co tam się dzieje na górze?"

„To ty, Avi?" — spytał Jack.

„Tak, jaki wynik? Słuchaliśmy waszego totalizatora."

„Zdejm siatkę maskującą z helikoptera i bądź gotów

przylecieć tu na każde wezwanie. Nie jesteśmy jeszcze pewni sytuacji, ale sprawa dojrzewa i nie wygląda najgorzej. Wiemy, gdzie jest Ortman i pozostali, i chyba wiemy także, gdzie jest POTH. Fahad jest uziemiony, podobnie jak prawie wszyscy jego ludzie. Na razie nie widać Rostova, ale jest tu gdzieś — i jest jeszcze paru innych w terenie i jeden albo dwóch w helikopterze Rostova."

„Hej, Jack?"

„Mów Yossi."

„Kemal i ja jesteśmy w środku na balkonie. Wszędzie pełno ciał. Przechodziliśmy koło pokoju Ortmana. Słychać było głosy. Są zamknięci, więc będą siedzieli grzecznie i bezpiecznie, aż otworzymy sobie przejście do was na górę."

Z dołu nagle rozległy się strzały. Zaświstały kule. Jakiś mężczyzna wrzasnął cienkim głosem. Radio Jacka powtórzyło echem wszystkie dźwięki.

Znów Yossi. — „Możesz powiedzieć *shalom*. To był grubas w dishidashi".

Kemal: „Yossi, za tobą...!"

Strzały. Następna wściekła seria z automatu. Trzaśnięcia. Przeładowują.

Jack omiótł lornetą cały teren. Zatrzymał wzrok na Styxie. Był teraz pod helikopterem Rostova.

Jack ponownie przepatrzył teren. Jakieś ruchy od strony drzwi kuchennych. Biegnące postacie. Rostov. Jack chwycił Uzi, strzelił do Rostova, ale pociski chybiły. Za późno, żeby posłać mu następne. Rostov dał nura z powrotem do kuchni. Powinien był się nie spieszyć i dobrze wycelować.

Nagła strzelanina od strony helikoptera Rostova. Jack podniósł lornetę i spojrzał w dół. Zobaczył AK-47, zanim jeszcze dojrzał wyłaniającego się mężczyznę. Mężczyzna strzelił, żeby zwrócić natychmiast czyjąś uwagę. Trzymał lufę karabinka szturmowego wycelowaną w kogoś w czerni. W czarnej sukni. W kobietę.



To była Zita!

Jackowi serce niemal pękło w piersi. Zaczęło dławić go w gardle i poczuł, jak napina się każdy mięsień jego ciała. Mój Boże, skąd ona się tu wzięła?

*A pod helikopterem, niecały metr od nich, Styx!*

Jack ryknął do mikrofonu. — „To Zita, *Zita!* Na miłość boską, Styx, nie ruszaj się — nie wykonuj żadnych ruchów. Zostań na miejscu, stój na miejscu, nic nie rób. *Proszę cię.* Ten skurwysyn przytknął jej broń."

Styx nie poruszył się.

Mężczyzna powoli ściągnął Zitę na ziemię obok siebie. Lewą ręką trzymał ją za włosy na karku, odginając jej głowę do tyłu. Lufa AK-47 wpijała jej się w podbródek. Zaczęli wycofywać się spod wirnika. Na skraju pomalowanego na biało lądowiska zatrzymał się.

— Lund!

To był Rostov krzyczący zza osłony kuchennych drzwi po drugiej stronie dziedzińca.

— Słyszysz mnie, Lund? Mam Zitę i mam POTH-a. Wychodzę teraz, Lund. Słyszysz mnie? Wychodzę, i jeśli spróbujesz jakiejś sztuczki, Zita zginie. Pokaż się, Lund, odpowiedz mi, skurwysynu!

Jack stanął wyprostowany i krzyknął z blanków wieży:

— Poddaję się, Rostov.

Rostov wyszedł z odrzwi, trzymając w lewej ręce POTH-a. W prawej miał AK-47.

— Wyszedłem, Lund. Rzuć na dół broń, Lund. Ale to już, bo Zita będzie trupem.

Jack wyrzucił Uzi przez blanki. Pistolet upadł z trzaskiem na dziedziniec i pękł.

— Powiedz swoim ludziom, żeby złożyli broń. Natychmiast, albo Zita jest martwa.

Jack powiedział do mikrofonu cichym głosem: „Róbcie, jak mówi, wszyscy. Styx, słuchasz mnie?"

Styx pogrzebał w kieszeni, znalazł mikrofon, wyciągnął go i przypiął do paska na klapie kurtki. — „Słyszę cię" — powiedział.

Mężczyzna trzymający Zitę odwrócił się i spojrzał w górę na wieżę, gdzie był Jack. Jack znowu podniósł do oczu lornetkę i przyjrzał się jemu i Zicie.

Wyglądała na przestraszoną. Śmiertelnie przerażoną. Miała zmierzwione włosy. Zobaczywszy ją, Jack poczuł ukłucie w sercu. Chciał zabić tamtego faceta i Rostova na miejscu, i to zaraz, ale nie ośmielił się ze względu na jej bezpieczeństwo. Liczyło się tylko jej bezpieczeństwo.

Rostov nagle puścił się biegiem i dopadł Zity i trzymającego ją mężczyzny. Przytknął broń Zicie do gardła, złapał ją, powiedział coś do mężczyzny, a potem cofnął się o krok, trzymając Zitę przyciśniętą do piersi. Mężczyzna odwrócił się i ruszył do helikoptera. Zanim zdążył uczynić następny krok, zatrzymał się, chwycił się za szyję i runął na twarz. Strzała rozerwała mu gardło.

Styx, klęcząc pod helikopterem, celował teraz z kuszy do Rostova. Z tej odległości nie mógł chybić. Rostov padłby w chwilę po tym, jak stalowy grot strzały i drzewce przeszyłyby mu czoło między oczami i rozszarpały mózg.

Lecz czy w tej samej chwili, w chwili nagłej śmierci, wskazujący palec Rostova nie drgnie spazmatycznie, posyłając Zicie kulkę w głowę? Ryzyko było zbyt duże.

Rostov rzucił okiem na martwego człowieka i krzyknął do Jacka: — Każ mu natychmiast rzucić ten łuk i wyjść stamtąd, bo jak nie, to ona oberwie. Mówię serio, Lund!

Jack zawołał do Styxa. — Rób, co mówi.

Styx z niezadowoleniem rzucił kuszę, wygramolił się spod helikoptera i stanął, wpatrując się w Rostova.

Rostov zaczął się cofać z lufą karabinka wciąż przyciśniętą do podbródka Zity. Powlókł ją w kierunku helikoptera Bell na drugim lądowisku. Kiedy znaleźli się w otwartych drzwiach, zawołał: — Lund, odlatuję stąd razem z nią, więc niczego nie próbuj, słyszysz mnie, Lund?

— Słyszę cię — wrzasnął Jack. — I, na Boga, Rostov, dostanę cię za to w swoje ręce. *Słyszysz, Rostov?*

Jack i Styx bezradnie przyglądali się, jak Rostov siłą



wciąga Zitę do helikoptera, dźgając ją lufą karabinka, a potem wdrapuje się za nią i zatrzaskuje drzwi.

Jack chwycił lornetkę i patrzył, jak Rostov w przeszklonej kabinie usadza Zitę po lewej stronie, a sam usadawia się obok niej. Zaklął. Rozpaczliwie rozejrzał się wokół. Żadnej broni. Nawet gdyby miał karabin, nie odważyłby się go teraz użyć. Odbity rykoszetem pocisk mógłby wysadzić ich oboje w powietrze, zamienionych w gigantyczną kulę ognia.

„Avi?" — krzyknął Jack do mikrofonu. — „Jak prędko możesz wystartować?"

„Natychmiast, Jack. Już przylatujemy."

W głośniku można było dosłyszeć jęk startera. Starter wciąż jęczał. Wtem silnik zakrztusił się, zgasł. Znowu jęk maszyny. Nie zaskoczyła. Jęczy i jęczy. Avi zaczął się modlić: „Startuj, dziecinko, startuj, no, dalej, dalej."

Ciągle jęk i nie zaskakuje. Upłynie kilka minut, zanim zdążą rozkręcić go, ogrzać, wyregulować temperaturę spalania w karburatorze i wystartować.

— Rusz ten cholerny czajnik! — wrzeszczał Simcha. — Rusz go, Avi.

Żadnego rezultatu. Jęk startera.

W tym momencie, za dotknięciem przycisku startera, wirnik helikoptera Rostova zaczął się obracać. Łopaty śmigła zaczęły wirować i nabierać prędkości, tnąc rzadkie górskie powietrze, młócąc je, zwiększając obroty do 200 na minutę... 250 na minutę...

Styx: — Jack, to jest szybsze i ma większy zasięg niż Bell, a zbiorniki są w ponad połowie pełne. Ładuj dupę do środka i ruszamy za nimi.

Jack kątem oka dostrzegł Styxa w kokpicie wielkiego helikoptera. Po sekundzie, kiedy ujrzał, że Styx wprawił w ruch potężne turbiny i podwójny wirnik zaczął się obracać, puścił się pędem do schodów i zbiegł na dół jak szaleniec.

Gdy w biegu wynurzył się z baszty, helikopter Rostova

odrywał się od lądowiska. W chwili gdy Jack dobiegł do dziedzińca i ruszył pędem przez otwartą przestrzeń w kierunku wielkiego helikoptera, Rostov zmienił skok śmigieł maszyny i w skręcie na lewo, zaledwie parę metrów nad ziemią, przeszedł w lot koszący prosto na Jacka.

Jack rzucił się na ziemię i, koziołkując i turlając się, zszedł z linii lotu w chwili, gdy płoza Rostova przecięła miejsce, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się jego głowa.

Zanim Jack stanął z powrotem na nogi i pędził w stronę helikoptera Styxa, Rostov był już pięćdziesiąt metrów nad basztą, lecąc na wprost i wzbijając się przy otwartych do maksimum przepustnicach w kierunku wschodnim, ku górskiej przełęczy.

Gdy tylko Jack wdrapał się do helikoptera Mil Hip, Styx otwarł przepustnice. Przez kilka sekund stali w zwisie, przeszli w lot wsteczny, dopóki nie odsunęli się znad lądowiska i nie znaleźli się nad urwiskiem. Wtedy Styx zawrócił maszynę, okrążył fortecę i ruszył w pościg za małym niebieskim helikopterem Rostova.

W parę minut później, gdy lecieli dwieście stóp powyżej znacznie powolniejszego i dysponującego mniejszą mocą helikoptera Rostova, Jack usadowił się na fotelu obok Styxa i kilkakrotnie zaczerpnął głęboko powietrza dla uspokojenia nerwów.

— Co teraz? — spytał.

— Lecimy za Rostovem, dopóki nie skończy mu się paliwo, albo gdzieś nie wyląduje. W tym czasie spróbujemy obmyślić jakiś sposób, żeby go zatrzymać.

— Dokąd on leci tym kursem? — Jack zerknął na kompas. Rostov zrobił zwrot, poleciał wzdłuż wyschniętego koryta rzeki wśród gór, wzbił się na osiem tysięcy stóp i zaczął lecieć pomiędzy szczytami kursem na południowy wschód ku południowi.

Styx wyciągnął z torby za siedzeniem złożoną mapę i wręczył ją Jackowi. Jack rozłożył ją, pokazał palcem ich przybliżoną pozycję, sprawdził czas i pokręcił głową. Biała



mgiełka za górami, daleko przed nimi, mogła znaczyć tylko jedno: pustynię i nie kończące się piaszczyste wydmowe wzgórza.

Zauważył na mapie zakreślone na niebiesko, wydrukowane dużymi czcionkami ostrzeżenie:

OSTRZEŻENIE

Statki powietrzne naruszające obszar 00R4 bez uprzedniego zezwolenia mogą zostać ZESTRZELONE BEZ OSTRZEŻENIA lub przechwycone i zmuszone do lądowania.

— To Arabia Saudyjska. Chyba ten przeklęty głupiec tam nie leci?

Styx chrząknął. — Myślę, że próbuje zwiększyć swój zasięg, opuszczając góry i lecąc nisko nad pustynią, gdzie osiągnie lepszy dystans w locie poziomym, nie spalając nadmiernych ilości paliwa w dziurach powietrznych i walce z przeciwnymi prądami.

— A może unika przelotu nad przestrzenią powietrzną Omanu?

— Taa, to też — rzekł Styx.

— Kieruje się do Jemenu?

— Nigdy mu się nie uda. — Styx rzucił okiem na przyrządy i wskaźniki, spojrzał na helikopter lecący poniżej, a potem wziął od Jacka mapę.

— Nie zrobi tego. Najlepszym dla nas wyjściem jest zmusić go do lądowania, kiedy jest jeszcze w Hadżar. Gdy opuści góry, Omańczycy i Saudyjczycy złapią jego i nas na radarze. A wtedy, jesteśmy ugotowani na miękko.

— Zmusić go do lądowania? Jak? — Spojrzał z napięciem na Styxa. — *Jak*? Nie powodując katastrofy i nie raniąc, ani nie zabijając Zity?

— Jeśli uda nam się uszkodzić jeden z płatów tylnego wirnika Rostova i albo ukruszyć go, albo odgiąć, nie będzie w stanie lecieć prostym kursem, a właściwie żadnym kursem, jeśli już o to chodzi. Sądzę, że jest dostatecznie

dobrym pilotem, żeby posadzić maszynę bezpiecznie na ziemi, jeśli znajdzie się w poważnych, ale nie bardzo groźnych kłopotach, z częściowo uszkodzonym śmigłem ogonowym. Wtedy możemy go dostać.

— Nie, Styx — powiedział Jack. — On jest mój. *Ja* dostanę skurwysyna,

— Bardzo proszę — odrzekł Styx. — Chodź tu, bierz stery. Pójdę zobaczyć, co tam jest z tyłu.

Gdy Jack przejął stery i wczuł się w nie, Styx wstał z fotela pilota i zaczął szperać po brezentowych worach pod siedzeniami. Wrócił po minucie ze strzelbą i pokazał ją Jackowi. — Popatrz no, co ja takiego znalazłem. — To był M1 Garand, kaliber .30, rocznik z czasów II wojny światowej. Przymocowany był do niego celownik na podczerwień, a na szczerbince i na mikrometrze do ustawiania poprawek namalowane były lakierem do paznokci czerwone kropki świadczące, że z broni tej celował doskonały strzelec.

Jack spojrzał na karabin z zatroskanym spojrzeniem. — Nie znam się na tym.

Styx uszczypnął Jacka w policzek. — Nie martw się o swoją dziewczynę. Wszystko z nią będzie dobrze. Jedna czy dwie szczerby w którymś z piór śmigła ogonowego to wszystko, żeby ich zmusić do lądowania. Więc jak, walimy?

Jack wstrzymał oddech, popatrzył przez przezroczystą owiewkę w dół na drugi helikopter, jeszcze minutę odczekał na wdechu, przypomniał sobie, jak Styx powstrzymał sokoła w locie ze stu yardów, i powiedział, wypuszczając powietrze: — *Wal!*

Styx poprawił pas karabinu, owinął go sobie mocno wokół lewego przedramienia i podszedł do otwartego luku. Położył się na brzuchu na podłodze, zaparł się mocno, wsadzając obie nogi pod ramy siedzeń dla pasażerów, i powiedział przez radio: — Leć w odległości od nich nie większej niż sto stóp i trzymaj się lekko przy ogonie.



— Zrobione — powiedział Jack, ustawiając nie znane sobie stery z napiętą uwagą i wielką pieczołowitością.

Gdy manewrował maszyną, ustawiając ją we właściwej pozycji, kątem oka dostrzegł wpatrzoną w niego Zitę na lewym fotelu. Chciałby móc puścić jedną rękę ze sterów choćby na tak krótko, żeby dać jej znak albo pomachać do niej, ale był zbyt zajęty utrzymaniem maszyny w posłuszeństwie. Przelatywali teraz w jasnym świetle słońca nad poszczerbionymi szczytami łańcucha gór Hadżar w zachodniej części terytorium Omanu, gdzie w każdej chwili mogli wpaść w nieoczekiwane wiry powietrzne, więc nie odważył się jej pomachać.

Spojrzał przed siebie na odległy horyzont. Nie można było dostrzec Pustyni Arabskiej. Tuman burzy piaskowej na zachodzie czerwienił się w porannym świetle słońca, które mieli za ogonem.

Głos Styxa zabrzęczał w kieszeni Jacka na piersi: „Tak trzymaj, tak trzymaj. Tylko spokojnie. Spokojnie... spokojnie..."

„Trzymam... trzymam" — powiedział Jack, koncentrując się równocześnie na obserwacji igły kompasu i helikoptera Rostova o sto stóp z boku.

Rozległ się głośny trzask.

Styx krzyknął: „Wyszczerbiłem go!"

Jack patrzył, jak helikopter Bell zaczął zbaczać to w jedną, to w drugą stronę, wahając się bezładnie w wyniku uszkodzenia pióra śmigła ogonowego.

Styx pobiegł na przód, wskoczył na fotel pilota i przejął stery. Otwarł obie przepustnice i przeleciał lotem koszącym nisko nad Rostovem, potem ustawił maszynę dokładnie nad nim i zszedł tak blisko, że prawe kółko niemal dotykało wirujących płatów helikoptera Bell.

Rostov nie mógł już dłużej lecieć prostym kursem ani manewrować w potężnej strudze z wirników Styxa, a także z powodu uszkodzonego śmigła na ogonie. Maszyną za-

częło rzucać w obie strony coraz szerzej i szerzej, a potem wpadła w ruch wirowy.

Rostov zmniejszył moc, ale to tylko pogorszyło sprawę. Zszedł niemal bezwładnie na paręset stóp nad grzbiet górski i w końcu zaprzestał prób, gdy zdał sobie sprawę z ich beznadziejności.

— Siada! — wykrzyknął Jack.

Styx rzucił mu swój trupi uśmieszek i pokazał na wskaźniki poziomu paliwa. — Teraz już nie mamy wyboru. Z trudem wystarczy mi paliwa na powrót do Dżabal Aswad.

— W porządku, zatrzymaj ten autobus. Ja tu wysiadam.

— Kiedy zobaczymy, gdzie siada Rostov, wyrzucę cię.

Jack sięgnął do bocznej kieszeni kurtki i wyjął miniaturowy aparat radiowy. — Chciałem się upewnić, czy mam swój ARIP. Kiedy go włączę, z łatwością mnie odszukasz.

Był to alarmowy radiowy identyfikator pozycji.

Styx pogrzebał w kieszeni kurtki, wyjął swój własny ARIP i wręczył go Jackowi. — Weź lepiej ze sobą także mój, na wypadek, gdyby twój wysiadł. Gdybyś nie mógł wyjść na szczyt górskiego grzbietu i musiał zostać na dole wśród gór, włącz oba naraz. To ułatwi mi przechwycenie twojego sygnału i ustalenie twojej pozycji.

Potem Styx zdjął z szyi lornetę i wręczył ją Jackowi. — To także będzie ci potrzebne. Masz nóż? Zapałki? Co prawda nie ma tam nic, co nadawałoby się do palenia... Latarkę?

Jack sprawdził nóż przytroczony do łydki. Potem poklepał się po kieszeniach i wyczuł kształt małej halogenowej latarki i płaskie plastikowe wodoodporne pudełko zapałek. — Mam wszystko z wyjątkiem moich kart kredytowych — uśmiechnął się szeroko.

— Zacznij się lepiej przygotowywać do opuszczenia maszyny — powiedział Styx. — Poszperaj w tych brezentowych worach z tyłu. Są pełne broni, żywności, manierek z wodą i zapasów amunicji. Chłopcy Rostova byli przygotowani na każdą ewentualność, nawet na małą wojnę.



Gdy tylko spostrzegli, że Rostov ląduje swoim zawrotnie wirującym helikopterem i że znalazł się już bezpiecznie na ziemi, Jack w pośpiechu przegrzebał wory, znalazł plecak, powrzucał do niego trochę żywności i dwie manierki z wodą, wybrał sobie karabin kalibru .30, wyszukał z tuzin załadowanych magazynków, przerzucił sobie plecak przez ramię i poszedł na przód helikoptera.

Styx pokazał w dół i przyjrzał im się z napiętą uwagą.

— Teraz wysiadają. Z nią wszystko w porządku. Przykuł ją do siebie kajdankami.

Patrzyli, jak Rostov i Zita wyskakują z helikoptera. Wylądował na wąskim skrawku jałowej skały, z którego wydawało się, że nie ma innej drogi niż do wyschniętego koryta rzeki o sześć tysięcy stóp w dół. Jack ogarnął wzrokiem cały teren i nie odkrył niczego poza opustoszałą dziczą jak okiem sięgnąć. Żadnej roślinności, żadnych drzew, nic oprócz postrzępionych skał i najbardziej niegościnnego, niedostępnego terenu, jaki zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć.

Skierował wzrok na zachód i ujrzał w odległości trzydziestu mil złowieszczą mgiełkę, którą była Pustynia Arabska. Na wschód, o dwadzieścia mil, zobaczył niebieską mgiełkę Zatoki Omańskiej.

Gdy stwierdzili, że Rostov prowadzi Zitę gdzieś na północ, Styx zniżył się do wysokości jednego metra nad skałami, zobaczył, że Jack wyskakuje z plecakiem i karabinem, i przesłał mu pozdrowienie uniesionym do góry kciukiem; potem zaczął się wznosić, zwiększając gwałtownie moc silników.

Jack odwzajemnił Styxowi pozdrowienie, wsadził sobie plecak na ramiona, dopiął szelki, popatrzył w górę, jak Styx zwisa w miejscu coraz wyżej i wyżej nad skarpą, wykonuje zwrot w prawo, a potem bierze kurs powrotny na Dżabal Aswad.

W parę minut potem, gdy Jack wspiął się na szczyt wzniesienia, o dwieście metrów niżej mignął mu przed

oczami Rostov z Zitą. Schodzili stromym zboczem. Rostov starał się trzymać pod osłoną skał, lecz Zita rozmyślnie spowalniała jego marsz w dół stoku, zmuszając go, by wlókł ją za sobą za skuty przegub.

Jack nie przestawał obserwować Zity i Rostova, ładując równocześnie magazynek do karabinu i starannie poprawiając pas od broni.

A potem ruszył za nimi.

# 20

GDZIEŚ W GÓRACH HADŻAR
16.00

Jack odgadł, co kombinuje Rostov, schodząc dwieście metrów poniżej miejsca, gdzie zobaczył ich po raz ostatni. Najprawdopodobniej Rostov zawrócił w kierunku helikoptera i w tej chwili zawlókł Zitę pod osłonę jakiegoś głazu ponad nim.

Jack odwrócił się, uniósł lornetkę i rozejrzał się po zboczu prowadzącym w górę nad urwisko. Wtem rozległ się strzał i usłyszał krzyk Zity. — *Jack! Uważaj!*

Kula chybiła, odbijając się rykoszetem od głazu za jego plecami. Krzyk Zity i strzał kilkakrotnie odbił się echem we wszystkich kierunkach. Powtarzane echem dźwięki były niesamowite. Nigdy przedtem nie słyszał czegoś podobnego.

Natychmiast poszukał osłony, odciągnął zamek karabinu, wprowadził nabój do komory i nagle się powstrzymał. — *Czy ja zupełnie zwariowałem? Mógłbym trafić w nią.* Zabezpieczył broń, po raz drugi spojrzał przez lornetkę na zbocze i w końcu dostrzegł ich. Patrząc i nasłuchując, jak echo odzywa się ciągle, lecz coraz niklej i niklej, w miarę jak dźwięki rozchodzą się po górach, spostrzegł, że Rostov znów próbuje wziąć go na cel. Ale nie był w stanie wymierzyć i strzelić dokładnie z ciężkiego szturmowego karabinka, używając do tego tylko prawej ręki, podczas gdy Zita nieustannie szarpała się i ciągnęła go za lewy nadgarstek, do którego była przykuta.

Zerknął na Zitę i zauważył przywiązany do jej pleców płaski pakunek.

Gdy zdał sobie sprawę, że to POTH, zakipiało w nim ze złości. Rostov używał jej jak jucznego zwierzęcia.

Choć mały zestaw komputerowy ważył jedynie piętnaście funtów, był to duży ciężar dla kobiety jej wzrostu, zważywszy że musiała go taszczyć tam i z powrotem po górach w długiej, brzydkiej czarnej sukni, w strasznym upale. Wiedział, jak bardzo musiała cierpieć. Prawdopodobnie w pancerzu ubioru, który miała na sobie, była cała skąpana w pocie.

Jack rozejrzał się, zobaczył krótszy szlak w górę zbocza i ruszył w jego kierunku. Nisko pochylając głowę, przebiegłszy obszar kamiennej piargi i łupków, szybko wspiął się na górę, przeczołgał się przez duży głaz i ruszył po stromej pochyłości.

Kiedy przystanął, żeby złapać tchu, zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie oddychać, nie ze względu na wysokość czy wysiłek fizyczny, lecz dlatego, że pozwolił, by gniew i niepokój zaćmiły mu umysł. Zmusił się, żeby usiąść na chwilkę, odpocząć i zebrać myśli. Po krótkiej chwili zastanowienia poczuł się lepiej i powziął mocne postanowienie, że nie dopuści, aby uczucia wpływały na jego osąd sytuacji i zdrowy rozsądek. Potem na nowo podjął wspinaczkę.

Kierował się teraz w prostej linii do urwiska, na którym stał helikopter. Miał nadzieję, że wyprzedzi Rostova na tyle, żeby zniweczyć jego próby zreperowania uszkodzonego wirnika i ponownego wystartowania.

W dwadzieścia minut później Jack dotarł do helikoptera. Wyprzedził Rostova co najmniej o dziesięć minut. To pozostawiało mu wystarczająco dużo czasu na zrobienie tego, co zaplanował podczas wspinaczki. Przykucnął na pobliskim wzniesieniu, rozejrzał się po leżących poniżej stokach i spostrzegł ich w odległości około osiemdziesięciu metrów. Zita siedziała na ziemi, a Rostov ciągnął ją za przegub, mówiąc coś, na co nie zwracała żadnej uwagi. Raptem Rostov uderzył ją dłonią w twarz.



Jack o mało nie krzyknął głośno z wściekłości, ale uzbroił się w cierpliwość, nie przestając się im przypatrywać. W końcu Zita wstała i z wrogą niechęcią pozwoliła się ciągnąć w górę wśród szamotań i utarczek.

Jack podszedł do helikoptera, obejrzał śmigło ogonowe, zobaczył wygiętą aluminiową łopatę, w którą Styx trafił za jednym strzałem, uświadomił sobie, że da się ją naprawić, i postanowił zrobić coś, co zagwarantuje, że Rostov nie będzie mógł ponownie odlecieć z Zitą. Obiegł maszynę dookoła, otwarł pokrywę silnika i odnalazł rozdzielacz. Odkręcił nasadkę, wyjął rotor, starannie upchał go do prawej kieszeni na piersi, założył z powrotem nasadkę, spuścił i zamknął pokrywę silnika.

Potem podszedł do skały, wspiął się na nią i raz jeszcze rozejrzał się po leżącym pod nim stoku. Byli teraz o czterdzieści metrów od niego. Zeskoczył ze skały, rozejrzał się bacznie, w promieniu dziesięciu metrów od helikoptera nie znalazł miejsca, w którym mógłby się ukryć, i zaczął zastanawiać się, co by tu wymyślić.

Pod wpływem nagłego impulsu zdjął z ramienia karabin i skierował lufę w dół. Nie, wciąż było to zbyt ryzykowne. Nawet gdyby strzelił do Rostova z bliskiej odległości, mógł chybić i trafić Zitę. Albo kula mogła przejść na wylot i trafić w nią. Albo mógł zranić Rostova, a wtedy ten zabiłby ją na sam koniec.

Słyszał, jak nadchodzą. Wiatr wiejący bezustannie po zboczu, na które się wspinali, niósł chrzęst osuwających się kamieni. Co robić? Co robić? Rozglądnął się dookoła, spostrzegł niski głaz, najbliższą kryjówkę... nie, zbyt oczywista. Rostov będzie się tego spodziewał. A czego nie będzie się spodziewał?

Jeśli ukryłby się w helikopterze, znalazłby się w pułapce. Rostov mógłby się wycofać i otworzyć ogień. Z tej odległości, celując w zbiornik paliwa, nie mógłby chybić.

Jakieś dwadzieścia metrów za helikopterem zobaczył niski rząd skał. Są zbyt niskie, żeby się za nimi ukryć — ale

czy na pewno są za niskie? Podbiegł do nich, przeskoczył przez skały, położył na ziemi karabin i zaczął wygrzebywać pojedyncze kamienie i łupki. W ciągu paru minut udało mu się wydłubać jamę, gdzie mógł leżeć płasko na brzuchu, nie będąc widzianym. Usłyszał kroki, szybko zarył się w ziemię i przylgnął jak najściślej do skał. Potem zaczął układać kamienie przed sobą w stertę, aż zrobiła się dość wysoka, żeby go zasłonić. Spojrzał na nią, usunął kilka kamieni, zrobił otwór obserwacyjny i opadł na ziemię w oczekiwaniu.

Rostov i Zita wyszli na wzgórze i stanęli na moment, by Rostov mógł się rozejrzeć; potem powlókł ją w kierunku helikoptera. Wepchnął Zitę do środka, wsiadł za nią, odłożył na bok szturmowy karabinek, zdjął obręcz kajdanków ze swojego nadgarstka i przypiął ją do pionowej poręczy obok luku. W minutę później wyłonił się z karabinem w prawej ręce i zatoczył wokół wzrokiem. Podejrzliwie popatrzył na pobliskie głazy, zaczął cofać się w kierunku ogona helikoptera, cały czas trzymając palec na spuście karabinu wycelowanego w Zitę, aż doszedł do wirnika. Obmacał płaty, przez minutę badał uszkodzone pióro śmigła, a potem podszedł do drzwi. Ominął Zitę, wdrapał się do kokpitu i włączył starter.

Jack uśmiechnął się szeroko, słysząc, jak Rostov usiłuje zapalić silnik. Starter wył i wył, a maszyna nie zaskakiwała. A niby jak miała zaskoczyć? Rotor rozdzielacza kieruje iskry elektryczne do poszczególnych cylindrów silnika. Bez niego świece iskrowe nie zapalą mieszanki i nie wprawią w ruch tłoków obracających wał korbowy.

W końcu Rostov dał sobie spokój. Przez chwilę panowała cisza. Zita siedziała w otwartym luku helikoptera z nogami zwisającymi na zewnątrz i głową opartą o framugę. Wtem Jack usłyszał głos Rostova. Posługiwał się radiem. Jack był za daleko, żeby zrozumieć, co mówi. Usłyszał głos innego mężczyzny w głośniku. Też nie mógł zrozumieć, co mówi.



Żałował, że nie ma aparatu podsłuchowego. Miałby lepsze rozeznanie w planach Rostova. Niemal na pewno wzywał kogoś przez radio na pomoc. To mogło zająć całe godziny. Albo dni.

Nagle Rostov pojawił się w drzwiach. Wyjął POTH-a z plecaka Zity, zawiesił go sobie na ramieniu, włożył do plecaka coś innego i powoli wysiadł z helikoptera. Zaczął ostrożnie się cofać, z karabinem w ręce, omiatając wzrokiem skały, obserwując cały teren. Doszedł w ten sposób na tył do wirnika. Pociągnął za pasek od spodni, jakby przeciągał pod nim sznur, dopiął pasek, wyjął z kieszeni parę kleszczy, odłożył na ziemię POTH-a i karabin i podjął próbę wyprostowania łopaty śmigła.

Gdy Jack przyglądał się tak Rostovowi, serce zaczęło bić mu szybciej. Czy teraz był najlepszy moment? Powoli uniósł karabin, odbezpieczył go, podniósł się na klęczki, wziął Rostova na muszkę i krzyknął: — Nie ruszaj się, Rostov!

Rostov, trzymając szczypcami w prawej ręce krawędź śmigła, które próbował naprawić, a lewą przytrzymując je, żeby nie obracało się podczas reperacji, nawet nie drgnął. Jack odetchnął. Oczekiwał walki i ze względu na Zitę odczuł ulgę, że Rostov niczego nie próbował. Wstał i ostrożnie zaczął zbliżać się do Rostova.

Kiedy podszedł na odległość pięciu metrów od niego, Zita krzyknęła: — Jack! Stój. Nie idź dalej. Ma przywiązany do paska drut. Drugi koniec jest przymocowany do ręcznego granatu.

Jack zatrzymał się. — Gdzie on jest?

— W moim plecaku.

Rostov opuścił rękę ze szczypcami ze śmigła i odwrócił się. Spojrzał na Jacka i zaśmiał się. — No i co teraz zrobisz, Lund?

Pokazał w kierunku Zity i chwycił gwałtownie za drut, którego do tej chwili Jack nie zauważył, ponieważ popołudniowe słońce świeciło mu prosto w oczy.

— Nie sądzę, żeby warto było umierać dla tego urządzenia — powiedział Jack.

— Nie mam zamiaru dla niego umierać — odrzekł Rostov. — Dlatego też nie będziesz próbował żadnych głupstw, tylko złożysz na ziemi ten karabin i odejdziesz.

— Pocałuj mnie w dupę, Rostov.

Rostov roześmiał się i podniósł do góry trzymany w ręce drut. Był naprężony.

— Zostawiłem zawleczkę wysuniętą do połowy z gniazda. W siedem sekund po tym, jak leciutko za to pociągnę, Zita, ty i ja — wszyscy polecimy. No więc, co będzie?

W tym momencie Jack zauważył, że Zita próbuje powolutku sięgnąć ręką po drut, który prowadził do granatu w jej plecaku... Zerknęła na niego ukradkiem i wzniosła oczy ku górze z wyrazem rozpaczliwego błagania.

— Dobra, więc to jest to, co nazywasz pułapką offsidową — powiedział Jack. — Może dobijemy targu.

— Żadnych targów, Lund.

Kątem oka Jack zobaczył, że Zita miała już drut w ręce. Był to cienki aluminiowy drucik, jakie można znaleźć w większości zestawów części zapasowych używanych przez pilotów i mechaników pokładowych. Dawni piloci nie ruszyliby się z domu bez jednej lub dwóch szpul takiego drutu w swojej skrzynce z narzędziami. Ta tradycja sięgała pionierskich dni lotnictwa, kiedy kratownice latających gratów z drewna i lekkiego metalu, pokryte malowanym płótnem, często bywały prowizorycznie posklecane i połączone gumą do żucia i papierowym sznurkiem.

W dzisiejszych czasach używa się drutu, gdy nie ma pod ręką kleszczy i zacisków, by tymczasowo umocować aluminiowe zastrzały i inne części, zanim zostaną nawiercone i przynitowane albo zespawane.

— Dla kogo pracujesz, Rostov?

— Nie twój interes. Skończ już ten cyrk, Lund. Rzuć karabin, cofnij się i wynoś się stąd do diabła.

— Ile ci płacą? — zapytał Jack. Musiał zająć Rostova



rozmową, żeby nie mógł się odwrócić i zobaczyć, że Zita coś kombinuje.

— Powiedziałem ci już, że to nie twój interes.

— Rostov, czy oni ci powiedzieli, co POTH może zdziałać?

— Jestem doskonale obznajomiony z jego przeciwlotniczymi możliwościami. Dr Ortman pracował nad nim przed laty, kiedy obaj byliśmy w Los Alamos.

Jack nie odważył się skierować wzroku na Zitę ze strachu, że zaalarmuje to Rostova i zmusi go do zrobienia czegoś, czego nikt z nich nie miałby okazji potem żałować, ponieważ by nie przeżył. A jednak musiał zobaczyć, co robi.

— Uwierzysz — powiedział Jack, pokazując na leżący u stóp Rostova POTH i robiąc dwa niby przypadkowe kroki w stronę tylnej części helikoptera — że to małe urządzenie jest warte *sto pięćdziesiąt milionów* dolarów!

— Stój tam, gdzie jesteś! — krzyknął Rostov. — Zrobisz jeszcze jeden krok, a szarpnę za ten drut.

Jack, trzymając karabin wycelowany w Rostova, powiedział: — W porządku, nie denerwuj się, chłopie. Pomyślałem tylko, że powinieneś rozważyć te wszystkie śliczniutkie pliki banknotów z ubezpieczenia.

— Jakiego ubezpieczenia?

Jack wskazał na POTH-a karabinem i znów w niego wycelował. — Moi szefowie ubezpieczyli go u Lloyda w Londynie na sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Jesteś w stanie wyobrazić sobie, ile to pieniędzy?

— Słucham cię, mów dalej — rzekł Rostov. Stał teraz odwrócony plecami do Zity.

Jack odezwał się: — Obaj moglibyśmy całkiem luksusowo pożyć za pięćdziesiąt melonów na łeba.

Rzucił okiem na Zitę. Stała teraz, okręcając powoli luz, który udało jej się wybrać z drutu, wokół poręczy przy drzwiach, gdzie była przykuta.

— Dostaniemy się w eter, pogadam z moim szefem,

powiem mu, że POTH jest trzymany dla okupu w wysokości stu milionów dolarów, towarzystwo ubezpieczeniowe zorganizuje wymianę w miejscu, które wybierzemy, oddamy go, podzielimy forsę, każdy pójdzie w swoją stronę i nigdy więcej się nie zobaczymy. O tej porze roku w Rio jest piękna pogoda.

Rostov skrzywił się, zrobił krok do przodu, nie wypuszczając z lewej ręki drutu, podrzucił prawą ręką AK-47 i wymierzył do Jacka. — Chyba myślisz, że jestem cholernym głupcem.

Jack zaryzykował jeszcze jeden rzut oka za Zitę. Uśmiechała się. Spojrzała na poręcz, odwróciła wzrok i znów popatrzyła na niego. Była bezpieczna. Gdyby Rostov szarpnął teraz za drut, drut pękłby. Przywiązała go mocno do poręczy i robiła teraz szalone wysiłki, żeby zsunąć szelki plecaka z ramion.

— Nie, Rostov, nie jesteś żadnym głupcem. Jesteś inteligentnym facetem. Rzadko kiedy trafia się taka okazja, a gdy się nadarza, to tylko raz w życiu. Zdecyduj się, chłopie. Przestańmy obaj być cholernymi głupcami, którzy nadstawiają karku dla innych. Zróbmy interes.

Rostov znienacka nacisnął spust i strzelił Jackowi pod nogi. Kula uderzyła w kamień i odbiła się rykoszetem, nie wyrządzając żadnej szkody. — Rzuć karabin, Lund. Ale już!

Jack ani drgnął, i tylko zaczął zniżać lufę z muszką wycelowaną w twarz Rostova. — Nie, najpierw ty. Odwiąż drut, puść go — i rzuć *swój* karabin.

Rostov zaśmiał się i spokojnie strzelił po raz drugi. Kula świsnęła w powietrzu koło ucha Jacka. Góry wokół nich powtarzały jeszcze niesamowitym echem pierwszy strzał oddany przez Rostova.

Jack podjął ryzyko i spojrzał na Zitę. Gdy ujrzał, co robi, serce prawie stanęło mu w piersi i nie mógł złapać tchu. Stała w drzwiach helikoptera, trzymając w wolnej ręce granat. Potem, z lewą ręką wciąż przykutą do poręczy,



uniosła granat wysoko nad głową, jak pierwszoligowy piłkarz próbujący strzału, i z całej siły rzuciła nim w Rostova.

Granat uderzył Rostova w kark i ześlizgnął się. W tej samej chwili Jack zauważył, że zawleczka wylatuje z granatu.

Rostov, rycząc z bólu, obrócił się i wściekle szarpnął za drut. Zrobił bardzo zdziwioną minę, gdy ten pękł i luźno opadł, bo z pewnością, gdy pociągał za drut, był pogodzony już z myślą o śmierci. W tym samym momencie, w momencie gdy Rostov stał z luźno zwisającym drutem w ręce, Jack skoczył na niego i trzasnął go kolbą karabinu w rękę trzymającą broń. AK-47 upadł na ziemię. Mocowali się przez jakiś czas i zaczęli kłębić się po ziemi w walce na śmierć i życie o karabin.

Jack wbił Rostovowi kolano w pachwinę, dźgnął go lufą karabinu w podbródek i warknął: — Przyjemnie ci, Rostov? Tak zrobiłeś Zicie, skurwysynu!

Rostov w nawrocie wściekłości ponownie próbował złapać za karabin. Jego ręka wpiła się w rękę Jacka. Potoczyli się po ziemi, ale Jack nadal przyciskał lufę do szczęki Rostova.

Oczy Rostova pełne były wściekłości i nienawiści, gdy podniósł wzrok na Jacka i szamotał się, żeby odtrącić karabin. Zaczął bić Jacka pięściami, kopać, uderzać łokciami, walić pięścią raz po raz. Gdy w pewnej chwili uderzył Jacka w rękę na spuście, broń wypaliła. Pocisk kalibru .30 przebił głowę Rostova na wylot i wyszedł podstawą czaszki. Raptowność, z jaką to się stało, na krótką chwilę oszołomiła Jacka wpatrującego się w źrenice trupa.

Skończone.

Jack nie mógł w to uwierzyć. W chwili gdy odwracał wzrok od zbryzganej krwią twarzy Rostova, zauważył leżącą na ziemi zawleczkę i przypomniał sobie nagle o granacie. Skoczył na równe nogi. Dlaczego nie wybuchł

po siedmiu sekundach od upadku? I wtedy zobaczył go pod helikopterem, o parę metrów dalej, zanurkował po niego, zgarnął go z ziemi i już miał odrzucić go daleko od siebie, gdy zdał sobie sprawę, że mechanizm spustowy jest ciasno obwiązany zwojami drutu, który przytrzymuje go w dolnej pozycji.

Zita unieruchomiła go.

W parę minut później, gdy Jack, otworzywszy jej kajdanki kluczem znalezionym w kieszeni Rostova, trzymał ją w ramionach, próbując ukoić jej łkania radości — „Och, mój Boże, Jack, myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę" — Zita nagle odepchnęła go, pokazała na niebo i krzyknęła.

— Co...? — Jack obrócił się gwałtownie i ujrzał na niebie, w miejscu, na które pokazywała, dwie ciemne plamki.

— Włączył ARIP! — zawołała Zita. — Namierzają nas! Nadlatują, patrz, patrz!

Jack dał nura do helikoptera, zobaczył jasnopomarańczowy cylinder z cienką anteną i migoczącą czerwoną lampką, wyrwał przewód ze ścianki, cisnął urządzenie na podłogę i skoczył nogami na nie. Migająca lampka zgasła.

Zita wsiadła do helikoptera i chwyciła go za ramię.

— Nie było czasu, żeby ci powiedzieć. Viktor rozmawiał z jakimś człowiekiem, którego nazywał Boris. Wysyła dwa helikoptery z silną załogą, żeby cię dostać. Stacjonowały w miejscu, które nazywa się jakoś Ibi, Ibi coś tam.

— *Ibi Nira?* — spytał Jack. Przypomniał sobie, że widział na mapie Styxa miejscowość o podobnej nazwie. To była odległa górska wioska z dala od utartego szlaku.

— Tak, Ibi Nira.

— To tylko około półtorej godziny stąd drogą powietrzną.

Podbiegł do luku, wyskoczył z helikoptera, rzucił okiem na dalekie punkciki, zauważył, że najprawdopodobniej stoją w zwisie nad odległym szczytem, chwycił POTH-a i wsiadł z nim z powrotem.



— Co robisz, Jack?

— Zobaczysz. Wyjdź na zewnątrz i powiedz mi, jeśli będą się zbliżać. Rozejrzyj się, czy nie znajdziesz gdzieś mojej lornetki... Zostawiłem ją gdzieś tam... Weź i użyj jej.

Jack włączył radar pokładowy helikoptera i podczas gdy ekran nagrzewał się, wyjął z POTH-a łącze komputerowe, rozwinął je, przeciągnął do konsoli radaru znajdującej się za ekranem, spojrzał na nią i zaklął. Trzeba było wymontować aparat z panelu helikoptera.

— Gdzie są teraz? — zawołał.

— Koło tej naprawdę wysokiej góry, krążą.

Jack w szalonym pośpiechu odkręcając podpórki konsoli czworokątnym śrubokrętem Philipsa, który znalazł w skrzynce z narzędziami, mówił dalej: — Myślisz, że jak daleko są od nas?

— Nie wiem. Są dwie rzeczy, których nie umiem. Jedną z nich jest ocena odległości.

Wymontowując teraz panel i wysuwając go delikatnie, Jack zawołał: — A ta druga rzecz, której nie potrafisz, kochanie?

— Powiedzieć, gdzie jest która strona świata. Zawsze się gubię. Kiedy byłam w skautach, zaniechałam nawet pieszych wędrówek i kampingów.

Jack odchylił w dół konsolę radaru, popatrzył na gąszcz przewodów, wyciągnął wtyczkę skanera, wcisnął w to miejsce łącze szeregowe RS232 z zestawu POTH-a i delikatnie zasunął konsolę. Następnie włączył POTH-a, przekręcił wyłącznik ekranu radarowego i wysiadł z helikoptera, czekając, aż wczyta się system operacyjny.

Zita oderwała lornetę od oczu, wręczyła mu ją i pokazała ręką.

Spojrzał na dalekie helikoptery, odczytał pozycję na siatce odległości, sprawdził obliczenie i opuścił lornetkę.

Zobaczywszy wyraz jego twarzy, Zita chwyciła go za ramię.

— Najdroższy, co się dzieje, coś złego?

— To są stare Sowieckie Psy, helikoptery transportowe zdolne przewieźć osiemnastu ludzi włącznie z załogą. Uzbrojone są w pociski rakietowe i karabiny maszynowe. To wystarczająca siła ognia, żeby parę razy posłać nas wszystkich do piekła razem z tym wierzchołkiem góry. Wyglądają, jakby wyposażono je w system Stealth. I są tylko o pięć mil od nas. Za parę minut zauważą ten helikopter, a wtedy...

— Co wtedy?

Jack wzruszył ramionami. Nie chciał nawet o tym myśleć, a tym bardziej jej powiedzieć.

— Co masz na myśli, mówiąc, że zostały wyposażone w Stealth? Co to takiego?

— Zostały powleczone materiałem izolacyjnym, który nie odbija fal radarowych, ale pochłania je. To sprawia, że są niewidoczne na ekranach radarów. I wyjaśnia to także, jak udało im się przelecieć całą drogę i nie dać się zestrzelić myśliwcom przechwytującym Arabów, którzy nie pozwalają nikomu latać nad swoim obszarem powietrznym.

— Skąd możesz wiedzieć, że są wyposażone w Stealth, i dlaczego tak cię to martwi?

— Zostały pomalowane na czarno i chyba mają...no, mniejsza z tym, nie ma czasu na wyjaśnienia. Na razie martwię się, czy POTH będzie w stanie unieszkodliwić je, zanim się tu dostaną.

Zita nic z tego nie zrozumiała. Potrząsnęła głową i popatrzyła, jak biegnie z powrotem do helikoptera. Spostrzegła karabinek szturmowy, poszła po niego, unikając patrzenia na ciało Rostova, które wciąż leżało rozciągnięte na ziemi niedaleko ogona helikoptera, i podniosła karabinek. Był cięższy, niż się spodziewała.

Jack ukląkł przed POTH-em ustawionym na miejscu dla pasażera, spojrzał na podświetlony ekran i zaczął się uśmiechać, kiedy wystukiwał na klawiaturze hasło udostępniające program broni elektronicznych i zatwierdził je klawiszem ENTER. Już przed miesiącami wybrał hasło. Brzmiało ono *Zita*.



Gdy komputer zadał mu pytania, Jack wystukał na klawiaturze odpowiedzi, pochylił się nad konsolą radaru, poustawiał gałki odległości i popatrzył na skaner. Nic. Żadnych błysków. Zmniejszył zasięg i znów spojrzał na ekran. Dalej nic. Maszyny bojowe były niewidzialne. Już miał zaniechać wysiłków, ale postanowił spróbować na czteromilowym zasięgu. Dalej nic.

Zita krzyknęła: — Chyba nas zobaczyli. Robią zwrot i kierują się prosto na nas.

Jack wpatrywał się w ekran radaru, wyciągnął rękę i już miał go wyłączyć dla oszczędności baterii, gdy Zita wrzasnęła: — Są teraz naprawdę blisko! Jack, co robimy?

Jack przekręcił wyłącznik, ale zasilanie nie ustało. Skaner nadal omiatał ekran dookoła, lecz teraz pojawiły się dwa wyraźne błyski!

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pochylił się nisko nad ekranem i zobaczył je wyraźnie, a maszyny były już tak blisko, że słyszał potężny łopot wirników. Dlaczego teraz były widoczne, a przedtem nie?

I nagle zrozumiał, dlaczego. Przekręcił gałkę zasięgu zamiast wyłącznika mocy. Zasięg był ustawiony na dwie mile. Dwie mile! Na większą odległość nie zadziałałby.

W tym samym momencie jedna z maszyn bojowych przeleciała nad nimi lotem koszącym. Stojący na ziemi mały helikopter Bell zatrząsł się od potężnej strugi powietrza, kiedy z rykiem krążyła nad nim, dokonując rozpoznania.

Jack uaktywnił POTH-a, przestawił skalę odległości i modlił się, żeby przypomnieć sobie następną czynność.

Komputer zapytał: *Namiar na cel?*

Odpowiedział, wystukując na klawiaturze: „Tak”.

Komputer: *System uruchomiony i naprowadzony na cel. Uruchomić środki przeciwlotnicze?*

Jack napisał: „Tak”.

Komputer: *Który z celów zatwierdzasz? Straszydlo Jeden, Straszydlo Dwa, czy oba?*

Jack spojrzał na ekran radarowy. Cyfry 1 i 2 były wyświetlone nad błyskami. Przyjrzał się, jak migoczą, zafascynowany. Jak to się dzieje?

Nagle, w chwili gdy zbliżał się jeden z Psów, na zewnątrz rozległa się seria z automatu. Zanim helikopter zdążył odlecieć, Jack rzucił się do drzwi, zobaczył, że Zita zamierza ponownie otworzyć do nich ogień, i wrzasnął:

— Co ty, do cholery, wyrabiasz? Rzuć to, Zita!

Zmieszana, upuściła karabinek.

Skoczył z powrotem do POTH-a, zerknął na ekran radaru i zobaczył, że teraz oba błyski stały nieruchomo o półtorej mili od nich.

Teraz można było zrobić już tylko jedno.

Popatrzył na ekran POTH-a i napisał słowo: „Oba".

Potem ruszył do wyjścia, zeskoczył, podbiegł do Zity, chwycił ją, ściągnął jej z szyi lornetkę i skierował ją na helikoptery.

Pocąc się obficie mimo raczej chłodnego wiatru, Jack modlił się, żeby zadziałało, i głośno rzekł: — Dziecinko, jeśli ten mały komputer nie zrobi tego, co mu kazałem, w ciągu najbliższych paru minut, puścimy się biegiem w dół całej tej cholernej góry i będziemy się ścigać o życie.

I w tej właśnie chwili zdał sobie sprawę, że ryk silników helikopterowych zanika. Przez sekundę patrzył przez lornetkę, a potem krzyknął, najgłośniej jak potrafił:

— Działa! Działa! Ta cholerna zabawka naprawdę działa!

— Co działa? Nie rozumiem...?

— Kochanie — rzekł, porywając ją w ramiona i ściskając — popatrz tylko.

— Zgasły im silniki.

— Aha.

— Rozbiją się?

— Aha.

— Myślałam, że można lądować na wyłączonych.

— Można, jeśli piloci mogą sterować wirnikami. A teraz nie mogą. Ten mały komputer, który cały czas dźwigałaś po górach, używa naszego radaru do unieszkodliwienia ich. Wyłączył im wszystkie systemy.

Patrzyli, jak dwa czarne helikoptery zaczynają spadać, najpierw powoli, potem kołysząc się i miotając to w przód, to w tył; i nagle helikoptery przeszły w ślizg boczny i pędząc na siebie, zderzyły się w powietrzu i eksplodowały, zamienione w kulę ognia. Żar był tak wielki, że Jack i Zita poczuli go, stojąc nad urwiskiem o półtorej mili dalej.

W parę chwil później płonące wraki, ciała i fontanna kamieni zniknęły im z oczu, zapadając się za najbliższy łańcuch gór.

Kiedy Jack poszedł wyłączyć skaner radaru i POTH-a, by zaoszczędzić baterii, zaskoczył go widok migotającego ekranu komputera, który wygrywał na dodatek wesołą melodyjkę. Jack przyklęknął, przyjrzał mu się i uśmiechnął się z rozbawieniem.

POTH szybko wyświetlał komunikat: *Good-bye Straszydło Jeden; Good-bye Straszydło Dwa; mały wujek POTH załatwił was obu!*

Usiedli na znalezionym w helikopterze kocu, patrząc na zachód słońca.

— Powinni już o tej porze być z powrotem w Izraelu — powiedział Jack. — Odzyskali całą dokumentację... a Ortman i jego koledzy nieźle się teraz pocą.

— Co się z nimi stanie? — spytała.

— Prawdopodobnie nic. Przyrzekają poprawę... Rząd Izraela zostawi to do decyzji twojego taty. A on się zastanawia... Szkoda, że nie porozmawiałaś z nim, kiedy go miałem na linii.

Zita wzruszyła ramionami i nie odezwała się, patrząc na góry.

— Przylecą po nas jutro z pierwszym brzaskiem — rzekł Jack.

Położyła mu głowę na ramieniu i objęła go. — Nie zmartwiłabym się nawet, gdyby nigdy nie przylecieli... Na

niebie nad pobliskim szczytem górskim, nieco pod nimi, dostrzegła plamkę, usiadła, wzięła lornetkę i zaczęła się jej przypatrywać.

— Na co tak patrzysz?

— Sokół. Podała mu lornetkę.

Przez chwilę patrzył na ptaka, a potem spojrzał na nią. — To nie jest sokół. To orzeł.

Wzięła od niego szkła i przyjrzała się jeszcze raz. — Jakim cudem ty to wiesz?

— Dziecinko, doskonale wiem, jak wyglądają sokoły. Daję ci słowo. Poza tym, to kraj orłów...

Było jej zimno w tę księżycową noc, ale nie zważała na to, ponieważ scałowywał jej sińce. A potem się kochali. I byli w sobie zakochani, i znów się kochali.

Było jej teraz miękko i ciepło w jego ramionach. Ciepło, bezpiecznie, i czuła, że jest kochana. I nie czuła już chłodu. I pomyślała, jak to cudownie... zamknąć oczy na tym samotnym górskim szczycie.

I pomyślała, jak miło jest leżeć u boku Jacka, w jego ramionach, gdzie jest jej miejsce — teraz wie o tym na pewno...

I pomyślała, jak miło jest zasnąć na tym górskim szczycie... zasnąć z orłami...